

MONIKA WARNEŃSKA

GORZKA MIŁOŚĆ



 Poradnia K

Monika Warneńska

GORZKA MIŁOŚĆ

 **Poradnia K**

Warszawa 2010

Spis treści

Karta redakcyjna O Autorce I II III IV V VI VII VIII IX X XI XII XIII XIV

Redakcja: WANDA JELONKIEWICZ Korekta: ELWIRA WYSZYŃSKA
Projekt okładki: ARTUR GOSIEWSKI Zdjęcie autorki: KRZYSZTOF KALIŃSKI
Projekt graficzny i łamanie: LogoScript Sp.
z o.o. www.logoscript.pl Copyright © Poradnia K,
Warszawa 2010 Wydanie II
(wyd. I pod tytułem *Kochankowie nad przepaścią*) Warszawa 2012 ISBN
978-83-933420-3-7 Wydawnictwo Poradnia K
ul. Okopowa 16/169, 01-063 Warszawa
e-mail: poradniak@poradniak.pl
www.poradniak.pl Konwersja: eLitera s.c. **O Autorce**



Monika Warneńska (1922-2010)

Pisarka, reportażystka i podróżniczka, wydała ponad 60 książek. Korespondentka wojenna prasy polskiej i zagranicznej w Wietnamie. Świetna pamięć wspomagana nieodłącznym notesem sprawiała, że była skarbnicą egzotycznych historii – o swoich przygodach mogła opowiadać zawsze i wszędzie, bez końca.

Najbardziej znane jej książki to „Wąż ma groźne oczy”, „Pałac Dioklecjana”, seria o przygodach Karolinki.

I

Dzwonek u drzwi zabrzmiał tak cicho, że początkowo nie zwróciłam nań uwagi. Dopiero kiedy odezwał się powtórnie, nadstawiłam ucha. Był stan wojenny; od jego ogłoszenia upłynęło zaledwie kilka tygodni. W całym kraju panował nastrój przygnębienia i niepewności. Trwała zima – w tym roku ostra i surowa.

Śnieg pokrył grubą warstwą chodniki. Rtęć w termometrach trzymała się na kilkunastu stopniach poniżej zera. Telefony wciąż milczały – i to była jedna z bardzo dokuczliwych bolączek życia codziennego. Na kopertach listów figurowały pieczęcie cenzury wojskowej. Prasa uległa zawieszeniu; ukazywał się jeden tylko dziennik – „Trybuna Ludu”. Programy radia i telewizji były miałkie i zakłamane; słuchaliśmy ich jednak, z braku innych źródeł wiadomości, co dzieje się w kraju. W wielu domach przygnębienie graniczyło z rozpaczą: dotyczyło to zwłaszcza rodzin, w których kogoś bliskiego internowano. Bez telefonów, przy ograniczeniach, jakie narzuciła godzina milicyjna, rwały się więzi kontaktów międzyludzkich. Któż więc przyszedł do mnie w to wczesne, pochmurne, zimne popołudnie?

Przez wizjer nie mogłam nic dostrzec. – Kto tam? – spytałam, nie otwierając na razie drzwi. Głos, który się odezwał, był chyba znajomy, lecz nie potrafiłam sobie przypomnieć, gdzie i kiedy go słyszałam.

Odrygłowałam zamek, nie spuszczać jednak łańcucha. Za drzwiami stała kobieta w długim kożuchu i futrzanej czapce.

– Jesteś! – odetchnęła z ulgą na mój widok. – Jak to dobrze! Bałam się, że cię nie ma.

– Jola! – poznałam ją dopiero teraz. – Chodźże do środka! Ściągnęłam z niej ośnieżony kożuch. Weszłyśmy do kuchni, gdzie było najcieplej.

Siadaj, kochanie! Czego się napijesz? Kawy, herbaty? A może jesteś głodna? Nie wiedziałam, że już wróciliście! Telefony wciąż głuche...

– Wróciliśmy niedawno. Parę dni temu – Jola tajała powoli nad szklanką gorącej herbaty głos jej odzyskał normalne brzmienie. – Oczywiście nie ma samolotów z Tunisu do Warszawy. Lecieliśmy najpierw do Budapesztu. Tam prawie półtorej doby czekania na lotnisku. Do miasta nie wolno nam było jechać – aż wreszcie złapaliśmy połączenie do Warszawy.

– Co sływać w domu? Powinna być zająć do twojej mamy...

W niedawnych dniach systematycznie odwiedzałam znajomych należących do starszego i najstarszego pokolenia – przede wszystkim tych, którzy nie mieli na miejscu rodziny i po ogłoszeniu stanu wojennego pozostali samotni, nieraz chorzy, zazwyczaj bezradni. Zuzanna Kotwiczowa, matka Joli, jedna z najmilszych starszych pań, jakie kiedykolwiek spotkałam, nie była pozbawiona opieki. Przyjeżdżała do niej młodsza córka Irena, na domowy użytek – Isia, oraz jej mąż,

a także dorosły wnuk Andrzej, który pozostał w mieszkaniu rodziców – Krzysztofa i Joli.

Radziwińskich poznałam u wspólnych przyjaciół. Po kilku latach zetknęłam się z nimi ponownie w... Tunezji. I dopiero wtedy okazało się, że w Warszawie mieszkamy względnie blisko. Można latami mijać się na ulicy, niewiele wiedząc o sobie, a zaprzyjaźnić się z dala od kraju.

– Jolu?! – nastawałam, zaniepokojona jej milczeniem. Odsunęła szklanekę i wybuchnęła gwałtownym, rozdzierającym płaczem. Miotalam się bezradnie po kuchni. Woda mineralna? Krople walerianowe? Elenium? Jolanta nie wyciągała ręki po nic. Co mogło się stać? Osaczyły mnie jak najgorsze przypuszczenia.

– Jola, powiedzże, na miłość boską, co, kto?! Mama? – Pokręciła przecząco głową. Nic się nie stało z jej matką, a więc?

Irena, młodsza siostra Joli, sympatyzowała z „Solidarnością”, nie angażując się jednak zbyt w działalność związkową. Pochłaniała ją bowiem praca w ogrodnictwie, ponadto dom, zwłaszcza dwoje dzieci w wieku szkolnym. Andrzej?! Syn Joli raczej stronił od polityki. Pasjonowała go architektura. Skończył w ubiegłym roku studia, zrobił dyplom i pracował w jakimś biurze projektowym. Miał podobno dziewczynę. – Tym razem chyba na poważnie – jak powiedziała mi przez telefon pani Zuzanna. Prawda, spotkałam go z tą właśnie dziewczyną w Śródmieściu. Utkwił mi w pamięci wyraz oczu, z jakim patrzyła na Andrzeja. Była niewątpliwie bardzo w nim zakochana. Andrzej napomknął wówczas o ślubie.

Kiedy to było? Wiosną lub z początkiem lata? Tak dawno, choć zaledwie parę miesięcy temu!

– Jolanta, błagam, opanuj się! O co chodzi?

– Andrzej... – wykrztusiła wreszcie poprzez łkanie.

– Internowany? Aresztowany?

– Nie...

– No, więc? Co się z nim stało?

– Wyjechał... – te słowa wydostały się z kolejnej fali szlochu.

– Nie ma go w kraju... Wyjechał... chyba na zawsze! Odetchnęłam lżej. Czy to powód do takiej rozpacz? Mnóstwo młodych ludzi opuszczało Polskę od wiosny do jesieni roku 1981. Jedni czynili to w celach zarobkowych. Innych przytłaczała i przerażała sytuacja w kraju; nie widzieli bowiem dla siebie żadnych perspektyw na przyszłość. Andrzej wyjechał – to niewątpliwie rzecz dla najbliższych bolesna – ale czy następczą powód do wybuchu aż takiej rozpacz?

– Wyjechał... Z nią...

Jola uspokoiła się wreszcie. Słowa, wyrzucane przez nią początkowo chaotycznie, zaczynały układać się w zdania tworzące logiczny ciąg. Zaczynałam

rozumieć, co zaszło. Z głębokim współczuciem słuchałam prawdy o dramacie, który sprzęgnął kilkoro ludzi, poza ową dziewczyną Andrzeja dobrze mi znanych i bliskich.

- Jolu – spróbowałam perswazji – najważniejsze, że jest zdrow i żyje.
- Ale gdzie?! Na krańcu świata? – omal nie rozpląkała się znowu. – Nie wiadomo, czy kiedykolwiek go zobaczymy!
- Nie przesadzaj! W ostatnich latach łatwiej wyjeżdżać i przyjeżdżać.
- Co ty opowiadasz? Teraz?!
- No, nie teraz – przypominałam sobie o rzeczywistości stanu wojennego.
- Ale obecna sytuacja nie będzie trwała wiecznie.
- Wierzysz w to?
- Jestem przekonana, że te rygory się rozluźnią, zanim zostaną całkiem zniesione. To przecież musi nastąpić! I świat się znowu otworzy, choć oczywiście z podróżami mogą być różne kłopoty. Ale – powtarzam – wasz Andrzej żyje, jest zdrow – i to najważniejsze. A co mówi pani Zuzanna?
- Nie znasz mamy?! Powiedziała prawie to samo, co ty!
- No, widzisz!
- Ale to przecież nie wszystko...

Nie próbowałam dłużej przekonywać Joli. Była zbyt rozżalona i zdenerwowana, aby mogły do niej trafić jakiegokolwiek rozsądne słowa. Zaproponowałam, aby u mnie przenocowała. Zgodziła się tym chętniej, że – jak mi powiedziała – mąż jej wyjechał służbowo do Wrocławia, a ona bardzo źle się czuje w opuszczonym mieszkaniu, gdzie ze wszystkich kątów wyzierają wspomnienia. Rozmawiałyśmy jeszcze długo przed zaśnięciem.

W kilka dni później odwiedziłam panią Zuzannę. Była znacznie spokojniejsza niż jej córka, choć niedawne przeżycia musiały ją dotknąć bardzo boleśnie. Powtórzyła raz jeszcze to, co i ja myślałam:

– Najważniejsze, że Andrzej jest. Mam nadzieję, że tu przyjedzie lub wróci. Pewnie, że to wszystko okazało się bardzo dotkliwe, ale przed nim całe życie. Przed nimi obojgiem – dodała po krótkiej pauzie.

Ta sprawa nie dawała mi spokoju przez dłuższy czas.

Przyszła wreszcie chwila, w której postanowiłam ją opisać. Zmieniam tylko imiona i nazwiska moich przyjaciół i innych osób, wprzęgniętych w dramatyczne węzły dawnych wydarzeń. To nieprawda, że przeszłość odchodzi bezpowrotnie. Pozostawia ona niezatarte ślady. Ślady, które choć niewidzialne, trwają długo – przez kilka dziesięcioleci, aż do naszych dni.

II

– Pokaż mi wreszcie jej fotografię! – zachęciła z uśmiechem Zuzanna. Dawniej powiedziano by, że to twoja panna. Potem, że narzeczona. A teraz jak się mówi?

– Po prostu: moja dziewczyna. Aga. – Andrzej przy tych słowach ucałował rękę starszej pani. – Jesteś równa, jak zawsze, babciu. Aga marzy zresztą o tym, żeby cię poznać.

– Co to za imię – Aga? Dziwne, jakby wschodnie?

– Nic z tych rzeczy! – Po prostu – Agata.

– Za moich młodych lat takie imię nie było modne. No, ale czasy się zmieniły! Ludzkie gusty także. Nawet w telewizji była Agatka i Jacek. Gdzie to zdjęcie?

Andrzej sięgnął do portfela. Zuzanna długo patrzyła na podobiznę młodej dziewczyny, która miała stać się żoną jej wnuka. Uśmiechnięta twarzyczka, biała bluzka, półdługie włosy, sięgające ramion, nad czołem przycięte w równą grzywkę.

– Nie piękność, ale ma w sobie wiele uroku – stwierdziła w duchu. – Podoba mi się – skinęła głową, napotkawszy wyczekujący wzrok Andrzeja. – Ładna. Ma wdzięk i chyba, o ile znam się na ludziach, charakter. Powinna to być dziewczyna „na niepogodę”.

Młody człowiek rozjaśnił się, słysząc te słowa.

– Nic mi jeszcze o niej nie powiedziałaś, poza imieniem.

– Nazywa się Agata Kordaszewska, zamieszkała we Wrocławiu. Lat ma tyle, na ile wygląda. Skończyła ASP.

– Daj spokój! – Zuzanna podniosła obronnym ruchem obydwie ręce. – Czy ja jestem urząd meldunkowy albo biuro paszportowe, żebyś mi wyliczał wszystkie jej dane? Dla mnie jedno się liczy: jesteś pewien, że to właśnie ona?... – przyjrzała się chłopcu badawczo.

– Jestem pewien – odparł poważnie Andrzej. – Wiem, że w życiu różnie bywa. Ale ja... no, po prostu – ja... – urwał, jakby nie chcąc powiedzieć zbyt wiele.

– Kochasz ją. Nie wstydz się tego, mój drogi! Choć wiem, że wy teraz nie zawsze lubicie romantyczne słowa. To jedynaczka?

– Tak.

– Mówiłeś, że ma rodziców.

– Owszem. Matka sympatyczna. Taka ciepła, serdeczna. Ojciec raczej mruk. Poważny, małomówny. Podobno przed laty ciężko chorował, miał jakieś przejścia rodzinne, o które nie pytałem, bo nie chcę być natrętny. Rzadko się uśmiecha. Ale za Agatą świata nie widzi.

– A kim on jest z zawodu?

– Emeryt, pracował we Wrocławiu, w jakiejś instytucji, chyba spółdzielczej.

Nie wiem dokładnie. Matka Agaty też zresztą jest na wcześniejszej emeryturze, podobno z przyczyn zdrowotnych. Oboje przyjęli mnie bardzo życzliwie, chociaż wiem, że będą tęsknić za Agatą, kiedy ją zabiorę do Warszawy.

– Myślałeś, jak rozwiązać sprawy mieszkaniowe? – zagadnęła Zuzanna, mieszając herbatę.

– Myślałem! – Westchnął przy tych słowach i bardzo spoważniał. – Tylko że niewiele z tego mojego myślenia wychodzi.

– Dowiadywałeś się w spółdzielni?...

Andrzej machnął ręką.

– Owszem. Przecież od dawna mam książeczkę mieszkaniową z pełnym wkładem. Teraz, jak mi łaskawie powiedział sam pan prezes, czeka się nawet piętnaście lat. A w obecnej sytuacji wszystko jeszcze bardziej się rozkleja. Zresztą – zdaniem tego dygnitarza – mieszkając z rodzicami w trzech pokojach, mam znakomite warunki, a moje plany życiowe wcale go nie wzruszają. Powiedział, że wielu młodym parom znacznie gorzej się żyje. Próbowaliśmy razem z kolegami skrzyknąć się i zmontować własną, małą spółdzielnię. Każdy z nas dałby trochę forsy z własnych oszczędności, a przede wszystkim wkład pracy, bo prawie wszyscy chętni to architekci i budowlańcy – czyli fachowcy.

– No i?...

– I nic, jak dotąd. Dobre chęci są kwalifikacje też, ale w mieście brakuje terenów uzbrojonych. A kiedy jeden z kolegów zawziął się i znalazł nawet dwa miejsca, na których można by budować coś dla nas, okazało się, że są już zajęte.

– Tak jest naprawdę?

– A skąd można wiedzieć?! Chyba ubiegł nas ktoś, kto ma większą siłę przebicia. Albo więcej forsy.

– Liczysz na pomoc rodziców? – Pani Zuzanna przy tych słowach uważnie spojrzała na twarz wnuka.

– Trochę tak – przyznał Andrzej. – Ale nie chciałbym od razu, ledwie wróć, żądać od nich takiej... pomocy. Tym bardziej, że to w tej chwili są nieliczne sumy, a będą na pewno jeszcze większe. Sam widziałem, jak oni oboje pracują w tym Tunisie. To harówka! Wiem, że chcieli oszczędzić na tyle, żeby porobić jakieś inwestycje domowe, mieć trochę luzu gotówkowego i żyć spokojniej. Głupio od razu powiedzieć – „Dajcie!”. Tym bardziej, że drugi taki kontrakt na pewno nieprędko im się trafi.

– Wolalabym, żeby teraz nigdzie nie wyjeżdżali! – wtrąciła Zuzanna. – W takich niepewnych czasach...

– No, właśnie. W ostateczności moglibyśmy przez jakiś czas mieszkać oboje, Agata i ja, w moim pokoju. Tylko, że... sama rozumiesz, babciu – boję się stosunków teściowa-synowa. Agaty trudno nie polubić, sama się przekonasz. Ale mama z jej nerwicą...

– Miała istotne powody do tej nerwicy.

– Wiem, babciu. Ale też i dlatego nie chciałbym im obojgu, zwłaszcza mamie, czegokolwiek narzucić. Najlepiej byłoby zaopiekować się mieszkaniem kogoś, kto wyjechał na placówkę zagraniczną. Wtedy co najmniej przez trzy lata ma się dach nad głową. Ale takie okazje trafiają się rzadko. A ludzie wtedy niemiłosiernie zdzierają skórę z bliźnich.

Słowom tym towarzyszyło głębokie westchnienie. Jak gdyby chcąc się pocieszyć, Andrzej sięgnął po kolejny kawałek domowego sernika i zaczął go pochłaniać z apetytem. Pani Zuzanna przyglądała się wnukowi. Widać było, że waży w sobie jakąś decyzję.

– Wiesz co, Andrzejku? Chyba mogłabym wam pomóc. Tak mi się zdaje...

– Ty, babciu? – zdumiał się.

– Tak. Przeniosłabym się do twoich rodziców. A wy mielibyście te moje półtora pokoju. Niewiele. – Ale na początek dla młodej pary...

– Babciu! Chciałybyś się aż tak poświęcić?!

– Mój drogi, to nie jest poświęcenie. Raczej konieczność. Rodzice już kiedyś mi to proponowali. Mama nawet bardzo mnie namawiała na te przenosiny, ze względu na moje zdrowie, na te okresowe trudności w chodzeniu. Przedtem odmawiałam, bo mi dobrze w tej mojej dziupli – powiodła wokół spojrzeniem, patrząc na ściany, po których wiły się zielone pnącza, na stare meble, półki z książkami, fotografie w niemodnych ramkach. – Prawda, że tu jestem samodzielna. Ale ta samodzielność staje się coraz trudniejsza, szczególnie jesienią i zimą. Starość nie radość, mój kochany! – tym słowom towarzyszył uśmiech pełen łagodnego smutku. – Zwłaszcza od kiedy wyjechała, i to na długo, pani Lucyna, ta miła sąsiadka, która mi załatwiała sprawunki.

– Wyjechała? Nic nie wiedziałem. To jak sobie radzisz, babciu, z chodzeniem po sklepach?! I to teraz, kiedy w tych sklepach prawie nic nie ma?

– Ano, jakoś sobie radzę. Raz lepiej, raz gorzej. Mam jeszcze trochę zapasów, bo jem niewiele. Inni sąsiedzi czasem pomagają. Dzięki twoim rodzicom mogę sobie pozwolić na coś niecoś z Peweksu. Nie skarżę się, bo innym ludziom jest znacznie gorzej.

Powinienem wcześniej się tym zająć – stwierdził w duchu Andrzej. Podczas ostatnich tygodni kontakty z babką ograniczały się do rozmów telefonicznych – i teraz było mu trochę wstyd. Lecz w zielonkawych oczach Zuzanny, które mimo jej wieku wciąż jeszcze zachowały wiele dawnego blasku, nie było choćby cienia wyrzutu.

– Babciu! Tyś to teraz powiedziała poważnie?

– A jak miałam mówić? Najpoważniej w świecie!

– W takim razie jesteś aniołem!

– Nie pleć głupstw, mój kochany. Jaki ze mnie anioł! Po prostu stara,

zmęczona życiem, schorowana kobieta będzie się czuła lepiej i bezpieczniej, mając za ścianą swoich najbliższych.

– Nie opowiadaj o starości! – Andrzej pocałował babkę w rękę, po czym zajrzał jej w oczy. – Sama wiesz dobrze, ile od ciebie mógłby się nauczyć niejeden bardzo nawet młody. Tylko że mimo wszystko mam skrupuły. Bo to przecież z twojej strony wielkie poświęcenie.

– Daj spokój! Ja już dawno o tym myślałam. Nie jestem przecież wieczna – a najważniejsze, że te cztery ściany pozostaną w rodzinie. Można tu mieszkać całkiem niezłe we dwoje. Nawet we troje. A jeśli chodzi o ścisłość, przydział na to mieszkanie dostał kiedyś twój ojciec.

– Ta cholerna spółdzielnia musi się w końcu jakoś wywiązać!... A wtedy ja sam, własnoręcznie, wyremontuję tę swoją „dziupłę” i zwrócę ci ją z wielkim podziękowaniem.

– Mój drogi, nie ma co wybiegać myślą za daleko w przyszłość. Szczególnie w takich czasach jak obecnie. Będę się czuła bezpiecznie, mając w tym samym mieszkaniu aż dwoje lekarzy.

– Coś ci teraz bardziej dolega?

– Nie. To, co ci powiedziałam: starość nie radość. Sam wiesz, że z takim zdrowiem jak moje, muszę być pod kontrolą lekarską, choć bardzo tego nie lubię. Ale po co nam te przykre tematy? Twoja Agata dziś przyjeżdża?

– Tak – potwierdził Andrzej, spoglądając na zegarek. – O siedemnastej dwadzieścia.

– Prosto stąd jedziesz po nią? W takim razie przyjdźcie jutro oboje na obiad. Chcę ją wreszcie poznać.

Klamka zapadła – stwierdziła w duchu Zuzanna po wyjściu wnuka. Stanąwszy na balkonie, pomachała mu ręką, kiedy uniósł dłoń gestem pożegnania. Potem cofnęła się do wnętrza pokoju.

– Stało się – powiedziała głośno. Na dźwięk tych słów doznała uczucia żalu, pomieszanego z ulgą. Dotrzyma słowa. Kochała trójkę wnuków nie mniej niż obydwie córki i chciała im nieba przychylić. Do Andrzeja czuła jednak szczególną słabość. Był pierwszy, najstarszy. Czy tylko dlatego?...

Jak zwykle w momentach trudnych decyzji, spojrzała na fotografię wiszącą nad niskimi półkami pełnymi książek. Przywykła kierować wzrok na to zdjęcie od wielu lat. Od czasu, kiedy ból, początkowo nie do zniesienia, złagodniał na tyle, że mogła oglądać podobiznę Kamila bez uczucia zaciskających się jej na gardle kleszczy. Przywykła zadawać mu milczące pytanie: czy dobrze robię? Czy należało postąpić tak właśnie, a nie inaczej?...

Patrząc na twarz i uśmiech człowieka, po którym nie zostało ani śladu, poczuła znajomy ucisk, a potem ból w okolicy serca. Sięgnęła po tabletki, wypila kilka łyków wody – i, siedząc w fotelu, czekała chwilę, aż ból ustąpi. Nie wymyśle

nic mądrzejszego, jak przenosiny do nich obojga – stwierdziła w duchu.

Jola od dawna powtarzała, że będzie spokojniejsza, mając mnie obok za ścianą, mieszkanie jest duże: trzy obszerne pokoje, każdy z osobnym wejściem – na trzy dorosłe osoby, to przecież wciąż luksus w warunkach warszawskich.

Śródmieście, a zarazem boczna ulica, cicha i spokojna. Blisko sklepy, przystanek autobusowy i tramwajowy; komunikacja doskonała. Parę kroków do parku Krasińskich, park to niewielki, ale pełen uroku – starodrzew, klomby z kwiatami, wiosną kwitną kasztany, jesienią zasypuje alejki złoto uschniętych liści. To mieszkanie było rekompensatą za... Ach, lepiej nie mówić, nie wspominać, przecież każdy wie, że tego nie mogłaby zrekompensować nawet najbardziej wykwintna willa!

Rodzinne „przetasowanie” zaprowadziło ją na Mokotów – do tej jego części, która dawniej nazywała się Wierzbno.

Wtedy było to dla mnie bardzo wygodne: blisko do instytutu, w którym prowadziłam specjalistyczną bibliotekę. Ale teraz wszystko to jest poza mną: z pracą od dawna koniec, emerytura, nie muszę chodzić do instytutu. Lepiej, że ja zamieszkam z Jolą i Krzysztofem, niż gdyby zagnieździło się u nich młode małżeństwo. Miejmy nadzieję, że wybór Andrzeja okazał się trafny; że znalazł naprawdę dobrą dziewczynę. Przyjrzę jej się jutro z bliska. – Ty, mamó, znasz się na ludziach – mówiła nieraz córka. – Tak czy inaczej przez skórę czuję, do kogo można mieć zaufanie, kogo zaś należy się strzec. To chyba sprawa instynktu, rozwiniętego w przeszłości, podczas okupacji – i w latach późniejszych. Trzeba pomyśleć, co zrobię na ten jutrzejszy obiad. Jak dobrze, że w zamrażalniku jest kawałek wołowiny, który przed tygodniem zdobyła zaprzyjaźniona sąsiadka, stojąc przed sklepem od świtu...

III

Wrocławski pociąg pospieszny przybył bez spóźnienia. Andrzej przez dłuższą chwilę wypatrywał Agaty w ruchliwym i gwarnym tłumie pasażerów, którzy wysypali się na perony. Nie widząc dziewczyny, zaniepokoił się: czyżby w ostatniej chwili coś jej przeszkodziło?

– Jestem, jestem! Patrzysz i wcale mnie nie widzisz? – zabrzmiał jej głos całkiem blisko. Śmiała się, wyciągając do niego ręce. – Za daleko patrzyłeś! Byłam w drugim wagonie, na samym przodzie!

– Aga!

Miał ją w ramionach tylko przez krótką chwilę. Nie lubił bowiem demonstrowania uczuć w miejscu otwartym dla wszystkich, takim jak dworzec.

– Jak ci się jechało? W domu wszystko w porządku? Gdzie twój bagaż?

– Miałam miejscówkę. W pociągu było duszno, na korytarzu tłok – no, ale przecież lato. Mnóstwo ludzi jeździ.

Sięgnął po walizkę Agaty i ujął dziewczynę pod ramię.

– Jesteś samochodem?

– Oczywiście. „Wehikuł czasu” czeka na pasażerkę.

Agata z opowiadań Andrzeja wiedziała, że tak nazywano w rodzinie Radziwiłłowskich starego „malucha”. Ojciec, wyjeżdżając na kontrakt zagraniczny, podarował synowi wysłużony wóz. Samochód, „stary, ale jary”, w zręcznych rękach młodego właściciela utrzymał dobrą formę – wszystko wskazywało na to, że jeszcze przez czas dłuższy będzie mu służyć.

– O, pani! – Andrzej szerokim gestem skłonił się przed Agatą i otworzył drzwiczki.

– Dawno nie byłam w Warszawie – powiedziała, gdy tylko fiacik wy dostał się z pobliza dworca i sunął jezdnią ulicy Świętokrzyskiej. – Chyba dużo się tu zmieniło.

– Bo ja wiem? Na pewno wszystko jest jeszcze bardziej rozgrzebane i rozpaprane niż dawniej. Mnóstwo plakatów, napisów – no i wielki bałagan na co dzień i od święta.

– A co słyhać u twoich rodziców?

– W zeszłym tygodniu był list. Wszystko u nich OK. Im bliżej do powrotu, tym bardziej się niecierpliwią i tęsknią za krajem. Ja ich oczywiście nie straszę, ale będzie im tu nielekkko. Zwłaszcza na początku. Tam oboje ciężko pracują, to prawda. Ale dużo rzeczy układa im się łatwiej niż tutaj. Słuchaj, Aga – zmienił temat – co powiedziałaś w domu?

– Że zanocuję u Janeczki, znajomej z wczasów.

– Ta Janeczka istnieje naprawdę?

– Pewnie, że istnieje. Tylko nie ma telefonu – Agata zarumieniła się przy

tych słowach. Andrzej spostrzegł to w lusterku.

– Boisz się, że...

– Nie, niczego się nie boję! – odparła pośpiesznie. – Mama domyślała się, że jadę do ciebie. Tatuś jest taki trochę... staroświecki. Jak z innej epoki. Najważniejsze, że będziemy razem. Dokąd mnie teraz wieszysz?

– Jak to dokąd? Do domu. Mamy czas dla siebie, nikt nam nie będzie zawracał głowy. Będziemy razem – ty i ja. Aga, słyszysz?

– Słyszę... A jutro?

– Jutro muszę niestety iść do pracy. Rano masz wolny, możesz załatwić swoje sprawy. Byle nie za długo, bo jedziemy na obiad do babci.

– Do babci Zuzanny?! Ojej!

– Czemu tak się spłoszyłaś? Babcia chce cię poznać. To takie dziwne?

– Nie. Tylko mam niesamowitą tremę. Seniora rodziny! A jeśli jej się nie spodobam?

Winda zawiozła ich na drugie piętro. Za chwilę znaleźli się w obszernym przedpokoju. Andrzej zamknął starannie drzwi wejściowe i objął mocno dziewczynę.

– Teraz mogę się z tobą naprawdę przywitać. Och, Aga, jedyna moja! Nareszcie! Żebyś wiedziała, jak ja za tobą tęskniłem! Nie mogłem się doczekać!

– Ja też – wyznała, kryjąc twarz na jego piersi.

– No, ale teraz... – odsunął ją od siebie łagodnym ruchem.

– Jeżeli chcesz, myj ręce, bierz prysznic. Łazienka jest na prawo. Czuj się jak u siebie w domu. To przecież będzie niedługo twój dom, Aga! – zamknął jej usta długim pocałunkiem, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Nie bez trudu wyzwoliła się z jego ramion.

– Po tym pociągu jestem okropnie brudna – rzekła, idąc do łazienki. Andrzej postawił tymczasem na gazie czajnik napełniony wodą, wyjął z lodówki masło, ser, wędlinę. Z łazienki dobiegał szum i plusk wody. Chłopak przeszedł na chwilę do swego pokoju, potem zaś wyłączył obydwie aparaty telefoniczne.

– Hej, hej! – zawołał w stronę zamkniętych drzwi. – Zasnęłaś w tej wannie?

– Już wychodzę!

W niebieskim szlafroku kąpielowym, z rozrzuconymi kosmykami niesfornych, wilgotnych włosów, zaróżowiona i odświeżona, była tak ładna, że Andrzej nie mógł od niej oderwać oczu.

– Aga! – chwycił dziewczynę na ręce. – Najdroższa!

– Puść mnie! Ty wariacie!

Opierała się, ale niezbyt stanowczo, kiedy niósł ją do swojego pokoju. Zaciągnął storę w oknie, choć naprzeciwko nie było żadnej kamienicy – i żadne natrętne oczy nie mogły ich podpatrzeć. Zrzucił szybko ubranie. W jednej chwili obydwójce zapomnieli o całym świecie.

To było jak powrót z bardzo daleka. Przygasło namiętne uniesienie – zastąpiła je czułość. Dziewczyna leżała z przymkniętymi oczami.

– Aga... – musnął ustami jej policzek.

– Co, kochany? – spojrzała na niego z bliska.

– Było ci dobrze?

– Sam wiesz. A ty... nie myślisz, że byłam taka... niezdarna?

– Co za bzdury! Byłaś wspaniała. I moja. Właśnie na taką czekałem. Słuchaj kochanie, pobierzmy się zaraz, jak tylko wrócą moi starzy. Dobrze?

Aga uniosła się i oparła na łokciu.

– Naprawdę?!

– Jak najbardziej! Rodzicom byłoby przykro, gdybyśmy brali ślub bez nich.

– Oczywiście. A powiedz, jak myślisz – czy twoi rodzice mnie polubią?

– A czy ciebie można nie lubić? – roześmiał się Andrzej. – Podbijesz najpierw babcię, a potem ich oboje.

– Musisz mi opowiedzieć o swojej rodzinie. Ja mam tylko mamę i ojca. Ani rodzeństwa, ani żadnych wujów i ciotek. Dziwne, prawda?

– Zdarza się. Ja też jestem jedynakiem. Ojciec ma jednego brata, a mama jedną siostrę. No i są jeszcze dziadkowie.

– Ci, co pojechali do Kanady? Do twojego stryja?

– Tak.

– Rodzice w Tunisie, dziadkowie w Montrealu...

– Wrócą. Jedni i drudzy.

– Ale babcia Zuzanna jest najważniejsza?

– Chyba tak. Chociaż dziadkowie też są równi. Napiłabyś się czegoś? Tak gorąco!

– Chętnie. Tylko bez alkoholu!

– W lodówce mam dwa soki, schowane na twój przyjazd. Jaki wolisz: pomarańczowy czy grejpfrutowy?

– Zapomniałam już, kiedy zdarzyło mi się pić takie pyszności!

Przyniósł z kuchni napoje i zastał Agatę wpatrzoną w fotografię stojącą na biurku. Była to podobizna młodego mężczyzny w przedwojennym mundurze oficerskim.

– Kto to jest?

– Mój dziadek ze strony mamy.

– To znaczy mąż babci Zuzanny?

– Tak.

– Ależ jesteś do niego podobny!

– Wszyscy tak mówią, ci, co go znali – potwierdził Andrzej z nutką dumy w głosie. – Nazywał się Kamil Kotwicz – pseudonim najpierw „Jurand”, potem „Jarmund”. Mam po nim drugie imię.

– Andrzej Kamil? A dlaczego nie odwrotnie?
– Nie wiem. O to chyba należałoby spytać babcię Zuzannę. Albo mamę.
Albo lepiej nie.
– Dlaczego?
– Bo one obydwie śmierć dziadka bardzo przeżywają do dziś, choć to było dawno.
– Oficer? – Agata ponownie spojrzała na fotografię. – Nie znam się na mundurach.
– Pułkownik. Walczył we wrześniu trzydziestego dziewiątego, potem przez cały czas wojny był w konspiracji.
– W AK?
– Tak. Najpierw w Związku Walki Zbrojnej, potem w AK. Często był zagrożony, ale przeżył wojnę. Dopiero w kilka lat później...
– Zginął po wojnie?! Co się z nim stało?
– To długa historia. Opowiem ci o tym, jeśli zechcesz, ale nie teraz. Tylko wiesz? Mam do ciebie prośbę: nie mów jutro babci, kiedy u niej będziemy, że zainteresowało cię to zdjęcie. I nie pytaj jej o sprawę z przeszłości. Dobrze?
– Oczywiście. To znaczy... jeżeli ona, twoja babcia, tak wciąż przeżywa śmierć męża, musiała go bardzo kochać?
– Na pewno. Z tego, co słyszałem, wiem, że to była naprawdę wielka miłość. A potem wielkie nieszczęście. Babcia wciąż o tym pamięta.
– Coś jak z powieści! Nie wiem, czy teraz...
Agata zamierzała rzucić pytanie: czy teraz także zdarzają się podobnie silne uczucia. Lecz Andrzej przyciągnął ją znów ku sobie i oboje ponownie utonęli w wielkiej fali burzliwego szczęścia.
Mimo woli skłonna była wyobrazić sobie babkę Andrzeja jako dostojną, poważną matronę o powolnych ruchach i surowym wyglądzie. Tymczasem nazajutrz stanęła twarzą w twarz z kobietą, której srebrzyste, starannie przystrzyżone włosy świadczyły o wieku. Ale twarz starszej pani miała niewiele zmarszczek; jej zielonkawe oczy były wyraziste, ruchy zaś pełne młodszej żywotności. Serdecznie powitała parę młodych. Wyczuwając onieśmienie dziewczyny, czyniła co mogła, aby przełamać pierwsze lody.
– Obiad gotów, moi drodzy, ale najpierw odsapnijcie chwilę. Zmęczył was ten dzisiejszy upał? Zaraz przyniosę coś chłodnego do picia. Nie mam coli ani toniku. Ale jest sok wiśniowy i malinowy własnej roboty.
– Uwielbiam sok malinowy! – zapewniła dziewczyna. – Może coś pomóc, przynieść, podać?
– Nie, nie! Proszę, niech pani sobie w niczym nie zawraca głowy, wszystko już gotowe. A chłodne picie zaraz będzie.
– A czy można prosić bez „pani”? Jestem po prostu Agata.

– Ależ oczywiście, moja droga, jeśli tak wolisz. Chodźcie do pokoju, kochani.

Stół był pięknie nakryty. Pomiedzy talerzykami różowił się bukiet stokrotek. Zuzanna rozwinęła z celofanowego opakowania kremowe róże od Agaty i zachwyciła się ich urodą. Kwiaty umieszczone zostały w kryształowym wazonie obok oprawnej w skórzaną ramkę takiej samej podobizny młodego człowieka w oficerskim mundurze, jak ta, która wisiała w pokoju Andrzeja.

– Nic teraz nie ma w sklepach, o wszystko trudno, ale przynajmniej kwiatów nie brak.

– Zwłaszcza w Warszawie – dodała Agata. – Strasznie lubię te kwiaty, które tu od wiosny po prostu wychodzą na ulicę. We Wrocławiu nie ma ich aż tyle.

– Jesteś wrocławianką z pochodzenia, Agatko? Czy z wyboru?

– Urodziłam się we Wrocławiu. Ale kiedy byłam mała, rodzice przenieśli się do Polanicy i już tam zostali. A ja wróciłam potem do Wrocławia na studia.

– Byłam kiedyś w Polanicy na kuracji, ale dawno temu. Nawet nie pamiętam dokładnie w którym roku? – zamyśliła się na moment Zuzanna. – Ładnie tam jest!

– Owszem. Krajobraz malowniczy, dużo zieleni, piękny park. Ale wolę Wrocław. Zżyłam się z nim przez te cztery lata.

– A gdzie się spotkaliście oboje, jeśli to nie jest jakaś wspólna tajemnica? – spytała Zuzanna.

– Na pewno nie tajemnica – odparła Agata z uśmiechem. – To było na wystawie...

– Na wernisażu – wpadł jej w słowa Andrzej. – Pokazano tkaniny artystyczne najlepszych studentek wrocławskiej ASP. Pozwól, Aga, że ja o tym powiem. Dziewczyny się bały, że nikt na wystawę nie przyjdzie, bo są młode i nieznane. Mój kolega ma siostrę, która była jedną z tych „delikwentek”. Przyjechałem do Wrocławia na delegację – i właśnie ten kolega zaciągnął mnie, a także paru znajomych, po prostu po to, żebyśmy „zrobili tłum”. Okazało się to zresztą niepotrzebne, bo przyszły i osoby oficjalne, i sporo zwykłych ludzi. Tam zobaczyłem Agatę – no, i tak to się zaczęło.

– Co studiowałaś, Agato, na tej akademii? Zdaje mi się, że jedną z tamtejszych specjalności jest artystyczne szkło?

– Tak. Szkło i ceramika. Ale szkło mnie jakoś nie ciągnęło. Wolalam tkaniny.

– A po kim odziedziczyłaś te zdolności? Czy też tak sama z siebie?

– Chyba raczej po mamie, bo ojciec powiada, że zawsze żył w niezgodzie z igłą. Mama ładnie szyje, robi na drutach, ale twierdzi, że tkactwo dla niej to czarna magia. Ach, mój Boże! Mam głowę do pozłoty! Przepraszam na chwilę.

Zerwała się, wybiegła do przedpokoju – i przyniosła starannie opakowane zawiniątko. – To taka moja robótka – powiedziała, wręczając pakiet Zuzannie.

– Próbką bez wartości.

Zuzanna rozpostarła zawartość paczki. Była to tkanina pięknego, rudobrazowego koloru. Tu i ówdzie na tym jesiennym tle, przypominającym ogród pełen złotych liści, przewijał się – jak w prawdziwym ogrodzie – akcent zieleni. Faktura tkaniny okazała się równie ciekawa i oryginalna, jak dobór kolorów. Część jej bowiem była gładka, część przeplatana drobnymi, nierównomiernie rozszanymi supełkami.

– Próba bez wartości?! Jesteś za skromna, Agatko. Bardzo ci dziękuję. To śliczne!

– Naprawdę się pani podoba? To się bardzo cieszę. Zrobiłam coś bardzo podobnego dla mamy na imieniny. Ale ten egzemplarz jest chyba lepszy. Mama nazywa tę tkaninę „Samo życie”.

– „Samo życie”? Dlaczego?

– Twierdzi, że tkanina w jednym miejscu jest szorstka, a w innym gładka – jak w życiu.

– No, tak! Powinno być na to wpaść. Dziękuję bardzo, kochanie!

– Pochwal się, Aga, tymi cudzoziemcami, którzy kupili twoje dzieła!

– wtrącił Andrzej.

– Rzeczywiście, miałam paru klientów z zagranicy. To znaczy, nie ja ich miałam, tylko raczej Cepelia, która wystawia moje szmatki na sprzedaż. Co prawda teraz takie pustki po sklepach, że łapią to, co jest...

– Chodźcie już do stołu – zarządziła Zuzanna. – Nie chcę, żebyście uświerkli z głodu! Na obiad był chłodnik, potem pieczeń przyprawiona ziołami – i na deser „wyczarowany”, wedle słów Andrzeja, krem pomarańczowy. Młodzi jedli z apetytem, nie szczędząc gospodyni słów uznania.

– Jak to się dzieje, że choć jest ciężko, u ciebie, babciu, można zjeść takie pyszności? – zastanawiał się głośno Andrzej.

– Sekrety domu – odparła ze śmiechem Zuzanna. – No i paczki od twoich rodziców! Bez nich nie byłoby soku pomarańczowego, a tym samym kremu.

– Byłbym zapomniał o jednej ważnej rzeczy – rzekł Andrzej, z uznaniem przyjmując dokładkę deseru. – Wiesz, babciu, że mam wreszcie wizę do Anglii? Mogę ją odebrać w każdej chwili.

– No, widzisz! A już straciłeś nadzieję. Kiedy jedziesz?

– Jak najprędzej, żeby się coś nie pokręciło. Zaraz po niedzieli dowiem się w Locie, jak jest z miejscami.

– Miałaś przecież jakieś inne jeszcze zamiary? Słyszałam o Grecji?

– Do Grecji chcemy wyskoczyć oboje z Agatą. Na krótko, na dwa tygodnie. Ale to później, po moim powrocie.

– Ho, ho – rozjeździsz się, Andrzejku!

– To wszystko w ramach urlopu. W razie potrzeby może wezmę tydzień

bezpłatnego, jeśli nie uda mi się zmieścić w czasie. A czy się tak znowu rozjeżdżam? Mnóstwo ludzi szwenda się teraz po świecie. Nie wiadomo, jak długo to jeszcze potrwa.

– Oj, nie kracz! – wpadła mu w słowa Agata. – Ja tak się cieszę na tę Grecję! I wciąż mi się zdaje, że coś nam przeszkodzi.

– Najważniejsze, że cię popędziłem z wyrobieniem paszportu i że już go masz. A czy nam coś przeszkodzi? Chyba tego lata nie postawią jeszcze żadnej bariery na granicy.

– Zazdroszczę wam tej Grecji! – westchnęła Zuzanna. – Zobaczycie Ateny, Delfy, Termopile...

– A kiedy, babciu, mam cię odwiedzić do leśniczówki? – spytał Andrzej.

– Jeśli możesz, to w twój najbliższy wolny dzień. Trochę mnie już zmęczyła Warszawa. Upał, duszno, hałaśliwie. Bardzo mnie ciągnie do lasu.

– Czy to daleko? – zapytała Agata.

– Nie, kochanie. Na Mazowszu. Jeśli wyjedziemy rano, Andrzej wróci na późny obiad. Bardzo lubię to miejsce. Pierwszy raz tam byłam podczas okupacji. Dawne dzieje. Ale już drugie tamtejsze pokolenie podtrzymuje starą przyjaźń. Mam zielen, spokój – i wspomnienia. No i – co dla mnie jest ważne – codzienne sprawy z głowy. Nie muszę gotować obiadów, chodzić po sklepach, stać w kolejkach. Teraz wszystko to zrobiło się bardzo uciążliwe. Z przyjemnością myślę o tym, że nie będzie tego zgiełku, tych niepokojów ulicznych.

– Tam przecież mają także radio i telewizor – zauważył Andrzej.

– Owszem. Ale inne otoczenie, inna atmosfera. Nie ma tylu napięć, stresów co w Warszawie. Będiesz mógł mnie tam podrzucić, zanim wyfruniesz do Anglii?

– Oczywiście.

– Dam ci przedtem list i jakieś drobiazgi dla moich znajomych w Londynie...

Zbierali się do odejścia. W chwili pożegnania Agata zawahała się przez moment. Potem zabawnym gestem dziewczynki z ubiegłej epoki dygnęła i pocałowała w rękę starszą panią.

– Co ty wyprawiasz, dziecko? – Zuzanna objęła ją serdecznie. – To już teraz niemodne.

– Nie mam wprawy w witaniu i żegnaniu babć, bo nigdy babci nie miałam.

– No, to jeśli chcesz – od dziś masz babcię, choć nie całkiem rodzoną.

– I... będę mówić do pani „babciu”?

– Ależ oczywiście. Od zaraz!

– I jak ci się podoba babcia Zuzanna? – spytał Andrzej, gdy powrócili oboje do domu.

– Urocza! Mam wrażenie, że ją znam od dawna.

– A jeszcze nie wiesz o wszystkim.

– To znaczy?...

– Po przyjeździe rodziców babcia przeniesie się do nich. A my będziemy mogli zamieszkać u niej. Czyli ta sprawa będzie rozwiązana.

– Dlaczego nic o tym nie mówiłeś?

– Chowałem tę wiadomość na deser.

– Byłabym babci podziękowała!

– Jeszcze na to masz czas. Załatwię teraz mój wyjazd. Przyznam ci się, że już zwątpiłem w tę wizję. Ale jeśli ją dostałem, pojedę.

– Wrócisz?

– Oczywiście, głupiątko! Co ty sobie wyobrażasz?!

– Bo tylu ludzi teraz wyjeżdża i nie wraca...

– Chyba nie potrafiłbym żyć poza krajem – rzekł Andrzej, poważniejąc.

– Wiem zresztą po moich rodzicach, jak bardzo tęsknią za Polską. A ten mój wyjazd nie potrwa długo. Najwyżej miesiąc, zarobię i wracam. Potem, jak dobrze pójdzie, wyskoczmy do Grecji. A przedtem ustalimy datę ślubu. Trzeba to robić z wyprzedzeniem, bo dużo ludzi się pobiera. Podobno tak jest w niepewnych czasach.

– Ludzie wolą wtedy być razem, blisko siebie...

– Pewnie tak. A teraz mamy przed sobą jeszcze ile? Równe dziesięć dni. Rano muszę być w pracy. Ale resztę dnia mamy dla siebie. I bez ślubnego papierka też nam dobrze. Prawda, Aga?

– O, tak! – potwierdziła z głową wspartą na jego ramieniu. – I niedługo będziemy tak naprawdę razem! Już razem.

– Teraz jeszcze wrócisz do Polanicy, ale na krótko. A póki co, nie marnujemy czasu...

IV

Zuzanna z radością powitała leśniczówkę, w której wszystko od lat było znajome i bliskie.

– Co za powietrze! – westchnęła z zachwytem. – Już zapomniałam, jaki ma smak i zapach. I ta cisza! Po Warszawie istny raj!

– Czemu pani w zeszłym roku nie przyjechała? – to pytanie padło z ust pani Michaliny, żony leśniczego, zwanej w otoczeniu Misia.

– Tak się złożyło, kochana moja. Nieoczekiwanie dano mi znać, że jest miejsce w sanatorium, i co dziwniejsze – latem! Warto było z tego skorzystać. Lekarze nieźle mnie podreperowali.

– Bardzo proszę na obiad – rzekła pani Misia.

Andrzej próbował się wymówić, lecz gospodyni słyszeć o tym nie chciała.

– Na głodnego będzie pan wracał?! Ani mowy! Nie zatrzymamy pana siłą, jeśli pan się tak śpieszy. Ale zjeść coś pan musi.

Po wyjeździe wnuka Zuzanna bez pośpiechu rozpakowała swoje rzeczy. Zajmowała ten sam pokój, co przed laty. Leśniczówka została gruntownie odremontowana. Mieszkało się w niej znacznie wygodniej niż podczas wojny. Dawny leśniczy nie żył od lat, jego żona również odeszła na zawsze. Lecz pracę ojca podjął w tym samym zawodzie syn, który podczas okupacji był niedużym chłopcem, a rządy domem sprawowała jego żona, podtrzymując tradycje poprzedniczki. Przyjaźń z Zuzanną i jej letnie odwiedziny były również częścią tej tradycji.

Uporawszy się z poobiednimi czynnościami gospodarskimi, pani Misia zajrzała do pokoju, pytając, czy gościowi czegoś nie trzeba.

– Młodzi w tym roku nie przyjechali? – spytała Zuzanna leśniczynę.

– Ech, młodzi! – pani Misia machnęła ręką. Syn jej był inżynierem w Stoczni Gdańskiej. – Oboje zwariowali z tą polityką. Wpadli jak po ogień, na parę dni – i bardzo im było pilno z powrotem.

Zuzanna rozłożyła na stoliku przywiezioną z Warszawy tkaninę, mieniącą się barwami jesieni. – Jakie to ładne! – pochwaliła leśniczyna. – Bardzo oryginalny splot. I ten dobór kolorów! Pamiątka?

– Nie, pani Misiu. Prezent roboty przyszłej – no, nie synowej, tylko „wnukowej”. Narzeczonej Andrzeja.

– Andrzej się żeni?! – leśniczyna klasnęła w ręce. – Kiedy? Ani słowa nie pisnął!

– Sama pani widziała, jak się śpieszył! – słowom Zuzanny towarzyszył wyrozumiały uśmiech. – Przedstawił mi niedawno swoją dziewczynę. To plastyczka z Wrocławia. Przemile stworzenie! Ze ślubem zaczekają na powrót rodziców...

Po południu – długi samotny spacer. Zuzanna szła znajomymi ścieżkami poprzez zieleń, żywiczny zapach igliwia – i wielką, kojącą ciszę. Ptak spłoszony nadejściem człowieka przemknął nad zaroślami i zakrzyczał gniewnie wśród gęstwiny. Potem znowu powrócił spokój. Polana: kamień głęboko zaryty w ziemi, omszały, obrośnięty pachnącą macierzanką. Drobne łądyżki, roztarte w palcach odurzają intensywnym aromatem. Smukłe, żółto kwitnące dziewanny kołyszce leciutki powiew. Trochę dalej, w cienistym zakątku leśnym wiosną zawsze kwitło mnóstwo konwalii. Chyba teraz także tam rosną? Ale minęła pora, w której wśród wydłużonych owalnych liści pojawiały się łądyżki obwieszane białymi dzwoneczkami. Konwaliowa Dolina – tak nazwała to miejsce Jola.

Kilka krzaczków kiedyś oboje z Krzysztofem wykopali i przewieźli na letnią działkę jego rodziców. I choć to nie las, konwalie się przyjęły, kwitną tam do dziś i pachną.

Na przeciwległym krańcu polanki, jak dawniej, dojrzewały poziomki. Schyliła się, aby zerwać kilka pachnących, czerwonych jagód. Kiedyś owocowały znakomicie. Każdego dnia Jola zbierała ich czubaty garnuszek. Teraz też na pewno są – tylko trzeba, żeby mocniej przygrzało je słońce.

„Śnił mi się niedawno nasz las – pisała ostatnio Jola. – Te miejsca, gdzie dojrzewały poziomki, a potem jeżyny. Pani Wanda mówiła – ostrężyny. Pamiętasz?”

Pamiętała wszystko. Poziomki są. Gałęzie jeżyn pełzają po kamienistej przyźmie, którą usypał nie wiadomo kto i nie wiadomo kiedy. Czarne owoce, słodkie i smaczne, dojrzeją późnym latem, kiedy ze ściółki igliwia wydostaną się grzyby; kiedy polany rozkwitną liliową różowością wrzosów.

Poprzez czas i przestrzeń Zuzanna słyszała dziecinnie głosik Joli:

– Mamusiu, co to? – Na kamieniach wśród kolczastych pędów jeżyn poruszyło się coś... Ciemny zygzak z żółtym podłużnym piętrem drgnął wyraźnie.

– Żmija! – stwierdziła z przerażeniem Zuzanna. – Boże! Chwyciła Jolę na rękę i nie bez wysiłku – dziecko miało bowiem swój ciężar – jąła uciekać w stronę leśniczówki.

– Mamusiu, puść mnie, przecież mogę iść – broniła się mała. – Mamusiu, co to było?

– Żmija – wydyszała wreszcie, stawiając dziecko na ścieżce. Nie wypuszczała jednak rączki Joli ze swojej dłoni. – Jadowity wąż... Chodź prędko do domu!

Leśniczówka wydawała się pewnym schronieniem przed każdym niebezpieczeństwem. I była nim.

– Tak, trafiają się te gady – kiwała głową potwierdzająco pani Wanda. – Na szczęście nieczęsto. Ale trzeba uważać. One lubią takie nasłonecznione, ciepłe miejsca. Pamiętaj, Joleczko, żebyś boso nie biegała po lesie. Koło domu,

w ogrodzie, to co innego. Masz piasek, możesz się w nim bawić.

– A mnie osa ucięła – i płakałam!

– To niemiłe, wiem. Ale osa – to nic strasznego. Jak użądli, poboli i przestanie. A od jadu żmij można umrzeć...

Nie ma już pani Wandy. Jola od dawna jest dorosła. Jej syn niebawem będzie się żenił. Ona, Zuzanna, która po raz pierwszy w leśniczówce pojawiła się jako młoda kobieta, może zapewne niebawem oczekiwać prawnuków. Wielka rzeka czasu niepowstrzymanym prądem płynie naprzód. Odchodzą ludzie, poddani nieubłaganym prawom biologii – i przemijania.

Ale ten dom pozostał serdeczny i gościnny jak niegdyś. I nadal trwa wokół niego rozległy las, razem ze wszystkim, co w nim rośnie, kwitnie i dojrzewa...

Przeszłość daje znać o sobie nawrotami wspomnień. Listek piołunu, roztarty w palcach, wydziela gorzki, przenikliwy aromat kojarzący się w jej pamięci z czekaniem na Kamila.

Zawiadomił przez łącznika, że przyjedzie. Myślała o spotkaniu z nim, czując niespokojne bicie serca. Tęskniła jak młoda dziewczyna. Przybył o zmierzchu. Musiał nacieszyć się Jolą. Sam, tak jak córeczka tego zażądała, położył ją spać. I dopiero później, upewniwszy się, że dziecko usnęło, poszli do lasu. Nie trzeba było długo wędrować, aby znaleźć gąszcz zarośli. Nie trzeba długo czekać, aby przeżyć chwile burzliwego szczęścia.

Szczęścia, które były po wojennemu gorzkie, jak piołun pachnący na skraju polanki. Ale tym bardziej cenne. Zapach lasu; cichy, stłumiony szept wyznań miłosnych... Dwie spadające gwiazdy, które przecięły sierpniowe niebo.

Dym z dogasającego ogniska. Siwa mgiełka popiołu przyćmiewa cieniem różowy żar. Za chwilę gorące ziemniaki z trudem dadzą się wziąć do rąk. Smak mają niezrównany.

„Pamiętasz, mamo, chleb, jaki jadałyśmy w leśniczówce? – pisała Jola. – Boże, cóż to był za chleb! I podplomyki z masłem, trochę osolone. Wydaje mi się, że nigdy nic już mi nie będzie smakować tak, jak ten chleb wtedy – pieczony w domu, chyba na liściach?...”

Jakżeż to wszystko wydaje się odległe – a zarazem w niepojęty sposób realne i bliskie. Jak gdyby istniał w tym domu szczelnie zamknięty pokój. Wystarczy otworzyć drzwi, które odgradzają go od reszty mieszkania, aby stanąć twarzą w twarz z przeszłością.

Zuzanna wciągnęła w płuca powietrze pachnące lasem – i, otuliwszy się wełnianą chustą, ruszyła ku domowi, który z daleka dawał znać o sobie przyjaznym światłem okien.

Zmęczenie, spacer, zmiana powietrza – wszystko to zrobiło swoje. Zasnęła szybko, ledwie przyłożywszy głowę do poduszki. Ocknęła się pośrodku nocy, przekonana, że ranek jest już blisko. Lecz niebawem dało się słyszeć podwójne

uderzenie starego zegara. Dopiero druga?!

Leżała przez dłuższą chwilę, zasłuchana w ciszę. Na podwórzu zaszczekał pies niegłośnie i sennie. Potem odezwał się jakiś nocny ptak – puchacz? sowa? Księżyc, który z wieczora zawisł nad lasem, okrągły, ciemnoróżowy, jak wielki lampion, toczył teraz wysoko po niebie swą tarczę, błyszczącą metalicznym srebrem. Mroczny krajobraz, powleczoney rtęciową, szklistą poświatą, wydawał się odmieniony i nierealny. Miał w sobie zarazem jakiś osobliwy, trochę niesamowity urok. Pełnia – stwierdziła Zuzanna, stając przy oknie. Podczas niej źle sypiam.

Zaciągnęła szczelnie zasłonę. Sen jednak nie powracał. Zamiast niego napływały wspomnienia. Ich natłok budził mimowolny lęk. Bałam się czegoś niedawno we śnie – uświadomiła sobie Zuzanna. Ale czego? Zdawało mi się, że się zbliża coś niedobrego. I to mnie właśnie obudziło...

Czego ja się tak boję? – pytała samą siebie. Wszystko, co mogło stać się najgorszego, już mnie spotkało. Przecież trudno o gorsze przeżycia niż te w roku pięćdziesiątym drugim. Były straszniejsze niż tamte, wcześniejsze, z lat okupacji. Wtedy była przynajmniej nadzieja.

A potem, w czasach najbardziej ponurych, nie było już nic. Żadnej nadziei. Na pewno skończyłaby wówczas ze sobą, mając świadomość, że nie ma po co żyć, gdyby nie myśl o dzieciach; gdyby nie poczucie odpowiedzialności za te dwie małe, bezbronne istoty, które oprócz niej, matki, nie miały nikogo. Ale teraz, po trzydziestu latach, jest jednak inaczej.

Pomyślała o najbliższych: Jola i Krzysztof pracują, są zadowoleni, tęsknią, wrócą niedługo do kraju. Irena i Janusz – drugie udane małżeństwo, dwoje dzieci – dwoje wnuków, nieznośnych i ukochanych, choć wszyscy wiedzą, i ona sama, Zuzanna, przyznaje się do tego, ale tylko po cichu, że najbliższy jej sercu jest Andrzej. Usprawiedliwia się teraz: pierwszy wnuk stosunkowo jeszcze młodej babki pojawił się na świecie w okresie, kiedy poprzez ból zaczynała przebłyskiwać nadzieja dla innych. Dla niej, Zuzanny, nadziei już nie było. Okrutny wyrok przypieczętował wszystko. Ale przynajmniej mogła się spodziewać, że dzieciom będzie lepiej. I to się sprawdziło. Ola i Stefan – para ludzi, którym tak wiele zawdzięczała. Andrzej i Agata – uśmiechnęła się w myślach do nich obojga. Coś, co ich dotyczy, tak mnie zaniepokoiło, przerywając pierwszy mocny sen. Ale dlaczego? Są młodzi, lecz już dorośli – nie nastolatki, działające na oślep. Dziewczyna jest niewątpliwie zdolna i wartościowa.

Dobrze, że im mogę pomóc w tak trudnych sprawach mieszkaniowych. Trochę mi szkoda tych moich kątów. Ale będę się czuła bezpieczniej, mając o ścianę Krzysztofa. Zresztą – miły Boże! – czy długo jeszcze? Mnie już niewiele pozostało. Idę do ciebie, mój najbardziej ukochany. Wierzę i wiem, że cię znowu zobaczę...

Srebrna poświata ogarnęła stolik, na którym wczoraj znalazła się fotografia

Kamila, przywieziona z Warszawy. Zuzanna patrzyła na nią długo, w myślach przemawiając do nieobecnego: – Jestem coraz bliżej ciebie. Nie, nie boję się odejścia, choć żal mi będzie pozostawić wszystkich, których kochałam. Ale miłość do nich, do dzieci, wnuków, rodziny wyrosła z miłości do ciebie, jest jej następstwem. Odeszli ci, u których szukałam schronienia pod tym gościnnym dachem. Ale dom przetrwał.

Bezsenne noce zawsze przybliżają przeszłość wraz ze wszystkim, co w niej było i dobre, i złe. Upływ czasu przytłumił ostrość dawnych, dramatycznych przeżyć. Słusznie mawiano niegdyś: „Czas kaleczy, czas leczy”. Choć początkowo wydawało się, że tych nieszczęść, jakie na nią spadały, nic uleczyć ani zabiżnić nie zdoła...

Szpara w zasłonie przepuściła smugę księżycowego blasku, podłużną i wąską jak ostrze. Zuzanna ujrzała nagle błyski srebrzystych kling. Uniesiono wysoko szable tworzyły dach. Mundury uformowały żywy korytarz, którym szli od ołtarza oboje. Ona młodziutka, spowita w tiul i koronki welonu oraz białej, długiej sukni, z wiązką białych róż, w mirtowym wianku. Kamil, który prowadził poślubioną przed chwilą żonę, wyglądał wspaniale w gali paradnego munduru. Piękna para! – mówiono wówczas w kościele.

Bezgranicznym szczęściem obdarowały ją dni i noce, które nastąpiły po uroczystej ceremonii ślubnej przed ołtarzem kościoła garnizonowego w Warszawie. Proza codziennych zajęć nie przyćmiła miłości, nie odebrała uroku wspólnemu życiu. Zuzanna początkowo czuła się nieco stremowana własną „prowincjonalną” przeszłością – przed ślubem mieszkała bowiem w jednym z powiatowych miast Lubelszczyzny. Przyszłego męża poznała, gdy odwiedził tutejszych krewnych, którzy zaprzyjaźnieni byli z jej rodzicami. Kamil od urodzenia związany był z Warszawą. Studiował, uzupełniał wiedzę. Był energiczny i ambitny. Wrócono mu dalszą karierę oficerską. Zuzanna pracowała jako nauczycielka. Zbyt lubiła swój zawód, żeby z niego zrezygnować zaraz po ślubie, tym bardziej, że całkiem nieźle radziła sobie z ich małym, dwuosobowym gospodarstwem. Może później, gdy przyjdą na świat dzieci, zajmę się wyłącznie domem – postanowiła. Na razie nie było potrzeby porzucenia obowiązków zawodowych, które traktowała z powagą i przejęciem.

Początek roku 1938 przyniósł im obojgu wielką wspólną radość. Urodziła się Jola, za którą Kamil – wtedy właśnie awansowany do rangi majora – świata nie widział. U progu jesieni powiało wojną: wojska polskie weszły na Zaolzie. Zuzanna, tak jak wiele innych kobiet, przeżyła lęk, a potem ulgę. Chyba niebezpieczeństwo zostało zażegnane... – Na razie – mówił jej ojciec, kiedy oboje rodzice przyjechali, aby odwiedzić młodych i maleńką wnuczkę. – Nie strasz! – ofuknęła go matka. Starszy pan uśmiechnął się wtedy niewesoło i zmienił temat rozmowy, przy której Kamila nie było. Kiedy zjawił się w domu, był jak zawsze

czuły dla żony i serdeczny dla teściów. Ale Zuzanna wiedziała – trudno zresztą było tego nie dostrzec – że coraz bardziej pochłaniają go sprawy wojskowe.

Wiedziała, że te sprawy, które były jego zawodem, a zarazem pasją i żywiołem, przysparzają mu wiele trosk. Widząc pytające, niespokojne spojrzenie żony, rozpogadzał się, tłumaczył: – Kochanie, różne rzeczy nie tak się układają, jak byśmy chcieli. Nie przejmuj się na zapas! Nie bądź „wiecznym zmartwieniem”!

Przy wózekczku Joli Zuzanna czytała wszystkie kolejne tomy *Nocy i dni*. Utkwiła jej mocno w pamięci miłość Agnieszki i Marcina, ich rozstania i spotkania. A potem zamykający wielki cykl finał powieści: obraz pani Barbary, opuszczającej Kaliniec, czyli Kalisz, miasto ogarnięte grozą pożarów i wojny.

Ten właśnie obraz płonącego miasta przypomniała sobie z całą wyrazistością w kilka miesięcy później, kiedy w pożodze nowej wojny, stokroć bardziej groźnej i niszczycielskiej niż poprzednia, stanęła Warszawa.

Zuzanna zapadła w sen – i znów się z niego nagle ocknęła. Gdzie zgubiła wątek rozmyślań?... Pamiętny wrzesień trzydziestego dziewiątego roku. Bombardowania Warszawy. Ucieczki do piwnicznego schronu z tobołkiem w rękę, z przerażonym dzieckiem w ramionach. O Kamilu wiedziała tylko, że jest na froncie i walczy.

Uparła się, że zostanie w stolicy. Mimo niebezpieczeństw i zagrożeń, w jakiś irracjonalny sposób wydawało jej się, że musi być nadal w Warszawie po to, by on, Kamil, miał gdzie wrócić.

Potem przyszła kapitulacja – i dni ciszy, chyba gorszej niż oblężenie stolicy.

Od Kamila nie było żadnej wiadomości. Zuzanna czekała, modląc się każdego dnia o znak życia od nieobecnego. Powtarzała sama sobie, że przecież lepszy jest brak wiadomości niż wiadomość zła; myśl o niej odsuwała z przesądnym lękiem.

Tymczasem twarde okupacyjne życie upomniało się o swoje prawa: trzeba było myśleć o dziecku i o jego potrzebach, o jedzeniu, o szybach do okien. Wreszcie z szaloną radością i ulgą doczekała się najpierw ustnej wiadomości od kogoś, kto walczył pod komendą Kamila. W kilka dni później – widocznie na zasadzie prawa serii? – nieznajoma kobieta przyniosła karteczkę, na której Zuzanna rozpoznała od razu charakter pisma męża. Kilka słów zaledwie... Lecz przyniosły one wiadomość najważniejszą: ocalał z wiru wrześniowej zawieruchy i żyje, żyje!

W tydzień, może w dziesięć dni później do drzwi mieszkania Kotwiczów przy ulicy Nabelaka zadzwonili Niemcy. Jednym z nich był wojskowy, oficer wyższej rangi, drugim – cywil.

Zuzanna czuła suchość w gardle i chłód wokół serca. Zachowała jednak spokój, odpowiadając na ich pytanie: – Tak, to mieszkanie majora Kotwiczą. Tak – jest jego żoną. Nie, nic o mężu nie wie. Przed ogłoszeniem mobilizacji opuścił

dom. Nie, dotychczas nie dał znaku życia. Ona czeka, dowiaduje się, ale na próżno. Mówiła o tym wszystkim z doskonale odgrywanym spokojem.

– Nic o nim nie wiem – powtarzała. – Może znalazł się w niewoli? Wielu polskich oficerów trafiło do obozów jenieckich.

Cywil mruknął coś niezrozumiałego. Oficer nie rzekł nic. Rozglądał się wokół uważnie, jak gdyby usiłując w otoczeniu znaleźć ślad nieobecnego. Zuzanna stłumiła odruch strachu: – Jeśli mnie zabiorą, co się stanie z dzieckiem?! Krążyły przecież po Warszawie wiadomości o niemieckich okrucieństwach!

Nie, nie zabrali jej. Odeszli, zostawiając adres, pod którym major Kotwicz ma się zgłosić natychmiast, gdy tylko wróci. Jeśli się do tego nie zastosuje, konsekwencje będą poważne. W powietrzu zawisła niedopowiedziana groźba.

Dla Zuzanny było jasne: jeśli Kamil się zjawi, wpadnie w ręce Niemców. Dom jest na pewno pod ich obserwacją. Od tego dnia pragnienie powrotu męża sprzęgło się z lękiem.

Znalazła wreszcie jednego z dawnych najbliższych przyjaciół Kamila. Dowiedziała się od wspólnych znajomych, że Ludwik wrócił z kampanii wrześniowej, ale zmienił adres i nie mieszka na dawnym miejscu. Uprosiła o kontakt z nim. Miał wygląd tak zmieniony, że ledwie go poznała. Wprawdzie ruchy i postawa zdradzały wojskowego, lecz ubiór był bardzo „cywilny”. Wiedziała, że temu człowiekowi może bez zastrzeżeń powierzyć swoje obawy. I nie zawiodła się. Wysłuchał uważnie jej relacji. Potwierdził, że powinna się mieć na baczności. Potem wyjaśnił, że wedle wiarygodnych wiadomości widziano Kamila w Rumunii.

Na razie jednak trudno powiedzieć, czy stamtąd skieruje się na Zachód, czy też wróci do kraju. Były to okrucy tak bardzo potrzebnej nadziei.

Ta nadzieja podtrzymywała Zuzannę na duchu przez cały okres pierwszej wojennej zimy. Tej zimy, podczas której rtęć w termometrach spadała aż do samej dolnej granicy. Ludzie kulili się w wyziębionych mieszkaniach, pełni strachu i oczekiwania: byle do wiosny!

Kiedy dni stawały się coraz dłuższe, a z dachów spadały topniejące sopele, zadzwonił telefon. Kobięcy głos najpierw upewnił się, że mówi z panią Zuzanną, a potem oznajmił, że „nasz wspólny znajomy” Lucjan chce zwrócić dawny dług. Lucjan? Żadnego mężczyzny o takim imieniu nie znała; mógł to jednak być pseudonim Ludwika. Zwrot długu? Zuzanna odruchowo chciała zaprzeczyć – i powiedzieć: to chyba omyłka. W porę jednak zorientowała się, że te słowa mogą zawierać jakiś ukryty podtekst.

Mała Jola została pod opieką sąsiadki. Zuzanna z bijącym sercem udała się pod wskazany adres. Stara kamienica przy Koszykowej. Mroczna sień, brudnawe schody. Mieszkanie oznaczone numerem dziewiątym – to Zuzanna zapamiętała aż do dziś. Nacisnęła wówczas guzik dzwonnka, czując dziwną miękkość

uginających się nóg. Drzwi otworzyła kobieta w trudnym do określenia wieku. – Ja... ja do pana Lucjana... w sprawie długu... – Zuzanna z trudem wypowiedziała te słowa. Poprowadzono ją przez długi korytarz do półmrocznego pokoju, którego okno wychodziło zapewne na mur sąsiedniej kamienicy i na studnię podwórza. Z zapadniętej kanapy, pokrytej wypełzłym zielonkawym pluszem (Boże! Jak można po latach pamiętać takie drobne, głupie szczegóły!) podniósł się mężczyzna, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak obcy.

Krótką broda, suty, staranie przystrzyżony wąs... Ale głos, który zapamiętała wtedy i później, i na zawsze, ten głos znajomy, najdroższy w świecie cicho wypowiedział jej imię: – Żula! Kochana moja!

To był Kamil. Ubrany jak oficjalista dworski sprzed pierwszej wojny: gruba kurtka, czapka maciejówka, spodnie wpuszczone w cholewy skórzanych wysokich butów. Twarz zmieniona do niepoznaki nie tylko przez okulary; zarost nadawał jej całkowicie inny wygląd. Ale to był on: żywy, cały. Ten sam, co dawniej!

Nigdy przedtem nie wierzyła, że naprawę można płakać z radości. A wtedy szlochała jak małe dziecko w objęciach Kamila, z głową wspartą na jego ramieniu. Głaskał ją i tulił, powtarzając ściszym półgłosem: – No, już dobrze, Zuleńko, już dobrze. Jestem, sama widzisz, że jestem...

Nie mogli pozostać razem na dłużej ani wtedy, ani później, Zuzanna rozumiała to, choć bardzo ciężko jej było przyjąć konieczność nowego rozstania, znów nie wiadomo na jak długo.

– Będę ci dawał znać o sobie za każdym razem, kiedy tylko się da – przyrzekał Kamil. – Może się jednak zdarzyć tak, że przez dłuższy czas jakikolwiek kontakt ze mną będzie niemożliwy. Bądź na to przygotowana.

Z niedomówień Kamila pojęła, że uczestniczy on w organizowaniu konspiracji, której nici osnuwały już wówczas okupowany kraj, przede wszystkim zaś jego stolicę. Pełnił ważną rolę. Musiała się z tym pogodzić, bo jakżeby inaczej! Była żoną oficera. Oficera służby czynnej, który pochodził z rodziny o tradycjach patriotycznych. Dla Kamila, tak jak dla wielu jego rodaków, Polska pokonana militarnie we wrześniu, nie została zwyciężona. Podejmowała dalej wyzwolenczą walkę.

– Nie zostawię cię na łasce losu – zapewniał ponownie Kamil. – Ani rodziców. Zobaczą się z nimi, tylko jeszcze nie teraz. Jak stoicie z pieniędzmi? Masz z czego żyć?

Najważniejsze było to jedno: że on żyje. Wszystko inne w porównaniu z tym wydawało się błahostką: trudności, niedostatek, zagrożenia, które przynosił każdy dzień okupacji. Kamil wypytywał o Jolę: jak wygląda, czy urosła i jak jej zdrowie? Zuzanna miała przy sobie dwa zdjęcia małej, które Kamil natychmiast „skonfiskował”. Powtórzyła ostrzeżenie, przekazane poprzednio Ludwikowi:

– Niemcy szukają majora Kotwiczą, przychodzili do domu!... Wiedział już

o tym. Przytaknął skinieniem głowy.

– Podtrzymuj, Zuleczko to, co powiedziałaś: nie wiesz o mnie nic, nie dałem znaku życia. Słyszałaś, ale według niesprawdzonych wiadomości, że udałem się na Zachód.

– Myślałam, żeby dać do Czerwonego Krzyża wiadomość, że cię poszukuję.

– Bardzo dobrze. Zrób to od razu. Trzeba Niemców jak najdłużej mylić, dezorientować. Moim rodzicom możesz powiedzieć, że mnie widziałaś. Oczywiście muszą to zachować dla siebie, nikomu ani słowa! Postaram się spotkać z nimi, gdy tylko będzie to możliwe. I malutką chciałbym zobaczyć. Ale pamiętaj, że jeśli to się uda, musisz jej powiedzieć, że jestem nie tatusiem, tylko wujkiem.

– Mój Boże! – westchnęła Zuzanna.

– To konieczność. Dziecko może coś niechcący wygadać. Żebyś wiedziała, jakie bystre i mądre są te nasze wojenne dzieci!

– Wiem. Może nawet lepiej, jeśli zapomniała, jak wyglądasz. Łatwiej będzie jej wmówić, że to wujek.

Mała Jola stanęła na wysokości zadania. Pewnego razu zapytała:

– Mamusiu, prawda, że ten wujek, co go widziałam, to tatuś? Zuzanna spłoszona i skonsternowana usiłowała zaprzeczyć. Umilkła w pół słowa, napotkawszy spojrzenie trzyletniego dziecka.

– Ja wiem, że o tym nie wolno mówić, bo by Niemcy zabili tatusia...

Jak nigdy przedtem, tego dnia Zuzanna zdała sobie sprawę z podobieństwa córeczki do nieobecnego ojca. Te same rysy, tylko w pomniejszeniu, ten sam kolor oczu. I podobne spojrzenie...

Przemyka oczy. Zachowała wyrzeźbione w pamięci każde ówczesne spotkanie z mężem, każdy spędzony z nim dzień i noc. Między nimi obojgiem więcej było krótkich spotkań i ponownych rozstań niż wspólnego mieszkania pod jednym dachem. Te rozłąki nie osłabiały miłości ich obojga. Odwrotnie – potęgowały uczucie. Szczególnie pamiętne było spotkanie latem roku czterdziestego trzeciego – tu, w leśniczówce.

Już wcześniej Zuzanna musiała zmienić mieszkanie i tożsamość. Powtórzyły się bowiem sygnały, świadczące o dalszym zainteresowaniu hitlerowców jej mężem. Zuzanna Kotwiczowa zamieszkała więc przy ulicy Szwedzkiej na Pradze jako Zofia Kwiatkowska. Musiała wykuć na pamięć całą „legendę”: nowe dane osobiste, fikcyjne miejsce i datę urodzenia – rok tylko pozostał taki sam. Rodzice męża na ewentualne indagacje Niemców mieli odpowiadać, że synowa wyjechała bez podania adresu gdzieś na prowincję, gdyż w Warszawie nie ma z czego żyć.

Zuzanna również uczestniczyła w konspiracji. Oczywiście to, co robiła, było nieporównywalne z działalnością Kamila. Ale na swój sposób dotrzymywała mu kroku. Już od pierwszej wojennej zimy uczyła dzieci na tajnych kompletach, brała udział w przygotowywaniu paczek dla więźniów, rozdelała gazetki. Tysiące

kobiet wykonywały podobne zadania, traktując je jako sprawę normalną, codzienną. A przy tym równocześnie troszczyły się o byt codzienny, o rodziny, o dzieci.

Tego dnia wracała z lekcji na kompletach, spiesząc się, aby zdążyć do domu przed godziną policyjną. Jola była u dziadków. Zapadał wczesny, jesienny zmierzch. Siąpił deszcz. Z sieni wychylił się jakiś cień: obcy niewysoki człowiek, raczej człeczyna: nieznajoma twarz, rozbiegane oczy wydatnie zarysowany nos.

– Pani Kotwiczowa? – w głosie jego brzmiało raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Nie znam takiej!

Próbowała go wyminąć i wejść na schody. Wyciągnął dłoń, usiłując chwycić rękaw jej płaszcza.

– Pan mnie z kimś myli. Proszę dać mi spokój! No, odczep się pan!

Podniosła głos, nadając mu opryskliwe brzmienie. Tamten usiłował coś mówić. Pospieszyła schodami na drugie piętro. Szczęściem znalazła od razu klucz. Zdążyła otworzyć drzwi, wejść do środka i zamknąć je, zanim dopędził ją ów nieznajomy. Zadzwoił do drzwi raz i drugi. Nie zareagowała. Na klatkę schodową wyjrzał zaalarmowany sąsiad, który zwymyślał intruza za robienie hałasów. Natręt próbował odciąć się, jednakże wobec stanowczości niemłodego mężczyzny dał za wygraną. Wyniósł się, ale czy można było mieć pewność, że nie wróci?

Po godzinie – może trwało to dłużej? – Zuzanna dźwignęła się z kuchennego krzesła, chcąc ugasić pragnienie. Nim zdążyła nalać wody do szklanki, chwyciły ją silne mdłości. Przez chwilę tłumiła je, jak mogła. Potem nie dała rady. Doszedłszy do siebie po ataku torsji, zaczęła liczyć tygodnie. Czyniła to nie po raz pierwszy. Późną wiosną, na Zielone Świątki spotkała się z Kamilem. Spędzili razem trzy dni i trzy szczęśliwe, szalone noce – pod Warszawą, niedaleko miasta, lecz w otoczeniu tak odmiennym, jak na innej planecie. Zapomnieli o wszystkim, o codziennej grozie, o Niemcach – jak gdyby już nie było wojny.

Kamil coś chyba przeczuwał – bo kiedy się rozstawali, dał jej jeszcze jeden telefon, na wszelki wypadek, jak mówił. Mogła tam zadzwonić w razie szczególnego zagrożenia lub nieprzewidzianych trudności. Chyba teraz właśnie zdarza się taka sytuacja?! Jeśli wyszedł ją ów podejrzany osobnik, na pewno szantażysta lub szpicel – jego mocodawcy łatwo mogą, idąc po nitce do kłębka, ustalić, kim jest naprawdę „Zofia Kwiatkowska” z ulicy Szwedzkiej. Cięża na razie nie jest jeszcze widoczna; to początek czwartego miesiąca. Luźny płaszcz maskuje pierwsze zmiany w sylwetce.

– Lecz jeśli ktoś będzie mnie śledził, może stwierdzić, że spodziewam się dziecka. A tym samym...

Nie zmrużyła oka do rana. Upewniwszy się, że na klatce schodowej słychać zwykły, poranny ruch, zapukała do sąsiadów z góry, którzy mieli telefon.

Zadzwoiła pod wskazany numer, wykuty na pamięć. Odetchnęła z ulgą, kiedy po drugiej stronie telefonicznego przewodu ktoś się odezwał – i potwierdził odzewem wymienione przez nią hasło. Kazano jej czekać i na razie nie otwierać drzwi nikomu. Łącznik przybył wczesnym popołudniem. Urywającymi słowami zrelacjonowała wczorajszy incydent. Od tej chwili wszystko potoczyło się bardzo szybko. Już w godzinę później nadjechała riksza. Zuzanna przez ten czas zdążyła spakować najpotrzebniejsze rzeczy – i zgodnie z otrzymanym poleceniem zawiadomiła sąsiadów, że musi wyjechać do Nowego Dworu, gdyż mieszkająca tam ciotka nagle zachorowała. Porosiła o opiekę nad mieszkaniem. Prócz rikszarza towarzyszył jej młody mężczyzna o kpiącym uśmiechu warszawskiego cwaniaka. Na pytanie o dziecko, odpowiedział: – Wszystko po kolei, szefowo!

Riksza kluczyła przez dłuższy czas ulicami Pragi, zanim wjechała na most Poniatowskiego. Zatrzymała się dopiero na Wilczej, przed kamienicą, gdzie mieszkali starsi państwo Kotwiczowie.

Towarzyszący Zuzannie mężczyzna kazał jej zaczekać. O coś zapytał dozorcę z miotłą w ręku, po czym skinął na młodą kobietę.

– Idziemy po małą, szefowo – rzekł. – Tylko trzeba się zwijać. Jak najciszej i jak najprędzej!

Jola była gotowa do drogi i o nic nie pytała. Teściowie zachowywali się równie rozsądnie, jak dzielnie, choć zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które zagrażało nie tylko synowej i wnuczce, lecz także im obojgu. Zuzanna zapamiętała wilgotne oczy matki Kamila, jej twarz skupioną, opanowaną, i ruch jej ręki, jakim nakreśliła krzyżyk nad głowami odjeżdżających. Jedźcie z Bogiem – powiedziała. Jechały najpierw dorożką, która już czekała obok bramy. Potem samochodem z nazwą jakiejś niemieckiej firmy, wreszcie przesiadły się na furmankę. Potem był nocleg w chłopskiej chacie, nieporównany smak wiejskiego chleba, i słoma szeleszcząca w sienniku pod sztywno wykrochmalonym prześcieradłem. Zasnęły od razu i spały do rana jak zabite – i ona, i dziecko. Zbudziły się wczesnym rankiem rześkie i wypoczęte. Bryczka, na którą wsiadły po sutym, wiejskim śniadaniu, wjechała niebawem w głąb lasu.

Jego zieleń stała się ukojeniem dla zmęczonych oczu, stwarzając zarazem poczucie bezpieczeństwa.

Okolo południa uciekinierki znalazły się w leśniczówce, bardziej „puszczańskiej”, jak to określiła Zuzanna, niż tamto ustronie, gdzie późną wiosną spędziła kilka pamiętnych dni i nocy z Kamilem. Zdumiewała się mimo woli: w linii prostej nie była to zbyt wielka odległość od Warszawy, pełnej wrogów, kipiącej walką, buntowniczej, nienawidzącej Niemców i przez nich znienawidzonej. A jednak w tej leśnej głuszy pozostawały jak gdyby poza zasięgiem wojny. Było to złudzenie: wojna toczyła się nadal, choć ten rok na pewno przybliżył klęskę Hitlera. W okolicy leśniczówki okupanci zaglądali

jednak raczej rzadko, choć oczywiście nie można było wykluczyć podjęcia przez nich w bliskiej, być może, przyszłości, akcji pacyfikacyjnych. Lasy stwarzały jednak szansę ucieczki i ocalenia.

Zuzanna oswajała się powoli z otoczeniem. Jola przywykła do niego jeszcze prędzej niż jej matka. „Chłopcy z lasu” też nie pojawiali się tutaj często. Z nieba nam pani spadła! – leśniczyna aż w ręce klasnęła z radości, usłyszawszy o nauczycielskich kwalifikacjach przybyszki. W domu było troje dzieci (starszy z dwóch synów, Konrad, obecnie mąż Misi, przejął z czasem po ojcu leśną gospodarkę). Najbliższa wiejska szkoła znajdowała się zbyt daleko, aby dzieci mogły do niej regularnie uczęszczać, zwłaszcza zimą. Satysfakcję dawało uczucie, że w zamian za opiekę, dach nad głową, wyżywienie – o ileż lepsze niż w mieście! – można się tym życzliwym, gościnnym ludziom czymś zrewanżować.

Zimą – w tym raz na Boże Narodzenie – i wiosną trzykrotnie zajrzał do leśniczówki Kamil. Każde spotkanie z mężem Zuzanna przyjmowała jak dar i uśmiech surowego wojennego losu. Okazało się, że pośpiech z jej wyjazdem był aż nadto uzasadniony. W dwa lub trzy dni po zniknięciu „Zofii Kwiatkowskiej” do jej mieszkania przy Szwedzkiej wtargnęli gestapowcy. Po gruntownej rewizji lokal został opieczętowany. Zuzanna odetchnęła, uprzytomniwszy sobie, że nie miała w nim żadnych osobistych rzeczy, które mogłyby naprowadzić Niemców na jej kontakty z mężem. Poprzednie mieszkanie również wynajęte było na inne nazwisko – szpicel widocznie go nie wyśledził. Nikt na razie nie nachodził Kotwiczów seniorów, chociaż na pewno ich mieszkanie pozostawało pod obserwacją.

– Nie łam sobie nad tym głowy! – mówił Kamil, obecnie noszący pseudonim „Jarmund”, po niedawnym awansie – podpułkownik czasu wojny. – Najważniejsze, że obydwie jesteście tutaj. Teraz masz, Zuleczko, bojowe zadanie: urodzić Joli siostrę lub braciszka – wszystko jedno, syn czy córka, byle dziecko było zdrowe. Następne święta pewnie będziemy już obchodzić w wolnej Polsce!

Poród, którego Zuzanna bardzo się obawiała, przebiegł pomyślnie. Leśniczyna umówiła zawczasu akuszerkę z najbliższego miasteczka, sprawną i doświadczoną. – Jeżeli nawet pani Adela nie zdąży przyjechać na czas, damy sobie radę! – uspokajała Zuzannę. Tymczasem w leśniczówce zjawił się nieoczekiwanie lekarz jednego z partyzanckich oddziałów, uciekinier z radomskiego getta. Ginekolog, który z konieczności w leśnych warunkach przekwalifikował się na internistę i chirurga, był szczerze rad, że mógł choć na jeden dzień, jak powiadał, wrócić do właściwej specjalności. Zuzanna znalazła się więc nieoczekiwanie pod fachową opieką, prawie jak w szpitalu położniczym. Druga córka przyszła na świat w ciągu niespełna trzech godzin.

– Dziewczynka – to znaczy, że wojna idzie ku końcowi – powiedziała leśniczyna, chrestna matka drugiej małej Kotwiczówny. Zuzanna postanowiła dać

córeczce na imię Irena. Z dawnych gimnazjalnych lektur zapamiętała, że to słowo po grecku znaczy „pokój”.

Zima minęła w leśnym zaciszu względnie spokojnie. Tak samo przedwiośnie. Wiosną wezbrała fala wielkich wydarzeń. Działania wojenne na Wschodzie i Zachodzie nabierały rozmachu. We Włoszech Polacy uczestniczyli w zwycięskiej bitwie pod Monte Cassino. Armia radziecka zbliżała się do granic polskich. Razem z nią szły oddziały wojska polskiego, uformowane w Rosji. W czerwcu powstał wreszcie na Zachodzie od dawna wyczekiwany drugi front.

Kamil czasem tylko okrężną drogą dawał znać o sobie. Zuzanna zapamiętała na zawsze tę wiosnę roku 1944 – wiosnę wielkich wydarzeń, niepokoju, oczekiwań i nadziei.

Z dna wspomnień wypływa strofa uroczej piosenki, śpiewanej podczas ostatniego międzywojennego karnawału w Warszawie.

Nuciła ją małej siostrzyczce sześciolatka Jola, z powagą i przejęciem pełniąc rolę opiekunki:

*Ach, śpij, kochanie,
Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz – dostaniesz!
Czego pragniesz – daj mi znać,
Ja ci wszystko mogę dać,
Lecz dlaczego nie chcesz spać?
Ach, śpij, bo właśnie,
Księżyc ziewa i za chwilę zaśnie,
A gdy rano wstanie świt,
Księżycowi będzie wstyd,
Że on zasnął, a nie ty.*

Strumień srebrnego blasku przesunął się po ścianie. Księżyc nie śpi. Przywołuje wspomnienia. Zuzanna widzi znów samą siebie w starej kretonowej sukience. Ostatnie lekcje z dziećmi leśniczego, wkrótce bowiem nastąpią wakacje. Przewija niemowlę, szyje jakieś ubranka dla Joli – i odpędza lęk, prawie nieustanny, o Kamila. – Nic się nie martw! – pociesza ją leśniczyna. Obydwie są od dawna na „ty”. – Szkopy biorą w skórę na wszystkich frontach, i wnet będą musiały troszczyć się o siebie. W razie czego mamy się jeszcze gdzie schować!

A potem przyszła wiadomość, budząca różnorakie sprzeczne uczucia: początkowy entuzjazm i nadzieja ustąpiły miejsca narastającym coraz silniej niepokojom. Była to wiadomość o powstaniu warszawskim. Najpierw o jego wybuchu, potem o zaciętych walkach, o wypatrywaniu pomocy ze Wschodu i Zachodu. Wreszcie o klęsce, o wygasaniu wielkiego zrywu, jaki pierwszego sierpnia ogarnął stolicę.

W okolicznych lasach pojawiały się coraz to nowe grupy i oddziały

partyzantów. Jedni usiłowali śpieszyć na pomoc Warszawie, inni z niej się wycofywali. Jeszcze teraz, po latach, Zuzanna pamięta doskonale słoneczne dni i pogodne noce tamtego sierpnia. Pamięta obawy o dzieci, z którymi „w razie czego” trzeba będzie szukać innego schronienia. I strach o męża, który wciąż nie dawał znaku życia. Warszawa dogorywała. Mieszkańcy stolicy, którzy ocaleli z ognia i rzezi, rozproszyli się po kraju i po niemieckich obozach w Rzeszy. Ofensywa radziecka zastygła na Wiśle.

Jesień skracala dni i przyspieszała zmierzchy. Wciąż nie było ani słowa od Kamila – żadnej wiadomości o nim. W nastroju przygnębienia i niepewności mieszkańcy leśniczówki witali nowy rok 1945. Aż wreszcie po rozkiszłym, odwilżowym grudniu styczeń skuł ziemię mrozem – i niebawem gruchnęła wieść o rozpoczęciu oczekiwanej radzieckiej ofensywy. Przybliżały się odgłosy artyleryjskiego ognia. Dawał nimi znać o sobie niedaleki front.

Zuzanna żyła jak w gorączce. Wciąż jej się wydawało, że powinna gdzieś biec, coś robić, komuś pośpieszyć z pomocą, zamiast tkwić na miejscu beczynnienie. – Siedź, kiedy ci dobrze! – strofowała ją leśniczyna. – Dokąd chcesz lecieć razem z tym drobiazgiem? Twój mąż będzie wiedział, gdzie cię szukać, jak przyjdzie pora!

Wiedział. Zjawił się nieoczekiwanie któregoś dnia, kiedy Zuzanna przeżywała kolejny przyływ zwątpienia i rozpacz. Wychudzony, zmizerowany, pełen był jednak energii.

– Wszystko ci opowiem, Zuleczko – obiecywał, tuląc ją w ramionach. – Tylko nie teraz, nie zaraz. Najważniejsze, że żyjemy! Moi staruszkowie też żyją. Wyszli z Warszawy tak jak stali, stracili wszystko, ale ocaleli. Na razie są w Częstochowie u rodziny.

Kamil Kotwicz walczył przez cały okres powstania. Był ranny, ale na szczęście niegroźnie. Udało mu się uniknąć niewoli. Przez dwa miesiące ukrywał się po wioskach. Lekka rana bez środków opatrunkowych paskudziła się, powodując wysoką gorączkę.

Przeżył wówczas немало wątpliwości i wahań. Na ziemi lubelskiej istniała nowa władza. Od wschodu razem z armią radziecką weszły do kraju jednostki armii polskiej, uformowane na ziemi rosyjskiej. Napływały niepokojące wieści o poczynaniach oddziałów NKWD, o aresztowaniach żołnierzy AK. Radio lubelskie nawoływało, by akowcy zgłaszali się do ludowego wojska. Radio londyńskie ich przed takimi decyzjami ostrzegało. Kotwicz męczył się i szamotał w bezustannej rozterce. Wciąż przecież trwała wojna: wciąż głównym, nadrzędnym celem było pokonanie okupantów niemieckich. W tej walce na śmierć i życie potrzebny był każdy żołnierz. Stać z bronią u nogi, czekać biernie na dalszy rozwój wydarzeń, podczas gdy wróg ciemnił polską ziemię – to nie leżało w naturze ludzi takich jak Kamil Kotwicz.

W jednym z małych miasteczek na prawym brzegu Wisły, na fałszywych, „lipnych”, jak wówczas mówiono, papierach, doczekał ofensywy i przejścia frontu. Wśród oficerów z armii generała Berlinga, jacy się niebawem tu pojawili, trafił na przedwojennych znajomych. Nie bez oporów zgłosił się do władz wojskowych, ujawniwszy własną tożsamość, prosił o skierowanie do służby liniowej i na front.

Okazało się, że w Sztabie Generalnym jest znacznie bardziej potrzebny. Armia polska, idąca ze wschodu, miała wciąż zbyt mało fachowców wojskowych. Doświadczony oficer był na wagę złota.

Pułkownik „Jarmund” nie ukrywał swej przynależności organizacyjnej i wojskowej.

– Teraz mamy przed sobą jeden cel – brzmiała odpowiedź – pobić Niemców, zakończyć wojnę, odbudować kraj.

Kolejne obrazy ze wspomnień Zuzanny tworzą splątany węzeł. Kiedy opuściliśmy leśniczówkę? Wiosną, bo drzewa były już zielone, na polanach kwitły niebieskawe przyłaszczki. Wanda przygotowała kosz pełen żywności. – Musicie mieć coś na te pierwsze dni – oświadczyła stanowczo. Pocziwa, niezawodna Wanda! Wspomagała mnie później paczkami żywnościowymi w tych najgorszych, najtrudniejszych latach, choć i jej, po przedwczesnej śmierci Tadeusza, nie było lekko.

Najpierw była więc prowizorka: tymczasowe lokum w Milanówku. Kamil dojeżdżał z Włoch, gdzie jadał w kasynie oficerskim. Ona, Zuzanna, na razie zajmowała się dziećmi i domem, a raczej załączkiem domu. – Potem przydzielono nam dwa pokoje w odremontowanym gmachu wojskowym przy ulicy Królewskiej 2, czyli w „domu bez kantów”, tak nazywanym, bo narożniki ma zaokrąglone. W trzecim pokoju wspólnego mieszkania kwaterował młodszy oficer, którego widywali rzadko, miał bowiem w Łodzi rodzinę, do której często jeździł. Z naszego dawnego mieszkania, które musiałam opuścić podczas okupacji, nie pozostało nic. Dom spłonął, resztki ocalałych rzeczy rozszabrowano.

Po dwóch latach przeniesiono pułkownika Kotwicza i jego rodzinę do samodzielnego mieszkania przy ulicy Nabelaka. Pokoje były nieduże, ale przyjemne – cicha ulica, balkon, zieleń w pobliżu. Jola miała parę minut do szkoły.

Warszawa dźwigała się z ruin. Życie było już znacznie bardziej normalne. Znalazła się dochodząca gosposia i przedszkole dla małej Isi. Zuzanna wróciła do pracy nauczycielskiej, bardzo rada, że szkoła, w której uczy, też jest niedaleko. Wyjeżdżali na święta i wakacje oboje z dziećmi do wojskowych domów wypoczynkowych w Międzyzdrojach i w Zakopanem.

Kiedy nastąpiły zmiany na gorsze? Trudno określić ich wyraźną początkową granicę, konkretny czas. Chmury długo zbierały się nad domem Kotwiczów. Na razie jednak były raczej niewidoczne. Trudno powiedzieć po latach, jak „to” się zaczęło i czym właściwie „to” było? Doświadczenia okupacyjne, wojenne nie

przystawały do tych późniejszych. Wtedy – o ile się zdążyło – można było myśleć o ucieczce, o zejściu do podziemia, o „lewych” papierach. Ale teraz? Teraz nie było gdzie uciec i nie było jak się ukryć. Zresztą, czy Kamil byłby to uczynił? Przecież nic złego nie popełnił!

Dlaczego pułkownik Kotwicz (mówiono wtedy o mającym jakoby nastąpić jego awansie na generała – potem te pogłoski raptownie ucichły) wracał do domu ze Sztabu Generalnego coraz później? Dlaczego – zazwyczaj pogodny i energiczny – stawał się małomówny i bardzo często posepniał?... Zuzanna, jako żona oficera, od lat przywykła nie pytać męża o szczegóły jego pracy. Kamil długo krył przed nią swoje obawy i niedobre przeczucia. Kiedy zaczęły się pierwsze zwolnienia doświadczonych i kompetentnych oficerów ze służby czynnej, uspokajał Zuzannę, mówiąc o pokrętnych drogach polityki personalnej, o dokonywanych w całym kraju przeobrażeniach, pociągających za sobą również zmiany w wojsku.

Nie sądziła, że restrykcje mogą też spotkać właśnie jego. Miał przecież solidną wiedzę wojskową, popartą doświadczeniami konspiracyjnymi z najcięższych lat okupacji.

Nie udał się na Zachód – wrócił z Rumunii, aby walczyć w kraju. Miał odznaczenia wojskowe, rzetelnie zasłużone. Zgłosił się do ludowego wojska polskiego. Niektórzy dawni towarzysze broni mieli mu to za złe. Odpowiadał niezmiennie, że jego miejsce jest w armii polskiej i w niej może najlepiej służyć ojczyźnie. Czyżby znów – jak pod koniec wojny i tuż po niej – nastąpiła kolejna fala represji wobec ludzi, mających za sobą akowską przeszłość? Ale przecież w wojsku polskim znaleźli się ludzie o bardzo różnych życiorysach. Zasilali również jego kadry oficerskie żołnierze z Zachodu i byli jeńcy oflagów oraz niedawni żołnierze Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. A więc?...

Ów pamiętny dzień kwietnia roku 1951 był pogodny i słoneczny. Ten koloryt późnego wiosennego ranka utrwalił się w pamięci Zuzanny wyraziście jak na kliszy fotograficznej. Dlaczego oboje zostali wtedy w domu?... Mozolne przetrząsanie zakamarków pamięci. Była wówczas rekonwalescentką po niedawnej grypie. Kamil od kilku dni nie chodził do biura. Napomknął o pracy w domu. Zamykał się w swoim pokoju przy biurku. – Nie śmiałam o nic pytać. Złe przeczucia? Miałam je, ale tego ranka przycichły. W taki piękny, wiosenny dzień każdy człowiek, nawet jeśli nękają go troski, raźniej patrzy na świat.

Ostry dzwonek do drzwi zabrzmiał jak sygnał alarmowy. Przyszło ich dwóch. Obaj w cywilu. Pułkownik Kotwicz był bleśszy niż zwykle, ale na pozór spokojny. Czy spodziewał się tego? Chyba tak, sądząc po niedawnym spotkaniu z serdecznym przyjacielem, podpułkownikiem Bielakowskim. Zuzanna rozmawiała z nim po kilku dniach, zanim Bielakowski podzielił los jej męża.

– Kamil nie chciał pani straszyć – usłyszała wówczas.

Tamci dwaj machnęli przed oczyma obojga Kotwiczów jakimś urzędowym

papierkiem z pieczęciami. Nastąpiła rewizja. Przetrzęsanie pokoju Kamila, jego biurka, zawartości szuflad, półek z książkami. Wyszli, zabierając pułkownika Kotwiczą.

– Trzymaj się, kochanie! – powiedział żonie. – To pewnie jakieś nieporozumienie. Wyjaśni się wszystko i wrócę.

Kącikiem oka dostrzegła wówczas ironiczny uśmiezek na twarzy jednego z intruzów. Przyłgnęła mocno policzkiem do piersi męża, zarzuciła mu ręce na szyję, jak gdyby ten obronny gest mógł być skuteczny.

– No, już! – odezwał się ze zniecierpliwieniem wyższy cywil. Wyszli obaj razem z Kamilem. Zabrali go – na zawsze.

A potem był już mrok... Gęsty mrok, z którego czasem wylaniał się fragment obrazu, rozjaśnionego bądź strachem, bądź rozpaczliwym okrucieństwem nadziei. Początkowo nie płakała. Po prostu – nie mogła. Pamiętała przerażone twarze dziewczynek. Jola powtarzała wielokrotnie pytanie: Za co wzięli tatusia? Gdzie go zabrali?

– Gdzie go zabrali? – pytanie to nurtowało bez przerwy Zuzannę. Od pierwszego dnia aresztowania męża robiła, co mogła, najpierw aby trafić na jego ślad, potem – by go ratować.

Początkowo towarzyszyło jej ludzkie współczucie i chęć pomocy. Jeszcze wokół żon aresztowanych oficerów nie było pustki, jaką niebawem wytworzył ludzki strach. Koledzy męża, ci, którzy na razie byli na wolności (a przecież wkrótce wielu z nich podzieliło los Kamila, innych zaś skutecznie sparaliżował lęk) radzili zniżonymi głosami: – Trzeba szukać! – A jeśli go gdzieś wywieźli?! – pytała z rozpaczą Zuzanna. – Chyba jednak nie wywieźli. I powtarzało się słowo, z dnia na dzień coraz groźniejsze – Informacja. Informacja Wojskowa.

Okazało się, że istotnie pułkownik Kamil Kotwicz jest więźniem Informacji Wojskowej. Co mu zarzucano?! Zuzanna gubiła się w domysłach. Kiedy wreszcie najpierw usłyszała, a potem przeczytała w gazetach, że jej mąż oskarżony jest o organizowanie spisku w wojsku i o współpracę z obcym wywiadem, w pierwszej chwili zachnęła się: – To absurd! Zwyczajne kłamstwo! O tym była najgłębiej przekonana. I okazało się, że ma słusność. Ale jej wiara w męża znalazła potwierdzenie dopiero wtedy, gdy było już za późno.

Nie zaniedbała niczego, co mogłoby przyczynić się do uratowania Kamila. Wędrowała do okienek, za którymi pojawiały się twarze obojętne lub wrogie. Paczka? Na razie spotykała odmowę. To samo dotyczyło próśb o widzenie. Nie zezwala się na to więźniom, pozostającym w śledztwie – odpowiadano za każdym razem.

Przyjęto wreszcie pierwszą paczkę. To był okrucieństwo nadziei, której Zuzanna czepiała się jak tonący deski: Kamil żyje i jest na miejscu. Nie został wywieziony poza obręb kraju, jak szeptano. Tego bardzo się bała. Tymczasem po mieście

kursowały pogłoski, powtarzane szeptem. Mówiono o Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego; o tym, że jego funkcjonariusze nie są lepsi niż gestapo; że torturują więźniów podczas przesłuchań...

Zuzanna bezskutecznie wydeptywała progi wojskowych urzędów. Szukała dróg prowadzących do wysokiej rangi dygnitarzy, którzy – jak ktoś życzliwy podpowiedział – mogliby pomóc.

Napotykała albo zamknięte drzwi, albo chłodną, stanowczą odmowę, gdy prosiła o widzenie z wpływowymi funkcjonariuszami. Każda wędrówka do kolejki przed okienkiem, w którym odbierano paczki, powodowała dodatkowe drżenie serca: przyjmą – po sprawdzeniu rubryk długiej listy – czy też nie?... Wiedziała już z cudzych doświadczeń, że odmowa przyjęcia paczki nie wróży nic dobrego – i często bywa zapowiedzią tragicznego finału.

Już rok Kamil pozostawał wciąż w śledztwie. I na razie Zuzanna jeszcze pracowała. Ktoś życzliwy ostrzegł ją: władze szkolne najprawdopodobniej zwolnią nauczycielkę, której mąż, oficer, został aresztowany z przyczyn politycznych. Musiała się liczyć z taką możliwością.

Żyli jeszcze wówczas rodzice Kamila. Przed jego matką Zuzanna ukrywała prawdę, dopóki mogła. Lecz z chwilą, gdy na łamach prasy pojawiło się nazwisko Kamila Kotwiczą, doprowadzonego jako świadka na jeden z pierwszych procesów, w których przed najwyższym sądem wojskowym stawali oficerowie – starsza pani Kotwiczowa dowiedziała się o wszystkim. W ciągu jednej doby z wciąż jeszcze, mimo podeszłego wieku, żywotnej kobiety zamieniła się w ruinę człowieka. Natomiast Stanisław Kotwicz, inwalida z pierwszej wojny, walczył na równi z Zuzanną o życie Kamila.

Adwokaci, u których próbowała szukać pomocy, nie robili wielkich nadziei.

– Proszę pani, to wszystko są rzeczy ukartowane – tłumaczył Zuzannie jeden z nich, kompetentny i życzliwy. – Rozprawy toczą się przed sądem wojskowym. obrońcy wyznaczeni z urzędu. Oczywiście, zrobię wszystko, co będę mógł... Ale musi pani być przygotowana na najgorsze.

Nie dopuszczała wtedy myśli, że najgorsze – to może być kara śmierci. Kara śmierci?! Wyrok w imieniu Polski – za co? Kara śmierci na człowieka, który od lat szkolnych poprzez całą młodość żył dla ojczyzny?

Pierwsze takie wyroki już zapadły. Poprzedzały je oskarżycielskie wystąpienia prokuratorów. W tych wystąpieniach była mowa o zdrajcach ojczyzny, o słusznie wymierzonej sprawiedliwej karze. Prokuratorzy piętnowali zdradę kraju – i brudne pieniądze, które oskarżeni jakoby przyjmowali od obcych wywiadów!

Zuzanna dowiedziała się od owego adwokata, że mąż jej zeznawał jako świadek w dwóch innych procesach. Rozprawy były niejawnie. Jednakże mimo surowych zakazów, z sal sądów wojskowych, gdzie wzbroniony był wstęp dla osób postronnych, nawet dla członków rodzin oskarżonych – przesączały się nikłym

strumyczkiem zatrważające wieści. Zapadły najwyższe wyroki: kara śmierci. Dlaczego? Za co? – pytały żony oskarżonych.

Przecież ich mężowie bili się z Niemcami we wrześniu 1939 roku, walczyli na różnych frontach, uczestniczyli w konspiracji. Tymczasem zarzucano im działanie na szkodę Polski Ludowej, udział w spiskach, przygotowanie do obalenia siłą ustroju!

Zuzanna nie pojmowała tych absurdalnych zarzutów. Wiedziała jedno: musi walczyć o Kamila.

– Jeśli sąd orzekłby dożywocie albo dwadzieścia pięć lat więzienia, byłaby szansa – mówił siwy mecenas. – Proszę nie tracić nadziei.

– Nawet jeśli dożywocie?...

– Przyjdzie jakaś amnestia, najpierw jedna, może potem następna. Na pewno coś się musi zmienić. Tak, jak jest, nie będzie wiecznie – zniżył głos przy ostatnich słowach, patrząc na Zuzannę znacząco.

Rozprawy Kamila należało się spodziewać lada tydzień. Ktoś litościwy, ustosunkowany a współczujący umówił się na spotkanie z Zuzanną w sposób nieomal konspiracyjny. I ten ktoś prawie szeptem wyjawiał jej nazwisko prokuratora, który podczas procesu będzie oskarżał; jej męża.

– To człowiek zimny i zawzięty – usłyszała wówczas. – Kilkakrotnie w podobnych procesach żądał dla podsądnych kary śmierci. I takie wyroki zapadały.

– Ale dlaczego?... – pytała Zuzanna, czując chłód wokół serca. – Dlaczego? Czy ten człowiek szczególnie nienawidzi mojego męża? On mu przecież nic złego nie zrobił!

W spojrzeniu rozmówcy politowanie mieszało się ze współczuciem.

– Niech pani nie będzie dzieckiem! Pewnym siłom czy kręgom potrzebne są głowy ludzkie, które muszą spaść. To nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością, uczciwością, a nawet zwykłym ludzkim rozsądkiem.

Dopiero po wielu latach Zuzanna dowiedziała się, że jej mąż, Kamil Kotwicz, odwołał wszystkie zeznania złożone podczas śledztwa i na rozprawie. Złożył skargę rewizyjną. Opisał w niej metody, jakimi oficerowie śledczy Informacji Wojskowej siłą wymuszali z niego zeznania.

Ale o tym wszystkim nie miała pojęcia, spotka wszy się z życzliwym człowiekiem, który zastrzegł, że „nic ode mnie pani nie słyszała”. Uległ jednak ostatecznie jej błaganiom. Podał nazwisko i adres owego prokuratora. Jedno i drugie nie umożliwiała rozmowy z wojskowym prawnikiem. Do gmachu, gdzie urzędował, nikt postronny nie miał wstępu. Mieszkał zaś w budynku nadzorowanym przez umundurowanych strażników. Zuzanna z całą energią rozpaczy zdołała dowiedzieć się, że dwa piętra niżej mieszka szkolna koleżanka Joli.

Upozorowała więc odwiedziny u matki tej dziewczynki pod pretekstem jakichś spraw komitetu rodzicielskiego.

– Córeczko, nie pójdziemy na razie do Hani i jej mamy, tylko wyżej, na trzecie piętro.

– Po co?

– Tam mieszka... ktoś ważny z sądu. – Ktoś ważny – powtórzyła.
– Rozumiesz?

– To w sprawie tatusia? – odgadła Jola.

Zuzanna starannie obmyśliła taktykę działania. Zdołała ustalić, kiedy prokurator przyjeżdża do domu na późny obiad. Weszła do kamienicy, wbrew własnym obawom, bez przeszkód.

„Cerber” siedzący na parterze w specjalnej dyżurce rzucił na nią wprawdzie okiem i spytał: – Do kogo? Usłyszawszy jednak nazwisko owej koleżanki Joli, skinął przyzwalająco głową i pogrążył się w lekturze gazety. – Winda na lewo – powiedział.

Wysiadły na drugim piętrze i pieszo udały się na trzecie. Zuzanna zadzwoniła. Prokurator, tak jak przewidywała, jeszcze nie przyjechał do domu. Jego żona w pierwszej chwili nawet nie chciała słyszeć o tym, aby wpuścić obcą kobietę. Ów niedawny rozmówca poinformował Zuzannę, że prokuratorowa jest podobno znacznie bardziej „ludzka” niż jej mąż – i tak było w rzeczywistości. Początkowo rozmawiała z Zuzanną, nie spuściwszy łańcucha zabezpieczającego drzwi.

– Z mężem można się widzieć tylko w urzędzie, nie w domu – powtórzyła kilkakrotnie. Ale w twarzy zrozpaczonej kobiety, w wyrazie oczu towarzyszącej jej dziewczynki było coś takiego, że wreszcie uległa. Wpuściła je oboje, zastrzegając, że czyni to wbrew woli i poleceniom męża.

– Niech pani... Niech pani Bóg wynagrodzi – wyrzuciła ze ściśniętego gardła Zuzanna, nie znajdując innych słów.

Doczekały przyjścia pana domu. Zgrzyt klucza w zamku poprzedził otwarcie masywnych drzwi. Wysoki, dość młody mężczyzna o smagłej cerze i ciemnych włosach zmarszczył brwi na widok obcej kobiety z dziewczynką.

– Kim pani jest? – spytał ostro. – Jak pani tu się dostała?! Wymieniła swoje nazwisko. Zrozumiał natychmiast, po co przyszła.

– Nie mam pani nic do powiedzenia. Od tego jest sąd.

– Ale ja proszę, żeby pan mnie teraz wysłuchał! – powtórzyła. Błagam!

Podniósł głos. Z głębi mieszkania wyjrzała żona. Natarł na nią z gniewem:

– Dlaczego wpuszczasz obcych ludzi z ulicy?!

Usprawiedliwiała się jakoś, tłumaczyła, najwidoczniej wystraszona.

– Nie odejdę stąd, póki pan mnie nie wysłucha! – zdołała wreszcie wtrącić Zuzanna. – Proszę!

– Wynosić mi się! Ale już!

– Nie wyjdę...

Pospiesznie wyrzucała bezładne słowa o wojennej przeszłości męża, o jego walce i odznaczeniach bojowych, o wysokiej cenie, jaką za jego głowę wyznaczili Niemcy.

– Co mi tu pani bredzi?! Mąż współpracował z Niemcami!

– Mój mąż... Z Niemcami?! – osłupiała, zabrakło jej tchu. – To kłamstwo! Podłe kłamstwo!

– Więc pani jest prawdomówna, a ja kłamię! Tak?

– Mój mąż nigdy...

Rozmówca – o ile tak można go było nazwać – tracił panowanie nad sobą.

– Jazda stąd!

– Nieprawda, że mój mąż cośkolwiek z Niemcami... – Zuzanna odzyskała wreszcie zdolność mówienia. – To podłe kłamstwo! On nigdy...

– Pani śmie mi zarzucić kłamstwo?! – postąpił o krok bliżej ku niej.

– Mnie?!

– Niech pan tak nie krzyczy na mamę! – Jola chwyciła Zuzannę za ramię obronnym gestem.

– Jeszcze ty mi tutaj... gówniaro! Won!

Uniósł rękę, wskazując drzwi. Jola sądziła, że chce uderzyć matkę – i obronnym ruchem uczepiła się jego dłoni. Zaklął, odtrącił dziewczynkę, aż się zatoczyła. Zuzanna ogarnęła małą ramieniem i pociągnęła ku drzwiom. Chciała jeszcze powiedzieć coś o sprawiedliwości, o krzywdzie, o karze boskiej... Ale to byłby przecież groch o ścianę! Wyszła, prowadząc płaczącą Jolę.

– Cicho już, cicho dziecko – powtarzała półgłosem, czując pustkę w głowie. Kiedy były na podeście drugiego piętra, ktoś uchylił drzwi.

– Wejdźcie tutaj, prędko!

Uspokoily się powoli obydwie w kuchni wykładanej kolorowymi kafelkami, w ciepłe przyjaznej, ludzkiej obecności. Koleżanka Joli i jej matka zakrzętały się wokół nich. Zimna woda, jakieś krople, chyba waleriana, potem gorąca herbata.

– No, co? Lepiej trochę? Posiedźcie tu – trzeba ochłonać. Wiem, gdzie pani była.

– Skąd pani wie? Odpowiedzią był wymowny gest: położenie palca na ustach.

– Ja panią doskonale rozumiem. Tonący brzytwy się chwyta. Ale en... to jest zły człowiek. Okrutny. Bez serca. Proszę nie mówić nikomu, że pani tu przyszła. Ani tego, co pani teraz powiedziałam. Nie wypuszczę was stąd, póki się nie uspokoiacie. Gdyby ktoś pytał, była pani u mnie w sprawach szkolnych. Haniu, pamiętaj, mów to samo w razie czego! – przestrzegła córkę, siedzącą obok Joli.

Zuzanna nie pamiętała, jak wróciły wówczas do domu. I tylko teściowi

zwierzyła się w kilka dni później z tej próby ratowania męża. Matka Kamila leżała ciężko chora – i mało co docierało do jej świadomości.

– Może mu zaszkodziłam? Ten człowiek będzie pewnie teraz jeszcze bardziej zawzięty!

– Dziecko – starszy pan Kotwicz pogładził ramię synowej. – Nic sobie nie wyrzucaj! Wygląda na to, że cała sprawa jest z góry ukartowana.

– Ale dlaczego, tato? Dlaczego?

– Taki reżim, takie czasy – i takie sądy – mruknął posępnie starszy pan. – Teraz trzeba poczekać. Ogłoszą wyrok – napiszemy prośbę do samej góry. Do prezydenta!

– Może od razu?

– Nie. Jeśli, co daj Boże, będzie kara więzienia, to na razie nie ma o co prosić. Poradź się jeszcze zresztą swego mecenasa.

Adwokat powiedział to samo.

– Trzeba poczekać na wyrok. Potem ja będę apelował, a państwo napiszą o ułaskawienie.

„To zły człowiek” – mówiła o prokuratorze owa życzliwa kobieta, która otworzyła wtedy przed nimi drzwi. W pamięci Zuzanny zatarło się jej nazwisko. Jak bardzo prawdziwe były te słowa, przekonała się niebawem.

Na proces, który rozpoczął się po trzech tygodniach, nie dopuszczono ani żony oskarżonego, ani jego ojca. Nie miał również wstępu adwokat, któremu Zuzanna powierzyła obronę męża.

– Obawiam się, że prawie nic nie będę mógł zrobić – mówił.

– Pani rozumie: są wyraźne polecenia z góry. Będzie obrońca z urzędu.

– Kto to taki?

Mecenas wymienił nazwisko. Skontaktowanie się z tym adwokatem nie było łatwe. Kiedy wreszcie tego dokonała – chudy, zasuszony pan okazał się bezradny.

– Mówiąc między nami, ale tylko między nami! – zastrzegł – podziwiam hart i opanowanie pułkownika. Jutro, najdalej pojutrze będzie ogłoszony wyrok.

– Jaki?

Adwokat umknął spojrzeniem w bok.

– Proszę, niech pani będzie przygotowana na... najgorsze – rzekł cicho.

– W takich sprawach wyroki zapadają – że tak powiem – i mówiąc ściśle między nami – poza trybunałem.

– Ale przecież mój mąż nic takiego...

Przeciął jej słowa stanowczym gestem.

– Proszę pani, tu nie ma co dyskutować. Wtedy pozostaje jeszcze prośba o ułaskawienie. A jeśli mąż otrzyma dożywocie, zawsze jest szansa amnestii...

– Może już teraz napisać tę prośbę? – spytała głucho Zuzanna.

– No, cóż – przygotować argumenty może pani już teraz. Ale samo pismo

złożyć trzeba będzie dopiero po ogłoszeniu wyroku.

Zuzanna odwiedziła znów teścia. Postanowili, że napiszą dwie osobne prośby. Do prezydenta Bieruta i do marszałka Rokossowskiego.

Następnej nocy nie zmrzyła oka, obmyślając treść pisma. Wreszcie usiadła przy biurku Kamila, szkicując zamierzony list. Nie dosłyszała kroków Joli. Dziewczynka, widząc przez na wpół przyknięte drzwi smugę światła, padającą z pokoju ojca, przybiegła w nocnej koszuli, rozspana i spłoszona.

– Co ty robisz mamusiu? Coś się stało?

– Córeczko, nie mogę zasnąć. Wolę coś pisać, niż przewracać się z boku na bok – tłumaczyła nieskładnie Zuzanna. – Połóż się, kochanie, bo obudzisz Isię.

– Mamo! – nie ustępowała Jola. – Czy coś... Coś z tatusiem?

– Nie, naprawdę nie.

– Powiesz mi, jeżeli... Daj słowo!

– Powiem ci, na pewno. A teraz wracaj spać.

Na rozpoczęty w kilka tygodni później proces nie dopuszczono nikogo z rodziny. Wiadomości z sali rozpraw płynęły za to obfitym potokiem z radia i ze szpalt prasy. „Zdrajcy narodu”, „Sługusy imperializmu”. To były niektóre tylko epitety, niektóre bryzgi błota, jakimi obrzucano oskarżonych. Wtedy Zuzanna dostrzegła to, co dotychczas pozostawało poza obrębem jej uwagi: ludzką nieufność, ludzki strach. Wokół Kotwiczowej wytworzyła się pustka. Stronili od rodziny pułkownika Kotwicza nawet ludzie – zdawałoby się – bardzo zaprzyjaźnieni. Ktoś nie odklonił jej się na ulicy; ktoś inny, widząc ją, przeszedł na drugą stronę, jak gdyby w obawie przed rozmową z żoną aresztowanego...

Jola wróciwszy któregoś dnia ze szkoły, cisnęła teczkę i zamknęła się w swoim pokoju. Mała Isia po przyjściu matki oznajmiła, że starsza siostra „nic, tylko siedzi i płacze i nie chce drzwi otworzyć”. Dopiero nazajutrz córka wyznała Zuzannie, że jedna z koleżanek powiedziała jej: – Twój ojciec to zdrajca kraju. Jola rzuciła się na nią z pięściami. Awanturę przerwało wejście wychowawczyni, która ostro zgromiła tamtą dziewczynkę, a Jolę zabrała do pokoju nauczycielskiego. Tu dała jej coś na uspokojenie i pozwoliła wcześniej iść do domu.

Strzępy wspomnień płaczą się i wikłają, tworząc zagmatwany zlepek obrazów. Wyrok śmierci na Kamila... Nie ogłoszono owego wyroku w prasie i w radiu na razie, więc dzieci o nim nie wiedziały. Zuzanna odwiedziła teścia, który nadal pielęgnował na wpół przytomną żonę. Nie potrafiła ukryć złej wiadomości. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, starszy pan Kotwicz wyczytał wszystko z jej twarzy. Tego samego dnia i on, i ona przystąpili do pisania próśb o ułaskawienie. „Mój syn był patriotą i żołnierzem – pisał ojciec Kamila Kotwiczą. – Jeśli zbłądził, to nie ze złej woli. Błagam o łaskę!...”

Zezwolono na widzenie ze skazanym. Mogła je mieć tylko jedna osoba z rodziny. A więc żona. Nie ojciec. Nie dzieci, przed którymi ukryła, że zobaczy

„tatuńka”. Mroczne pomieszczenie: w pierwszym momencie nie poznała Kamila. Był przeraźliwie chudy i mizerny. Cywilne ubranie wisiało na nim jak na kołku. W twarzy tak bladej, że prawie żółtawej, żyły tylko oczy, płonące gorączkowym blaskiem. Z najwyższym trudem zdobyła się na spokój, nawet na coś w rodzaju uśmiechu.

– Napisaliśmy listy do władz, ojciec i ja – mówiła półgłosem. Spytał o matkę. – W porządku, tylko się martwi – odparła, przemilczając prawdę o stanie zdrowia teściowej, wówczas już umierającej. – A ja wierzę w ciebie, zawsze wierzę! – wyszeptala, zniżając głos prawie do szeptu. Oczami dopowiadała mu to, co trudno było wyrazić w słowach.

– Ucałuj dzieci – mówił przerywanym głosem. – Powiedz im... żeby o mnie myślały... żeby mnie dobrze wspomniały. Kiedy dorosną...

– Koniec widzenia – oznajmił strażnik więzienny. Przyłgnęli oboje do siebie w rozpaczliwym uścisku. Zuzanna szła potem opustoszałą, chłostaną deszczem ulicą Rakowiecką. Płakała, nie czując łez, spływających jej po twarzy. I nie wierzyła, wciąż nie wierzyła, że te słowa, jakie padły niedawno między nimi, były ostatnie. Gotowa była tłuc głową o twardego muru więzienny albo biec, szukać ratunku. Ale gdzie i u kogo? Listy do ludzi sprawujących w państwie najwyższą władzę były już złożone. Pozostało jedno: czekać.

Czekała i łudziła się do ostatka. – Ktoś mówił, że Bierut potrafi być człowiekiem. Podobno marszałek Rokossowski ceni żołnierskie zalety: odwagę, męstwo, pogardę śmierci. Kamil był wzorem i przykładem tych cnót.

– Póki życia, poty nadziei – powiedział Zuzannie jeden z dawnych podkomendnych, jej męża. – Były przypadki ułaskawień. A ułaskawienie – to życie.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Przeżyła wówczas przyływ szalonej, nieprzytomnej nadziei: może zlitował się Bóg i ludzie, od których tak wiele zależy?... Może Kamil wróci na święta? Lecz nic na to nie wskazywało. Zakrzętała się wokół kolejnej paczki. Włożyła w jej przygotowanie całą swoją miłość, całą troskę o nieobecnego.

Ale paczki nie przyjęto. Przeważona, usiłowała dowiedzieć się dlaczego? Przecież święta!... – Wszystkie paczki wstrzymane – odparł ktoś zza okienka. To ją trochę uspokoiło. Niewątpliwie przykrość, rozczarowanie, ale nic ponadto.

– Kiedy mogę przyjść? – spytała. Padła odpowiedź: Zaraz po Nowym Roku.

Wróciła do domu. Zawartość paczki rozdzieliła: część pozostawiła dla dziewczynek, część zniosła teściom. Sama prawie nic nie mogła przełknąć. Wydawało jej się, że odbiera Kamilowi to, co tylko jemu się należy. Histeryzując! – wzruszyła w końcu ramionami. Pewnie jakieś wewnętrzne zarządzenie. Trzeba będzie upiec nowe ciasto, bo to poprzednie szcerstwiało na amen.

Następnego dnia po Nowym Roku 1952 pośpieszyła do Informacji Wojskowej. Ulica Chałubińskiego... Do dziś, po tylu latach, idąc nią czuje chłód, jak gdyby mróz wokół serca. Tam trzymano Kamila i tam przekazywała paczki. Dlaczego powiedziano jej, żeby udała się na Rakowiecką, do tamtejszego więzienia?

Szare popołudnie poprzedziło wczesny zmierzch. Śnieg skrzypiał pod nogami. Szyby okien mijanych domów jarzyły się w blaskach zachodu. Zastukała do okienka. Otworzył się powoli, jak gdyby niechętnie. Lekko schrypniętym głosem wyjaśniła:

– Skierowano mnie tutaj z Chałubińskiego, mam paczkę. Dla Kamila Kotwicza.

Człowiek siedzący za okienkiem przez dłuższą chwilę szukał nazwiska w swoich spisach. Potrząsnął głową, gdy chciała podsunąć paczkę.

– Nie trzeba – powiedział półgłosem.

– Jak to: nie trzeba? – zachnęła się. – To dla mojego męża! Podsunął jej jakiś papierek. Urzędowy druczek.

– Co to?

– Proszę wziąć i przeczytać. Czytała, nie rozumiejąc. – Do kogo to? O co chodzi?

– Akt zgonu – powiedział człowiek za okienkiem. – Pani mąż nie żyje. To zawiadomienie, że wyrok został wykonany.

Wyrok został wykonany...

Może gdyby zajrzała głębiej w okienko – zobaczyłaby cień współczucia w spojrzeniu więziennego funkcjonariusza? Ale to nie przyszło jej do głowy. Cofnęła się o krok, oszołomiona, nie wierząca w prawdę usłyszanych słów. Okienko się zamknęło. Na parapecie leżała niepotrzebna już paczka. W zgrabiących od mrozu palcach Zuzanna trzymała świstek, zawierający stwierdzenie, że skończyło się wszystko, wszystko...

Nie pamięta, jak zdołała wtedy dojść do domu. Potknęła się i upadła na mrocznej już ulicy Rakowieckiej. Było pusto. Nikt jej nie pomógł. Dźwignęła się sama i szła coraz wolniej, wciąż z tym samym uczuciem tępego oszołomienia. Poślizgnęła się znów na Belwederskiej. Tu zbliżył się do niej jakiś przechodzień.

– Czy pani chora? – spytał widząc jej twarz bladą jak śnieg, leżący w pobliżu.

– Nie – odparła drewnianym głosem. – Tylko... – tylko mój mąż nie żyje. Zabili go.

Musiała komuś o tym powiedzieć. Choćby komuś obcemu. Ten człowiek wziął ją pod rękę i doprowadził aż do bramy domu. Powiedział kilka słów, które nie dotarły do zamroczonej świadomości Zuzanny. Zapamiętała tylko, że pytał: – Czy mógłbym pani jakoś pomóc?... Potrząsnęła przecząco głową – i z trudem

odparła: – Dziękuję.

Jola domyśliła się od razu prawdy, ujrawszy matkę.

– Tatusi! – spytała szeptem. – Co z tatusiem?

Zuzanna objęła ją mocno, szukając w dziecku oparcia. Dziewczynka trzęsła się jak w gorączce, lecz nie płakała. Zuzanna też wówczas ani nazajutrz nie uroniła ani jednej łzy. Tylko w dwa dni później mała Isia zapytała:

– Mamusiu, co z twoimi włosami? Są takie inne!

Spojrzała wówczas w lustro. Jej włosy, niedawno jeszcze w kolorze ciemnoblonde, były całkiem siwe. A to był dopiero początek drogi przez mękę. Drogi, jaką miała iść przez najbliższe lata.

Znacznie później przeczytała słowa Żeromskiego, który po śmierci ukochanego syna napisał: „Wiele jest w człowieku siły zwierzęcia lub siły drewna, żeby takie chwile przetrzymać”. Tak było ze mną również – przytaknęła wtedy w myślach pisarzowi Siła zwierzęcia, czy siła drewna?... Przede wszystkim myśl o dzieciach. Gdyby nie one, prawdopodobnie załamałaby się całkowicie lub skończyłaby ze sobą. Po co żyć? Po cóż istnieć dalej, jeśli zabrakło kogoś najbliższego, najdroższego, kto był nieodłączną częścią jej własnej istoty? Po co żyć, jeśli pamięć najbliższego człowieka została splugawiona. Jeśli został – w majestacie prawa – zwyczajnie zamordowany?

– Jeszcze kiedyś wyjdzie na jaw, jaki to był haniebny proces! – powtarzał ojciec Kamila. – Na nich, na tych oprawców spadnie cały wstyd. Tyle, że za późno, bo jemu to już życia nie wróci. Ty tego na pewno doczekasz. Ja już nie.

Gasł w oczach, z dnia na dzień. Zuzanna miotała się między dwojgiem dogorywających starszych ludzi, nie mogąc im pomóc. Konieczność opieki nad nimi miarkowała nieco jej własną rozpacz.

Starsi państwo Kotwiczowie zmarli w odstępie zaledwie dwóch miesięcy – najpierw matka Kamila, potem jego ojciec. Zuzanna musiała zająć się kolejno obydwoma pogrzebami, jako najbliższa osoba z rodziny. Kamil miał bowiem jedyne młodszego brata, który od roku 1939 przebywał na Zachodzie, tam walczył i tam został po wojnie. Istnienie tego brata było dodatkowym argumentem podczas procesu. „Andersowiec” – mówił o nim tonem obelgi prokurator. A przecież młodszy z braci Kotwiczów spod Monte Cassino wyniósł rany i odznaczenia bojowe.

Zuzanna usiłowała dowiedzieć się, gdzie pochowano jej męża. Bez skutku. Ani od Informacji Wojskowej, ani od władz więziennych nie uzyskała żadnej wiadomości. Przy tych wszystkich staraniach i zabiegach czuła się tak, jak gdyby wyrastał przed nią niewidzialny mur. Pytała innych kobiet, które spotkał podobny los. One też nie wiedziały. Podobno ciała straconych wywożono gdzieś poza Warszawę. Według innych pogłosek, chowano ich potajemnie gdzieś na Służewie, na skraju miasta. Nikt jednak nie mógł tego sprawdzić. Myślała z goryczą,

że obecni prześladowcy, występując w imieniu Polski, gorsi są i bardziej bezwzględni niż Niemcy: okupanci nie raz ciała zabitych lub zamęczonych przez gestapo wydawali rodzinom, aby mogły je pochować. Kamilowi odmówiono nawet tego skrawka ziemi, gdzie najbliżsi, zwłaszcza żona i dzieci, mogliby przyjść, powspominać zmarłego, zmówić modlitwę – i zapłakać.

– I do dziś nikt nie wie, gdzie ich grzebano... – myśli Zuzanna po latach, śledząc wędrówkę księżycowego blasku. Są tylko domysły, przypuszczenia. A przecież na pewno żyje ktoś z tych, którzy wywozili i grzebali w bezimiennych grobach ciała skazanych. Żyje niejeden z tych, którzy ich sądzili... Ostatnio w prasie pisze się sporo na ten temat. Znowu odzywają się głosy żądające ujawnienia prawdy. Być może wyjdzie ona wreszcie na jaw. – Na razie jest tylko symboliczna wspólna mogiła niewinnie straconych. Wzniesiono ją na Powązkach wojskowych, w wiele lat po rehabilitacji Kamila i innych straconych. Składałam tam kwiaty w dzień Wszystkich Świętych, a także w imieniny i urodziny Kamila. Zawsze towarzyszy mi jednak świadomość, że on nie tu spoczywa...

Co było później?

W pamięci Zuzanny rozciąga się strefa mroku; obszar czasu, który nastąpił w początkach roku pięćdziesiątego drugiego. Mrok i mgła, bez żadnych przeblysków światła. Kolejne ciosy. Jak gdyby ktoś niewidzialny a okrutny pilnował, żeby nie mogła choć na krótko ochłonąć, odetchnąć, podźwignąć się z rozpacz i żaloby.

Skromne oszczędności stopniały bardzo szybko. Sprzedawała po kolei wszystkie wartościowe rzeczy, jakie były w domu, żeby zdobyć pieniądze najpierw na adwokatów i na paczki, potem na opłacenie obu pogrzebów. Jeszcze pracowała. Ale w dwa miesiące po otrzymaniu zawiadomienia o śmierci męża dostała wymówienie z pracy w trybie natychmiastowym. Dyrektor szkoły, w której uczyła, pożegnał ją po ludzku. W swoim gabinecie uściśnął jej dłoń.

– Koleżanko, jako prywatny człowiek bardzo pani współczuję. Ale przyszedł nakaz z góry. Sama pani rozumie...

Rozumiała. Spytała jeszcze tylko:

– Czy w żadnej innej szkole nie byłoby możliwości? Dyrektor potrząsnął głową.

– Nie wolno zatrudnić pani w szkolnictwie, ani w żadnej innej pracy państwowej – rzekł, nie patrząc jej w oczy. – Może kiedyś w przyszłości... Ale nie teraz.

Pustka wokół niej i jej dzieci stawała się coraz dotkliwsza. Przed werdyktem sądu nieraz mówiono: – To nieporozumienie. To jakaś okropna, tragiczna pomyłka. To musi się wyjaśnić!

Teraz pułkownik Kamil Kotwicz został napiętnowany i skazany jako wróg Polski Ludowej – ba, jako współpracownik obcych wywiadów i... gestapowców!

Powtarzanie tych absurdalnych zarzutów stopniowo wywierało efekt: ludzie zaczęli stronić od rodzin skazanych. Dalsi krewni, do niedawna utrzymujący stosunki rodzinne z Kotwiczami, kuzyni, którym pułkownik wielokrotnie wyświadczał przysługi, znajomi, którzy chętnie bywali u nich w domu i zapraszali Kotwiczów do siebie – teraz unikali Zuzanny, niechętnie odzywali się przez telefon, szybko kończyli rozmowę, gdy zadzwoniła. Strach zrobił swoje.

Najgorsze już się stało. Najbliższe miesiące miały do bolesnego brzemienia poniesionej straty i doznanej krzywdy dorzucić nowe ciężary.

Pewnego popołudnia, wróciwszy do domu z pogoni za gotówką – była to kolejna próba spieniężenia jakiegoś wartościowego drobiazgu – Zuzanna zastała obydwie córki spłoszone i zapłakane.

– Co wam jest?

Jola wskazała leżący na stole urzędowy list.

– Przynieśli to z administracji... I powiedzieli, że mamy jak najprędzej wynosić się z tego mieszkania.

Zuzanna przebiegła wzrokiem kilka linijek zapisanego tekstu. Mieszkanie, pozostające w gestii kwaterunku wojskowego, kazano jej opróżnić w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Decyzję eksmisji powzięto wobec rodzin wszystkich oficerów, skazanych w niedawnych procesach na śmierć lub na dożywocie.

Przymusowe opuszczenie ulicy Nabelaka nie było pierwszą wyprowadzką – i pierwszą powojenną zmianą na gorsze warunków życia. Zuzanna musiała możliwie szybko wyzbyć się wielu mebli i przedmiotów, których nie miała gdzie podziąć. Przydzielono jej i dzieciom pokój w mieszkaniu ze wspólną kuchnią na trzy rodziny. Nie trwało to jednak długo. Kolejny nakaz eksmisyjny dawał wdowie po Kamile Kotwiczu dwie możliwości: albo barak na dalekich peryferiach miastach, albo opuszczenie stolicy.

– Gdzie miałabym wyjechać? – spytała.

– Na ziemię odzyskane – brzmiała odpowiedź. – Na przykład Koszalin, Słupsk. Albo Świdnica. Albo Elbląg.

Wyjazd tak daleko, na niepewny los, w nieznaną? Z dwojga złego wolała wybrać baraki. To była mimo wszystko Warszawa. Albo przynajmniej bliskość Warszawy.

Jest naprawdę gorzej niż podczas okupacji – myślała czasem. Wtedy była walka, niepewność jutra, zagrożenie – ale i solidarność międzyludzka, nienawiść do wroga, świadomość, że ma się przed sobą wspólny cel. Przede wszystkim zaś była nadzieja. A teraz?

Solidarność międzyludzka miała się objawić później, gdy Zuzanna już w nią zwątpiła. Na razie jednak były baraki na dalekim obrzeżu Warszawy, na Kole. Był pokój, a raczej izba ze wspólną kuchnią, psującym się wciąż prysznicem i jedną

ubikacją dla sześciu rodzin. Było dokuczliwe zimno już od wczesnej jesieni i trudny do zniesienia upał latem. Była konieczność długiej pieszej wędrówki do końcowego przystanku jedyne autobusu, który kursował rzadko i nieregularnie.

Pracę znalazła – nie bez trudu – w pobliskim sklepie wielobranżowym, czyli mówiąc po dawnemu – z „mydłem i powidłem”. Pełniła w nim funkcje ekspedientki, magazynierki, kasjerki i sprzątaczk. Praca ta miała jedną zaletę: bliskość baraków do sklepu. Jola musiała zrywać się bardzo wcześnie, żeby zdążyć do szkoły na drugim końcu miasta. Natomiast o przedszkolu dla małej córki nie było co marzyć. Taka placówka oświatowa w pobliżu baraków nie istniała. Dzieci siedziały w domu przy matkach lub uganiały wokół budynków. Na jesieni mała powinna iść do szkoły. Na razie pod nieobecność matki i starszej siostry, z kluczem zawieszonym na szyi, biegała w pobliżu baraków, podczas gdy Zuzanna, krzątając się przy półkach sklepowych, pełna była ustawicznych obaw o dziecko.

– Niech się pani o nią tak nie trzęsie. Szkoda nerwów – powiedziała pewnego dnia Zuzannie kobieta w trudnym do określenia wieku, z licznymi brakami uzębienia, z włosami gładko zaczesanymi i upiętymi w tyle głowy w śmieszny koczek.

– Ona się z moją Zosią koleguje, a ja i tak przez cały dzień jestem w domu, to mam je na oku.

Kim byli mieszkańcy baraków? Oprócz rodzin, które Kotwiczowa знаła, spotkał je bowiem podobny los – reszta początkowo wydawała jej się „marginesem społecznym”, jak to wtedy określano. Prawie każdego wieczora baraki pobrzmiwały odgłosami rozmów, kłótni lub zabaw suto zakrapianych alkoholem. Zuzanna zauważyła jednak, że mieszkańcom baraku nieobce jest swoiste poczucie honoru. Ci ludzie byli hałaśliwi, nie przebierali w słowach. Bardziej krewcy pięścią regulowali spory i waśnie. Nikt jednak jej nie zaczepiał ani jej nie dokuczał. Była przekonana, że mieszkańcy baraku nie wiedzą, kim jest i dlaczego tu trafiła. Ze zdumieniem przekonała się pewnego dnia, że kiedy jedna z miejscowych kumoszek coś wydziwiała na temat „zasranej inteligencji”, druga uciszyła ją stanowczo, widząc Zuzannę idącą z czajnikiem po wodę. Wiedziała, że mówią o niej „pułkownikowa z siódemki”, ale nie miała pojęcia, skąd tamci wiedzą, że była żoną pułkownika, a teraz jest wdową po nim.

Stopniowo dostrzegała także innych mieszkańców barakowego osiedla – ludzi, których wygląd i sposób bycia świadczył, że kiedyś, może jeszcze niedawno, żyli w innym otoczeniu, w odmiennych warunkach. Kim byli ci sąsiedzi, trzymający się na uboczu? Ludzie niemłodzi, których „margines” najwyraźniej nie lubił, ale jednak szanował?

Zuzanna z mimowolnym zaskoczeniem stwierdziła, że niektórzy z tych właśnie sąsiadów noszą bardzo znane, historyczne nazwiska. Okazało się, że są

wśród nich „bezeci” – tak nazywano wówczas byłych ziemian, wyzutych wskutek reformy rolnej z majątków i ze wszystkiego, co przedtem posiadali. Były tu również rodziny ludzi wybitnych, znanych w latach międzywojennych, nieżyjących już lub przebywających na emigracji.

– Obecne władze poczytują to za łaskę, że nas nie wsadzono do więzienia – powiedziała kiedyś ze smutnym uśmiechem siwa pani o profilu i sylwetce jak gdyby wyjętej ze starego portretu. – Tak, mam bardzo majątnych krewnych za granicą, i to w kilku krajach – potwierdziła inna mieszkanka baraku, sądząc po wyglądzie – dawna dama, zachowująca nadal nienaganne maniery. – Ale cóż z tego, jeśli nie wolno mi do nich jechać? A zdawałoby się, że człowiek w moim wieku nie jest już dla obecnego reżimu żadnym zagrożeniem...

„Skrzywdzeni i poniżani”, jak w duchu nazywała ich Zuzanna, potrafili nawzajem wspomagać się w nienarzucający się, dyskretny sposób. „Margines” z kolei, szorstki i opryskliwy, dawał się oswoić.

Pewnej nocy Zuzanna użyczyła nieco leków dla dziecka prostytutki, zajmującej jedną izbę w tym samym baraku. Dziecko silnie gorączkowało, sprowadzenie zaś lekarza na to odludzie graniczyło z cudem. Kiedy indziej napisała sąsiadowi podanie w urzędowej sprawie, którą – o dziwo! – petent zdołał pomyślnie załatwić. Z podobną prośbą zgłosił się do „pani pułkownikowej” mieszkaniec innego baraku. Zuzanna zapamiętała własny lęk, kiedy wyciągnął pieniądze, aby zapłacić jej za kaligraficznie napisany tekst.

– Dziękuję, nie trzeba – próbowała protestować, bojąc się, aby ktoś nie przyczepił do niej zarzutu, na przykład, że prowadzi nielegalne biuro pisania podań.

– Bierz pani! – mruknął tamten, wsuwając banknoty pod leżącą na stole torebkę – Nie ma co się bać! Tu nikt pani nie zakapuje!

Przychylny traf sprawił, że i ta sprawa została załatwiona pomyślnie. Mieszkańcy baraku osądzili, że pułkownikowa, chociaż „nieżyciowa”, ma dobrą rękę. Rewanżowali się różnie. Ktoś wręczył Zuzannie koszyczek dobrych jabłek. Ktoś inny wyładował z wielkim trudem zdobyty węgiel do komórki i nie chciał wziąć za to ani grosza. Jedna z kobiet wyraziła gotowość prania bielizny Kotwiczowej, widząc, jak Zuzanna boryka się z pożyczoną balią i tarą. Czy ktoś z jej obecnego otoczenia pamięta, jak wyglądała tara? Jak pożyczano sobie nawzajem wyżymaczkę?

Wracając o zmierzchu do miejsca zwanego „domem”, Zuzanna czuła się bezpiecznie. Stopniowo uwierzyła, że ani jej, ani Joli nie zaczepi żaden miejscowy łobuz; gdyby zaś próbowali to uczynić chuligani spoza baraków, zostaną prędko ukróceni. Ta świadomość pozwoliła jej znosić zarówno wieczorne hałasy, jak i nocne pijatyki, urządzone w pobliżu. – Żyłam wtedy jak koń, któremu ktoś założył klapki na oczy – stwierdza po latach. – Nie myślałam o przyszłości.

Myślałam tylko o dzieciach. Oddychałam lżej, wiedząc, że Jola nie doznaje w szkole szykan. W innych szkołach różnie bywało. Dzieciom skazanych w procesach politycznych często dawano do zrozumienia, że powinny wybić sobie z głowy jakiegokolwiek mrzonki o wyższych uczelniach. W liceum, do którego uczęszczała Jola, znalazł się jedyny na szczęście nauczyciel, który tonem fałszywej życzliwości próbował jej perswadować w obecności całej klasy:

– Kotwiczówna, po co ci ten ogólniak? Taka jak ty nie dostanie się ani na uniwersytet, ani na politechnikę. Nie lepiej by ci było iść gdzieś do pracy? Albo do zawodówki?

– Ja chcę się dalej uczyć! – Jola wypowiedziała te słowa przez zaciśnięte zęby, wytrzymując wzrok nauczyciela. Klasa milczała. Po dzwonku na pauzę, kiedy wychowawca znikł za drzwiami, Baśka, sąsiadka z ławki, objęła koleżankę ramieniem.

– Tylko nie rycz, Jolka! I nie przejmuj się tym bałwanem. Do matury jest jeszcze trochę czasu. W końcu na pewno coś się zmieni.

Lecz nie zmieniło się na razie nic. Zuzanna wciąż borykała się z losem. Jedyną pamiątką, którą chciała za wszelką cenę ocalić, była obrączka ślubna. Życie w prymitywnych warunkach, w baraku, gdzie wiatr hulał po korytarzach, a deszcz nieraz kapał przez dziury w dachu – to życie musiało odbić się na zdrowiu jej i dzieci.

W poprzednich latach obydwie dziewczynki były na ogół zdrowe. Po przymusowej przeprowadzce do baraków w ciągu półtora roku przeszły koklusz, odrę i ospę wietrzną. Co więcej, ospą zaraziła się od córek Zuzanna, choć tę chorobę przeszła w dzieciństwie, a według ogólnego przekonania powtórnie się na nią nie zapada. Od tego czasu zaczęła mieć kłopoty z oczami. Początkowo bagatelizowała te dolegliwości. Zmęczenie, nerwy, kiepskie światło – to były niektóre tylko powody coraz częściej nękających ją bólów oczu. Pracując w sklepie całymi dniami, dość długo nie mogła wykroić czasu na wizytę u doktora. Kiedy się wreszcie na to zdobyła, zapisano jej jakieś krople.

– To wygląda na zapalenie spojówek – powiedział lekarz, obejrzawszy jej załzawione źrenice i zaczerwienione powieki. – Zapiszę pani coś, co złagodzi pieczenie. Ale powinna pani iść do okulisty. Wypiszę skierowanie.

Okazało się jednak, że zdobycie numerka – to sprawa jednego dnia, a na czekanie w kolejnej poradni trzeba by poświęcić całe przedpołudnie, czyli jeszcze jeden dzień.

Krople pomogły doraźnie. Niebawem wszystkie poprzednie dolegliwości wróciły. Ból miał źródło w gałkach ocznych. Z nich rozszerzał się aż do skroni i powodował częste, męczące migreny.

Po kilku dniach w najbliższej aptece Zuzanna wykupywała na receptę witaminy, zalecone dzieciom. Farmaceutka знаła ją już z widzenia.

– Jak tam pani oczy? – zagadnęła.
– Różnie – odparła Zuzanna, zaskoczona okazaniem jej zainteresowaniem.
– Czasem lepiej, potem znów pobolewają. Robię okłady z rumianku. To trochę pomaga.

– Niech pani idzie do okulisty!

– Kiedy bardzo trudno się dostać – westchnęła Zuzanna.

W aptece o tej późnowieczornej porze nie było klientów. Pani magister jeszcze raz przyjrzała się uważnie przedwcześnie postarzałej kobiecie z drugiej strony lady.

– Dam pani adres spółdzielni lekarskiej. Tam nie trzeba tak długo czekać jak w państwowej przychodni, a płaci się znacznie mniej niż za prywatną wizytę.

Zuzanna postanowiła skorzystać z tej rady. Czowała się bowiem z dnia na dzień coraz gorzej. Kolejny nawrót migreny połączony był z atakami torsji.

– Musiałam się czymś struć – uspokajała córki, wiedząc, że to nieprawda.

Małomówna lekarka okulistka miała zmęczoną twarz, z której trudno było cokolwiek wyczytać. Obejrzała oczy pacjentki. Zadała kilka stereotypowych pytań.

– Co to może być, pani doktor?

– Nie mogę postawić diagnozy bez dokładniejszych badań. Tego nie da się tutaj przeprowadzić.

– Dlaczego?

– Brak odpowiednich aparatów. Musi pani zgłosić się do którejś specjalistycznej poradni, najlepiej przyszpitalnej.

– To konieczne? – wyjąkała Zuzanna, czując nagłą suchość w gardle.

– I czy... to długo potrwa?

– Badania potrważą na pewno około godziny, może trochę dłużej. Potem dopiero można będzie ustalić, co dalej. Na razie przepiszę leki, ale proszę pamiętać, że to tylko doraźne półśrodki. Gdzie pani mieszka?

Zuzanna wymieniła nazwę ulicy Projektowanej na obrzeżu miasta. Lekarka zmarszczyła brwi.

– To gdzieś daleko?

– Tak. Bardzo daleko. Na Kole.

– Nawet nie wiem gdzie to jest. Hm... . Najbliższa specjalistyczna poradnia...

– Lekarka przez chwilę kartkowała leżący przed nią spis. – Musi pani dowiedzieć się sama w rejonie.

Zuzanna wyobraziła sobie znowu walkę o numerkę, o dostęp do okienka, tłum w poczekalni – i niezadowoloną twarz kierownika sklepu, u którego musiała się zwałniać.

– Pani doktor, czy jakoś nie dałoby obyć się... ja już próbowałam, mam takie warunki, że bardzo trudno mi dać sobie radę!

Sądziła, że lekarka ją ofuknie, albo też powie: – Nie moja sprawa.

Tymczasem kobieta w białym kitlu spojrzała na druczek ze zgłoszeniem pacjentki do spółdzielni.

– Jak pani nazwisko?

– Kotwiczowa. Zuzanna Kotwicz.

– Kotwiczowa?...

Lekarka spojrzała uważnie na Zuzannę, o nic więcej jej nie pytając.

– Proszę przyjechać do Szpitala Praskiego, na oddział okulistyczny. Ja tam pracuję. Tu ma pani moje nazwisko i godziny, w których pani może się zgłosić. Na razie zapiszę krople i pabialginę. Ale powtarzam – to tylko półśrodki. Właściwy lek otrzyma pani dopiero po dokładnym przebadaniu.

Pani doktor... – znów ta nieznośna suchość w gardle! – Co to za choroba? Nowotwór?

– Nie, to nie nowotwór. Ale bez badań nie mogę postawić diagnozy. Konieczny jest spokojny tryb życia. Nie wolno pani się denerwować. Nie powinna pani dźwigać jakichkolwiek ciężarów. I bardzo proszę raz jeszcze: niech pani nie lekceważy tej choroby. Dziś mamy piątek. Najlepiej, żeby pani przyszła na badanie od razu po niedzieli.

Zuzanna podziękowała – i z ciężkim sercem ruszyła na Koło. Niedomówienia lekarki przysparzały obaw. Co się stało z twoimi oczami? – pytała samą siebie. „Konieczny jest spokój”, „nie powinna pani dźwigać jakichkolwiek ciężarów”. To przecież niewykonalne!

Nim zdążyła załatwić jednodniowe zwolnienie, obie dziewczynki rozchorowały się prawie równocześnie, tym razem na anginę. Mała znosiła ją lżej. U Joli nastąpiły powikłania. Zuzanna pielęgnowała córki, prowadziła je do przychodni, stała w kolejce z receptami. Owa poradnia przy Szpitalu Praskim czynna była w godzinach przedpołudniowych, kiedy najtrudniej się było wyrwać. Tymczasem bóle głowy i oczu powróciły ze spotęgowaną siłą.

Jola zdecydowała za matkę.

– Nie możesz tak się męczyć! Musisz iść tam, gdzie cię skierowali.

– Jak mam was zostawić z tą gorączką?

– Przecież nic nam się nie stanie. Trzeba, żebyś się w końcu wzięła za siebie!

Jeszcze raz wykołatała zwolnienie. Nazajutrz obudziła się z fatalnym samopoczuciem. Oczy pulsowały kłującym bólem. Jola miała rację: nie wolno dłużej zwlekać.

Droga z baraków do Szpitala Praskiego trwała prawie półtorej godziny. Budynek szpitalny wyglądał posępnie. Przy okienku w izbie przyjęć stała kolejka, ale nieduża.

– Pani gdzie mieszka? To nie nasz rejon – stwierdziła rejestratorka, ledwie rzuciwszy okiem na legitymację Zuzanny.

– Ale ja... ja jestem umówiona z doktor Strzelińską – Zuzanna podsunęła

karteczkę z nazwiskiem lekarki.

– Nie ma jej dziś. Chyba jest chora. Niech pani przyjdzie kiedy indziej.

– Kiedy ja... ja bardzo źle się czuję! – wyjąkała Zuzanna, bojąc się, że nie starczy jej sił, aby przyjść powtórnie.

– A co pani właściwie jest?

– Bóle oczu... coraz silniejsze.

– No, to jak pani była umówiona, niech pani jedzie na trzecie piętro – głos rejestratorki brzmiał nieco łagodniej. – Tam jest okulistyka. Może panią przyjmie doktor Januszewicz. Albo doktor Radzimirska.

– Januszewicz, albo Radzimirska – powtarzała Zuzanna, idąc we wskazanym kierunku.

Przysadzista, siwa kobieta, robiąca zawzięcie na drutach, spytana o windę, wskazała kierunek.

– Na prawo, trochę dalej. Pani na okulistykę? Wizyty nie o tej porze. Od piętnastej.

– Ja jestem umówiona...

– Znaczą się na konsultację. To niech pani idzie. Kobieta pochyliła się znowu nad robótką. Druty zamigotały w jej rękach.

Ławka na korytarzu zdawała się być bezpieczną przystanią na kilka najbliższych chwil. Zawrót głowy, którego doznała Zuzanna, był tak silny, że musiała usiąść. Siostra oddziałowa właśnie wyszła z pokoju pielęgniarek. Kazała Zuzannie poczekać.

– Doktor Radzimirska teraz ma zajęcia ze studentami. Potem na pewno panią przyjmie. Co pani jest? – spytała, widząc odruchowy skurcz bólu na twarzy Zuzanny.

– Kręci mi się w głowie. I oczy boją... jak gdyby coś je wysadzało.

– Proszę usiąść i oddychać głęboko. Zaraz dam jakieś krople. Często ma pani takie bóle?

– Ostatnio tak.

– Dobrze, że pani przyszła. Oczy to oczy, nie ma z nimi żartów! Proszę to wypić.

Po kroplach Zuzanna zapadła w odrętwienie, podobne do półsnu. Ocknęła się, słysząc pytanie:

– Pani do mnie?

Jeszcze teraz, po trzydziestu latach, widzi wciąż wyraźnie, jak na ekranie, tamtą scenę. – Ludzie mówią nieraz o przecuciach – rozważa, wpatrzona w mrok letniej, księżycowej nocy. Ja też je niekiedy miewam. Mówią o przeznaczeniu. Do głowy by mi jednak wówczas nie przyszło, że kobieta w białym kitlu, stojąca naprzeciw, będzie uosabiać przeznaczenie.

Śmiała się, ilekroć jej to później mówiłam. Nie mogłam wtedy oczywiście

odgadnąć, kim stanie się dla mnie okulistka, którą ujrzałam pierwszy raz w życiu – ona i jej najbliżsi. Jak wtedy wyglądała?

Szpitalny fartuch pachniał lekarstwami. Krótko przycięte ciemne włosy, gładka cera, zgrabna sylwetka. Młodzieńczy blask brązowych oczu zachowała do dziś. Należąc do pokolenia rówieśnego Zuzannie, wcale nie wyglądała na przekroczoną już wówczas czterdziestkę.

– Pani pozwoli ze mną. Proszę usiąść. Słucham.

Przy pierwszych, dość nieskładnych słowach Zuzanny zajrzała do notatnika leżącego na metalowym blacie biurka.

– Ja bardzo przepraszam... Doktor Strzelińska mówiła mi, że...

– Pani jest pacjentką, która miała przyjść na konsultację? Wszystko w porządku. Ja się panią zajmę. Doktor Strzelińska choruje, ale wiem, o co chodzi. Proszę chwilę poczekać. Załatwię jeszcze jednego pacjenta. To nie potrwa długo.

Znacznie później Zuzanna dowiedziała się, że nieobecna tego dnia doktor Strzelińska pozostawiła dwojgu kolegom wiadomość, że w najbliższych dniach zgłosi się zapewne pacjentka nazwiskiem Kotwicz.

– To krewna tego skazanego w procesie? – pytali.

– Nie wiem, nie chciałam wypytywać. Sądząc z wieku – chyba żona. Ale może to jakaś przypadkowa zbieżność nazwisk?...

– Niewykluczone. Mieszka gdzieś na peryferiach Warszawy. Żyje w ciężkich warunkach, to widać. Jeżeli będziesz na dyżurze, Oleńko, zajmij się nią, bardzo proszę.

– Oczywiście. A co przypuszczasz? W spółdzielni nie ma porządnej aparatury, a sprawa jest chyba poważna...

O tym wszystkim nie wie Zuzanna Kotwiczowa, badana w pewien jesienny dzień roku 1952 przez doktor Aleksandrę Radzimirską.

– Dawniej nie miewała pani takich bólów?

Zuzanna zaprzeczyła.

– Nie potrzebowałam okularów, ani na ulicy, ani do czytania. Dopiero od kilku miesięcy...

Przez chwilę miała wrażenie, że lekarka chce ją o coś zagadnąć. Nie padło jednak żadne pytanie, tylko słowa:

– Proszę usiąść i uzbroić się w cierpliwość. To musi trochę potrwać.

Ostre światło lamp zdawało się do głębi przewiercać źrenice. Spokojny głos powtarzał:

– Proszę patrzeć prosto... Nie mrużyć oka... W górę... Teraz w dół. Natrętna lampa zgasła wreszcie. Zuzanna poczuła ulgę.

– Proszę chwileczkę odpocząć. Teraz pani się położy – o, tutaj. Lekarka wskazała kanapę z ceratowym przykryciem.

– Co to będzie, pani doktor?

– Nic strasznego. Muszę sprawdzić ciśnienie w gałce ocznej. To nie jest bolesne, tylko trochę nieprzyjemne. Ale oczy będą znieczulone. Proszę patrzeć do góry...

Lekkie pieczenie zapuszczanych kropli. Potem do gałek ocznych przyłożony został maleńki aparacik. Między lekarką a pielęgniarką stojącą w pobliżu zaczęła się wymiana słów, których znaczenia pacjentka nie pojmowała. Były to jakieś liczby. Co oznaczały?...

W pewnej chwili Zuzannie wydało się, że w głosie pielęgniarki brzmi zdziwienie lub zaskoczenie.

– Powtórzmy raz jeszcze, pani doktor?

– Nie – odparła lekarka. – Przecież widać wyraźnie.

Do gabinetu wszedł szpakowaty mężczyzna w białym kitlu. Widocznie był to kolega doktor Radzimirskiej: oboje zwracali się do siebie po imieniu. Wymienili między sobą fachowe medyczne spostrzeżenia, posługując się terminami, które dla Zuzanny brzmiały jak niezrozumiała abrakadabra. Wreszcie doktor Radzimirską skinęła na Zuzannę.

– Może pani wstać. Przejdziemy do ciemni. Zbadamy pole widzenia.

Lekarka ujęła Zuzannę pod ramię i przeprowadziła do sąsiedniego pomieszczenia. W półmroku połyskiwały metalowe instrumenty i aparaty. Pacjentka usiadła na wskazanym miejscu, mając przed oczyma półkolisty wgłębiony ekran, prześwietlony widmowym sinym blaskiem. Pośrodku srebrzystego półkola wyraźną plamą odcinał się ciemny krążek.

– Będzie pani patrzeć na to kółeczko najpierw lewym okiem, potem prawym – objaśniała lekarka. – Drugie oko pozostaje w tym czasie zasłonięte. Obok ekranu jest mały dzwoneczek. Znalazła go pani? Dobrze. Na ekranie pojawi się srebrny punkt. Gdy go pani dostrzeże, proszę od razu nacisnąć guziczek dzwonka. To wszystko. Proste, prawda?

– Tak.

– Najpierw zrobimy małą próbę, żeby sprawdzić, czy aparat działa, jak należy.

Na błękitnym tle mignął srebrny punkt. Natychmiast pod palcem Zuzanny odezwał się dzwoneczek.

– W porządku.

Doznała niejasnego wrażenia, że to już kiedyś było. Świetlisty punkt pojawił się na mrocznym tle nocnego nieba – i znikł bez śladu w przestworzach. Lato w leśniczówce... Wiedziała już wtedy, że czeka ją powtórne macierzyństwo. Cieszyła się – lecz zarazem bała się tego, co nastąpi. – Zobaczysz, wszystko będzie dobrze – mówiła Wanda, leśniczyna. Samo brzmienie jej spokojnego głosu działało krzepiąco. – Jak tylko urodzisz i trochę odchowasz twoje maleństwo, wojna się skończy.

Siedziały wtedy na ganku starego domu – tego samego domu, w którym teraz się znalazła – rozmawiając do późna. Z sierpniowego nieba spadały gwiazdy...

– Zaczynamy!

Srebrny punkt mignął i pojawił się prawie natychmiast, wyraźny i łatwo dostrzegalny. Zuzanna zareagowała błyskawicznym sygnałem dzwonka. Świetlista kropka znikła – i wyskoczyła na samym dole ekranu. „To naprawdę proste – pomyślała z ulgą. – I widzę to światełko całkiem dobrze!” Jednakże tropienie wzrokiem srebrzystego punktu stawało się coraz trudniejsze. Pojawiał się bardzo nisko lub na samej górze półkolistego ekranu. Podczas parosekundowej pauzy Zuzanna odgadywała milczące wyczekiwanie lekarki. Raz i drugi desperackim ruchem nacisnęła dzwonek, choć w rzeczywistości nie dostrzegła nic. Raz i drugi doktor Radzińska spytała:

– Nie widać? Króciutka przerwa dla odpoczynku – i badamy tak samo drugie oko. Jeśli pani nie dostrzega punkciku, nie trzeba naciskać guzika.

Zuzanna poczuła się trochę jak skarcone dziecko i już nie próbowała zgadywać na chybił trafił. Srebrne światełko tańczyło po ekranie. Podpływało do czarnego krążka i znów umykało. Kolejna chwila kłopotliwej ciszy. Nie widać nic. Ułga – jest! Krótki, urwany sygnał dzwonka. I znowu nic...

– To byłoby wszystko. Na razie dziękuję – powiedziała lekarka. Owo „na razie”, wypowiedziane po krótkiej pauzie, wzbudziło niepokój.

– Pani doktor, co mi jest? Czy to jakiś guz, nowotwór? Proszę, niech mi pani powie prawdę!

Lekarka sięgnęła do kontaktu. Pokój wypełnił się niezbyt ostrym światłem.

Droga pani... pani Zuzanno... Ładne imię, takie niedzisiejsze. Nic nie będę ukrywać, bo sprawa jest poważna. To nie nowotwór, tym niech pani sobie nie zaprzęta głowy. To jaskra w ostrej formie. Może nawet lepiej z dwojga złego, że tak silnie dała znać o sobie.

– Przepraszam, ale ja... ja nie bardzo rozumiem...

– Nasilenie objawów pozwala stwierdzić chorobę. Doktor Strzelińska przypuszczała, że pani na to cierpi. Nie chciała jednak stawiać diagnozy bez gruntownego przebadania. Teraz już mamy pewność. Z łagodniejszą odmianą jaskry pacjent może chodzić latami, nie wiedząc, że ją ma. Aż do momentu, kiedy następują zmiany nieodwracalne.

– To znaczy?

– Utrata wzroku – odparła lekarka. – Niezdiagnozowana w porę i nieleczona jaskra powoduje ślepotę.

Szum w uszach. Ciemne płatki wirują przed oczyma. Ślepotą, nie zobaczę nic. Ani twarzy dzieci, ani zieleni, ani ulic miasta. Biała laska. Świat pograżony w mroku na zawsze. Lekarka coś mówi. Zuzanna zrozumiała jedno słowo:

operacja.

– Pani doktor, na czym właściwie polega ta choroba?

Z trudem pojmowała sens wyjaśnień: podwyższone ciśnienia w gałce ocznej, utrudniony odpływ cieczy wodnistej...

– W pani przypadku to ciśnienie jest tak wysokie, że prawie już brakowało miejsca na skali aparatu. To wskaźnik ostrego nasilenia choroby. Powtórzyliśmy badanie, żeby mieć pewność.

– Z czego powstaje ta choroba?

– Trudno powiedzieć. Mogą być uwarunkowania genetyczne. Czy ktoś z pani rodziny nie chorował na to? Ojciec lub matka?

– Nie wiem. Rodzice od kilku lat nie żyją. Owszem, oboje nosili okulary – ale nie przypominam sobie, żeby któreś z nich miało takie dolegliwości jak ja.

– Inny częsty powód występowania jaskry to nerwy. Silne wstrząsy, ciężkie przeżycia...

– Tego mi nie brakowało – rzekła Zuzanna. – Nie brakowało – powtórzyła. I w obawie, żeby nie powiedzieć zbyt wiele, dodała: – Zdawało mi się... słyszałam, albo czytałam, że to choroba ludzi w bardzo podeszłym wieku.

Lekarka spojrzała na kartę z nazwiskiem pacjentki. Odczytała jej wiek. Czterdzieści lat. I siwe włosy.

– Kiedyś tak rzeczywiście uważano. Ale okazuje się, że teraz, zwłaszcza po wojnie, granica wieku w różnych chorobach, przesunęła się daleko w dół. Zdarza się, że jaskra atakuje ludzi nawet poniżej trzydziestki. Ale nie ma co się nad tym zastanawiać. Trzeba ratować pani oczy, póki czas. Konieczna jest operacja.

– Operacja?! Może jakieś leki, zabiegi?

– Nie. Łagodniejsze formy jaskry są leczone ambulatoryjnie. I tak przeważnie do czasu. W pani wypadku – im prędzej, tym lepiej. Widziała pani mojego starszego kolegę, który przyszedł podczas badania? To doświadczony lekarz, doskonały chirurg. On też był zdumiony, że pani ma aż tak wysokie ciśnienie, i powiedział mi potem, że koniecznie trzeba przeciwdziałać. I to szybko. Najchętniej zatrzymałabym panią od razu w szpitalu.

– Teraz? Od razu? Ja tak zaraz nie mogę! – przestraszyła się Zuzanna. – Muszę się jakoś przygotować! Ja przecież...

– Rozumiem. Dom, rodzina – prawda? Ale bardzo proszę nie zwlekać! Dla pani własnego dobra.

– A miejsce w szpitalu?

– Znajdzie się, zwłaszcza... – Radzińska urwała na moment – zwłaszcza dla pacjentki z tak ostrą jaskrą. Proszę zadzwonić, jak tylko będzie pani gotowa. Wyrwała kartkę z notatnika, sięgnęła po wieczne pióro.

– Radzę nie odkładać tego. Niech pani się nie boi operacji. Jeśli tylko wykonamy ją w porę, na pewno wzrok będzie uratowany.

Zuzanna ocknęła się na ławce, wilgotnej po niedawnym deszczu. Ktoś obcy zatrzymał się przed nią i spytał: – Czy pani słabo? Może coś pomóc?... Zaprzeczyła, podziękowała i dźwignęła się, zmierzając w stronę przystanku. Natrętnym echem wracało przypomnienie ostrzegawczych słów lekarki: – Niech pani nie zwleka!

Tego samego dnia...

„ – Jak dobrze w domu, Oleńko! – docent Stefan Radzimirski westchnął z ulgą, zapadając w głęboki fotel. Sięgnął po filiżankę z ciemną, aromatyczną herbatą – kawę pił wyłącznie w szpitalu – i zapalił papierosa. Żona przyjmowała to zazwyczaj z dezaprobatą. Tym razem jednak nie robiła żadnych uwag.

– Wiesz, jaka pacjentka przyszła do mnie dzisiaj?

– Skąd mogę wiedzieć? – docent najpierw się uśmiechnął, lecz od razu spoważniał. – No, powiedz! Widzę, że to coś ważnego.

– Kotwiczowa. Na imię ma Zuzanna.

– Kotwiczowa? Żona „Juranda”?

– Tak. To znaczy wdowa po nim.

– Na pewno ona? Skąd się wzięła?

– Trafiła do spółdzielni, gdzie pracuje Zosia Strzelińska. Zosia zwróciła uwagę na to nazwisko. Nie mogła jej pomóc, bo tam prymityw kompletny, jeśli chodzi o aparaturę. Kazała jej zgłosić się do szpitala. Zadzwoiła do kogoś z dawnych kumpli, kto znał oboje Kotwiczów, i ten facet potwierdził, że żona „Juranda” ma na imię Zuzanna. Niemożliwe, żeby to był ktoś inny. Zosia leży chora na gripę, ale prosiła mnie, żeby zająć się tą Kotwiczową, jeśli przyjdzie, bo wygląda to na przypadek poważny. I miała rację.

– Co jej jest?

– Jaskra w ostrej formie. Trzeba operować. I tak dobrze, że przyszła jeszcze w porę. Zobaczymy tylko, co z sercem.

– Rozmawiałś z nią? Jak jej się żyje po tym nieszczęściu?

– Stefan, przecież widziałam ją pierwszy raz w życiu! Jest zamknięta w sobie, nieufna... No, nic dziwnego!

– Nic dziwnego – zgodził się. – A gdzie mieszka?

– Daleko, na peryferiach. Na Kole.

– Słyszałem, że rodziny skazanych w tych procesach zeszłorocznych wysiedlono. To by się zgadzało. I nie mówiła nic więcej?

– Nie. Napomknęła o dzieciach. Wygląda na to, że jest jej bardzo ciężko.

– W takiej sytuacji żonie „Juranda” coś się należy od nas. Od tych, co go znali. Kiedy ma przyjść do szpitala?

– Kładłam jej w głowę, że powinna być operowana jak najprędzej. Chyba rozumiała... Myślę, że wkrótce się zjawi.

Zuzanna nie zgłosiła się do Szpitala Praskiego ani nazajutrz, ani w dniach

następnych. Doktor Aleksandra Radzimirska powiadomiła izbę przyjęć, aby dać jej znać natychmiast, gdy tylko zgłosi się pacjentka o tym nazwisku. Telefon dzwonił często, lecz ani razu nie zabrzmiał w nim głos Kotwiczowej.

Chwilami energiczną lekarzkę ogarniała irytacja. „Powiedziałam jej przecież, że dla własnego dobra nie powinna zwlekać. Kobieta inteligentna, rozumna, więc dlaczego tak lekceważy własne zdrowie!? No, trudno – ja zrobiłam przecież wszystko, co do mnie należało!”

Ale w chwilę później Ola Radzimirska zreflektowała się – i ogarnął ją niepokój. Śmieszne: przecież to był niepokój o kogoś obcego!

Wciąż miała w pamięci twarz tej kobiety ze śladami dawnej urody. Jej suknia, którą raczej można by nazwać sukienką; spłóviały, sfilcowany sweter, wykrzywione buty. Ręce zaczerwienione, zniszczone. I jakaś trudna do określenia cecha w zachowaniu, w sposobie bycia: jak gdyby wciąż usiłowała przed czymś lub kimś się bronić.

W rodzinie i otoczeniu Radzimirskich żyła zarówno wojenna legenda „Juranda”, jak i wspomnienie jego procesu. Ów proces przeciw kilkunastu oficerom był zresztą tak silnie nagłośniony w prasie i radiu, że trudno go było nie zapamiętać. Ola zetknęła się tylko raz z „Jurandem” podczas okupacji.

Stefan Radzimirski natomiast znał go dobrze. Rozmowom, które prowadzili na ten temat z żoną we dwoje, w cztery oczy, nie dzieląc się ich treścią z nikim postronnym, towarzyszył lęk i troska. Jak można było skazywać na najwyższy wymiar kary ludzi niewinnych?

Bo przecież w zarzuty stawiane „Jurandowi” i współoskarżonym nikt rozsądny nie wierzył. Zbyt dobrze znano tych ludzi z ich odwagi i patriotyzmu. Czym wobec tego był ów cały odrażający proces? Tragiczną, a zarazem zbrodniczą pomyłką? Czy też etapem planowego, świadomie zamierzonego wykańczania dawnej, przedwojennej kadry oficerskiej?

Radzimirska nie dawała poznać po sobie, jak bardzo obawia się o męża. Przez całą wojnę uczestniczył w konspiracyjnej akowskiej służbie zdrowia. Brał udział w powstaniu; po jego upadku działał w szpitalach podwarszawskich. Był znanym chirurgiem, pracował naukowo, poważano go i ceniono. Czy te wszystkie atuty potrafią go ochronić, jeśli zagrozi mu niebezpieczeństwo fałszywych oskarżeń?...

Na razie robił swoje. Troszczył się o dawnych towarzyszy broni oraz ich rodziny. Nie zdziwiła się więc, że dwukrotnie spytał:

– Jak z tą „Jurandową”? Nie zjawiała się u was w szpitalu?

Usłyszawszy z ust żony powtórne zaprzeczenie, zastanowił się przez chwilę.

– Stefan – Ola pierwsza przerwała milczenie. – Nie sądzisz, że powinnam jej poszukać?

– Tak właśnie myślałem. Może choruje i dlatego nie zdołała przyjść?

- Niewykluczone.
- Masz jej dokładny adres na tym Kole?
- Mam.
- Zawiózłbym cię tam, choćby dziś, ale mnie czeka to sympozjum w Łodzi.
- Wezmę taksówkę i zobaczę, co tam się dzieje.
- Tylko zatrzymaj taksówkę, żebyś miała stamtąd czym wrócić.

Następnego dnia starszy syn Radzimirskich, Krzysztof, zastał matkę pilnie studiującą plan okolicy Warszawy.

Dokąd się wybierasz?

Na ulicę Dziesiątą Projektowaną. Nie mieli widocznie jak jej nazwać.

A gdzie ma być taki dziwoląg?

Gdzieś na Kole. Strasznie daleko.

Pochyliwszy się nad planem, dość szybko znalazł miejsce, którego szukała matka. Zdziwiła się.

– Skąd ty masz takie rozeznanie w tych peryferyjnych dziurach?

– Powiedzmy, że z przypadku. Wie się różne rzeczy. Ale co ciebie niesie aż tam?

– Mam tam pacjentkę. Nie zjawiała się w szpitalu, a była w stanie takim, że chciałabym ją zobaczyć.

– No, to ja cię mogę zawieźć.

Krzysztof mówił to bardzo serio.

– Lepiej, żebyś tam się sama nie szwendała. A taksówkarz albo nie będzie chciał czekać, albo zedrze z ciebie skórę. Kiedy się chcesz wybrać?

Jak najprędzej. Choćby jutro.

Nazajutrz zapakowali się do „dekawki”, którą Radzimirscy mieli od pół roku. Normalne ulice pozostały daleko w tyle. Z obu stron drogi rozpościerał się podmiejski pejzaż, smutny i przygnębiający. Jakieś nędzne chałupy sąsiadowały z zapyziałymi murowanymi domami. Otaczały je garbate płoty i krzywe parkany. Warszawa – nawet po zniszczeniach wojennych, których wciąż w niej było wiele – stąd wydawała się odległą metropolią. Krzysztof, dopiero od dwóch miesięcy posiadacz prawa jazdy, skupił całą uwagę na prowadzeniu wozu. Ola z planem w ręku patrzyła na te ni to wsie, ni to osiedla, a raczej beładne skupiska ludzkich siedzib. Ten widok porażał brzydota.

– Dobrze jedziemy?

– Na pewno. Jesteśmy właściwie na miejscu. Ta niby ulica to właśnie Projektowana któraś tam, chyba dziesiąta. Już widać baraki.

– Byłeś tutaj? – zdziwiła się Ola. Syn nie odpowiedział. U krańca tej, jak ją określił, „niby-ulicy” widniały parterowe budynki – niskie i długie.

Dzieci bawiące się na pobliskim ugorze, zwabione widokiem samochodu, biegły za nim z wrzaskiem. Niektóre, najśmielsze, usiłowały się go czepiać.

Krzysztof zwolnił biegu i zahamował.

– Myślę, że lepiej będzie, jak pójdiesz tam sama – rzekł. – Ja zaczekam. To są właśnie te baraki.

Radziwirska zwróciła się do trzech umorusanych chłopaczków, którzy obmacywali tył samochodu.

– Barak D, to będzie z której strony?

– A pani do kogo? – zagadnął szczerbaty chłopak o niedziedzinie bystrych oczach.

– Do pani Kotwiczowej.

– Do pani Kotwiczowej? To ta pułkownikowa. Zaprowadź, Zenek!

Polecenie wydane zostało zakatarzonemu piegusowi, który potruchtał wzdłuż baraków. Coś jakby obóz – stwierdziła lekarka, przyspieszając kroku, aby nadążyć za malcem. W Warszawie bardzo wielu ludzi gnieździło się jeszcze w ruinach. Jednak te liche budy, sklecone byle jak, wyglądały bardziej przynębiająco niż ruiny stolicy.

Tu jest barak D – oznajmił malec, pociągnąwszy po raz kolejny nosem. – A do pani pułkownikowej, to trzecie drzwi na lewo.

– Dziękuję – rzekła Ola. – Masz tu na cukierki! – wetknęła małemu do ręki parę drobnych monet. – Przydałaby ci się aspiryna.

– Eee tam! Złego diabli nie wezmą! – odparł jak dorosły i ruszył pędem w kierunku drogi. Biegając, gwizdnął tak przeraźliwie, że lekarka aż podskoczyła. Śmiejąc się z samej siebie, weszła na korytarz oświetlony kiepską, upstrzoną przez muchy żarówką. Panował tu odór kiszzonej, stęchłej kapusty, gotowanej kaszy, brudnych ścierek – i biedy.

Zapukała do wskazanych przez malca drzwi.

– Proszę! – odpowiedziano z wnętrza.

Drzwi skrzypnęły – i doktor Radziwirska znalazła się w izbie sporej, lecz ponurej. Panował w niej półmrok; okna, choć dwa, były tak małe, że światło dzienne ledwie przedostawało się do środka.

W głębi paliła się niewielka lampa osłonięta żółtym papierowym abażurem. Na kołkach wbitych w ścianę blisko drzwi wisały jakieś okrycia. Sprzętów było niewiele: stół, trzy krzesła, komoda, kiedyś pięknie fornirowana, obecnie mocno zniszczona. Na stole zeszyty i książki. Obok żeliwnej płyty węglowego pieca stała kuchenna szafka. W izbie znajdował się również tapczan i dwa rozstawione polowe łóżka. Pośrodku stała Zuzanna, najwidoczniej oderwana od jakichś domowych zajęć – miała bowiem na sobie fartuch i zakasane wysoko rękawy bluzki. Rozszerzonymi zdumieniem oczyma wpatrywała się w nieoczekiwanego gościa.

– Pani doktor?! Pani tutaj?

– Ano, właśnie. Jak góra nie przyszła do Mahometa, to Mahomet idzie do góry!

Te słowa, pobrzmiewające sztuczną wesołością, zabrzmiały jak dysonans. Ola wyczuła to – i pospiesznie zmieniła ton:

– Myślałam, że może ma pani jakieś kłopoty. A z tą operacją, tak jak pani mówiłam, nie można zwlekać.

Dopiero teraz ujrzała twarze dwóch dziewcząt. Jedna z nich mogła liczyć około szesnastu lub siedemnastu lat; druga była młodsza i wyglądała jeszcze całkiem dziecinnie.

– Przepraszam, że nie przyszłam. Ale nie mogłam! Naprawdę nie mogłam!

Podniesiony głos Zuzanny brzmiał zbyt donośnie. Zniżyła go, jak gdyby przytomniejąc:

– Przepraszam – powtórzyła. – Ale sama pani widzi... One obydwie chorują. Gorączka wciąż się trzyma. Nie mam ich z kim zostawić.

– Rozumiem – odparła lekarka. – Tylko...

Przez krótką chwilę trwała cisza, w której zawisły jakieś niedopowiedziane słowa.

– To pani doktor? – spytała Jola. – Mama była niedawno u pani w szpitalu?

– Tak! – powiedziała matka. Ale czemu pani nie siada? Proszę bardzo! Zaraz wszystko wytłumaczę.

Przerywanym głosem wyjaśniała, że choroba – jak to się mówi – nie chce wyjść z ich domu. Od trzech tygodni córki mają anginę. Starsza przechodzi ją ciężiej, z powikłaniami.

– Czy był lekarz?

– Na to odludzie żaden lekarz nie przyjdzie.

– A pogotowie?

– Czasem przyjeżdża, ale tylko w przypadkach szczególnie krytycznych, kiedy ktoś już kona. Za mojej pamięci zjawilo się jeden jedyny raz, z milicją, po jakiejś wielkiej miejscowej awanturze, kiedy poszły w ruch noże. Do najbliższej rejonowej przychodni kawał drogi. Owszem, byłam z nimi, najpierw z jedną, potem z drugą. Leki im pomogły. Ale spadła wtedy na zewnątrz temperatura i tu od razu wewnątrz zrobił się straszny ziąb. I nastąpiło to, co nasze matki nazywały „przeziębieniem przeziębienia”. Dziewczynki znowu zachorowały. Zatelefonowałabym do pani doktor, dlaczego nie mogę się zgłosić, ale stąd nie ma żadnej możliwości, żeby zadzwonić. Tam, gdzie pracuję, też nie...

– Rozumiem – powiedziała Ola Radzimirska. – Co prawda gardło to nie moja specjalność. Ale obejrzę cię przy okazji, córeczko – te słowa skierowane były do Joli. – Może pani dać mi jakąś łyżeczkę?

Poprzez prawie trzy dziesiątki lat przyplływa echem to słowo: „córeczko”, sprowadzając bezwiedny uśmiech na twarzy Zuzanny, zapatrzonej w przeszłość. Teraz również Ola często zwraca się do Joli tak właśnie. Czy mogła odgadnąć, że to chore, zabiedzone stworzenie z baraku na odległych peryferiach zostanie jej

synową?

Srebrzysty błysk – mignęła w blasku lampy łyżeczka, o którą poprosiła doktor Radzińska, aby zajrzeć do gardła Joli.

– No, tak. To angina – potwierdziła. – Czy mogę z tego zainfekowanego domu brać ją do szpitala? – pomyślała o Zuzannie. Ale jeżeli operacja znów się odwlecze, to przecież z oczami tej kobiety będzie naprawdę źle!

– A pani jak się czuje? – spytała. – Oczywiście mam na myśli gardło i drogi oddechowe.

– Jakoś mnie to nie złapało – Zuzanna zmusiła się do uśmiechu, który wypadł bardzo blado.

– A oczy?

– Mama wciąż ma bóle oczu i głowy, tylko się do tego nie przyznaje – wtrąciła Jola. – Pani doktor, czy... czy konieczna jest operacja? Pani mówiła...

– Tak, kochanie. Wzrok mamy jest zagrożony – Radzińska zdecydowała się nie ukrywać prawdy wobec tej dziewczynki wpatrzonych w nią poważnie i badawczo. – Ale tej operacji nie trzeba się bać. Udaje się prawie zawsze, jeżeli w porę jest zrobiona.

– Tyś nic nie powiedziała, mamuś! – w słowach Joli brzmiał ton wymówki.
– Ani słowa!

– Bo nie chciałam was martwić – usprawiedliwiała się Zuzanna. Jesteście przecież chore!

– Nieważne – przecięła lekarka. – Teraz mama musi jak najprędzej iść do szpitala.

Zuzanna rozłożyła ręce bezradnym ruchem. Mój Boże! – szepnęła. Ale zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, ktoś energicznie zapukał do drzwi. Otwarto je z rozmachem. Do pokoju wkroczyła tęga, niemłoda kobieta w grubej, kraciastej spódnicy i wytartym serdaku, narzuconym na sweter.

– Dobry wieczór, pani Kotwiczowa. Mleko niosę i parę jabłuszek. Oj, chyba nie w porę przyszłam. Pani ma gościa?

– Ależ nie, pani Zosiu. Moja sąsiadka – powiedziała do Radzińskiej.
– Powinnam iść do szpitala na operację – te słowa zwrócone były do przybyłej.

– Na operację? Zdziwiła się kobieta. – A co pani jest, że tak nagle?...

– Oczy.

– Ano, tak – przecież panią ciągle głowa boli, to pewnie z tego. I tak zaraz, już?

– Im prędzej, tym lepiej – potwierdziła lekarka.

– Właśnie pani doktor przyjechała...

– No, to co się pani namyśla? Trzeba to trzeba, mus to mus. Jak już sama pani doktor aż tu się fatygowała... A do którego szpitala?

– Do Przemienienia. Na Pradze – odparła Radzińska.

– I miejsce tam będzie? Bo o to pewnie trudno?
– Będzie.
– To trzeba się zbierać. Jak to pilne, a miejsce jest, nie ma na co czekać.
– Ale jak ja dzieci same zostawię?! Obydwie chorują!
– Spokojna głowa! Przecież im już lepiej. Irenka raźniejsza, tylko Jola wciąż nie może wydobrzyć. Ja tu do nich będę co dzień zaglądać, i Łazarska też. Jeść im damy, krzywdy nie zrobimy, nich się pani nie boi. Dopilnuję, żeby nigdzie bez potrzeby nie wylaziły.

– Dziękuję, ale przecież...
– Niech już pani nic nie mówi! Pójdę do sklepu, to nam i pani dzieciom kupię to, co trzeba.

– Pani Zosiu, dziękuję bardzo, ja... Za mleko zaraz zapłacę!
– Policzymy się później. Nie ma sprawy. Do widzenia pani doktor, kłaniam się. Niech pani ratuje naszą pułkownikową, bo warta tego. A pani niech sobie niczym głowy nie łamie, pani Kotwiczowa. Jeszcze tak nie jest, żeby człowiek człowiekowi nie pomógł.

Przez chwilę po jej wyjściu panowało milczenie. Wreszcie Jola uniosła się i oparła na łokciach, chcąc coś rzec. Lecz pierwsza zabrała głos Ola Radzimirska:

– Na mnie już czas. Zrobimy tak, pani Zuzanno: jutro pani pozalätwia swoje sprawy. Zostawiam pani skierowanie do szpitala. Dobrze, że je zabrałam ze sobą. Nie będę tu mogła przyjechać, ale załatwię przysłanie sanitarki. Kierowca odwiezie panią do szpitala. Myślę – dodała po krótkiej pauzie – że na pani sąsiadkach można polegać.

– A czy mama... czy mamy długo nie będzie? – odezwała się ze swojego łóżka młodsza córka Zuzanny.

– Około trzech tygodni – lekarka nie chciała ukrywać prawdy. Oczy są bardzo delikatne. Muszą się wygoić po operacji.

– I mamusia... mamusia będzie widzieć?
– Cicho bądź! – ofuknęła siostrę Jola.
– Ależ będzie! Oczywiście, że będzie! – uspokoiła małą Radzimirska.
– Właśnie o to chodzi, żeby widziała. Po to zrobimy operację. Tylko wy musicie przez ten czas być rozsądne, żeby mama się o was nie martwiła.

– Idę – wstała. – Jesteśmy umówione. Tak?
– Odprowadzę panią, bo już się ściemniło – Zuzanna narzuciła na ramiona grubą, ciepłą chustę i sięgnęła po latarkę elektryczną.

– Niech pani zostanie! Syn czeka na mnie w samochodzie.
– Pani doktor, ja tu znam każdy kąt i każdą ścieżkę. Potrafię się poruszać nawet po omacku.

– Dawno pani tu mieszka? – spytała Ola, zniżając głos. Szły wzdłuż baraku ścieżką, którą rzeczywiście trudno byłoby dostrzec pośród mroku.

– Prawie dwa lata. I tak mi powiedzieli, że powinnam się cieszyć...

– Z czego?!

– Że mnie zostawiają bądź co bądź w Warszawie. Tak mówili ci z kwaterunku. Może to byli zresztą z UB, sama nie wiem – te słowa Zuzanna wymówiła prawie szeptem. – Bo takich jak my... to znaczy rodziny... przeważnie usuwano z miasta. Po prostu wysiedlano. Gdzieś daleko, na ziemię zachodnie, albo na północ. Tyle wskórałam, że nas zostawili. Nie chciałam... poza Warszawę – mówiła urywanym głosem. – Gdzie indziej byłoby jeszcze gorzej...

Wzrokiem przywykłym do ciemności Radzimirska dostrzegła syna przy aucie. Stał oparty o maskę wozu.

– Nie wiem... nie wiem, jak mam pani dziękować...

– Żadnych podziękowań! – odparła Ola stanowczo. Pojutrze niech pani będzie gotowa!

Uścisnęła mocno rękę Zuzanny i pocałowała ją w mokry od łez policzek.

– Niech się pani trzyma! – powiedziała serdecznie.

– Myślałem, że tu wrosnę – rzekł Krzysztof. – Powinnaś mi podziękować, mammo! Wyobraź sobie, ile musiałabyś wybulić na taksówkę. Docień syna i nasz wózek!

– Doceniam – przyznała Ola, sadwiąc się obok syna. – Masz u mnie, Krzysiu, dużą kawę i tort makowy. Dasz radę stąd wyjechać?

– Jak najbardziej! Jeszcze jeden zakręt i już będzie normalna droga. Możesz mi teraz powiedzieć, co cię tam sprowadziło? – zagadnął po chwili, gdy wóz już sunął po prawie równej jezdni. – Jeśli oczywiście to nie jest jakaś tajemnica... zawodowa?

– Żadna tajemnica. Tylko że, widzisz – ta sprawa nie nadaje się do szerszego rozgłaszania. Można by napytać biedy komuś, kto i bez tego ma ciężkie życie.

– Masz mnie za pleciucha?! – Krzysztof prawie się obraził.

– Ależ nie! Mówię tak tylko... profilaktycznie. Jak chcesz wiedzieć, to posłuchaj... Zrelacjonowała synowi cel dzisiejszej wyprawy.

– Trochę się tego domyślałem – mruknął Krzysztof, wymijając furmankę. Zmienił bieg, znalazłszy się na lepszej drodze, którą można było jechać szybciej.

– Tylko nie miałem pojęcia, o kogo właściwie chodzi.

– A teraz ty mi powiedz, skąd znasz te okolice na Kole? Ja tu byłam pierwszy raz w życiu.

– Ja też. Ale miałem w klasie kolegę, który tak jak ta twoja podopieczna został tu wyrzucony razem z matką i siostrą. Powód ten sam. Albo bardzo podobny.

Tymczasem Zuzanna zwolniła kroku. Ból w oczach, który przycichł podczas odwiedzin doktor Radzimirskiej, stał się znowu silniejszy. Była już w korytarzu. Skrzypnęły najbliższe drzwi, wychyliła się z nich starsza pani owinięta szalem.

Historyczne nazwisko, subtelny profil, delikatne ręce.

– Pani Zuzanna?... Proszę, niech pani weźmie termos. Stary jest, ale jeszcze trzyma ciepło. I mam trochę soku malinowego w słoiczku. Przyda się dla dziewczynek.

Zuzanna przekroczyła próg sąsiedniego pomieszczenia, mrużąc mimowolnie oczy. Światło starej stylowej lampy, choć osłoniętej abażurem, było zbyt silne.

– Strasznie pani mizerna, kochanie. Czy coś się stało? Córeczkom chyba lepiej?

– Lepiej. Ale ja... ja muszę iść do szpitala, i to jak najprędzej!

Sąsiadka o historycznym nazwisku, dowiedziawszy się, o co chodzi, pogładziła rękę Kotwiczowej.

– Niech pani się tak tym nie martwi. Przed operacją musi pani być odprężona i spokojna. Ja zajrzę co dzień do córeczek, dowiem się, czego im potrzeba, coś ugotuję. I postaram się, żeby miały herbatę albo kompot do picia. Jeżeli byłby konieczny lekarz, córka moja zna takiego, który pomoże. To przyjaciel naszej rodziny od lat. Na pewno nie odmówi. Ale teraz najważniejsze, żeby siedziały w domu, w jakim takim ciepłe i zażywały lekarstwa. Mają to, co powinny łykać, prawda? A pani musi się ratować!

Czuła w pobliżu krzepiące ciepło ludzkiej życzliwości, od której zdążyła już odwyknąć. Jak to powiedziała zazwyczaj pyskata Zofia Barączowa? – Jeszcze nie jest tak, żeby w potrzebie człowiek człowiekowi nie pomógł.

Sanitarka przyjechała, zgodnie z zapowiedzią doktor Radzimirskiej, w dwa dni później, około południa.

– Ciężko tu trafić – powiedział kierowca. – No, ale jakoś się dojechało. Gotowa pani? Naszykowane wszystko, co trzeba?

Miała wszystko przygotowane w dużej ręcznej torbie. Przytuliła do serca obydwie córki, z którymi rozstawała się po raz pierwszy w życiu. Teraz miały pozostać same – na jak długo?

Doktor Radzimirska mówiła o trzech tygodniach! Ten okres wydawał się Zuzannie nieskończenie długi.

– Moje kochane, lekarstwa macie pod ręką, jedzenie w szafce. Po południu zajrzy do was pani Barączowa. Wieczorem wstąpi pani Teresa. Zapukaj do niej, Jolu, jeśli czegoś będziesz potrzebowała. Isieńko, słuchaj Joli, tak jak mnie. No, bądźcie zdrowe!

Nie chciała przedłużać pożegnania. Widok sanitarki zwabił sporo ciekawych spośród mieszkańców barakowego osiedla. Krzyżowały się pytania i domysły, do kogo przyjechał ten szpitalny samochód. – Aha, po tę pułkownikową z siódemki! A co jej jest?

Zuzanna szybko wsiadła do szoferki. Samochód pachniał lekami jak szpital. Ktoś – nie rozróżniała twarzy, oczy miała wciąż obolałe, wzrok mocno przyćmiony

– zbliżył twarz do szyby i powiedział: Niech pani pułkownikowa wraca zdrowo!

– Skąd ci ludzie wiedzą, kim był mój mąż? – zastanawiała się, przez chwilę.

– Mieszkają tu przecież dwie... nie, trzy rodziny skazanych w procesach, ale nikt o sobie i o swoich przejściach nie opowiada. A jednak...

Jednak spora garść ludzi stała przy sanitarce – i nie byli wśród nich tylko gapie. Ktoś wetknął Zuzannie do ręki pachnącą, dorodną gruszkę. Jakaś wiekowa kobieta, z którą Kotwiczowa nie zamieniła przedtem ani słowa, uniosła rękę, jakby ją chciała pobłogosławić.

– Jedź pani z Bogiem! Dzieci dogłądniemy! – zapewniła raz jeszcze Barączowa.

– Lubię tu panią – zauważył kierowca, przekręcając kluczyk w stacyjce. Zuzanna potwierdziła krótko, nie wdając się w rozmowę – i pomyślała, że trzeba było dopiero choroby i konieczności pójścia do szpitala, żeby mogła się przekonać o ludzkim współczuciu i życzliwości.

A potem była już tylko jazda przez Śródmieście. Trasą W-Z na Pragę. Bardzo wygodna i szybka w porównaniu z niedawną długą wędrówką Zuzanny do szpitala. I sam szpital wydał jej się mniej ponury niż poprzednio.

Z okienka izby przyjęć skierowano ją, tak jak przedtem, na trzecie piętro. Tu pierwszą osobą, którą spotkała, była doktor Strzelińska, poznana niedawno w spółdzielni lekarskiej.

– Witam panią! – uśmiechnęła się do Zuzanny. – Załatwiła pani wszystko, co trzeba? Dobrze. Zaproszę panią na oddział. Dziś zmierzę tylko ciśnienie, a potem odpoczynek. Jutro od rana bierzemy panią w obroty.

Zuzanna obejrzała się wokół, jak gdyby kogoś szukając.

– Doktor Radzimirskiej nie ma – odgadła lekarka. – Dziś ma ciężki dzień: kilka operacji jednym ciągiem. Prosiła, żeby panią pozdrowić.

– A kiedy... moja operacja? – spytała nieśmiało Zuzanna.

– Prawdopodobnie w najbliższy dzień zabiegowy, czyli we wtorek. Do tego czasu powinniśmy zdążyć z badaniami. Proszę teraz ze mną.

Ku przyjemnemu rozczarowaniu Zuzanny umieszczono ją nie w jakiejś wielkiej sali, lecz w pokoju czteroosobowym. Lekarka wskazała nowej pacjentce łóżko pod oknem. W pokoju były jeszcze dwie pacjentki. Czwarte miejsce obok drzwi pozostawało na razie wolne.

– Ciśnienie zadowolające – orzekła doktor Strzelińska. – A jak ogólne samopoczucie?

– Nawet nie najgorzej – uśmiechnęła się blado Zuzanna. – Wczoraj oczy bardzo mnie bolały. Dziś mniej.

– Na pewno nerwy robią swoje. Wczoraj była pani bardziej spięta, czekając na szpital. Dziś już pani dobiła do portu. Proszę teraz odpocząć i starać się nie myśleć o niczym, choć wiem, że to niełatwe. Za chwilę będą roznosić kolację

– lekarka spojrzała na zegarek. – Gdyby pani czegoś było potrzeba, tu jest dzwonek.

Kolacja okazała się niezła: chleb z masłem, plasterek wędliny, jajko na twardo. Zuzanna początkowo nie mogła jednak nic przełknąć.

– Niech pani je, chociażby przez rozum – odezwała się po raz pierwszy pacjentka z łóżka w pobliżu drzwi. – Przed operacją trzeba sił nabrać.

Po zjedzeniu posiłku i wypiciu kubka niezbyt mocnej, lecz gorącej herbaty, Zuzanna poczuła się raźniej.

– Na co panią będą operować? – zagadnęła powtórnie sąsiadka.

– Mam jaskrę.

– Aha! Tu często robią te operacje. Przeważnie albo jaskra, albo zaćma. Ta babcia spod okna miała operowaną właśnie zaćmę.

– W tym wieku też operują? – Zuzanna wypowiedziała te słowa półgłosem. Staruszka, drobna i szczupła jak zabiedzony ptak, zdawała się spać z różańcem owiniętym wokół chudej dłoni.

– Osiemdziesiąt dwa albo trzy lata. Ja też myślałam, że taki człowiek pod nóż się nie nadaje. A tu się okazuje, że i takich biorą na stół!... Tylko że nie każdego. Zależy od zdrowia. Jak serce niezłe i ciśnienie normalne, to operują. Oczy jej poprawili. Z uszami gorzej. Głucha jak pień.

Starowina poruszyła się, jak gdyby zrozumiałszy, że o niej mowa. Przesunęła w palcach kilka paciorków różańca i wymamrotała, nie otwierając oczu:

– A ksiądz przyjdzie dopiero jutro rano. Przyjdzie...

– Pobożna bardzo – skomentowała pacjentka spod drzwi. – Zresztą w takim wieku, to nawet trudno się dziwić. Do boskiego sądu bliżej niż dalej!

Weszła młoda pielęgniarka, niosąc termometry.

– Pani nowa – stwierdziła, spojrzawszy na Zuzannę. – Niedługo zabieg. Jutro badania.

„Zabieg”. Tak więc określa się interwencję chirurgiczną w głąb oka. Zapewne po to, by złagodzić pojęcie groźniejsze: „operacja”. „Niech pani odpoczywa...” Zapomniała już, co znaczy to słowo. Kilka lat ostatnich – to było ciągle napięcie, lęk i praca.

Dzień, który dotychczas miał zawsze zbyt mało godzin, nagle się wydłużył. Zuzanna leżała beczynn timer, niczego – po raz pierwszy od bardzo dawna – nie musiała robić ani też załatwiać. Dzieci... Pierwsze rozstanie z nimi... Jak czują się bez niej?

Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby Kamila nie zabili. Gdyby był – nawet zdegradowany, usunięty z pracy, uwięziony – ale żywy! Powracało bolesne pytanie, na które Zuzanna rzadko kiedy sobie pozwalała: jak zginął? Jak go zamordowano? Bo wykonanie owego wyroku – to przecież nic innego, jak nikczemne morderstwo. Wśród rodzin straconych krążyły wiadomości, że jednych

wieszają, innych wykańczają skrytobójczym strzałem w tył głowy. Jak czuł się Kamil w ostatnich sekundach życia? Czy wiedział, że za chwilę zginie? Kto wydaje takie rozkazy i kto je wypełnia? Za co ci ludzie tak się mszczą? Nie dość, że mordują niewinnych – jeszcze znęcają się nad tymi, którzy po nich pozostali...

– Ksiądz będzie raniusko, przyjdźcie na pewno... – zaszemrał głos siwej starowiny z sąsiedniego łóżka.

Ksiądz przyjdzie jutro rano. Może porozmawiać z nim przed bliską już operacją? Może się wyświadczyć? Nie. Musiałaby opowiedzieć nieznanemu człowiekowi całą swoją niedolę. Była wierząca, praktykowała jednak rzadko. Coś w niej zakrzepło, coś zastygło. – Bóg nad tobą zawsze czuwa – usłyszała przed rokiem, kiedy bezsilna rozpacz po utracie Kamila przygnała ją do kraterów konfesjonału. – Ja w to nie wierzę – odparła wówczas porywczo. – Bóg zapomniał o takich jak ja! Usłyszała wówczas ostrą uwagę o grzechu, jakim jest powątpiewanie w miłosierdzie boże. Wstała z klęczek zbuntowana, niepokodzona z losem, a przede wszystkim straszliwie zrozpaczona. Spowiednik potraktował ją jak każdą kobietę, która utraciła męża, choć przecież w jej tragedii było coś nieporównywalnego z innymi nieszczęściami. Lepiej po prostu odmówić modlitwę – jedną z tych dwóch najstarszych, które ludziom wychowanym w wierze katolickiej towarzyszą od pierwszych lat dzieciństwa: „Ojcze nasz...”.

Poruszając bezgłośnie wargami, doszła do słów: „... i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Zatrzymała się, nie mogąc tego wymówić, ani nawet pomyśleć. Nie, „winowajcom”, których zabijali niewinnych ludzi, wśród nich najbliższego jej człowieka; „winowajcom”, którzy odmówili ofiarom nawet prawa do mogił – nie mogła darować ani przebaczyć.

Łagodny środek nasenny, o który wieczorem poprosiła dyżurną pielęgniarkę, podziałał skutecznie. Zuzanna przespała całą noc – i poranną wizytę młodego księdza. Śnił jej się Kamil – lecz nie był to sen przykry i bolesny, jak nieraz się zdarzało w ciągu minionych miesięcy. – Wiem o wszystkim – mówił. – Nie bój się niczego! Jestem zawsze przy tobie.

Obudziła się pod wrażeniem czyjejś opiekuńczej bliskości. Pielęgniarka dotknęła jej ramienia.

– Pani Kotwiczowa, proszę termometr.

Następną osobą, która zjawiła się w pokoju, była doktor Radziwińska.

– Jak samopoczucie, pani Zuzanno? Spała pani trochę? – Wprawnym ruchem sprawdziła jej puls. – Nie dokuczyły pani zanadto hałasy z ulicy? Niektórym pacjentom bardzo to przeszkadza.

– Na Kole przywykłam do hałasów – uśmiechnęła się Zuzanna.

– Nawet do znacznie gorszych.

– Domyślałam się. Ale jeśli pani spała, to tym lepiej. Teraz będzie śniadanie i obchód, a potem panią trochę pomęcę.

Badania trwały prawie przez cały dzień. Zjawili się dwaj lekarze, obecni również podczas obchodu: szpakowaty, którego Zuzanna widziała przedtem, i siwy, wysoki o szarych oczach i młodzieńczej szczupłej sylwetce, tytułowany profesorem. On zapewne, jak poinformowała doktor Radzimirska, będzie operował w najbliższy wtorek.

– Nie pani? – zmartwiła się trochę Zuzanna.

– Profesor „zaklepał” sobie wtorkowe operacje – uśmiechnęła się lekarka.

– Zrobi to znakomicie, może pani być pewna. Ja zresztą będę asystować.

– Czy to będzie pod narkozą?

– Oczywiście.

– Nie pod znieczuleniem? Przepraszam, że panią nudzę takimi pytaniami, ale...

– Nic nie szkodzi – uśmiechnęła się Radzimirska. – Owszem, zdarza się czasem że operujemy jaskrę tylko pod miejscowym znieczuleniem. Ale w pani przypadku nie można. To przecież oko, a więc konieczność niezwyklej, jakby to powiedzieć? No, zegarmistrzowskiej precyzji. Lepiej, żeby pacjent był całkowicie unieruchomiony, a jego świadomość wyłączona. To można osiągnąć tylko dzięki głębokiej narkozie.

– W pani przypadku to bardzo trudne – dodała po krótkiej pauzie – ale proszę koniecznie dziś i jutro, i w poniedziałek pomyśleć o czymś miłym. Przypomnieć sobie coś dobrego. Ja bardzo dobrze wiem, że los obszedł się z panią wyjątkowo okrutnie. To wszystko mogłoby załamać nawet kogoś znacznie silniejszego niż pani.

– Gdyby nie dzieci – Zuzanna urwała w pół słowa i przygryzła wargi.

– No, właśnie! Proszę pomyśleć chociażby o dzieciach. Na pewno dadzą sobie radę. Te sąsiadki są przecież życzliwe, to widać. Po operacji postaram się dać znać córkom, jak się czuje ich mama.

– Pani doktor – jaka pani dobra!

– Tylko bez komplementów. Gdzież jest ten papier? Z nim przecież przyszłam. Proszę podpisać zgodę na operację.

Tabletki, zastrzyki. Zuzanna poddawała się wszelkim poleceniom, doznając uczucia dziwnego rozdwojenia: jak gdyby obserwowała od zewnątrz samą siebie, przygotowywaną do „zabiegu”.

Bielizny własnej na sali operacyjnej mieć nie wolno. Żadnych przedmiotów metalowych. Zuzanna, dowiedziawszy się o tym od doktor Radzimirskiej, poprosiła ją o przechowanie obrączki.

Ostatnią porcję leków dano Zuzannie krótko przed północą.

– Śpi pani? – zagadnęła przyciszonym głosem pielęgniarka. – Nie? Musi pani przełknąć to, co przyniosłam. Niestety już bez płynów. A potem proszę starać się zasnąć.

– To będzie trudne, siostrzo! – westchnęła Zuzanna.

– Wiem. Ale niech pani spróbuje.

Zasnęła jednak – i znów ujrzała Kamila. Był taki jak wtedy, gdy spotkali się w leśniczówce, gdy szedł przez las w stronę niedalekiej rzeki, aby choć trochę popływać lub odpoczywać – jakże krótko! – na leżaku. W niepojęty sposób ów Kamil ze snu wiedział, co go czeka, a jednak był spokojny, uśmiechnięty. – To nieprawda, że mnie nie ma – mówił. – Jestem przy tobie, mój największy skarbie. Jestem, tylko inaczej...

Nie zdążyła go spytać, co znaczy owo „inaczej”. Obudziła ją pielęgniarka ze strzykawką w rękę.

– To już dzień? – zdziwiła się mimo woli Zuzanna.

– Tak. Dziś operacja.

– Potrzebny będzie ktoś na nocny dyżur pooperacyjny – powiedziała poprzedniego dnia Radzimirska siostrze oddziałowej. – Oczywiście odpłatnie.

– Dla tej pacjentki z czwórki? – domyśliła się zagadnięta. – Tylko że nikt z jej rodziny się o to nie zwracał.

– Bo nie ma kto się zwrócić. Mniejsza o to. Ja załatwię całą sprawę. Niech tylko siostra kogoś wyznaczy.

– Mogłaby być Ludka? Ona chętnie bierze dyżury. Ale to salowa, nie pielęgniarka.

– Takiej salowej jak Ludka mogę powierzyć każdą pacjentkę. Niech zajrzy do mnie, zanim wyjdę.

– Przyślę ją za chwilę.

– Pani Ludko, będzie potrzebny dyżur nocny.

– Ta z czwórki, co idzie jutro na operację?

– Tak. Może pani wziąć tę noc przy niej?

– Pewnie, że mogę.

– Doskonale. Tylko jest taka rzecz, trochę delikatna. Widzi pani, ona nie ma nikogo z rodziny, tylko dwie córeczki, rekonwalescentki po anginie. Ani męża, ani rodziców. Ja płacę za ten dyżur i niech to zostanie między nami. Zgoda?

– Ta z czwórki – jak ona się nazywa? Kotwiczowa?

– Tak.

– No, to pani doktor nic nie zapłaci.

– Jak to, pani Ludko? Nie rozumiem. Nie chce pani tego dyżuru?

– A kto mówi, że nie chcę? Posiedzę przy tej bieduli za darmo.

– Naprawdę? Ale przecież...

– Pani doktor, ja dobrze wiem, kto to jest. Męża jej – pułkownika – wykończyło UB z innymi oficerami...

– Ciszej, pani Ludko! – Ola Radzimirska mimo woli sprawdziła wzrokiem, czy drzwi są zamknięte. – Dobrze, że pani wie, ale czemu pani ma być stratna?

W końcu to cała noc. A pani tych parę złotych na pewno się przyda.

– Od przybytku głowa nie boli – odparła z godnością Ludwika. – Ale jeszcze nie jest tak, żebym nie mogła coś dla kogoś zrobić. Pani doktor myśli, że za szkopów to ja pod stołem siedziałam?! Albo za piecem?!

– Ależ wcale tak nie myślę! Tylko...

– Posiedzę przy niej i wszystko zrobię, co trzeba. Załatwione. Może pani doktor być spokojna.

Rano około godziny dziewiątej pielęgniarka poprowadziła Zuzannę do drugiej części szpitalnego korytarza, nad którą widniał napis: BLOK OPERACYJNY.

Bezcieniowe lampy, aparaty, stoły operacyjne. Pacjentkę otoczyło kilka postaci, których twarze były nie do rozpoznania pod jednakowymi maskami. Wszyscy obecni mieli na sobie jednakowe ubiory: zielone kitle i zielone okrągłe czapeczki. Zielone, nie białe? – zdziwiła się Zuzanna.

– Proszę się położyć – rzekła jedna z masek głosem doktor Radzimirskiej. – I spokojnie...

Nad głową Zuzanny pojawił się przedmiot o kształcie maski. Innej niż te, które zasłaniały twarze chirurgów. Jeszcze zdążyła dostrzec ten przedmiot, zanim spoczął na jej twarzy, zasłaniając oczy. Jeszcze zdążyła ostatnią resztką świadomości przywołać obraz dzieci – nim zapadła w sen. W błyskawiczny sen, który był zarazem czymś więcej: całkowitą utratą zmysłów, bezbolesnym wyłączeniem świadomości. Kontakt wyłączony jednym ruchem sprawia, że gaśnie lampa, milknie radio. Tak samo stało się teraz. Nastąpił wielki sen bez snów. Do pacjentki nie docierał żaden odgłos, żaden obraz. Nie czuła lęku ani bólu. Nie widziała, nie słyszała nic.

Ocknięcie, a potem przebudzenie nastąpiło powoli. Chwile powracającej przytomności graniczyły ze stanem półsnu lub półomdlenia. Na oczach Zuzanny spoczywało teraz coś, co nie było ciężkie ani bolesne, lecz skutecznie odgradzało od świata. Spróbowała poruszyć palcami lewej ręki, potem prawej.

– Ostrożnie! – dobiegł z bardzo daleka czyjś obcy głos. – Chyba się budzi? Żeby ta kroplówka nie spadła.

– Zaraz przyjdzie siostra – to był głos inny.

Oczy nie bołą, ale są zasłonięte. Może... może operacja wcale się nie odbyła? Ktoś powinien teraz być tutaj. Albo w pobliżu. Ale nie mógł być. A może jednak? Czuła przy sobie jego niewidzialną opiekuńczą obecność od momentu, kiedy przekroczyła próg sali operacyjnej. Maski na twarzach. Kogo chciałaby przywołać? Kto nie był przy niej, choć tak bardzo pragnęła jego bliskości w tych godzinach, kiedy ratowano ją przed zapadnięciem w głęboki mrok na zawsze?

Poruszyła zeszywniałym językiem.

– Ka-mil... – wyraźnie rozdzielała sylaby. Któżby przypuścił, że tak trudno

wymówić to imię! – Ka-mil...

– Ona kogoś woła, pani doktor! – zaszemrał głos siwej kobiety z sąsiedniego łóżka.

Ola westchnęła głęboko. Wiedziała, kogo woła pacjentka, budząca się z narkotycznego snu. Przed chwilą, gdy była sama w pokoju lekarzy, wyjąwszy z portmonetki obrączkę Zuzanny, przeczytała wyryte wewnątrz imię i datę: Kamil 10.IV.1937.

– To tak zawsze, jak się człowiek budzi po narkozie – zauważyła pacjentka z łóżka obok drzwi. Zdjęto jej dziś opatrunek z oka, uratowanego przed odklejeniem siatkówki. Wsparta na łokciu, skierowała wzrok w stronę na wpół uśpionej.

Lekarka sprawdziła ponownie kroplówkę i pochyliła się nad chorą. Twarz taka jak twarze innych pacjentów niedawno operowanych – szara, odbarwiona.

– Zuzanno!... Słyszysz mnie pani?

Ledwie uchwytnie potwierdzenie. Do świadomości pacjentki dotarł znajomy głos, szelest fartucha, apteczny zapach lekarstw.

– Już po wszystkim. Dobrze poszło. Musi pani teraz leżeć. Nie ruszać się, odpoczywać.

– Nie widzę... – poskarżyła się Zuzanna jak dziecko. – Wciąż nic...

– Bo na razie musi mieć pani oczy zasłonięte opatrunkiem. Tak trzeba, żeby się dobrze zagoiły. Jutro tu będę.

Dalsze słowa mącą się i cichną. Doktor Radzimirska niebawem opuszcza pokój, prosząc jeszcze raz panią Celinę, żeby zwróciła uwagę na operowaną pacjentkę.

– W razie jakichś bardziej niespokojnych ruchów chorej proszę zadzwonić po pielęgniarkę. Zresztą w ciągu pół godziny przyjdzie salowa, która będzie czuwać tutaj przez całą noc.

Zuzanna coś niecoś z tego słyszy, ale jak przez gęstą mgłę. Zapada w niebyt, inny wszakże niż ten, który rozpoczął się z wyłączeniem świadomości przez narkozę. A więc operacja już była... Kiedy? Jak długo? Myśli się mącą. Wypływa z nich obraz domu otoczonego lasem. Dookoła zieleń. W zasięgu wzroku rabaty, grządki ogródka. Wózeczek niemowlęcy tuż obok. Nieco dalej sterta żółtego piasku, w nim kolorowy „pajacyk” małej dziewczynki. Spadła jej z główki chusteczka chroniąca przed słońcem. Zuzanna chce przywołać małą, ale zapomniała, jak jej na imię. „Boże, przecież to moje dziecko! Jak mogłam zapomnieć?! Ola?” Nie, Ola to ktoś inny, też dobry i bliski, ale nie ona, nie ta mała w kolorowym letnim ubranku. Na wargi Zuzanny wypływa inne słowo. Najważniejsze, niezapomniane: – Kamil... Kamil... Wydaje się jej, że krzyczy, woła pełnym głosem kogoś, kogo nie ma, kogo jej odebrano. Z jej warg ledwie się wydobywa cichy, prawie niedosłyszalny szept.

Tymczasem do pokoju szpitalnego ktoś wszedł. Krząta się, wysuwa składaną leżankę stojącą między dwoma łózkami.

– Jak tam pacjentka, ta po operacji?

– Leży spokojnie. Przedtem się trochę ruszała, teraz nie. Tylko chwilami jakby coś mówiła. Trudno zrozumieć...

– Majaczy. To prawie zawsze tak jest po przebudzeniu. Ale nie wymiotowała?

– Nie.

Szelest kroków.

– Czy... czy to już dzień? – wymówiła z trudem Zuzanna.

Plątał jej się czas i pory dnia. Usłyszała cichy śmiech.

– Nie, kochaniutka, to dopiero noc. Dzień będzie nieprędko. Ale proszę sobie niczym nie łamać głowy, operacja się udała. Już po wszystkim, trzeba tylko leżeć spokojnie, żeby wyzdrowieć.

– A pani?

– Ja tu będę siedzieć. Mam dyżur przez całą noc. Czego pani potrzeba?

– Pić...

– O, nie, kochaniutka! Broń Boże! Nie wolno. Zaraz usta zwilżę. Dopiero rano można łyżeczkę herbaty. Basen podać? Zaraz...

To było pokrzepiające: ludzka obecność, życzliwy, ściszony głos, przyjazna krzątanina w pobliżu. Nie widziała wtedy salowej Ludki. Zobaczyła ją pierwszy raz w kilka dni później. O jej dobrowolnym, całonocnym dyżurze, za który nie chciała wziąć ani grosza, dowiedziała się od Oli Radzimirskej dopiero znacznie później. Na razie zstępuje coraz dalej, coraz głębiej w tamten miniony czas. Jest noc. Pierwsza noc po operacji.

Ciemność podwójna: mrok nocny i zasłonięte oczy. Przypląwy i odpływy senności falują jak morze: Zuzanna raz po raz pogrąża się w tę senność, jak w głęboką wodę. I wciąż to niezwykle, zdumiewające przekonanie, że Kamil jest blisko. Odebrano go Zuzannie, przedtem pastwiono się nad nim okrutnie – a on jest. Wciąż jest! – Zawsze przy tobie będę – powtarza. Nie słyszy jego głosu, lecz przecież tak wyraźnie brzmią jego słowa! – Nie, ja cię nie opuściłem. Jesteśmy silniejsi niż tamci. Dla ciebie kiedyś też zaświeci słońce i zaznasz jeszcze szczęścia. – Bez ciebie?! Nie – zaprzecza Zuzanna.

– Szczęście odeszło razem z tobą i nie wróci nigdy, nigdy... – Nie mów „nigdy”, najdroższa. I pamiętaj, że szczęście może być różne.

Kolejne ocknięcie. Świadomość, że nie ma Kamila, choć wydawało się, że jest tak blisko. Zuzanna usiłuje dźwignąć lewą rękę. Czujny szept w pobliżu:

– Nie śpi pani?

– Spałam... teraz... Boli.

– Co boli?

– Oczy... i głowa.

– Bo tak jest po operacji. Nie można nic na razie zażywać. Musi pani pocierpieć i poczekać do rana. Potem będzie lepiej.

Ból w okolicy skroni jest tępy, nie tak ostry i przenikliwy, jak to drażnienie oczu w ostatnich miesiącach. Czy na pewno operacja się udała? Czy coś widzę? Sprawdzić trudno – oczy zasłonięte i noc dokoła. Znowu senność, jak szeroka fala przyływu. Fala niesie w przeszłość. Szum lasu... szemranie jeziora... wielka cisza pogodnego lata...

Ta pierwsza noc po operacji, pełna snów i majaczeń, była najtrudniejsza. Po niej nastąpiły zwykle dni szpitalne: okres pooperacyjny, opatrunki, badania, zdjęcie szwów i znów badania. Potem rekonwalescencja. Zuzanna ze swoją wyostrzoną wrażliwością odgadywała, że ludzie, którzy uratowali jej wzrok i czynią wszystko, by wróciła do zdrowia, wiedzą o niej znacznie więcej, niż można wiedzieć o pacjentce na podstawie skierowania, rozpoznania choroby i wyników badań.

Bardzo chciała ustalić, kto zawołał wówczas przez drzwi, gdy szła do bloku operacyjnego: – Trzymaj się, Żula! Pacjenci stale się zmieniali, jedni przychodzili, innych wypisywano. Nie pamiętała, z której sali padły te słowa. Nie dowiedziała się nigdy, kim był ów człowiek, który musiał ją przecież znać, jeśli użył zdrobnienia, które było jej okupacyjnym pseudonimem. Ktoś z dawnych znajomych? Kto znał ją – i Kamila?

– Trzeba byłoby dać znać tym dzieciom, że matka jest już po operacji. Tylko jak to zrobić? – zastanawiała się Ola Radzińska.

– Nad czym łamiesz sobie głowę? – spytał Krzysztof. Zajrzawszy do pokoju, zastał w nim matkę przy biurku, nad stertą papierów, wpatrzoną w okno.

– Ach, Krzysiu, nie wiem, jak to zrobić... Pamiętasz naszą wyprawę na to zakazane Koło? Do baraków?

– Pamiętam. Mówiłaś, że ta pacjentka już zoperowana?

– Tak. Jest jeszcze w szpitalu, bo trzeba ją dobrze wykurować. Operacja była trudna, choroba zaawansowana, jedno i drugie oko od razu. A tam zostały te dwie dziewczynki, jej córki, na łasce boskiej i sąsiedzkiej, obydwie po anginie. Jak by im dać znać, że matka wraca do zdrowia?

– W tych slumsach raczej nie ma telefonu – zauważył rzeczowo Krzysztof.
– Posłać kartkę? Też nie wiadomo, czy dojdzie.

– Żal mi tych dzieciaków. Siedzą tam same. Nie mają w Warszawie nikogo. A tu święta za pasem. Zabrałabym je przynajmniej na pierwszy dzień do nas, ale wyjeżdżamy przecież do dziadków.

– Chcesz, żebym cię tam znowu podrzucił?

– To cała wyprawa, a ja mam tyle na głowie!

– Jeśli tata da mi wóz, to mogę tam pojechać – zaproponował Krzysztof.

W charakterze świętego Mikołaja.

– To jest myśl! Krzysiu, zawsze wiedziałam, że masz głowę na karku. Tylko uważaj na samochód, bo wiesz, jak ojciec...

– Dobrze, dobrze. Mówisz tak, jak gdybym bez przerwy nadweręzał te cztery kółka. Kiedy mam tam jechać?

– Może jutro. Ciasto będzie już upieczone. Zabierzesz dla nich kawałek babki i makowca. Niech mają na święta...

Krzysztof bez trudu trafił do baraków na Kole i odnalazł właściwy budynek. Zapukał do drzwi oznaczonych numerem siódmym. Ze środka odezwał się głos:

– Proszę! Stał nieco zaskoczony naprzeciw dziewczyny ubranej w bury, flanelowy szlafrok. Matka wspomniała o dzieciach tej Zuzanny Kotwiczowej, o dwóch dziewczynkach, jej córkach. Skłonny był więc wyobrazić je sobie jako zupełnie małe. Tymczasem zobaczył dziewczynę młodziutką, lecz prawie dorosłą.

Nie było nic dziecinnego w spłoszonym, nieufnym spojrzeniu zielonkawych, lekko skośnych oczu. Chmura ciemnych włosów nad czołem wyraźnie kontrastowała z bladą cerą. Rzecz dziwna: brzydota burego szlafroka zdawała się podkreślać urodę dziewczyny. W głębi podłużnego pokoju ktoś siedzący na połowym łóżku z nogami owiniętymi kocem podniósł wzrok nad książki. Tak, ta druga naprawdę wyglądała dziecinnie.

Ale jej starsza siostra – nie.

– Dobry wieczór. Tu była niedawno moja mama.

– Pani doktor?! – podchwyciła natychmiast dziewczyna. – Coś się stało z naszą mamą?

– Nie, dlaczego? Już po operacji.

– Och, jak to dobrze! – zawołała dziewczyna. – Słyszysz? – zwróciła się ku siostrze. – Już po operacji! Bardzo proszę, niech pan usiądzie – przypomniała sobie o roli gospodyni.

– Nie jestem żaden „pan” – uśmiechnął się chłopak, sięgając po krzesło. – Mam na imię Krzysztof. A ty?

– Jolanta. A to moja siostra – Irena. Czy pan... czy wiesz, jak mama się czuje? Nie było żadnych komplikacji?

– Chyba nie. Ale musi jeszcze leżeć, brać lekarstwa, witaminy, różne środki wzmacniające. Każdego dnia ją badają. Na pewno możecie się nie bać.

– Chciałabym pójść do niej – przerwała dziewczyna.

– Podobno macie gripę?

– Miałyśmy anginę. Właściwie nam już przeszła.

– Coś ci powiem, Jolu: gdyby było można, moja mama by mi to powiedziała. Wiem, że w szpitalach zawsze boją się, żeby chorym, a szczególnie tym po operacji, nie przywlec jakichś zarazków.

– A kiedy będzie można? – odezwała się po raz pierwszy młodsza z sióstr.

– Nie wiem. Postaram się dać wam znać. Napiszcie kilka słów, krótki list. Sam go podrzucę do szpitala...

– Świetnie! – ucieszyła się Jola. – Zaraz to zrobimy. – Możesz poczekać?

– Mogę. Aha, żebym nie zapomniał: to od mojej mamy dla was.

Położył na stole paczkę z domowym ciastem.

Takie było pierwsze spotkanie ich obojga. Spotkanie, które w niczym nie zapowiadało, że staną się kiedyś parą najbliższych sobie ludzi. Krzysztof z natury pogodny i skłonny do żartów, jeszcze teraz nie bez sentymentu wspomina ów pochmurny wieczór, kiedy po raz pierwszy w barakowej izbie zobaczył swoją przyszłą żonę. Zabrał listy córek do matki, rzucił jakieś zdawkowe słowa pożegnania, jakieś zachęcające: – No, to cześć, trzymajcie się! – i poszedł w stronę „dekawki”, zaparkowanej blisko baraku.

W tym roku młodzi widzieli się raz jeszcze – późną wiosną, kiedy matka z córką odwiedziły doktor Radzimirską. Zuzanna chciała jej podziękować za wszystko to, co lekarka dla niej uczyniła.

Ale przedtem było jeszcze inne spotkanie Oleńki z Jolą – spotkanie, o którym Zuzanna dowiedziała się znacznie później, chyba dopiero po kilku latach – kiedy powód owego spotkania należał już do przeszłości.

Nie przejmuj się, mamusku! Isia ma teraz dużo lepszą szkołę niż tamta – uspokajała wówczas Jola. Jak doszło do tej zmiany, którą spowodował cios wymierzony w młodszą córkę pułkownika Kamila Kotwicza?

– Jakaś dziewczyna chce mówić z panią doktor – zameldowała pielęgniarka.

– Niech tu przyjdzie – powiedziała Ola Radzimirska, przeglądając spis pacjentów i aplikowanych im zabiegów pooperacyjnych. Podniosła oczy znad papierów, usłyszawszy głos, który wydawał jej się znajomy:

– Dzień dobry, pani doktor.

– Jola? – poznała ją od razu. – Chciałaś koniecznie zobaczyć mamę?

– Tak... Ale nie tylko dlatego.

Na twarzy starszej Kotwiczówny rysował się wyraz determinacji.

– Jak mama się czuje?

– Z dnia na dzień coraz lepiej. A jak ty się czujesz? – Obrzuciła dziewczynę badawczym spojrzeniem. – Byłoby niedobrze, gdybyś przyszła niedoleczona!

– Już mi lepiej. Właściwie dobrze. Ja... bardzo przepraszam, że pani zabieram czas. Ale zanim pójdę do mamy... nie miałam do kogo innego...

– Usiądź najpierw, dziecko i trochę odsapnij. Zrobię ci herbaty.

Nie czekając na odpowiedź, napełniła szklankę wodą i włożyła do niej grzałkę.

– Ja... pewnie przeszkadzam... – Jola ponownie zaplątała się w słowach.

– Ale naprawdę musiałam...

– Nie krępuj się! – lekarka z ulgą pomyślała, że dzisiejszy dyżur zapowiada

się raczej spokojnie. – Zaraz będzie herbata, a potem mi wszystko opowiesz. Jak twoja siostra?

– Właśnie... właśnie dlatego przysłam – odparła Jola.

– Wciąż jeszcze choruje?

– Nie, nie. Tylko... – Upiła z podanej szklanki parę łyków. – Już jest zdrowa. Ale nie chce wrócić do szkoły. To znaczy – nie może. – Nie może wrócić do szkoły? – zdumiała się Radzimirska. – Dlaczego?

– Bo jej tam powiedzieli... że... że jest córką szpiega. Ola usiadła na brzegu stojącej obok leżanki.

– Coś podobnego! – Kto tak powiedział? Kiedy? – w jej głosie oburzenie mieszało się ze współczuciem.

– To było jeszcze zanim mama poszła do szpitala. Nie chciałyśmy jej o tym mówić, bo przecież wtedy mama leciała z nóg. Ja się rozchorowałam. Isia jeszcze chodziła do szkoły. Przyszła wychowawczynie – i powiedziała, że będzie kilka miejsc na zimowisku i że można się zgłosić. Isia się zgłosiła, bo przecież my nie możemy nigdzie wyjechać, na żadne wczasy...

– Rozumiem. I co?

– I... i wychowawczynie od razu powiedziała: „Kotwiczówna, co ty sobie właściwie wyobrażasz? Kolonie są dla dzieci uczciwych, porządnych obywateli. A ty jesteś córką szpiega! I...”.

Ola uspokajającym gestem dotknęła dłoni dziewczyny.

– Tak powiedziała? Przy całej klasie? To nieludzkie!

– Tak właśnie powiedziała. Isia zabrała wtedy teczkę i wyszła. Wróciła do domu taka roztrzęsiona, że aż się złąkłam. Myślałam, że miała jakiś wypadek. Na szczęście mama była w pracy. Isia opowiedziała mi wszystko i płakała okropnie... Ona przecież jest jeszcze mała, pani doktor! – te ostatnie słowa były wypowiedziane tonem osoby znacznie bardziej doświadczonej. – A było tak, jakby ją ktoś zbił przy wszystkich po twarzy. I może nawet lepiej, że się rozchorowała, bo... bo nie musiała iść do tej szkoły. Mama dała znać przez dzieci sąsiadów, że Isia ma anginę.

– A nikt inny nie powiedział o tym waszej mamie?

– Na szczęście nie. Zresztą to było, nie pamiętam, trzy, najwyżej cztery dni przedtem, zanim pani do nas przyjechała. I zaraz mama pojechała do szpitala, więc nie wie...

– I oczywiście lepiej, żeby się na razie nie dowiedziała.

– Tak. Ale Isia jest już prawie zdrowa i powinna wrócić do szkoły. A ona nie chce.

– Trudno się dziwić – westchnęła Ola. – Tylko że zmieniać szkołę w ciągu roku...

– Ja wiem, że się nie powinno. I tak bardzo możliwe, że ona straci ten rok.

W kółko powtarza, że do tej wstrętnej szkoły nie pójdzie. Za nic. I ja ją rozumiem. Tylko co zrobić, pani doktor?

– Nie macie w Warszawie żadnej rodziny? Jeśliby twoja siostra mogła na pewien czas u kogoś zamieszkać, żeby chodzić do innej szkoły... Bo tam w pobliżu drugiej szkoły nie ma?

– Nie ma. I my nie mamy nikogo, żeby się poradzić. Jedna sąsiadka... pani Teresa – tu wymieniła owo historyczne nazwisko, niegdyś jedno z najbardziej znanych w Polsce – ona powiedziała, żeby przyjść z tym do pani doktor. I nawet zadzwoniła gdzieś z miasta, żeby się dowiedzieć, kiedy pani doktor jest w szpitalu. Bo ja już nie wiem, co robić...

– Przede wszystkim nie tracić głowy. Spokojnie, Jolu, bo cała wciąż się trzęsiesz. Coś wymyślimy.

Usiłowała złagodzić napięcie, jakie nie opuszczało dziewczyny. Niewiele jednak mogła wskórać. Widać było, że Jola żyje wciąż sprawą krzywdy wyrządzonej młodszej siostrze.

– Co to za nauczycielka? Nie wiesz nic o niej?

– Nie. Tylko tyle, że to i wychowawczyni, i pani od polskiego. Isia uczy się nieźle, choć samych piątek nie ma. Ale pani doktor wie...

– Wiem – skinęła głową Ola.

Jak na warunki życia dziewcząt i jak na wszystko, co je dotychczas spotkało, trudno byłoby wymagać od nich samych piątek.

– Zrobimy tak, Jolu: mamie oczywiście ani słowa o tym. Powiedz jej, że mała jeszcze przez kilka dni musi zostać w domu, bo... trochę kaszle. Ja przy okazji obiecuję twojej mamie, że zajrzę do was w najbliższych dniach i sprawdzę, jak Isia się czuje. Spróbuję porozmawiać z kimś mądrzejszym w tej materii ode mnie i zobaczę, co się da zrobić. Poczekać tylko, zapiszę sobie, jaka to szkoła. Bieda, że nie ma żadnej innej w pobliżu! No, ale może coś wymyślimy. A teraz włóż fartuch. Zaprowadzę cię do mamy. Pamiętaj, żebyś była pogodna w rozmowie z nią. Wiem, że to trudno. Nie mów o żadnych rzeczach przykrych!

„I pomyśleć, że dowiedziałam się o tym znacznie później! – rozważa Zuzanna po upływie lat trzydziestu od tamtej zimy. – Zatrzymano mnie w szpitalu dłużej, niż sądziłam. Dziewczęta mogły mnie potem odwiedzać”.

Jola przychodziła najpierw sama, potem z Isią. O kłopotach w szkole żadna z nich słowa nie pisnęła! Dopiero kiedy już całkiem wydobrzałam, od Oli dowiedziałam się, że mała chodzi do innej szkoły. Załatwiono jej przeniesienie w środku roku. Nie powtarzała klasy, choć wydawało się, że bez tego się nie obędzie. Początkowo było jej bardzo trudno, co dzień bowiem musiała dojeżdżać tramwajem do nowej szkoły. Do tej dawnej chodziła pieszo. Jeździła jednak z pętli, z końcowego przystanku, gdzie wsiadała razem z Jolą, więc byłam nieco spokojniejsza. Ola powiedziała mi wtedy ogólnikowo, że owszem, „maczała palce”

w przeniesieniu Isi do innej szkoły – i że tak będzie dla małej lepiej, gdyż w dotychczasowej szkole spotykały ją przykrości. W szczególności nie chciała się wdawać.

Kiedy się dowiedziałam o wszystkim, mocno przeżyłam krzywdę wyrządzoną mojej młodszej córce – i wcale się nie zdziwiłam, że kategorycznie odmówiła dalszego chodzenia do szkoły, gdzie potraktowano ją tak brutalnie.

Spotkałam później tę nauczycielkę, która nazwała Isię „córka szpiega”. Kiedy to było? Po latach... Pracowałam wówczas w bibliotece naukowej. Do szkoły wróciłam na krótko, na niecałe trzy lata. Potem lekarze osądziłam, że nie podołam – zdrowie po tym wszystkim, co przeszłam, mocno szwankowało, musiałam nadal uważać na oczy, które należało oszczędzać. Lubiłam młodzież, ona odpłacała mi się wzajemnością. Doświadczyłam ze strony moich uczniów wielu oznak sympatii i serdeczności. Zalecano mi jednak pracę spokojniejszą, mniej nerwową. Trafiłam do biblioteki.

Zuzanna widzi przed sobą obszerny pokój, półki z książkami, które stanowiły tło jej codziennej pracy przez długi czas – regały z czasopismami, stół, na nim kartoteki, biurko w małym, przyległym pokoiku. Tę specjalistyczną bibliotekę odwiedzali różni ludzie, poszukujący lektur i materiałów do prac magisterskich i doktorskich. Jedną z młodych dziewczyn – podwładnych kierowniczek – skierowała do szefowej taką właśnie osobę z zewnątrz, nienależącą do stałych bywalców biblioteki. Zuzanna, zajęta pisaniem jakiegoś sprawozdania, podniosła oczy znad papierów i, odpowiedziawszy na powitanie kobiety, natychmiast zdała sobie sprawę, że gdzieś, kiedyś musiała ją już widywać – i że to widywanie pociągnęło za sobą coś bardzo nieprzyjemnego. Usłyszała nazwisko, raczej nietypowe, rzadko spotykane – i błyskawicznie zrozumiała: to była właśnie ta kobieta, tak nadgorliwa?, świadomie, czy bezmyślnie okrutna? – ta sama, która wymierzyła jej dziecku cios gorszy niż uderzenie – nazwała ją „córka szpiega”.

Ta widywana na wywiadówkach nauczycielka i wychowawczyni, z którą dziesięcioletnia Isia Kotwiczówna nie miała przedtem żadnych zatargów, przyszła tutaj jako zwykła interesantka...

Słowa, wyjaśniające powód jej przybycia, Zuzanna słyszała jak gdyby z daleka. Na razie nic nie mówiła – i to milczenie przeciągało się w sposób kłopotliwy. Przybyszka najwidoczniej nie orientowała się, kim jest kierowniczka biblioteki. Wreszcie Zuzanna oschłym, „urzędowym” głosem obiecała spełnić prośbę interesantki, czyli sprawdzić możliwości odzyskania rocznika czasopisma, dawno wypożyczonego jednej z wojewódzkich uczelni.

Kobieta zagadnęła wreszcie:

- Tak mi się zdaje, że gdzieś już panią spotkałam?
- Owszem – opanowała się Zuzanna. – Pani kiedyś uczyła w szkole na Kole, blisko tamtejszych baraków?

– Tak... to bardzo dawno... – zmieszała się interesantka. – Pani ma doskonałą pamięć!

– Pewne rzeczy długo się pamięta. Moja młodsza córka była przez pewien czas w pani klasie. Irena Kotwiczówna.

Na twarzy dawnej nauczycielki odmalował się wyraźny popłoch. Musiała mimo upływu lat skojarzyć sobie wreszcie usłyszane nazwisko z ówczesnymi wydarzeniami.

– Taak... – wyjąkała. – Pamiętam... Mój Boże, tyle lat!...

– Góra z górą się nie zejdzie – powiedziała twardo Zuzanna. – Ale człowiek z człowiekiem – tak. Prawda? Proszę zgłosić się za trzy dni – dodała, powracając do swoich papierów. – Postaram się odzyskać ten rocznik, na którym pani zależy.

Tamta bąknęła jakieś słowa pożegnania. Czując jednak niezręczność całej sytuacji, wołała wycofać się możliwie szybko. Nie pojawiła się nigdy więcej.

Można wiele wybaczyć ludziom słabym i tchórzliwym. Ale są krzywdy i rany, których wybaczyć niepodobna – myśli Zuzanna teraz, po latach. – Próbowałam szukać wtedy pociechy w religii, w wierze. Ileż razy odchodziłam od konfesjonału rozgoryczona, zbuntowana. Nie potrafiłam zdobyć się na słowa: „... jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. W moich ustach byłyby pustym dźwiękiem. Za nimi widziałam bowiem zawsze Kamila – Kamila z lat okupacji, ściganego, zagrożonego, walczącego. Kamila z lat powojennych – wzór uczciwości i prawości. Którego mi odebrano i zamęczono, którego bito i torturowano. Którego pomawiano o zbrodnie niepopołnione i obrzucano błotem. Któremu odbierano sen. Jeden z jego kolegów, którzy przeżyli, powiedział mi potem, że tortura braku snu była gorsza niż bicie.

Po Kamilu nie został żaden ślad. Nawet grób. A jego oprawcy i mordercy, przynajmniej wielu z spośród nich, chodzą sobie po Warszawie swobodnie, dostają znaczne emerytury, zajmują komfortowe mieszkania. Sporo o tym pisze się ostatnio w prasie. Padają znowu żądania: rozliczyć winnych za ich zbrodnie!

Nie, nie! Teraz nie będę o tym myśleć – postanawia Zuzanna. Przypomnę sobie to, co w moim życiu stało się najważniejsze, kiedy odebrano mi i zabito moją największą miłość. Serdeczna, bezinteresowna ludzka przyjaźń pozwoliła mi odbudować rodzinę, odzyskać grunt pod nogami, a co najważniejsze – uwierzyć w ludzi.

A więc znów – szpital. Noce po operacji. Wciąż jeszcze leki, środki nasenne i uspokajające. Długa rekonwalescencja. Oczekiwała z upragnieniem każdego dyżuru doktor Oli Radzimirskej, która zawsze znajdowała – zwłaszcza jeśli dyżur przypadał nocą – czas na rozmowę.

– Czym się pani odwdzięczę? Gdyby nie pani...

– Och, proszę nie mówić głupstw! Każdy lekarz zrobiłby to samo, gdyby pani zjawiała się w takim stanie jak wtedy!

Ale nie każdy lekarz zabierałby mnie z domu i otaczał troską moje dzieci – pomyślała wówczas Zuzanna. Teraz już wiedziała, że mąż Oli spotykał Kamila w konspiracji, że był jego podwładnym w czasie powstania. Wiedziała, że legenda „Juranda” trwa w kręgach dawnych żołnierzy AK – i że nikt z nich nie uwierzył w absurdalne, nikczemne oskarżenia.

– To się kiedyś zmieni, pani Zulo – mówiła Ola. W jej ustach spieszczenie, jakiego niegdyś używali najbliżsi Zuzanny, jej rodzice i Kamil, nabierało serdecznego ciepła. – To się musi zmienić! Tak nie może trwać wiecznie.

– Cóż to będzie za zmiana?

– Nie wiem. Ale musi przyjść coś innego. I musi nastąpić sprawiedliwość!

– Jeżeli nawet, to dla mnie i tak wszystko się skończyło. Jestem sama... tak strasznie sama. A on...

Radziwirska milczała przez dłuższą chwilę.

– Los panią okrutnie skrzywdził – rzekła wreszcie. Ale są przecież dzieci. Dobre, dzielne, mądre. Bez nich byłoby pani jeszcze gorzej.

O szyby pokoju mocniej uderzył wtedy deszcz przemieszany ze śniegiem. Głucha starowina, nadal zajmująca sąsiednie łóżko, jęknęła niespokojnie przez sen.

– Gdyby nie one... – rzekła półgłosem Zuzanna – gdyby nie moje dziewczynki... Pewnie już by mnie nie było. Bo i po co miałabym żyć?

Te szpitalne wspomnienia mają raczej mroczny, ciemnoszary koloryt. Może dlatego, że trwała zima i że długo musiała leżeć na wznak, z opatrunkami zasłaniającymi oczy. Odetchnęła na dobre dopiero wtedy, kiedy z ust profesora padły długo wyczekiwane słowa:

– Może pani wracać do domu. Ale dla wszelkiej pewności dalsze kontrole są konieczne. Poskromiona operacją choroba dała wreszcie za wygraną.

Powróciła do tych samych obskurnych baraków, gdzie żyło się tak ciężko, a jednak mimo wszystko teraz nieco lżej. Czy dlatego, że przekonała się o życzliwości sąsiadów? Może z innej przyczyny: za pośrednictwem Oli Radziwirskiej znalazła ludzi, którzy znali i cenili jej męża.

W marcu 1953 roku syreny rozbrzmiewające ponad Warszawą ogłaszały czas pogrzebu Stalina. Zuzanna przypominała sobie nie raz słowa doktor Radziwirskiej: – To nie będzie trwało wiecznie. Coś musi się zmienić! Czyżby miał nastąpić początek tych przemian? Tak mogłoby się zdawać. Jednak radio i prasa znów przynosiły wiadomości o kolejnym procesie oficerów. Procesie, który po latach nazwano „odpryskowym”. Znów zapadły wyroki śmierci – i znowu stracono niewinnych.

W pamięci, jak na ekranie, pojawił się kolejny obraz – tym razem pełen żywych kolorów, światła i słońca. Na zaproszenie Radziwirskich Zuzanna udała się do ich domu w odwiedziny. Miał przyjść wtedy do nich również jeden z dawnych

podkomendnych Kamila, serdecznie z nim zaprzyjaźniony.

Był piękny dzień późnej wiosny, wczesne popołudnie, kiedy obydwie z Jolą wysiadły z trolejbusu w pobliżu ulicy Górnośląskiej. Córka towarzyszyła matce, gdyż Zuzanna od czasu do czasu miewała zawroty głowy, niegroźne, ale męczące.

– Jak tu ładnie! – zachwyciła się Jola, kiedy znalazły się w miejscu, gdzie ulica Myśliwiecka, łagodnym zakosem spływająca w dół, spotykała się z małą uliczką Profesorską. – Zupełnie jak nie w Warszawie!

Zuzanna przytaknęła. Zakątek, w którym się znalazły, przypominał jej oglądane na fotografiach w albumach miasteczka włoskie lub hiszpańskie: malowniczy, nierówny teren, niewielkie willowe domy z balkonami, niektóre z tarasami; starannie utrzymana zieleń i kwiaty – wiele pnączy porastających mury, ukwiecone skrzynki, doniczki na balkonach. I ta wyraźnie odczuwana atmosfera spokoju, pogody, intymnej zaciszości. Śródmieście: tak blisko centrum, a zarazem nie słychać tutaj szumu ani hałasu. Ja tak nigdy mieszkać nie będę – stwierdziła w duchu i natychmiast skarciła samą siebie za tę myśl. Nie powinna żywić najmniejszego nawet cienia zazdrości wobec doktor Oli, której tyle przecież zawdzięczała!

Docent Radzimirski odpoczywał na leżaku, czytając gazety. Jego żona krzątała się w niewielkim ogródku. Na sygnał dzwonka podeszła do furki.

– Witam, pani Zuzanno! Jak się masz, Jolu! Trafiłyście panie bez kłopotu? Mój mąż – pani Kotwiczowa. Siądziemy na razie tutaj, czy wejdziemy do środka?

– Tu jest tak przyjemnie! – odparła Zuzanna.

– I ślicznie! – dorzuciła Jola.

– Zaraz podam coś chłodnego do picia. Krzysztof, chodź, przedstaw się gościom – te słowa skierowane były do chłopaka, który pojawił się na progu. – Nasz syn.

– My się już znamy – rzekł z uśmiechem młody Radzimirski, patrząc na Jolę.

– Byłem niedawno kimś w rodzaju listonosza.

– Ach, to pan przyniósł mi wiadomość od dzieci! – podchwyciła Zuzanna.

– A nam babkę od pani doktor – wtrąciła Jola. – I makowiec!

– Zajmij się teraz młodszą koleżanką, Krzysztof – powiedziała gospodyni, rozkładając na stoliku kolorowe serwetki.

– Herbata czy kawa, pani Zuzanno?

Młodzi poszli do pokoju Krzysztofa. Student pierwszego roku medycyny potraktował licealistkę protekcjonalnie, choć bardzo uprzejmie. Chyba zakochałam się w nim już wtedy, i to na amen, choć jeszcze sama o tym nie wiedziałam – wyznała Jola matce po latach, w jakiejś godzinie szczerości. Wracały potem do domu późnym wieczorem, dzieląc się wrażeniami. Obydwie były pod urokiem domu i jego gospodarzy. Zuzanna nie mogła powstrzymać się od refleksji, której nie wypowiedziała jednak na głos: Jak dobrze ludziom, kiedy są we dwoje!

Wówczas łatwiej znieść każdą przeciwność losu.

Zapamiętała również inne odwiedziny w tym gościnnym, życzliwym domu, gdzie chętnie bywałyby jak najczęściej; lecz nie mogła przecież narzucać się Radziwiskim. Kontakt z nimi był utrudniony, dopóki mieszkała na Kole, z fatalną komunikacją, bez telefonu.

Wtedy była jesień. Pogodny i ciepły, prawie jak w lecie, niedzielny poranek październikowy. Mały ogródek, w którym rosło kilka starych drzew, mienił się barwami. Zuzanna prawie biegła na ulicę Profesorską. Odczuwała ulgę; ta ulga byłaby radością, gdyby nie przyćmiewał jej ból. Komu, jak nie znajomym, którzy stali się jej przyjaciółmi – komu, jak nie doktorowi Radziwiskiemu, który był podwładnym jej męża podczas powstania, miała pokazać list z urzędowym nadrukiem „Najwyższy Sąd Wojskowy”, otrzymany przedwczoraj? Nie była jedyną spośród żon oficerów aresztowanych przed kilka laty – żon, do których teraz takie listy dotarły. Zawirowały jej w oczach słowa, informujące, że postępowanie karne w sprawie męża zostało wznowione – że, „Najwyższy Sąd Wojskowy sprawę ponownie rozpatrzył, stwierdzając niewinność męża Obywatelki...”. Wyrok uchylono. Zarzuty uznano za bezpodstawne. Kamil Kotwicz, pułkownik Wojska Polskiego, został całkowicie zrehabilitowany i uwolniony od wszelkich oskarżeń.

– Mamusiu, co oni piszą? Co jest w tym liście? – dopytywały się córki.

Zuzanna spojrzała raz jeszcze na podpis prokuratora generalnego – i wręczyła Joli sztywny, duży arkusz. Potem usiadła ciężko, jak po wielkim wysiłku – i rozszlochała się tak, jak gdyby pękły w niej tamy, dotychczas powściągnięte rozpaczą.

Kamil został oczyszczony ze wszystkich krzywdzących zarzutów. Ale Kamila już nie było...

Oboje Radziwiscy rozumieli uczucia, jakie ją nurtowały: To wiele, ale nie wszystko – pomyślała Ola, zwracając Zuzannie urzędowy list.

– Może... może jestem bardzo podła – przemówiła Zuzanna z trudem opanowując drżenie głosu. – Ale tak zazdroszczę tym kobietom, które tak jak ja... którym aresztowano mężów, ale którzy przeżyli...

Radziwirska objęła ją ramieniem. – Nie jest pani podła. Proszę tak o sobie nie myśleć! To żal i gorycz odzywają się w pani. Jedno i drugie zrozumiałe, jeśli ktoś tyle przeszedł.

– Ale musi pani mieć siłę, żeby dalej żyć – dodał jej mąż. – Pomożemy pani, w czym tylko się da.

Drażący ból długo nie odstępował Zuzanny. Towarzyszył jej podczas następnych miesięcy. List prokuratorski był pierwszy, ale nie jedyny. Po nim przyszły inne. Pisano o odszkodowaniach. Wymieniano sumy, na owe czasy dość znaczne. Sam fakt ich przyznania wzburzył jednak Zuzannę. Czy można

jakimikolwiek pieniędzmi wyrównać utratę najbliższego człowieka? Jakie odszkodowanie zrekompensuje ogrom doznanych krzywd i nieszczęść? A tymczasem pytano, czy zadowolą ją przyznana kwota, dając do zrozumienia, że można ją zwiększyć!

Początkowo chciała odmówić i nie przyjąć nic. Zgodziła się wreszcie, głównie ze względu na dzieci. Potrzeb było mnóstwo, a dochody minimalne. Jola dorabiała już wówczas korepetycjami, lecz wszystko to nie starczało na znośne utrzymanie i najpilniejsze wydatki. Podczas kolejnej urzędowej rozmowy zapytano Zuzannę o warunki mieszkaniowe. Krótco poinformowała: dwukrotne przesiedlenie, barak na peryferiach, wilgotna, ciemna izba – wszystko to nadszarpięło zdrowie jej i dzieci. Skrupulatnie odnotowano wszelkie szczegóły. Wkrótce przyszło pisemne zawiadomienie: dawnego mieszkania przy ulicy Nabelaka, które zajmowała wraz z mężem przed jego aresztowaniem, odzyskać się nie da. Rodzina pułkownika Kotwicza może natomiast otrzymać równorzędne mieszkanie w niedawno ukończonym bloku przy ulicy Świętojerskiej. Trzy pokoje, wszelkie wygody, centrum miasta. Wzmianka Zuzanny o telefonie wystarczyła, aby go załatwiono natychmiast. Z kwatermistrzostwa wojskowego przyszło zawiadomienie, że jeśli obywatelce Kotwiczowej potrzebny jest jakikolwiek środek transportu celem przeprowadzki lub dostarczenia jakichś niezbędnych rzeczy – to trzeba tylko dać znać.

Następna seria pytań i zarządzeń dotyczyła zdrowia jej i córek. Staranne badania, lekarstwa, zastrzyki i witaminy – wszystko to otrzymały bez próśb i starań. Nadeszło lato: miesiąc mogły spędzić wszystkie trzy w najlepszym domu, jakim rozporządzał Fundusz Wczasów Pracowniczych. Wybrały Międzyzdroje. Kierowniczka pensjonatu osobiście wprowadziła je do pięknego pokoju z widokiem na morze – i przez cały czas pobytu troszczyła się, czy są zadowolone z jedzenia.

Jak gdyby skinienie różdżki czarodziejskiej odmieniło życie Zuzanny i jej córek. Byłoby to wspaniałe, gdyby nie myśl, tkwiąca jak cień w każdym dniu: to wszystko jest ceną za śmierć najbliższego człowieka. Byłoby całkiem inaczej, gdyby to wspólnie przeżywali oboje. Szczętek owego żalu pozostał niby zadra na dnie wspomnień aż do dziś.

A w kilka lat potem...

Nie, nie myślała, że ten przystojny chłopak o zniewalającym uśmiechu stanie się jej zięciem. Jola była zresztą bardzo młoda – i zamążpójścia na razie nie planowała. Pochłonięły ją sprawy codzienne: przeprowadzka, potem matura. W nowym mieszkaniu, ładnym – choć jeszcze nieumeblowanym, znacznie łatwiej było żyć, uczyć się, odpoczywać.

Pani Teresa o historycznym nazwisku, dawna sąsiadka z Koła, odwiedziła je parokrotnie na Świętojerskiej, zanim przyszła z pożegnalną wizytą: otrzymała

paszport, czekał ją wyjazd na stałe do syna w Nowym Jorku.

– Wiem, że będę ogromnie tęsknić – powiedziała. – Ale tu jestem całkiem sama, a tam jest kilka osób z rodziny. Dobrze, że nastąpiły u nas te wszystkie zmiany, bo bez nich ani marzyć nie mogłabym o wyjeździe!

Zmiany przyniósł październik 1956 roku. Świat, od dawna zamknięty i zaryglowany, z wolna uchylał drzwi. Radzimirscy wyruszyli do brata Stefana. Ten brat osiadł po wojnie w Kanadzie. Jola po maturze chciała zdawać na medycynę. Zuzanna nie próbowała zmieniać planów córki, mimo że obawiała się dla niej tych studiów: dużo pracy, i to ciężkiej, zwłaszcza dla dziewczyny z nienajlepszym zdrowiem. Przy tym konkurencja bardzo silna: po kilku kandydatów na jedno miejsce. Lecz Jola uparła się i nie chciała słyszeć o żadnym innym kierunku nauki.

– Obiecałam sobie, że będę lekarką – wiesz kiedy? Jak tyś, mamó, leżała w szpitalu!

Wydawało się, że przebrnęła pomyślnie przez egzaminacyjne sito. Jednak nie znalazła się na liście przyjętych. Zuzanna gotowa była szukać jakiś dróg odwoławczych – nie wiedziała jednak, gdzie zakłatać. Radzimirscy wyjechali. Do nikogo innego nie chciała się zwracać. Próbowwała wyperswadować córce upragnioną medycynę. Jola uparcie potrząsała głową.

– Za rok startuję znowu – oświadczyła. – A przez ten czas...

Przypadek, a może los życzliwy dla obojga młodych sprawił, że, nie wiedząc o sobie, znaleźli się w tej samej klinice przy ulicy Lindleya. Krzysztof – medyk na trzecim roku studiów – i Jola, która zgłosiła się do pracy jako salowa. Tym razem również postawiła na swoim, pomimo oporów Zuzanny, która bała się, że praca ta będzie ponad siły córki.

– To się liczy przy egzaminach! – argumentowała Jola.

Zderzyli się oboje na korytarzu, idąc z dwóch przeciwległych stron. Krzysztof, zaaferowany jakimiś swoimi sprawami, mruknął pod nosem: – Przepraszam! – i gotów był ruszyć dalej. Coś go jednak tknęło. Przyjrzał się uważnie dziewczynie w szpitalnym fartuchu.

– Jola? Co ty tu robisz?

– Jak to co? Po prostu pracuję – uśmiechnęła się, wsuwając pod czepek niesforne kosmyki włosów.

– Pracujesz na studia? – Krzysztof zrozumiał od razu. – Coś nie wyszło z egzaminami?

– Zabrakło mi punktów. Teraz je wyrabiam.

Krzysztof spojrział na zegarek.

– Nie mam czasu, obchód zacznie się lada chwila. Czekaj! Kiedy moglibyśmy pogadać?

Spotkali się po pracy w małej kawiarence w Alejach Jerozolimskich. Jola

spokojnie, bez żalu i rozgoryczenia opowiadała o porażce na egzaminach.

– Że też moi starzy są w Kanadzie! – pokręcił głową Krzysztof.

– Pozbierali wszystkie zaległe urlopy i dlatego jeszcze nie wrócili. Ojciec ma przecież znajomości w Akademii Medycznej. Głowę daję, że dostali się na studia nie sami geniusze!

– Twój ojciec zostawił nazwisko i telefon znajomego, który mógłby pomóc – rzekła Jola.

– No, i?...

– Ten profesor jest chory na serce. Leżał najpierw w szpitalu, potem zawieziono go do sanatorium.

– Miałaś pecha!

– Na pewno tak. Ale wiesz co, Krzysztof? Może to nawet lepiej. Ja nie chcę żeby szło wciąż... wciąż za mną – zająknęła się lekko – to, że mój tata... że ze względu na niego trzeba mi pomóc. Początkowo spłakałam się jak bóbr, potem zaczęłam o tym spokojnie myśleć. Każdy egzamin to loteria. Ale teraz wiem, jak się zdaje. I wiem, czego mi brakowało... a taki rok w szpitalu też się liczy. I to nie tylko na egzaminie. Człowiek z bliska widzi tyle ludzkiej biedy! I też się uczy.

– Ach, ty... Judymówna! – uśmiechnął się Krzysztof. – I będziesz znów próbować?

– Będę.

W rok później Jola zdała pomyślnie egzaminy i została przyjęta na Akademię Medyczną. Z Krzysztofem spotykała się często. Zuzanna odgadywała, co łączy ich oboje – i pełna była rozterki. Młodego Radzimirskiego bardzo lubiła; trudno byłoby jej wymarzyć lepszego męża dla córki. Ale co powiedzą jego rodzice? Może się okazać, że czym innym jest miła znajomość, opiekuńcza przyjaźń, wspomnienia wojenne i konspiracyjne – a czym innym akceptacja młodej studentki jako synowej. Może Radzimirszy woleliby widzieć u boku starszego syna inną dziewczynę – bardziej efektowną i zaradną życiowo, z zamożniejszej rodziny?...

Na szczęście rodzice Krzysztofa i tym razem okazali się, wedle ówczesnego slangu młodzieżowego, „bezbłądni”.

– Będziemy teraz rodziną – i bardzo się z tego cieszę – powiedziała Ola.

Wspólnie omawiano sprawy praktyczne, których było sporo. Na plan pierwszy wysuwało się pytanie: gdzie młodzi będą mieć pierwszy wspólny dach nad głową? Spółdzielczość mieszkaniowa we wczesnych latach sześćdziesiątych dopiero się odradzała. Na ulicy Profesorskiej prócz Radzimirskich oraz ich dwóch synów mieszkała jeszcze staruszka – matka Oli, a także wiekowa niania Krzysztofa, pełniąca obowiązki gosposi i traktowana jak członek rodziny. Ponadto doktor Radzimirska miała tu od roku gabinet prywatny.

Zuzanna nie namyślała się długo.

– Mamy przecież na Świętojerskiej trzy pokoje – oznajmiła. – Jeden może być dla was. Jeżeli Krzysztof będzie chciał. Krzysztof chciał, choć przyzwyczajony był do codziennych wygód w dobrze zorganizowanym domu na ulicy Profesorskiej.

– Tam był jeszcze ojciec i brat oprócz mnie, a tu mam cały harem – żartował.
– Żona, teściowa i szwagierka.

Było im jednak dobrze razem. Lepiej nawet, niż początkowo mogła myśleć Zuzanna. Po paroletnim mieszkaniu na Kole, gdzie trzeba było dźwigać węgiel, palić w piecach, wynosić popiół, gdzie zaopatrzenie było fatalne, komunikacja zaś z miastem podła, życie codzienne okazało się znacznie łatwiejsze.

Na pobliskiej ulicy Nowotki było sporo sklepów, poczta i apteka. Telefon ułatwiał łączność ze światem. Park Krasińskich, na który wychodziły okna dwóch pokoi, cieszył oko zielenią – przyjemnie było usiąść w nim na ławce, popatrzeć na drzewa, na ptaki, na bawiące się dzieci. Z gospodarstwem przy pomocy córek Zuzanna dawała sobie radę bez większych kłopotów. Młodzi jadalі posiłki w stołówkach. Tylko niedziela gromadziła wszystkich przy wspólnym świątecznym obiedzie. Do szkoły, w której pracowała Zuzanna, było blisko – dosłownie parę kroków.

Kiedy przyszedł na świat Andrzej, park Krasińskich okazał się najpierw wymarzonym miejscem spacerów z wózkiem, potem – miejscem zabaw malucha w piaskownicy. Gdy zaś po kilku latach Krzysztof doczekał się swojej spółdzielczej kolejki, obydwój z Jolą wcale nie kwapili się z przeprowadzką. Przywykli do mieszkania na Świętojerskiej, które – nawet dzielone z matką i siostrą – miało zbyt wiele zalet, aby chcieć je szybko porzucić. Doktor Krzysztof Radzimirski, mając w ręku przydział na „półtora pokoju” z kuchnią, głęboko zastanawiał się, co zrobić?

– Ja tam chętnie zamieszkać – oświadczyła Isia, świeżo upieczona studentka Akademii Rolniczej. – Z Wierzbna będę miała znacznie bliżej do uczelni. No i tutaj się wtedy rozluźni. A potem – zobaczymy. Jak będziecie chcieli tam się przenieść, wrócę do mamy.

Zuzanna protestowała, ale niezbyt stanowczo. Zdawała sobie sprawę, że dotychczasowe mieszkanie, choć dość obszerne i wygodne, zagęściło się zbyt mocno. Było w nim teraz po prostu ciasno. Uważała wprawdzie, że Isia jest za młoda, aby zamieszkać samodzielnie, lecz córki wraz z zięciem wyśmiały jej zastrzeżenia.

– A gdybym pojechała na studia do innego miasta i tam wynajęła pokój, też byś uważała, że nie powinnam mieszkać sama? – spytała Isia. Chcąc nie chcąc, matka przyznała jej rację.

W kilka lat później mieszkanie okazało się „do wzięcia”: Isia w ostatnim

roku nauki poślubiła starszego kolegę z akademii, Janusza Zimowskiego, który wraz z ojcem prowadził duże gospodarstwo ogrodnicze koło Piaseczna. Tam zamieszkali oboje w dwurodzinnym, obszernym domu teściów, którego nowa część przeznaczona została dla młodej pary.

– Nie boisz się tej ogrodowej harówki? – pytała starsza siostra. Isia zaprzeczyła.

– Zawsze mnie ciągnęła ziemia, kwiaty, drzewa.

– Kiedyś chciałaś iść na uniwersytet – zauważyła matka.

– Tak, ale to było dawno. Ziemia, mamó, to coś konkretnego. Jeśli w niej coś posieję i zadbam o nią, wiem, że z tego będę miała pożytek. Drzewa, jeśli chodzę koło nich, będą owocować. Mogę zawsze czytać książki, uczyć się obcych języków, byle tylko starczyło mi sił i czasu. Ale nie chcę żadnej humanistyki, a przede wszystkim – żadnej polityki!

Zuzanna rozumiała to doskonale. Jej córki miały w sobie wstręt i uraz do polityki, która brutalnie wydarła im ojca, zniszczyła ich dzieciństwo – i położyła niezatarte piętno na życiu ich matki. Wszystkie trzy znały sporo rodzin, dotkniętych podobnym losem. Rehabilitacja niesłusznie skazanych tylko niektórych spośród nich zastała przy życiu. Ci zaś prawie wszyscy mieli stargane zdrowie, życie osobiste niektórych uległo całkowitemu rozbiciu. Przeszłość, zakorzeniona w latach okupacji, pozostawiała mocno wryty i głęboko utrwalony ślad. Ów ślad był nie do zatarcia. – Z nami też mogło być jeszcze gorzej – myśli Zuzanna, powracając z głębi przeszłości do wspomnień coraz bliższych.

Kiedy już wiadomo było, że Isia przeprowadzi się na stałe do Piaseczna, Zuzanna, ku zaskoczeniu Joli i Krzysztofa, zaproponowała:

– Ja chętnie zamieszkać w tym mieszkaniu na Wierzbnie.

– Sama? – zdumiała się córka. – Tak daleko?!

– Dlaczego daleko? Do mojej biblioteki będę miała znacznie bliżej.

– Już byś mogła sobie darować, mamó, tę swoją bibliotekę z półtatem! Czy nie czas, żebyś sobie naprawdę odpoczęła?! Masz przecież nas – i...

Zuzanna przecięła znaczącym gestem dalsze słowa córki.

– Ja po prostu lubię bibliotekę i ta praca prawie mnie nie męczy. A samotności naprawdę się nie boję. Zresztą co to za samotność? Będę miała do was pół godziny tramwajem – a Isia z Januszem są trochę tylko dalej.

– No, a zdrowie, mamó? Bądź co bądź, tu masz dwoje lekarzy na każde zawołanie!

– Nie odmówicie mi chyba pomocy, jeśli będę na Wierzbnie? A zdrowie – odstuknąć! – jakoś ostatnio mi nie dokucza.

– Przecież nie ma sensu odnajmować tego mieszkania ani się go pozbywać – zauważył rozsądnie Krzysztof. – Tylko jeśli naprawdę mama chce tam się przenieść, trzeba postarać się o telefon. Ale tu będzie nam bez mamy pusto!

– Dokuczyliście ci, mamuś, że chcesz od nas uciec? – Jola wypowiadała te słowa żartobliwym tonem. Przyjrzała się jednak matce badawczo.

– Kochani moi – Zuzanna objęła córkę ramieniem i uśmiechnęła się do zięcia. – Nie opowiadajcie głupstw! Nie dokuczyliście mi nigdy niczym. Ale sami wiecie, że im człowiek starszy, tym bardziej pragnie ciszy i spokoju. A jeśli tak się składa, że mogę mieć ten spokój, dlaczegoż z niego nie skorzystać?

Oboje przytaknęli ze zrozumieniem. W domu u nich często bywało gwarno, zwłaszcza od czasu, gdy Andrzej wyrósł, gdy w jego życie wszedł sport i hałaśliwa muzyka. Zuzanna bardzo kochała wnuka; rozwijał się na jej oczach pod wspólnym dachem. Kiedy był mały, poświęcała mu zazwyczaj więcej czasu niż zapracowani rodzice. Lecz Andrzej – nastolatek – miał już własny krąg kolegów, swoje zainteresowania i swoje sprawy, które oddalały go od babki. Trudno było się dziwić, że rockowa muzyka, której podobno nie można słuchać inaczej, jak tylko głośno, męczy starszą panią; że dokucza jej hałas telewizora i radia.

– Dwa pokoje będziecie mieli tylko dla siebie – mówiła Zuzanna. – W trzecim Andrzej może robić, co chce. A kiedyś... kiedyś przecież i tak to mieszkanko na Wierzbnie będzie na pewno wasze, albo jego – tych ostatnich słów nie dokończyła. Jolę bowiem oderwał sygnał telefonu, a wnuk miał jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę do ojca.

Nie przyznała się sama przed sobą, a tym bardziej przed najbliższymi, że trochę boi się jednak tych przenosin. No, cóż – znane przysłowie powiada, że starych drzew się nie przesadza.

Wbrew tym lękom przyzwyczała się bardzo szybko do nowego otoczenia. Mieszkanie było zaciszne. W pobliżu miała skwerek i zieleń. Ulica Puławska, choć bliska, nie dokuczała hałasem. Do przystanku tramwajowego i autobusowego było niedaleko. Do sklepów i do biblioteki także. Telefon dzięki znajomościom młodszych Radziwiłłskich udało się zainstalować w ciągu zaledwie trzech miesięcy. Dawnym znajomym Zuzanny Kotwiczowej łatwiej było ją odwiedzać w zakątku, który urządziła po swoim. A teraz – po ilu? – po siedmiu – nie, po ośmiu latach miała mieszkanko pożegnać...

Bądź rozsądna! – upomniała samą siebie. – Ósmy krzyżyk na karku. A zdrowie, nadszarpnięte dawnymi przeżyciami, mimo wszystko daje coraz częściej znać o sobie. Z Krzysztofami będę czuła się bezpiecznie. Może moi młodzi – wciąż myślę o nich „młodzi”, a przecież oboje są już dobrze po czterdziestce! – znajdą jakieś inne rozwiązanie? Czasy są tak niepewne!... Teraz jednak chyba takie wyjście będzie najlepsze. Jeśli Andrzej znalazł dziewczynę, którą kocha i chce poślubić – dlaczego mu nie pomóc?

Dobrze, że mam wokół siebie w tej jesieni trudnego życia krąg ludzi kochających i serdecznych. Córki, zięciowie, Andrzej, dwójka młodszych wnuków.

Ola i Stefan. Co bym zrobiła bez nich! Dopomogli mi w najtrudniejszych latach, przywrócili wiarę w ludzi.

Przypomniała sobie niedawną rozmowę z młodym dziennikarzem, zapewne rówieśnikiem Andrzeja lub niewiele od niego starszym. Przyszedł, aby dla nowo powstałego tygodnika uzyskać wywiad z wdową po bohaterskim pułkowniku Kamile Kotwicz, niewinnie skazanym w jednym z haniebnych procesów w latach pięćdziesiątych. Młody, zapalczywy chłopak mówił o konieczności sprawiedliwej kary. Dla tych, którzy więzili i skazywali niewinnych. Różański, Fejgin, Romkowski – wyliczał. – Różański nie żyje. Ale inni! Osławiony pułkownik Dusza siedzi sobie spokojnie w swoim mieszkaniu – jak gdyby nigdy nic! Niemniej osławiony prokurator Zarakowski mieszka w komfortowej willi – i nie poczuwa się do żadnej winy!

– Po październiku pięćdziesiątego szóstego roku była mowa o tym, że wszyscy zostaną ukarani – wtrąciła Zuzanna.

– Ach, tamte obietnice! – młody dziennikarz machnął ręką lekceważąco. – Zapewnienia ówczesnej władzy! To było po prostu wykręcanie kota ogonem. Ale teraz przyjdzie czas prawdziwego rozrachunku. Postawimy ich przed sądem. Wyobrażam sobie, z jaką satysfakcją będzie pani im się przyglądała!

– Z satysfakcją? – powtórzyła odruchowo Zuzanna. Owszem: kiedyś pragnęła ujrzeć klęskę tych ludzi – potworów. Ale teraz? Czy chciałaby stanąć twarzą w twarz z oprawcami, którzy torturowali i zamordowali Kamila? Jednego ze sprawców skazania męża widziała kiedyś z bliska. Czy chciałaby – czy mogłaby powtórnie spojrzeć na niego?

Poczuła odruch dawnej nienawiści, przemieszanej ze wstrętem. Do dziś nie potrafiła, myśląc o tych ludziach, zdobyć się na słowa o przebaczeniu winowajcom. Ale czy chciałaby przyjrzeć się im teraz, gdy są już nieszkodliwi? I czy doznałaby przy tym satysfakcji? Ocknęła się. Co mówi ten młody człowiek?

– Wyobraża pani sobie, jak oni się boją?! I będą się jeszcze bardziej bać!

– Myślę, że na pewno się boją – przytaknęła. – Może to jest dla nich największa kara. Kto wie?

Strumień księżycowego światła, płynący przez okienną szparę, przygasł i znikł. Na wschodzie niebo zaczynało szarzeć pierwszą, na razie jeszcze ledwie widoczną zapowiedzią świtu. Teraz dopiero Zuzannę Kotwiczową, która w ciągu niewielu godzin bezsennej nocy przebiegła myślą prawie czterdzieści minionych lat, zmorzył mocny sen.

V

– Wiesz, Andrzej, wciąż myślę o twojej babci i o wszystkim, co ją spotkało – powiedziała Agata ostatniego wieczora, który kończył jej pobyt w Warszawie. Dziesięć dni i nocy spędzili razem, rozstając się tylko na ranki i przedpołudnia, kiedy Andrzej jechał do pracy.

– I w głowie mi się nie mieści, jak można było takiego człowieka jak on... – spojrzała na podobiznę Kamila Kotwicza – jak można go było oskarżyć i skazać na to, czego nigdy nie popełnił!

– Ano, w tamtych czasach takie były sądy i tacy byli ludzie. Teraz się znowu sporo mówi o dziadku. Odwiedzali babcię jacyś reporterzy. Pytali o wspomnienia, o materiały. Podobno chcą pisać o nim książkę.

– A co ona na to?

– Waha się. Nie bardzo wie, co odpowiedzieć. Z jednej strony bardzo by chciała, żeby o nim pamiętano. Z drugiej – nie wie, czy ci, co z tym przyszli, potrafią zrozumieć.

– Mówiłeś, że te wspomnienia są dla niej wciąż bardzo bolesne.

– Tak, ale właściwie nie w tym rzecz. Ona uważa, że przede wszystkim władze powinny raz jeszcze, i to głośno, nie tak po cichu, jak po pięćdziesiątym szóstym roku, potwierdzić, że Kamil Kotwicz był całkowicie niewinny.

– No, to chyba jasne!

– Tak, ale wolałaby, żeby inicjatywa w tym celu wyszła nie od niej i nie od jej córek – rozumiesz? Żeby z tym wystąpiły czynniki oficjalne, przyznając, że wtedy popełniony został błąd – a właściwie nie błąd, po prostu zbrodnia.

– Tylko że te czynniki oczywiście nie chcą?

– Nie bardzo chcą. A zresztą w tym całym obecnym zamęcie trudno cośkolwiek załatwić czy choćby zaproponować.

– Więc taka książka bardzo by się przydała!

– Owszem. Ale babcia również nie chce, żeby ta cała sprawa służyła jakimś, albo którymś korzyściom.

– Korzyściom? – zdziwiła się Agata. – Nie bardzo rozumiem.

– Ja też nie – przyznał Andrzej. To są bardzo odległe sprawy. Ona chyba boi się, że na tej sprawie ktoś mógłby zbić kapitał polityczny. Bardzo mocno podkreśla, że pułkownik Kotwicz nigdy nie był w jakiegokolwiek partii, że obchodziła go Polska, a nie żadne łamańce polityczne. Zresztą wolałbym, żeby babcia o tym porozmawiała z moimi rodzicami, gdy wrócą, bo ja w tym wszystkim nie bardzo mogę się połapać. To jednak inna epoka! Ale myślę, że z tą książką, z jej napisaniem i wydaniem – to wszystko jeszcze potrwa. A wiesz, co babcię bardzo boli? Że nie wie, gdzie pochowano jej męża. Kiedyś nawet wyrwało mi się, że przecież bardzo dużo ludzi z tamtych lat, z czasów wojny – nie ma grobów.

Ginęli w egzekucjach, w obozach. Obruszyła się wtedy i powiedziała, że to nie to samo. I że ja jednak tych rzeczy nie rozumiem tak, jak ci, co je przeżyli.

– Twoja babcia to bohaterka. Podziwiam ją! – rzekła Agata. – I po tym wszystkim, co przeżyła, potrafi się jeszcze uśmiechać! Wydaje mi się, że jeśli bym mnie coś takiego spotkało, nie potrafiłabym żyć.

– Podobno człowiek zdoła wytrzymać bardzo wiele, jeśli musi. Od kiedy babcię pamiętam, a przecież wychowałem się przy niej, zawsze – no, prawie zawsze była pogodna. Czasem tylko zdarzały się takie dni, że stawała się nieswoja, jak gdyby zamknięta, albo nieobecna. Przeważnie, jak przypadała rocznica...

– A ty wiedziałeś dlaczego?

– No, nie – jako dziecko byłem trzymany raczej z daleka od tych spraw. Rodzice, a szczególnie mój ojciec, parokrotnie upominali, żeby nie wypytywać babci o dziadka. Chyba że sama zacznie o nim mówić. Potem, kiedy byłem starszy, domyśliłem się wielu szczegółów. Ale całą prawdę starzy opowiedzieli mi, kiedy szedłem do liceum.

– Dopiero wtedy?

– Tak. Przedtem wiedziałem, że dziadek Kamil walczył za Polskę podczas okupacji i że po wojnie zginął tragicznie.

– Czy to było słuszne, że nie mówili ci wszystkiego?

– Nie zastanawiałem się nad tym. Ale chyba tak. Później, gdy babcia zorientowała się, że znam całą prawdę, od czasu do czasu rozmawiała ze mną o dziadku. Powiedziała mi wtedy parę razy, że w tych najcięższych czasach, kiedy jej się zdawało, że jest na dnie, pomogli jej ludzie. Zwłaszcza rodzina mego ojca.

– Ci, którzy teraz są w Kanadzie?

– Tak. Właśnie oni. Dziadek Kamil był przez pewien czas w konspiracji zwierzchnikiem drugiego mojego dziadka, Stefana Radzimirskiego. A babcia Ola w latach pięćdziesiątych uratowała wzrok babci Zuzannie.

– Ma takie piękne oczy! Trochę zielonkawe. Przyjrzałam się im, kiedy na chwilę zdjęła okulary.

– Owszem, piękne, ale były z nimi poważne kłopoty. I tak dobrze, że w porę zrobiono operację. Obydwie moje babcie poznały się właśnie wtedy, w szpitalu. Przypadkiem.

– Jak w powieści! Masz fantastyczną rodzinę, Andrzej! To chyba rzadko się zdarza, żeby jedni rodzice tak lubili drugich.

– Bo ja wiem? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Po prostu od kiedy pamiętam, zawsze tak było.

– Z góry się cieszę na ten dzień, kiedy ich wszystkich poznam. Będę miała straszną treść! Chyba jeszcze większą przed twoją mamą niż przed babcią.

– Nie przesadzaj, Aga! Zobaczysz, jacy wszyscy oni są równi. Właściwie ja też doceniam to dopiero teraz, kiedy jestem dorosły. Dobra rodzina – to jednak

niezła rzecz.

– Ja tego właściwie nie miałam – westchnęła Agata. – Zawsze była przy mnie tylko mama i ojciec.

– Są tacy, którzy nie mają nawet rodziców.

– Tak. Ale przyjemnie, jak są w pobliżu jacyś sympatyczni krewni.

– Szkoda, że nie ma tu teraz Iśki, mojej ciotki, młodszej siostry mamy. Fajna babka! Ma głowę dobrze umeblowaną. Oboje, ona i Janusz, jej mąż, są zaharowani, bo to przecież dla ogrodników pełnia sezonu. Ale to nic. Teraz babcia Zuzanna jest najważniejsza. Bardzo się cieszę, że cię od razu polubiła.

– Ja też się cieszę. Przy niej od razu się dobrze poczułam. A wiesz, u mnie w domu było zawsze jakoś smutno.

– Dlaczego? Przecież twoi staruszkowie bardzo cię kochają!

– Tata podobno wariował z radości, kiedy się urodziłam. Nie bardzo mogę go sobie wyobrazić, jak wariuje – no, ale mama mówi, że tak było. Strasznie chciałam mieć rodzeństwo. Kiedy się dowiedziałam, że tata był już raz żonaty, przez pewien czas myślałam, że może mam przyrodniego brata albo siostrę – i że kogoś z nich kiedyś w życiu spotkam.

– Okazało się, że nic z tego?

– Nic. Spytałam kiedyś o to mamę. Powiedziała mi, że nie było żadnych dzieci przedtem, w tym pierwszym małżeństwie tatusia, żebym tym sobie głowy nie zaprzętała i że nie trzeba go pytać o tamte czasy, bo miał ciężkie życie i wiele przejść.

– Nie próbowałaś się czegoś dowiedzieć?

– Trochę tak. Okazało się, że Niemcy zamordowali rodziców taty i jego siostrę. To było daleko od Warszawy, gdzieś w Chrzanowie, albo w Trzebini, nie wiem dokładnie. On uciekł, przez kogoś ostrzeżony. Uratował się prawie cudem. Potem trafił do partyzantki, gdzieś w Kieleckiem. I to właściwie wszystko.

– Takie przeżycia mogły zostawić na długo ślad.

– Wiem, że tata odwiedza czasem jakichś dawnych kolegów. Ale potem nigdy nic nie opowiada. I tych kumpli do domu nie zaprasza. Jeszcze teraz czasami śni mi się, że przed kimś albo przed czymś uciekamy. Choć wiem, że nic takiego nie przeżyłam. Mieszkaliśmy we Wrocławiu. Dziwne, prawda, skąd takie sny? I wiesz, co jeszcze? Pamiętam, że w dzieciństwie bardzo czegoś się bałam, sama nie wiem czego. Potem jakoś z tych strachów wyrosłam.

– Chyba każdy maluch czegoś czasami się boi – odparł Andrzej tonem doświadczonego pedagoga. – Słuchaj, Aga, jeśli o tym mówimy, chciałem cię spytać... Nie myślałaś, że to wszystko teraz między nami może mieć dalszy ciąg?

Oparła się na łokciu i zajrzała mu z bliska w oczy.

– To znaczy, że ja zajdę, albo już zaszłam w ciążę? – odparła pytaniem na pytanie.

- No, właśnie. Żadnych środków nie stosujemy, bo nie chciałaś...
- I nie chcę. Po co odkładać? Zwłaszcza teraz, kiedy kroi nam się dach nad głową.
- Chyba masz rację. Przecież pobierzemy się niedługo. A to już nie te czasy, żeby nasze rodziny obliczały, w ile miesięcy po ślubie coś nam się urodziło. Jeśli już tak będzie...
- Andrzej, ja naprawdę chcę, żebyśmy mieli dzieci!
- Od razu w liczbie mnogiej? – żartem pokrył wzruszenie. – Moja ty... maksymalistko!
- Jedyńakom jest źle na świecie. Tyś nie miał rodzeństwa. Ja też nie. No, przynajmniej dwoje.
- Pamiętaj, że nasz kąt będzie ciasny.
- Znam większe ciasnoty. Pozwolisz mi rozstawić w kuchni mój warsztat? Będę tkąć i doglądać niemowlaka!
- Kochanie moje – podniósł do ust jej rękę. – Dzięki za to, że tak mówisz! Może nam być ciężko. Szczególnie w takich głupich czasach jak teraz.
- Podczas wojny było jeszcze ciężiej, a dzieci się rodziły.
- Też prawda.
- Andrzej – oparła głowę na jego ramieniu. – Chciałabym mieć syna i córkę. Nasze dzieci. I żeby były do ciebie podobne. Nawet mam już dla nich imiona. Zgadnij!
- Skąd mogę wiedzieć?
- Jakiś ty niedomyślny! Jeśli to będzie córeczka – nazwiemy ją Zuzanna. A jeśli chłopiec – Kamil...
- Tej nocy kochali się burzliwie, „na zapas”, jak to określił Andrzej, przed parotygodniową rozłąką. – Odechciewa mi się tej całej Anglii przy tobie! – mówił Andrzej, nie wypuszczając dziewczyny z ramion.
- Ale potem – Grecja! Nawet lepiej, że pojedziemy tam we wrześniu – jest jeszcze lato, za to upał trochę mniejszy – szeptała.
- Wyobrażasz sobie, jak będę tęsknił za tobą?!
- A ja? Myślisz, że nie?...
- Jazda na dworzec trwała dłużej niż zwykle. Od ulicy Królewskiej przez Marszałkowska szedł bowiem jakiś pochód, skandując głośne okrzyki. Powstał zator, z którego trudno się było wydostać. Agata raz i drugi spojrzała niespokojnie na zegarek.
- Nie denerwuj się, kochanie! – uspokajał ją Andrzej. – Zdążymy. Dlatego wolałem wyjechać wcześniej. Teraz naprawdę trudno obliczyć, ile czasu będzie się w drodze.
- Okropnie wygląda ta oplakatowana Warszawa!
- Okropnie – potwierdził Andrzej. – Ja też nie mogę na to patrzeć. Że też

człowiek nie żyje w jakimś normalnym kraju!

– I co z tego wyniknie?

Andrzej zdołał skręcić w Świętokrzyską, gdzie nie było demonstrantów. Posuwali się jednak wolno, gdyż na jezdni wciąż panował tłok.

– Wiesz, co jeszcze wyniosłem z historii mojej mamy i babci? Wstręt do polityki. Nie znosiłem i nie znoszę, tak zresztą jak mama, wszystkich zebrań, wieców, akcji i tym podobnych cyrków. Może to dziwne w takim kraju jak nasz, zwłaszcza teraz. Ale nigdy nie chciałem do niczego się zapisywać.

– Byłeś przecież w harcerstwie! – przypomniała Agata.

– Owszem, ale rozstałem się z nim jeszcze przed maturą. Harcerstwo u nas jest dobre dla nastolatków. Potem z niego się wyrasta, jak z ciasnych ciuchów. Później już do żadnego ZMS się nie zapisałem. A studia i tak zrobiłem.

– Bo jesteś zdolny. A dobrzy specjaliści wszędzie się przydają.

– Otóż to. Najlepiej jest mieć konkretny zawód. Oczywiście wszędzie są różne układy, sitwy i tak dalej. Ale jeśli jest się dobrym fachowcem, trudniej człowieka zgnoić. Widziałem to choćby na przykładzie rodziców. Nie cierpię administrowania, urzędolonia i wszelkiej biurokracji. Nie cierpię tych wszystkich krzykaczy, co teraz wyłazą na wierzch jak szczury z nor. A wielu z nich padało na klęczki przed tym, co było wczoraj! Chwalili pod niebiosa partię, władzę, najpierw Gomułkę, potem Gierka, a teraz klepią w kółko o „Solidarność”. Mama pisała niedawno, że nie rozumie wielu rzeczy, które się dzieją u nas. To zrozumiałe – gazety dochodzą nieregularnie, rzadko, kto teraz jeździ do Tunisu? Zdaniem mamy, najważniejsze dla lekarza jest jedno: ratować chorych. Babcia zauważyła, czytając ten list, że trzeba mieć gdzie i czym ludzi leczyć, a z tym kiepsko. Ale właściwie przyznała mamie rację. Ja też wolę budować domy niż latać po wiecach. Choć teraz traci się rozeznanie, z kim je budować, gdzie i jak. No, już dworzec. Nawet mam gdzie zaparkować wóz – istny cud!

– Nie śpiesz się. Mamy jeszcze prawie dwadzieścia minut.

Szli podziemną halą wśród tłumu przechodniów. Megafony prawie bez przerwy informowały o przyjazdach i odjazdach pociągów.

– Spokojnie, Aga, nie leć tak! Jesteśmy na miejscu. Peron trzeci, wagon który? Piąty – sprawdził na bilecie.

Umieściwszy bagaż Agaty na półce, Andrzej wręczył dziewczynie plik czasopism.

– Chciałem ci kupić kwiaty, ale przez ten korek...

– Lepiej, że nie kupiłeś. Zwiędłyby w tym upale. Zabrzmiał metaliczny sygnał – i głos z megafonu oznajmił:

– Pociąg pośpieszny do Wrocławia odjeżdża z toru przy peronie trzecim. Powtarzam...

– Idź już, Andrzej! – ponagliła Agata. – Bo pojedziesz ze mną!

- Tak mnie wyganiaasz? – roześmiał się, odwracając się ku wyjściu.
- Do widzenia – rzekł pasażerom, którzy przyglądali się młodej parze z wyraźną sympatią..
- Daj łapkę raz jeszcze – powiedział, stojąc tuż przy otwartym oknie. – Ależ mi będzie dzisiaj pusto w domu! Aga, dlaczego właściwie pozwalam ci jechać do tej Polanicy?
- Kochany, to przecież nie na długo!

VI

Po dwóch szarych i słotnych dniach, przypominających raczej przedwiośnie niż początek lata, świat zajaśniał słoneczną pogodą. Góry, jeszcze wczoraj dymiące mgłą i owinięte pasami obłoków, rysowały się wyraźnymi konturami na tle bezchmurnego nieba. Mnóstwo kuracjuszy pojawiło się na deptaku polanickim. Jedni odwiedzali pijalnię wód – i bez pośpiechu sączyli przez szklane rurki zawartość napełnionych w niej kubków. Inni woleli spędzać czas przy kawie i lodach – lub na ławkach parku, którego zieleń, obmyta niedawnymi deszczami, stała się świeższa i piękniejsza. Było pogodnie, kolorowo i gwarnie.

Paweł znalazł wolną ławkę na uboczu. Chciał spokojnie zaznajomić się z treścią listu poleconego, który odebrał przed chwilą na poczcie. Zawczasu poprosił warszawskie wydawnictwo, aby kierowano dlań korespondencję do skrytki pocztowej. Wolał bowiem na razie nie wtajemniczać żony w swoje starania. Nawyk zachowania powściągliwości we wszystkim, co dotyczyło jego własnych planów i zamierzeń osobistych, został mu z dawnych lat jako niemal druga natura.

Przesyłka polecona zawierała oceny spisanych przez Pawła wspomnień. Dotyczyły one jego przeżyć podczas pierwszych lat po wojnie. Stołeczne wydawnictwo wojskowe zawiadamiało autora, iż podjęto w zasadzie przychylną decyzję o włączeniu jego pracy do planów edytorskich – z tym, że książka mogłaby się ukazać nie wcześniej niż za dwa-trzy lata. Jeśli autor wyrazi zgodę, odwrotną pocztą zostanie mu wysłana do podpisu umowa wydawnicza.

Praca wymaga pewnych skrótów i poprawek; nie są to jednak zmiany, które naruszałyby kształt całości. Dwaj poważni recenzenci zawarli swoje uwagi w załączonych opiniach. „Prosimy się do nich ustosunkować. Gotowy maszynopis znajdzie się w rękach doświadczonego redaktora, który co do dalszych ewentualnych poprawek porozumie się z autorem. Jeśli tenże chce wydać książkę pod pseudonimem, jaki podał, nie ma żadnych przeszkód. Prosimy jednak w tym wypadku dostarczyć wydawnictwu informację, na jakie nazwisko mają być kierowane przyszłe wypłaty honorariów – i czy autor życzy sobie otrzymać pieniądze pocztą, czy też na konto bankowe. Jeśli tak, należy podać numer konta”.

Chyba najrozsądniej byłoby posłużyć się imieniem i nazwiskiem z okupacyjnej kennkarty, jakiej używał w ostatnich dwóch latach wojny i w pierwszych miesiącach po jej zakończeniu. Tak właśnie zrobię – postanowił. Trochę mu było szkoda, że koledzy kombatanoci – zdarzyło mu się czasem ich spotkać – nie zgadną, kto jest autorem. No i ani Jaśka, ani Agata nie będą mogły zrozumieć, dlaczego... Na pewno chciałyby się pochwalić – żona swoim wnukom, Agata koleżankom i znajomym – że ojciec wydał książkę. Że opisał w niej akcje, walki zbrojne, działania konspiracyjne, cały ten czas, który z perspektywy lat

okazał się nie najgorszy – a może najlepszy?

„Powiem jednej i drugiej, jeśli mnie o to spytają, że starzy towarzysze z lat wojny i z pierwszego okresu po jej zakończeniu, kiedy to w kraju rzekomo «reakcja podnosiła głowę» – że oni bardziej mnie znali pod fikcyjnym nazwiskiem, którym zresztą dla bezpieczeństwa posługiwałem się nieraz jeszcze po wojnie – niż pod prawdziwym”.

Kolega, który mnie namówił, żeby dać do przepisania te wspominki i wysłać je na adres wydawnictwa wojskowego, przestrzegając, że takie starania długo trwają i że dopiero wtedy właściwie autor może być pewien ukazania się własnej pracy, gdy zobaczy jej pierwsze egzemplarze. Może po prostu „krakał” na zapas? W każdym razie lepiej będzie nie rozpowiadać o tym w domu i w otoczeniu. Tym większa będzie potem niespodzianka, no i radość. Obydwie pękną z dumy! – pomyślał Paweł o żonie i jedynaczce.

– Za pół godziny będę już w domu – stwierdziła Agata, spojrzawszy na zegarek. – Ciekawe, co powiedzą rodzice?...

Na prawej ręce miała nowy pierścionek. Wczoraj wieczorem Andrzej kazał jej zamknąć oczy i wyciągnąć prawą rękę. Poczuła, że coś jej wsunął na palec. No, popatrz teraz! – zezwolił. Ujrzała nieforemny, błękitny turkus, oprawny w złoto.

– Podobno to kamień szczęścia. Przywiozłem go z Tunezji. Pamiętasz? Byłem tam wkrótce potem, jak się poznaliśmy. Już wtedy wiedziałem, że taki pierścionek się przyda. Niech to będą nasze zaręczyny! Teraz muszę już pomyśleć o obrączkach. A tu jeszcze coś, co chciałaś mieć.

Podał jej sporą kopertę. Znalazła w niej kopię fotografii pułkownika Kamila Kotwiczą.

– Andrzej, bardzo ci dziękuję! Po tym wszystkim, co mi o nim opowiedziałeś, wydaje mi się, że musiałam go kiedyś widzieć w dzieciństwie, choć wiem, że tak nie było. – Tylko wiesz? Ja się boję!

– Czego?

– Sama nie wiem. Bardzo cię proszę, nie śmieć się ze mnie. Ludzie są teraz na siebie tacy źli! Wszędzie tylko nienawiść!

– Trudno. Zebrało się sporo gniewu w narodzie. Nic dziwnego, że ta cała brudna piana wypływa teraz na wierzch. Tylko że nas to nie dotyczy. Ani ciebie, ani mnie, ani też naszych bliskich. To przecież nie będzie trwało wiecznie. Jakoś przetrzymamy najgorsze! I wiesz, co sobie niedawno pomyślałem? Właśnie w takich czasach, jak teraz, ludzie, którzy się kochają, powinni być razem. Przez te dni, kiedy jesteś ze mną, lepiej rozumiem, dlaczego jest kolejka do ślubów. My też staniemy w tej kolejce. Dowiem się już teraz, jak sytuacja wygląda w naszym urzędzie stanu cywilnego. A potem, najpóźniej po moim powrocie z Londynu, zaklepię miejsce. Możesz już szykować ślubną sukienkę.

Agata powiodła wokół spojrzeniem.

– Byłam tu z tobą bardzo szczęśliwa – powiedziała cicho.

– Oboje byliśmy szczęśliwi – potwierdził Andrzej. – I będzie nam dobrze wszędzie, gdziekolwiek się znajdziemy. Zobaczysz!

– Dobrze, że mała wraca – powiedział do siebie Paweł, spoglądając na zegarek. – Dom bez niej jest taki smutny! Co będzie, kiedy zapewne niedługo całkiem opustoszeje?

Domyślał się, że niezbyt konkretne sprawy służbowe, dla których rzekomo Agata pojechała do Warszawy, były tylko pretekstem. Chciała się zobaczyć ze swoim chłopakiem. No, cóż – jest dorosła – choć jako ojciec nie mógł w to uwierzyć. Jest młoda i zakochana. A ten chłopak... Bardzo przystojny, o takim typie urody, który zazwyczaj podoba się kobietom. Na pewno niejednej dziewczynie zdążył zawrócić w głowie. Ale kocha Agatę, to widać. Żeby tylko nie było to uczucie przemijające. Żeby i potem, w przyszłości był dla niej dobry...

Paweł obawiał się – i to z wielu względów – by Agata nie straciła głowy dla jakiegoś zwariowanego zapaleńca z gatunku wichrzycieli i rozrabiaków, których wszędzie pełno.

Wygląda jednak na to, że ten Andrzej naprawdę interesuje się raczej projektowaniem nowych domów niż rozwalaniem tego, co przez trzydzieści z górą lat zbudowano w kraju.

Przeszłość nauczyła ojca Agaty, że trzeba cenić umiejętności, które pozwalają utrzymać się na powierzchni w każdym ustroju i w każdym układzie społecznym. Szewc lub stolarz zawsze da sobie radę, cokolwiek by się działo – o ile zna swój fach i nie boi się roboty. To samo dotyczy lekarza lub inżyniera.

Jedno miał do zarzucenia przysłemu zięciowi: że na pewno zabierze córkę do Warszawy. Ale co robić? Przecież nie zechce się przenieść ani do Polanicy, ani choćby nawet do Wrocławia. Zresztą szanse zdobycia mieszkania zarówno w dużym mieście, jak i w znanym uzdrowisku są praktycznie żadne. Rodzice tego chłopaka pracują na paroletnim zagranicznym kontrakcie. Może pomogą młodym? W razie potrzeby i on gotów byłby wesprzeć córkę finansowo. Może da się coś zrobić połączonym rodzicielskim wysiłkiem. Tak czy inaczej, Agata na pewno zagnieździ się w stolicy. Dla dziewczyny może to i lepiej? Z różnych względów...

Podczas drugiej lub trzeciej wizyty Andrzeja w domu przyszłych teściów Paweł doznał niejasnego wrażenia, że gdzieś już kiedyś widział tego młodego człowieka. Przy pomocy kilku zręcznych, jak gdyby mimochodem rzuconych pytań upewnił się jednak, że pozory go mylą. Andrzej pochodził z Warszawy; tam uczęszczał do szkoły średniej i na politechnikę. Pochodził z rodziny lekarskiej.

– Dziadkowie, ojciec, matka – wszystko eskulapy. Ja się wyrodziłem – powiedział kiedyś Andrzej żartem.

– Architektura to też wspaniały zawód – pośpieszyła wówczas z zapewnieniem Janina, żona Pawła. – Budować domy dla ludzi to nie mniej piękna

rzecz, jak ludzi leczyć.

– Tylko że teraz z tym całym budownictwem źle nam jakoś wychodzi – zauważył wówczas Andrzej. Rozmowa zesłała na niedostatki budownictwa mieszkaniowego, a to przecież temat-rzeka. Paweł przypomniał sobie wyraz twarzy, z jakim Agata słuchała słów młodego człowieka. Widać było, że zadurzona jest w nim po uszy.

Będzie mi jej brak – pomyślał znowu Paweł. Nie lubił uzewnętrzniać własnych uczuć. Kochał jednak nade wszystko to jedyne dziecko, które pojawiło się na świecie wtedy, gdy już zwątpił, czy kiedykolwiek będzie ojcem. Gdyby jego życie ułożyło się inaczej, miałby może dorosłego syna, znacznie starszego niż ten Andrzej – i być może, odchowane wnuki...

Potrząsnął głową, odpędzając nieproszone i niechciane wspomnienia. Było – przeszło. Po co rozpamiętywać stare dzieje? Los ułożył mu się inaczej, niż mógł przypuszczać.

Tamta kobieta sama wykreśliła się z jego życia. Jance nic zarzucić nie można. Doskonała gospodyni, dobra żona z niej, oddana matka. A że on nie czuje do żony tego, co kiedyś łączyło go ze Stefanią? Trudno. Najważniejsze, że dała mu córkę.

Agata w tej samej chwili podążała przez peron wrocławskiego dworca. Szła jak na skrzydłach. Niosła ją radość, należąca do tych niewielkich radości, które jak najprędzej pragnie się z kimś podzielić. Niedawne dni i noce z Andrzejem pozostały jej w pamięci jako jedno pasmo szczęścia. Niełatwo było uwierzyć, że za kilka miesięcy to szczęście stanie się rzeczą codzienną.

Pokonała odruch lęku, który wzbudziły w niej napisy na ścianach dworca i plakaty rozlepione pomiędzy nakreślonymi farbą słowami. Wszystko wokół jest tak niepewne, tak rozchwiane! No, ale co nam się może stać?! – perswadowała sama sobie. Rodzice Andrzeja wrócą. Kazał jej szykować ślubną suknię. Z tym będzie kłopot, bo sklepy są przecież wymiecione z towarów. Może mama coś wymyśli? Wszyscy w Warszawie boją się jesieni, która ma być trudna i ciężka.

Niech tylko Andrzej przyjedzie z tego Londynu! Mogą unieważnić paszporty albo zatrzymać loty zagraniczne. Ale ślubów na pewno nikt nie zabroni...

Wsiadła do taksówki.

– Jesteś nareszcie! – pani Janina mocno objęła córkę. – Głodna? Zmęczona? Ale zadowolona, to widać!

– A gdzie tatuś? – rozejrzała się wokół dziewczyna.

– Załatwia jakieś swoje sprawy na mieście. Lada chwila będzie. Chciał wyjść po ciebie, ale nie wiedzieliśmy, którym pociągiem przyjedziesz.

– Bo do ostatka nie wiedziałam, jak będzie z miejscówką.

– O, coś nowego! – bystre oko matki dostrzegło na palcu córki pierścionek z turkusem.

– To od Andrzeja.
– Domyślam się. Czyżby zaręczyny?
– Coś w tym rodzaju. Mamusiu, bierzemy ślub!
– Kiedy?
– Jeszcze w tym roku. Czekamy tylko na przyjazd jego rodziców. Nie cieszysz się razem ze mną?

– Owszem, cieszę się bardzo – westchnęła pani Janina. – Daj ci Boże wszystko co najlepsze, kochana moja, boś warta tego. Twój Andrzej to porządny chłopiec i bardzo go lubię. Tylko smutno mi, bo chyba się przeniesiesz do Warszawy? A jak z mieszkaniem?

Agata jednym tchem opowiedziała o propozycji babci Andrzeja – o tym, że od jesieni będą mieć małe własne mieszkanie.

Zgrzyt klucza w zamku przerwał te zwierzenia. Agata pośpieszyła na spotkanie ojcu. Jego posępna zazwyczaj twarz zmieniła się do niepoznaki, rozjaśniona uśmiechem.

Przez chwilę trzymał córkę w ramionach, potem odsunął ją, chcąc przyjrzeć się dziewczynie dokładniej. – Ślicznie wyglądasz, malutka! – stwierdził. – I jesteś jakaś inna. Bardziej... dorosła? Jak ci tam było w tej Warszawie?

Zmrużył oko, podczas gdy Agata oblała się rumieńcem. Matka wybawiła ją z zakłopotania:

– Trzeba wreszcie coś zjeść! Szykuj talerze, Agatko. Ja już podgrzewam zupę.

Na widok obficie zastawionego stołu dziewczyna poczuła, że jest wściekle głodna, i oznajmiła, że dziś rezygnuje z odchudzania.

– No pewnie! – przytaknęła matka. – Trzeba coś zjeść, bo masz drogę za sobą. A zresztą wcale nie jesteś gruba. Wmawiasz sobie Bóg wie co!

– Co słyhać w Warszawie? – pytał ojciec. – Jak tam to wszystko wygląda?

Agata jadła – i relacjonowała wrażenia ze stolicy.

– Zaopatrzenie jest marne, sklepy też puste, tak jak u nas. Tyle że jarzyny i owoce obrodziły; pełno zieleniny na targach i na straganach. Wszędzie napisy na murach. Uniwerek oblepiony plakatami. Przed każdą zachodnią ambasadą stoją w dzień i w nocy kolejki. Mnóstwo młodych ludzi wyjeżdża. Andrzej też wkrótce wybiera się do Londynu, ale na krótko.

– Nie zostanie tam aby? – zaniepokoiła się pani Janina.

– Skądże! – roześmiała się Agata. – Miał już dawno zaproszenie od znajomego. Dobrze, że paszport załatwił wcześniej – teraz musiałby stać w kolejce do biura paszportowego nie wiadomo jak długo. Tylko z wizą mu jakoś nie wychodziło. I teraz ją dostał, tego właśnie dnia, kiedy oboje byliśmy u jego babki. Jaką on ma fantastyczną rodzinę!

– Przecież nie znasz jego rodziców – wtrącił ojciec. – Wciąż jeszcze są

zagranicą?

– Tak, ale niedługo wracają. Kontrakt im się kończy i drugi raz nie chcą go już przedłużyć. Niepokoją się tym, co tu się dzieje.

– Nic dziwnego – westchnęła matka. – Bałagan, aż strach! – I to z dnia na dzień coraz gorszy!

– No więc poznałam babcię Andrzeja – ciągnęła Agata. – Przeurocza! Wyobraźcie sobie, że ona odstąpi nam swoje mieszkanie, a sama przeniesie się do jego rodziców!

Pani Janina wypytywała o szczegóły: czy duże to mieszkanie, czy kuchnia widna, które piętro, jak daleko od centrum. Paweł słuchał opowieści córki, otoczony kłębem papierosowego dymu. Swoim zwyczajem milczał, rzadko wtrącając jakieś słowo.

Ci Radzimirscy muszą mieć niezłe „plecy”, jeśli siedzą trzy lata w Tunisie, na dolarowym kontrakcie. I to oboje! Na pewno sporo przyoszczędzili. Źle byłoby jednak, gdyby młodzi zaczęli od nagabywania rodziców o pomoc finansową. Dobrze, że będą mieli własny kąt. Mieszkanie z teściami, nawet najlepszymi, nigdy nie jest dobre.

No, cóż – on, Paweł Kordaszewski, też nie będzie ojcem „od parady”. Przed ślubem wręczy córce książeczkę PKO z ćwierćmilionowym wkładem na jej nazwisko. Pieniądz traci na wartości, ale zawsze jest to niebagatelny kawałek grosza. Niby nic w sklepach nie ma, lecz przecież wiecznie tak nie będzie. A poza tym przy odpowiednich znajomościach i „dojściach” można się mimo wszystko w wiele rzeczy zaopatrzyć. Gdyby zdobyć asygnatę, to te pieniądze starczą na porządny samochód. Albo na zachodni kolorowy telewizor i na magnetofon.

Czuł mimowolną satysfakcję, myśląc, że powie Agacie: – To twoje, córucho. Kup sobie za to coś, co tobie i wam obojgu będzie najbardziej potrzebne. Agata ucieszy się i spyta: – To prezent ślubny?

On, ojciec, przytaknie, ale sprawi potem jedynaczce niespodziankę: oprócz tej książeczki PKO, ma dla Agaty garść złotych drobiazgów, które od wielu lat przechowywał w przemyślnie sporządzonej skrytce biurka. Kiedyś mógł nabyć te błyskotki za półdarmo – za symboliczne grosze. Tylko głupiec nie skorzystałby z takiej okazji. Potraktował te zakupy jako doskonałą lokatę gotówki lub zabezpieczenie na wypadek choroby czy też jakichś nieprzewidzianych okoliczności. Do narodzin Agaty było jeszcze wtedy daleko. Nie musiał naruszać swego „skarbczyka” ani wtedy, ani później. Tym lepiej...

Ocknął się z zamyślenia.

– O czym mówisz, Jaśka?

– Dom opustoszeje! Zostaniemy sami, bez ciebie, córeńko. Pusto i smutno!

– Ależ mamusiu, przecież będziemy telefonować i przyjeżdżać. My do was – wy do nas. Z Polanicy do Warszawy naprawdę niedaleko. Parę godzin!

– Tak ci się to lekko mówi! A ja będę o ciebie bardzo niespokojna. I te czasy teraz takie paskudne... jak się otworzy telewizor, to aż strach człowieka ogarnia!

– To lepiej wcale nie patrzeć na tele-jajko! – Agata usiłowała obrócić w żart obawy matki.

– A twój Andrzej w nic się nie angażuje? – ojciec przyjrzał się córce badawczo.

– Nie, on do niczego nie wstąpił ani się nie zapisał.

Tym lepiej – stwierdził w duchu Kordaszewski.

– Teraz szykuje się na ten wyjazd do Londynu. Mówił, że chce wykorzystać okazję, bo może się zrobić jeszcze gorszy zamęt. Kto wie, czy na przykład nie wstrzymają paszportów?

– Bardzo rozsądnie robi – przytaknął ojciec. – Na długo się wybiera?

– Na trzy tygodnie.

Przy tych słowach Agata zdała sobie sprawę, jak bardzo będzie tęsknić za swoim chłopcem przez ten pozornie krótki czas.

– A potem wróci i wybierzemy się gdzieś razem. Coś ją powstrzymało przed powiedzeniem: „do Grecji”. Obawa, żeby nie zapeszyć tak pięknego projektu? Ojciec spojrział tymczasem na zegarek.

– Gadajcie sobie, moje panie. Ja muszę się z kimś spotkać.

– Prędko wrócisz? – spytała żona.

– Za jakieś dwie godziny.

– Tylko nie siedź za długo, Paweł! Boże, jak pięknie! – westchnęła pani Janina, wychodząc na balkon. Maciejka i rezedra, posiane w skrzynkach, pachniały odurzająco. Klematis, rosnący na parterze obok wejścia, osypany był mnóstwem płaskich, fioletowych kielichów.

Agata, uprzątnąwszy stół po kolacji, zabrała do swojego pokoju telefon, aby poplotkować z miejscowymi przyjaciółkami. Pani Janina sięgnęła po druty i włóczkę, lecz ulubiona robota szła jej niesporo. Myślała o córce – i o wszystkim, co w związku z jedynaczką miały przynieść najbliższe miesiące. Trzeba jutro wypytać ją dokładnie, jak będzie z tym mieszkaniem – czy dostaną same tylko gołe ściany, czy rodzice Andrzeja dadzą im jakieś meble?

Gdyby byli w Warszawie, wypadałoby im odwiedzić matkę i ojca narzeczonej – no, ale oni są zagranicą, więc teraz to niemożliwe.

My też musimy pomóc młodym w zagospodarowaniu, choć teraz trudniejsze to będzie niż kiedykolwiek. Potrzebna jest pościel, obrusy, firanki, naczynia – nie mówiąc już o takich rzeczach jak radio, telewizor, odkurzacz, pralka, lodówka...

A przecież w sklepach nic nie ma, oprócz pustych półek! Szczęściem, po długich latach zamieszkiwania w Polanicy, ma się dojścia i znajomości tam, gdzie trzeba. Dom, acz niebogaty, jest zasobny. Agata nie dostanie wprawdzie posagu – chyba że Paweł sięgnie do swoich „zaskórniaków” (a ma je na pewno,

choć nigdy o tym nie mówi!). Ona, matka, postara się o to, żeby jedynaczka nie weszła w progi męża z pustą walizką.

Tamci rodzice też na pewno przyczynią się do wyposażenia pierwszego gniazdka młodych, tym bardziej, że na ubogich nie trafiło, zwłaszcza po kilkuletnim kontrakcie zagranicznym. Mają przecież jednego tylko syna, tak jak my córkę!

Z głębi mieszkania dobiegał rozbawiony głos Agaty, która opowiadała coś ze śmiechem przez telefon. Druty w rękach jej matki migały coraz wolniej, aż wreszcie legły nieruchomo.

Jaki też będzie ślub córki? Pani Janina w skrytości ducha marzyła o ceremonii, której sama nie przeżyła. Gdybyż to był ślub kościelny z białą sukienką, welonem, z bukietem róż i mirtowym wiankiem panny młodej! W wyobraźni widziała już prześliczną sukienkę z zagranicznej koronki – jest nawet teraz okazja, żeby taką koronkę kupić, choć droga niesamowicie. Tylko że Paweł na pewno nie zgodzi się na ślub kościelny. Ale jeżeli rodzice Andrzeja i ta jego babcia, o której Agata mówi z takim entuzjazmem, będą chcieli ślubu nie tylko cywilnego, wspólnymi siłami pokonamy opór tego mruka. Może sobie myśleć, co chce, ale musi się zgodzić!

Paweł również myślał o córce, idąc na spotkanie z dawnym przyjacielem. Przed wielu laty obaj razem wojowali w partyzantce. Rozdzieliły ich losy powojenne. Łukasz dopiero teraz, przed wyjazdem z sanatorium, gdzie odbywał kurację, dowiedział się z książki telefonicznej, że Kordaszewski mieszka w Polanicy. Zadzwoił – i umówili się na dzisiejszy wieczór.

– Moja mała córeczka dorosła, nie wiedzieć kiedy. A wyładniała! Cóż, dziewczyna, kiedy kocha, zawsze ładnieje. Pewnie już nie dziewczyna... Niech tam! Byle tylko ten chłopak był dla niej dobry, to wszystko inne nieważne. Za mało chyba go znam, za mało o nim wiem!...

VII

Tego dnia, powróciwszy do domu, Andrzej padł na tapczan, stwierdzając, że nieprędko wstanie. W biurze było sporo pracy, ponieważ kilku kolegów poszło na urlop. Ponadto prawie wszyscy ustawicznie kłócili się i dyskutowali o polityce. Te spory zaogniały atmosferę, która i bez tego była napięta i nerwowa. Andrzej, choć zajęty swoimi sprawami, bardzo źle ją znosił. Irytowały go pytania w rodzaju: – Co o tym sądzisz?

Pochłonięty był wyjazdem do Anglii, który miał nastąpić już wkrótce. Niby wszystko zostało załatwione. Paszport miał od paru miesięcy – na szczęście, gdyż obecnie kolejki po odbiór tych dokumentów niesamowicie się wydłużyły. Dobrze, że na to samo namówił Agatę – inaczej o późniejszym wyjeździe do Grecji nie byłoby co marzyć. Zdobył wizę brytyjską, co też było wyczynem. Zaproszenie od dawnego kolegi zostało dość wcześnie przysłane.

Andrzej zdołał przekonać podejrzliwych urzędników z ambasady brytyjskiej, że nie zamierza wyjechać na stałe. Musiał jednak odstać swoje, najpierw w konsulacie, potem w Locie, aby wykupić wcześniej zarezerwowany bilet.

Wszystko to, w połączeniu z upałem, sprawiało, że czuł się jak przepuszczony przez wyżymaczkę. Leżąc na tapczanie, przez chwilę mimo woli zastanawiał się, jak właściwie wygląda wyżymaczka? Nie wiedział tego, chociaż w domu był nadwornym majster-klepką zdaniem babci Zuzanny czy też „złotą rączką” wedle określenia rodziców. Potem zakpił sam z siebie: Że też takie pytania mnie zaprzatają, jakbym nie miał innych zmartwień?!

Zachciało mu się pić. W lodówce powinny być dwie butelki coca-coli, przypadkiem kupione, bo ostatnio jest to rarytas nie do zdobycia, tak jak wiele innych rzeczy. A może sięgnąć po zimną herbatę, która podobno najskuteczniej gasi pragnienie? Na razie jednak po prostu nie chciało mu się ruszyć.

Zaklął w duchu, słysząc dźwięk telefonu. Jaki to znów natręt? Agata o tej porze raczej nie dzwoni. Może ktoś z leśniczówki? To przypuszczenie sprawiło, że dzwignął się i podszedł do aparatu.

– Halo! – rzucił niezbyt uprzejmym tonem. Ze zdziwieniem posłyszał głos Ireny.

– Andrzej? No, nareszcie! Myślałam, że cię nie ma. Wydzwaniam już drugi dzień.

– Stało się coś?

– Nie, nic. Tylko mam do ciebie jedną sprawę.

– Słuchaj, Iśka, czy to naprawdę pilne? Wiesz, ja załatwiam ten mój Londyn i mam w związku z tym od groma bieganiny. Jestem zmachany jak pies.

– Kiedy jedziesz?

– Już niedługo. We wtorek rano.

– Tak... to rzeczywiście niedługo. Andrzej, chciałabym jednak zobaczyć się z tobą koniecznie.

– O, Boże! – jęknął, klnąc w duchu ciotkę, którą bardzo lubił i uważał raczej za starszą siostrę. – Przepraszam – zreflektował się. – Jestem cholernie nieuprzejmy, ale sama rozumiesz...

– Rozumiem. Nie zawracałabym ci głowy, gdyby to nie było ważne. Znajdź dla mnie trochę czasu, bardzo cię proszę. Jutro jest sobota niepracująca.

– Jak dla kogo! – burknął. – Mam jeszcze jeden projekt do wykończenia. I nic w domu do żarcia. Jakies stare puszki.

Może odstręczy ją niegościnnością? Irena okazała się jednak nieugięta.

– Niepotrzebne mi żadne puszki. Wstaw butelkę przegotowanej wody do lodówki, to wystarczy. Nie będę siedzieć dużej, niż trzeba.

– A nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi? Czy coś z rodzicami? Z babcią?

– Nie – w głosie jej zabrzmiał jakiś cień wahania. Ale może to mu tylko się wydawało? – Nie – powtórzyła. – Wiesz, są sprawy nie na telefon. Jola pisała niedawno, a mama dzwoniła wczoraj. I tu, i tam wszystko w porządku.

– No, dobrze – zgodził się z rezygnacją. – O której mam na ciebie czekać?

– Powiedzmy o jedenastej. Odpowiada ci to?

Przytaknął i pomyślał, że do tego czasu zdąży się wyspać. A jakiegokolwiek Irena by miała rewelacje, zostanie mu jeszcze popołudnie i wieczór na robotę. Łatwiej pracować w domu, gdzie jest spokój, a nie w atmosferze biurowych pogaduszek.

Wypił jedną colę. Drugą z westchnieniem mimowolnego żalu pozostawił w lodówce. Trzeba jednak przecież czymś poczęstować Irenę w takim upale. Ciekawe, co jej tak nagle strzeliło do głowy? Przecież ona wie, co to znaczy teraz szykować się do wyjazdu za granicę. Powiedziała, że są sprawy nie na telefon. Może chce, żeby jej coś załatwić w Anglii? Z kimś się skontaktować? One obydwie, tak jak babcia, korespondują z osiadłymi w Londynie kombatantami, dawnymi towarzyszami broni dziadka Kotwiczą. Tak, na pewno sprowadza ją coś w tym rodzaju. Ale mogła z tym przyjść wcześniej. Przecież ten mój wyjazd kręci się od dawna. Czemu zwlekała prawie do ostatniej chwili?

Zasnął – i obudził się dopiero na ponowny sygnał telefonu. Okna pociemniały późnym letnim zmierzchem. Dzwoniła Agata.

– Nareszcie! – powiedziała tak samo, jak Irena. – Już myślałam, że cię nie ma.

– Ależ jestem, jestem! – nie mógł powstrzymać ziewnięcia. – Przepraszam cię, kochanie, po prostu zdrzemnąłem się trochę. Po całym dniu uganiania miałem wszystkiego dość.

– I ja cię obudziłam, biedaku! Byłbyś jeszcze spał!

– Bardzo dobrze, żeś mnie obudziła. Po pierwsze, muszę jeszcze

popracować, bo na załatwienie ostatnich spraw został mi tylko poniedziałek. A po drugie, po trzecie, po setne – to ty dzwonisz.

– Andrzej, mój kochany! Wszystko załatwiłeś?

– W zasadzie tak.

– I kiedy ostatecznie jedziesz?

– Tak jak planowałem – we wtorek rano.

– W poniedziałek zadzwonię – tylko po to, żeby ci jeszcze raz powiedzieć „do widzenia”. Chcesz?

– Co za pytanie! Oczywiście, że chcę.

– Kiedy się pakujesz?

– Dopiero pojutrze, w niedzielę. Dziś i jutro muszę siedzieć plackiem nad tym cholernym projektem.

– No, to nie będę ci już przeszkadzać. Pozdrowienia od rodziców.

– Dziękuję, i wzajemnie.

– Napisałam kartkę do twojej babci. Aha, jeszcze jedno: ten adres w Londynie, który mi dałeś, jest aktualny?

– Tak. Ale napisz raczej kartkę, bo listy bardzo długo idą. Ja się odezwę, kiedy tam przyjadę. Będę przecież niedługo.

– Andrzej... Tęsknię, Kocham, całuję. Czekam na ciebie, pamiętaj!

– Ja też. Szkoda, że cię tu nie ma.

W słuchawce rozległ się cichy śmiech.

– Wtedy pewnie byś nie skończył tego twojego projektu...

– Też prawda – przyznał Andrzej. – No, nic. Potem to sobie odbijemy. Aga!

Słyszysz mnie? Halo!

– Słyszę!

– Jak ci się podoba słowo: żona? Albo: pani Andrzejowa Radzimirska?

– Strasznie mi się podoba i jedno, i drugie! Całuję cię jeszcze raz!

Ciekawe, czy Agata zmieni nazwisko? – zastanawiał się Paweł Kordaszewski, przeglądając gazety. Słyszał strzępy rozmowy telefonicznej, jaką córka prowadziła z narzeczoną. – Tak byłoby najlepiej. Wtedy na pewno nikt już nigdy... Co mi też do głowy przychodzi! – obruszył się sam na siebie. – Przez te wszystkie lata nic... Można byłoby na wszelki wypadek wysondować, kim są ci Radzimirszy? Ale co mi do tego, u licha!

On lekarz, ona lekarka – to wystarczy.

Wstał, aby zajrzeć do pokoju córki, Agata siedziała w fotelu nad książką.

– Z kim tak flirtowałaś, córeczko? Z Andrzejem?

– No, a z kim? Oczywiście z nim! – uśmiechnęła się dziewczyna.

– Przedostatnia rozmowa, bo on już siedzi na walizkach.

– Jedzie do tego Londynu?

– Tak. We wtorek rano.

– A gdzie się podziała nasza mama?
– Poszła do którejś kумы na imieniny. Kolację zrobiła. Głodny jesteś?
– Zaraz będzie dziennik, to zjemy razem. Masz coś do czytania, Aguś? Przy tym upale źle sypiam. Przydałoby się jakieś czytało do poduszki.

– Tam są – Agata wskazała półkę na lewo od biurka. – Przejrzyj sobie, może coś znajdziesz.

Paweł podszedł bliżej – i zanim sięgnął po którąś ze wskazanych książek, spojrział odruchowo na biurko. Pod szkłem leżała fotografia, której na pewno przedtem tu nie było.

Popatrzył na nią uważnie. Musiał kiedyś widzieć z bliska tego mężczyznę, który jednak nie był wówczas w mundurze widocznym na fotografii. Czyżby...

– Kto jest, Aga? – ledwie wydobył głos z gardła ściśniętego nagłym skurczem.

– Dziadek Andrzeja – odparła spokojnie Agata, nie podnosząc oczu nad książki. – Prawda, jaki Andrzej do niego podobny?

– Ale jak... jak on się nazywa? (Psiakrew, trzeba wziąć się w garść, za wszelką cenę! To przecież nie jest, nie może być...)

– Nazywał się Kamil Kotwicz – odparła Agata, zdziwiona tonem ojca. – Był niewinnie skazany, zginął w procesie oficerów. Znałeś go może, tatusiu?

Paweł chciał odpowiedzieć. Wydał jednak z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk.

– Co ci jest, tatusiu?

– Nic – najwyższym wysiłkiem woli odkaszlnął i zdołał zmusić głos do prawie normalnego brzmienia. – Nic – powtórzył. – Nie, nie znałem go. Tylko... zdawało mi się że... że to jeden z moich przyjaciół, który... którego Niemcy zabili pod koniec wojny. Wiesz, bywa czasem takie podobieństwo.

– Andrzej jest jak portret dziadka – rzekła Agata. (To dlatego... dlatego wydało mi się, że już go gdzieś kiedyś widziałem – stwierdził w duchu Paweł. Ale teraz – spokój, za wszelką cenę spokój!).

– Andrzej nazywa się przecież... Radzimirski?

– Tak, bo to jego dziadkowie ze strony matki. Żoną dziadka jest, to znaczy była właśnie ta wspomniała babcia, od której dostaniemy mieszkanie. Babcia Zuzanna.

...Zuzanna Kotwiczowa... To ona przyszła wtedy z dziewczynką... Przerazona twarz Stefanii, która w przypiływie litości wpuściła tamtą... Ostatni list Stefanii ze słowami: „Nie mogę dłużej...”.

Sygnal „Wieczoru z dziennikiem” zabrzmiał jak wybawienie. Paweł sięgnął po pierwszą z brzegu książkę i ruszył do jadalni. Usiadł i patrzył na ekran, nie widząc oglądanych obrazów, nie rozumiejąc nic z przekazywanych wiadomości i komentarzy.

Andrzej Radzimirski, narzeczony Agaty – wnuk pułkownika Kotwicza i kobiety, którą wtedy wyrzucił za drzwi. Był jeszcze młody; wierzył, że przedwojenni oficerowie, którzy stają przed sądem – to naprawdę spiskowcy i szpiedzy. Wierzył aż do czasów, gdy...

Agata coś mówi, rozstawiając talerze. Podsuwa ojcu ser, masło, sałatkę jarzynową.

– Wiesz co, dziecko? Daj mi proszek z krzyżykiem. Głowa mnie ćmi coraz mocniej. Chyba z upału.

– Na pewno z upału – przytakuje Agata. – Ale coś musisz zjeść, tatusiu. Nie można łykać tabletek tak na pusty żołądek. Zaraz ci zrobię mocną herbatę.

Zmusił się do przełknięcia paru kęsów chleba. Zażył tabletkę, duszkiem wypił pół szklanki herbaty.

– Dziękuję ci, mała – wstał i przysunął krzesło. – Przejdę się trochę. To mi na pewno dobrze zrobi.

Sień. Schody. Znajomy kształt poręczy. Znajoma brama, chodnik przemierzany od lat. Ktoś mija starszego pana z uprzejmym „dobry wieczór”. Paweł odpowiada machinalnie, jak automat.

Nikt nie interesował się przeszłością dwojga ludzi, którzy razem z małą córeczką osiedli tutaj dawno temu, u schyłku lat sześćdziesiątych. On przeszedł wkrótce na emeryturę, wcześniej miał rentę, którą otrzymał wskutek następstw wojny i poniesionej wówczas rany. Jaśka jeszcze przez pewien czas pracowała.

Przerwał wszystkie dawne kontakty, których zresztą nie było nigdy wiele. Zmianę nazwiska załatwił, zanim przeniesiono go do Wrocławia, jeszcze przed ślubem. Jaśka, choć nieraz grzeszyła gadatliwością, miała jedną bez wątpienia cenną zaletę: nie wypytywała natrętnie o przeszłość. Owszem, powiedział jej o tragicznym końcu pierwszej żony. Ale tak to przedstawił, że nie mogła wiedzieć, jaka była właściwa przyczyna jej targnięcia na życie. Jaśka bardzo chciała wyjść za mąż; nie była przecież już wtedy najmłodsza. Zależało jej na tym, aby mieć dobrego męża i dom. Mężem był chyba dobrym, biedy z nim nie zaznała. A dziecko? Dziecka pragnęli oboje...

Jaśminy w mijanych ogrodach już przekwitły. Powietrzem niósł się ciężki, słodkawy, odurzający zapach lipy. Dziecko... córka, którą jedyną na świecie tak bardzo kochał. I właśnie na jej drodze stanął wnuk tamtego! Co za koszmarnie zrządzenie losu! Kochają się oboje, nie wiedząc o przeszłości. A ta przeszłość, którą Paweł chciał przekreślić, wymazać z życiorysu, wciąż istnieje i daje znać o sobie. Co teraz będzie?

Jedno jest pewne: Agata nie może się o tym wszystkim dowiedzieć. Ale czy uda się przemilczenie wobec niej prawdy? I jak długo? Gdybyż to była omyłka, przypadkowa zbieżność nazwiska, łudzące podobieństwo twarzy, należącej do innego człowieka! Lecz nie było co się oszukiwać: Paweł zbyt dobrze pamiętał

tę twarz, mimo że wiele ich widywał w tych latach, w podobnym otoczeniu, w zbliżonej scenerii... Co za dziwny zbieg okoliczności! Co za przekłety los!

Irena przybyła punktualnie. Rozmawiając przez telefon z kolegą, Andrzej spostrzegł jej zieloną ładę, hamującą przy chodniku naprzeciw okien.

– Muszę kończyć – powiedział do słuchawki. – Ktoś z mojej rodziny zjawi się lada moment. Wiesz, jak to jest: ludzie mają tysiące spraw, jeśli się wyjeżdża za granicę, i czekają z tym do ostatniej chwili!

Kolega przytaknął z pełnym zrozumieniem.

– Iśka, ślicznie wyglądasz!

Słowa uznania nie były czczym komplementem. Irena wyglądała naprawdę ładnie i młodo. Letnia opalenizna nadała jej twarzy naturalny, złotawy kolor. Krótko przycięte włosy spłówiały od słońca. Tylko ręce, mimo używania rękawiczek, miała trochę zniszczone, jak zwykle podczas letnich prac w ogrodzie.

– Nie mieliście jeszcze urlopu?

– Co też ty mówisz, Andrzej! W pełni sezonu?! Wyprawiliśmy dzieciaki na kolonie i ja przez parę dni byłam na wybrzeżu, ale nie dla wypoczynku. Po prostu miałam tam załatwić parę spraw. Odsapniemy dopiero późną jesienią. Tydzień temu wpadłam do mamy. Ale tam tylko przenocowałam i wróciłam.

– Jak się babcia czuje?

– Dobrze. Jak gdyby odmłodziła. Doskonale zrobiłeś, żeś ją tam zawiózł już w czerwcu. Latem w Warszawie jest zawsze duszno. A teraz jeszcze ten cały męczący bałagan!

Andrzej wolał wstrzymać się od jakichkolwiek uwag, dotyczących owego „bałaganu”. Słowa te w ustach Ireny zabrzmiały dość nieoczekiwanie. Uchodziła bowiem w rodzinie za sympatyczkę „Solidarności”. Co prawda, zawsze podkreślała, że interesuje ją ziemia i ogród, uprawy i rośliny, a nie żadne polityczne rozgrywki.

– Zaraz ci dam coś zimnego do picia. A może chcesz najpierw kawy?

– Bardzo proszę. Mała kawa dobrze mi robi – jeśli ci to nie sprawi kłopotu.

– Żadnego.

– A w ogóle przepraszam, że ci się nagle zwałam na głowę prawie w przeddzień wyjazdu. No, ale sam zrozumiesz... Wniósł na tacy filiżanki, cukierniczkę, słoik z neską i colę.

– Wyduś wreszcie, z czym przyszłaś! – zachęcił. – Chyba to nie żadna wielka tajemnica?

Coraz bardziej intrygował go powód odwiedzin Ireny. Może dowiedziała się o projekcie przeprowadzki Zuzanny – i to jej z jakichś względów nie odpowiada? Jeśli tak, to dlaczego?!

Irena, nie kwapiąc się z odpowiedzią, długo mieszała brunatny płyn. Wreszcie, podniósłszy wzrok znad filiżanki, spojrzała siostrzeńcowi prosto w oczy.

– Słuchaj, Andrzej – odezwała się, wążąc z widocznym namysłem każde słowo. – Z góry cię proszę: nie mniej mi za złe tego, co ci teraz powiem. Możesz być zaskoczony, bo to dotyczy twojego... no, twoich planów życiowych. Podobno chcesz się żenić?

– Owszem. Mam dziewczynę i niedługo zamierzamy się pobrać. Czy to takie dziwne?

– Nie. Tylko chodzi o tę właśnie dziewczynę.

– O moją dziewczynę? Przecież ty w ogóle jej nie znasz?

– Jak ona się nazywa?

– Agata Kordaszewska. Iśka, co to wszystko znaczy? Milczała przez parę sekund.

– O co chodzi?! – Andrzej podniósł głos. – Nie mam ochoty na jakieś głupie zagadki!

– Chciałabym, żebyś przemyślał raz jeszcze sprawę tego małżeństwa. Bardzo cię przepraszam, ale... chyba nie powinieneś się z nią wiązać. A przynajmniej...

– No, wiesz! – wybuchnął Andrzej, dotknięty do żywego. – Nie myślałem, że wyjdiesz z czymś takim! Ktoś ci pewnie naopowiadał o Agacie jakichś bredni, a ty w nie uwierzyłaś, jak pierwsza lepsza plotkara! Na szczęście jestem już pełnoletni. Zrobię to, co będę chciał, i dziękuję za twoje dobre rady!

Nie wiedział, co się stało Irenie. Była zazwyczaj powściągliwa w zachowaniu i z natury dyskretna. Czyżby Agata miała jakichś wrogów, którzy chcieli jej zaszkodzić? Co jednak złego mógłby ktokolwiek o niej powiedzieć?! Nagłym przypomnieniem stanął mu w pamięci przyjazd do Wrocławia przed rokiem – i pierwsza noc spędzona z Agatą. Zadzwoiła do niego przedtem; z treści telefonicznej rozmowy odgadnął, że koleżanka, u której mieszka, gdzieś wyjeżdża. Przybył nazajutrz – i, jadąc z dworca, kupił w kwaciarni bukietik frezji, które tak lubiła. Pamiętał moment powitania z dziewczyną – jej oczy, rozjaśnione radością i wyciągnięte do uścisku ręce. Pamiętał gwałtowny poryw pragnienia, który rzucił ich wówczas ku sobie z taką siłą, że po raz pierwszy zapomnieli o całym świecie. Pamiętał krótki, cichy mimowolny okrzyk Agaty w momencie, kiedy stało się to, czego tak bardzo chcieli oboje. Był dla niej pierwszy. Pozostała mu wierna przez cały czas, od kiedy się poznali. Dlaczegoż więc teraz Irena każe mu „przemyśleć” projekt ślubu?! Co chce przez to powiedzieć? I co ma do zarzucenia Agacie?!

Przez chwilę milczała, pijąc z wolna kawę. Potem splotła mocno ręce, aż trzasnęły w nich kostki palców – i znów spojrzała na siostrzeńca.

– Andrzej, zrozum: ja nie chcę przecież nikogo obrazić. Nic nie mam i nie mogę mieć przeciw twojej dziewczynie. Nie zamierzam wtrącać się do waszych... do twoich planów. Nie mam zresztą żadnego prawa. Zrobisz, jak będziesz chciał. Proszę cię tylko o jedno: żebyś mnie wysłuchał.

– Ależ słucham! – odparł sarkastycznie.

– Na pewno dobrze znasz Agatę, a czy znasz jej otoczenie? Jej rodziców?
Wzruszył ramionami.
– Oczywiście, że znam.
– Wiesz, kim są? Kim byli?
– Oboje są na emeryturze. Coś tam dorabiają. Nie piją, nie łajdaczą się. To chyba wystarczy? Biorę zresztą ślub nie z nimi, tylko z nią.

Irena nie zwróciła uwagi na ironiczny ton siostrzeńca.
– Chodzi mi głównie o jej ojca. Orientujesz się, gdzie pracował dawniej – przed pójściem na emeryturę?
– W spółdzielczości.
– A przedtem?
– W jakimś ministerstwie – odparł, tym razem bez poprzedniej uszczypliwości. Odczuł niepokój. – Przecież chyba nie sądzisz, że bawiłem się w jakieś... dochodzenia?

– Andrzej! – głos Ireny mocno drgnął. – Wolałabym nie wiem co, niż powiedzieć ci, z czym przyszłam. Ten jej ojciec, to jeden z najbardziej wrednych, najokrutniejszych prokuratorów wojskowych z lat pięćdziesiątych. Wiesz przecież, jakie procesy wtedy się odbywały? On często podczas nich występował jako oskarżyciel. Ludzie mówili, że tam, gdzie on oskarża, głowy lecą.

Jeśli żądał kary śmierci albo dożywocia, prawie zawsze jego wnioski przechodziły. Wiesz, jak go nazywano? „Krwawy Paweł”. I nie bez powodu! Taka jest prawda.

Andrzej zaniemówił. Patrząc na Irenę, trwał przez dłuższą chwilę w niemym osłupieniu. Spokojny, małowówny pan, o którym Agata mówiła „tatuś”...

– To... to niemożliwe! – wykrztusił wreszcie. – To jakaś pomyłka!
– Niestety, Andrzej, to nie tylko możliwe, ale całkiem pewne – w głosie Ireny zabrzmiał jakby ton współczucia. – Nazywał się wtedy Paweł Kordasz. Był majorem. Ludzie go przeklinali, a zarazem bardzo się go bali. Na pewno dlatego wyniósł się wreszcie z Warszawy i zmienił nazwisko – po pięćdziesiątym szóstym roku. Tu zbyt wielu ludzi go pamiętało. Ci, co przeżyli i co doczekali uwolnienia, zrehabilitowani, no i rodziny ofiar... Znany był z najgorszej strony. Zresztą takich jak on było wielu. W dawnym sądownictwie, w Informacji Wojskowej. W bezpieczeństwie u Radkiewicza... On oskarżał naszego ojca. U mamy są wycinki z gazet. Jest jego przemówienie. Trudno to spokojnie czytać nawet teraz. Po tylu latach.

Andrzej ścisnął palcami skronie
– To niemożliwe! – powtarzał. – Ilu ludzi ma podobne albo takie same nazwiska? Skąd ty możesz wiedzieć, że...

– Nie przyszląbym z tym do ciebie, gdybym nie była pewna.
Przez chwilę trwało milczenie.
– Wiesz o tym, że nasza mama była u niego, kiedy toczył się proces? Poszła

z Jolą, wtedy jeszcze niedużą dziewczynką, żeby prosić pana prokuratora o... o wyrozumiałość. Niechby żądał dożywocia, nie kary śmierci, to byłaby już jakaś szansa. A on... Wiesz, co zrobił? Po chamsku wyrzucił je obydwie za drzwi. To fanatyk najgorszego gatunku. Taki współczesny inkwizytor. Wierzył we wszystko, co mu kazano, wierzył i oskarżał tak, jak chcieli ci, co byli nad nim. Pamiętam do dziś tamten wieczór, choć byłam jeszcze wtedy dzieckiem. Kiedy obydwie wróciły od Kordasza, mama i Jola, wyglądały tak, jakby im się upiór ukazał. Nie bez powodu mówiono o nim „krwawy Paweł”. Andrzej, powtarzam raz jeszcze: wolałabym dać nie wiem co, żeby się mylić. Ale niestety, to on!... Jeden z tych, którzy posłali naszego ojca na śmierć.

– Iśka! Zastanów się! – nie dawał za wygraną. – Ilu może być Nowaków i Nowakowskich? Albo Kowalików i Kowalskich? Jeśli to przypadkowa zbieżność nazwisk... Nie wolno przecież takich posądzeń rzucać na wiatr!

– Andrzej, ja o tym wszystkim myślałam. Nie ośmieliłabym się napomknąć choćby słówko o tym, gdyby nie miała stuprocentowej pewności, że to on.

– Kto cię upoważnił do tych poszukiwań?

– Nie mów głupstw! – zachnęła się. – Niepotrzebne mi upoważnienie. Znam do dziś kilka rodzin, które spotkał los podobny do naszego. Zresztą te ustalenia wcale nie były trudne. Zwłaszcza teraz, kiedy ludzie już mniej się boją. I jeszcze żyje sporo takich, którzy zapamiętali stare krzywdy.

– Ale jak ty się tego dowiedziałaś? Bo przecież...

– Twoja matka napisała kiedyś do mnie, że masz dziewczynę, z którą chcesz się żenić. Dziewczyna dopisała się do twojego listu – wygląda na to, że jest wartościowa, miła, zdolna. Plastyczka, tak? W tym samym liście Jola napomknęła: „Jedno mi przeszkadza – nazwisko tej dziewczyny: Kordaszewska. Chyba jestem przewrażliwiona, Krzysztof się o to na mnie irytuje, i na pewno ma rację, ale co ja poradzę, że to nazwisko budzi we mnie niedobre skojarzenia – domyślasz się jakie. Dawne urazy z dzieciństwa są jednak, jak się okazuje, bardzo silne. Może to śmieszne, ale wolałabym, żeby ta Agata inaczej się nazywała. Mam nadzieję, że przybierze nazwisko męża”. Przytaczam ci to prawie dosłownie, bo ten list bardzo dobrze zapamiętałam.

– I dlatego...

– Tak. Nie dawało mi to spokoju. Jola jest rzeczywiście przewrażliwiona. Ale na wszelki wypadek lepiej było się upewnić. Polska nie jest taka wielka, żeby człowiek tego pokroju co Kordasz mógł w niej przepaść, zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Nawet jeśli zmienił nazwisko!

Andrzej zwiesił głowę. Spojrzenie Ireny złagodniało. Patrzyła na siostrzeńca ze szczerym współczuciem.

– Bardzo chciałam, żeby to była omyłka – odezwała się po krótkiej pauzie.

– Wydawało mi się, że to niemożliwe, żeby człowiek emerytalnego pokolenia mógł

mieć tak młodą córkę. Sądziłam, że raczej powinien dochować się wnuków. Potem ustaliłam, że jest drugi raz żonaty. Jego pierwsza żona nie wytrzymała tego, co na nim ciążyło. Kiedy dowiedziała się całej prawdy o mężu, odkręciła gaz. Ludzie podnosili wtedy głowy. Zaczęli żądać ujawnienia zbrodni i ukarania winnych. Nie doszło jednak do generalnego rozliczenia. A szkoda! Niemniej, najbardziej okrutni woleli na wszelki wypadek zejść bliźniemu z oczu. Za wiele na nich ciążyło.

Agata... W pamięci Andrzeja zadźwięczały jej słowa:

– ...bo ja jestem, jak to się mówi, późne dziecko. Tatuś był już raz żonaty, zanim ożenił się z mamą.

– Rozwiódł się?

– Nie, jego pierwsza żona zmarła, podobno tragicznie. Mama chyba coś o tym wie. Ale powiedziała mi kiedyś, że to nie jej sprawa – bo jeszcze wtedy taty nie znała – a tym bardziej nie moja. I że nie powinnam o to pytać, bo tatuś bardzo przeżył śmierć pierwszej żony. Wiedziałam, że jej też przykro mówić o tym, więc dałam spokój.

– A z tą pierwszą żoną twój ojciec nie miał dzieci?

– Nie. Żałowałam nieraz, że nie mam rodzeństwa, chociażby przyrodniego. Podobno ojciec zwątpił, czy będzie miał kiedykolwiek dzieci, bo już był z niego starszy facet, kiedy się urodziłam. Strasznie się cieszył, że ma córkę... I bardzo mnie rozpieszczał.

– Wygląda poważnie, nawet surowo – zauważył Andrzej.

– Och, pozory mylą! – Agata prychnęła śmiechem. – Mama aż się bała, że wyrosnę na sobka, egoistkę, albo coś w tym rodzaju. Tatuś na wszystko mi pozwalał!

Andrzej pocałował ją w czubek nieco zadartego nosa.

– Wyrosła z tego moja najmilsza dziewczyna. Antypedagogika taty nie była najgorsza, jak widać!

– Strasznie jestem ciekawa twoich rodziców. Myślisz, że mnie polubią choć trochę? Na synową zawsze patrzy się krytycznie.

– Pewnie, że cię polubią! Babcię podbiłaś od razu. Dlaczegożby z nimi miało być inaczej? Nie mieli córki, więc będą mieli ciebie. Zresztą muszę ci powiedzieć, że mam fantastycznych starych. Teraz dopiero to widzę, kiedy jestem dorosły.

Wspomnienie rozmowy, tak przecież niedawnej, rozwiewa się i gaśnie. Wraca rzeczywistość. Andrzej unosi głowę, przeciera dłonią czoło. Z trudem zbiera rozproszone myśli.

– Iśka... Ja nie wiem... nie wiem, co teraz z nami będzie? Po coś to zrobiła? Przecież można było dać spokój. Jakoś by to się ułożyło. I...

Urwał.

– Nie! – zaprzeczyła ostro Irena. – Przemilczeć tego nie mogłam. Zrozum,

Andrzej, ja nie namawiam ciebie do zerwania, tylko...

– Nie namawiasz? Zrobiłaś wszystko, co można, żeby...

– Andrzej, powtarzam raz jeszcze: nie namawiam cię do zerwania, czy też do pozostawienia twojej Agaty. Chciałam tylko zapobiec temu, co stałoby się na pewno, gdyby nastąpiło nieoczekiwane zetknięcie dwóch rodzin, tamtej i naszej. Rodziny kata i rodziny ofiary. Wyobrażasz sobie na przykład choćby ślub? Spotkanie z... z tamtym człowiekiem? Przecież dla naszej mamy i dla twojej matki byłby to straszny szok!

– To wszystko przecież można jakoś załatwić – słowa Andrzeja brzmiały głucho, prawie bezdźwięcznie. – Ja nie wiem... nie wiem, co mam robić! Przecież ja... my...

– Wiem, rozumiem. Powinniście chyba oboje coś postanowić. Zastanów się – czy mogłam przemilczeć tę prawdę, jeżeli już się o niej dowiedziałam? Chyba lepiej mimo wszystko, że tak się stało, zanim...

– Lepiej?! – wybuchnął ponownie chłopak. – Jak możesz tak mówić? Co ona winna temu, że ma takiego ojca? Co ja jestem winien, że ją spotkałem!? Rozbijasz wszystko między nami – i tak jest według ciebie lepiej?!

– Andrzej, już mówiłam parę razy, że niczego ci nie narzucam. Postąpisz tak, jak będziesz uważał za stosowne. Ale musisz znać prawdę. Zrozum – przecież ja nic nie mam przeciwko twojej Agacie. Słyszałam o niej od mamy same dobre rzeczy. Gdyby miała tylko matkę... Gdyby jej ojciec nie żył, albo porzucił rodzinę, zachowałabym dla siebie to wszystko, co wiem. Twoja dziewczyna naprawdę nie jest winna, że ma takiego ojca. Ale ten ojciec żyje i podobno cieszy się dobrym zdrowiem. Chyba się nie orientuje, czym jesteś synem i czym wnukiem, bo przecież nazywasz się nie Kotwicz, tylko Radzimirski. A Radzimirscy nie mieli z tym procesem nic wspólnego.

– Czy... czy musielibyśmy roztrąbić na cały świat, kim on jest?

– Andrzej, pomyśl rozsądnie: tu nie chodzi o żaden skandal, tylko o naszą mamę. I o twoją Jolę. Wiem, że mama zapamiętała jego twarz do końca życia. Jola także. Miała wtedy trzynaście lat, o ile się nie mylę, ale takich szokujących momentów się nie zapomina. Nawet jeżeli on się zmienił... Zresztą nie o to przecież chodzi! Prędzej czy później i tak cała prawda wyszłaby na jaw. Jeżeli nawet dałoby się to na jakiś czas ukryć – nie wierzę, że na zawsze! – to byłoby, jak... jak szkielet schowany w szafie! Ktoś otworzy ją wreszcie zniechcąca – i co wtedy? Czy ty sobie wyobrażasz, jaki wstrząs byłby dla nich obu – dowiedzieć się, że morderca lub współmorderca naszego ojca wszedł w jakimś sensie do naszej rodziny?! Mnie to kosztowało parę bezsennych nocy, zanim się dowiedziałam, kto ma być twoim teściem. Jesteś dorosły. Decyduj sam. Musiałam ci o tym powiedzieć, choć to dla mnie strasznie przykre...

Pierwszą rzeczą, jaką uczynił Andrzej po wyjściu Ireny, było wyłączenie obu

aparatów telefonicznych. Agata często do niego dzwoniła wieczorami. Nie mógłby z nią teraz rozmawiać. Nie potrafiłby znieść tego wieczora jej głosu, chociaż zazwyczaj skwapliwie sięgał po słuchawkę, wiedząc, że pewno odezwie się właśnie ona.

Na biurku leżały arkusze papieru i kalki – ów zaawansowany projekt, który chciał skończyć przed wyjazdem. Patrzył przez dłuższą chwilę bezmyślnie na własną robotę – a potem przeszedł do jadalni i zdecydowanym ruchem sięgnął do barku w kredensie. Pogrzebał wśród butelek, znalazł koniak. Napelnił nie kieliszek, lecz szklankę do połowy. Jeden haust, drugi, trzeci... Szeptane cicho, prawie bezgłośnie imię brzmiało jak okrzyk bólu: – Agata... Agata...

Jest moja – tak bardzo moja! – buntował się w duchu. Czy to jej wina, że ma ojca łajdaka?! Ja wiem najlepiej, co jest warta! Nikt nie ma prawa wymagać od mnie, żebym...

A jednak słowa Ireny pozostawiły ślad. Andrzej zdawał sobie sprawę, że spowodowały jakąś zmianę, ledwie uchwytną początkowo, a jednak istotną. Agata. Jej oczy, zazwyczaj pogodne, roześmiane, czasem pociemniałe w chwili gniewu lub zamyślenia. Ciemne, niesforne włosy – najbardziej je lubił, kiedy były rozwichrzone. Agata: wąskie biodra, drobne piersi – ciało, którego tajemnice odkrywał jak podróżnik, poznający nieznaną ład. Agata: twarz stężała w przeczuciu rozkoszy – cichy ponaglający szept. Dni i noce bez niej, pełne niesytych, niespełnionych pragnień. Dni i noce z nią. Nigdy nie mieli siebie nawzajem dosyć. I to wszystko ma być odebrane im obojgu, wykreślone z ich życia, zniszczone. Dlaczego?!

Spojrzał na fotografię obok biurka. Człowiek, którego nie znał – lecz od dzieciństwa wiele o nim słyszał. Nie, nie narzucano mu nadmiaru wiedzy o Kamiliu Kotwicz. Nie wszczepiono wnukowi bezkrytycznego kultu dziadka. Wiedział jednak o nim dostatecznie dużo, aby mieć dla niego sentyment i szacunek.

Powróciło wspomnienie pełnych przejęcia oczu Agaty, gdy pytała: – Jak to możliwe? Żeby można było skazać i zabić człowieka tak za nic – niewinnie?!

Jeżeli ona się dowie...

Trzeba to przemilczeć. Za wszelką cenę przemilczeć. Ale co dalej? Ze słów Ireny wynika prosta prawda: jeśli urzadzimy ślub, choćby najskromniejszy, najcichszy, spotkanie obu rodzin będzie nieuniknione wraz ze wszystkimi tego następstwami. Do takiego spotkania w żadnym z wypadu nie można dopuścić.

Więc jak robić? Wziąć ślub po cichu, nie wtajemniczając nikogo z rodziny? To też nie będzie żadne wyjście. Już widział przed sobą rozżaloną twarz matki i niemile zdziwionego ojca. Ale tu Irena ma rację: nie można sprawić, by twarzą w twarz stanęli przed sobą – tamten człowiek z jednej strony, a mama i babcia z drugiej. Jak z tego wybrnąć? Wtajemniczyć w to ojca? Chyba będzie zdania tego

samego lub podobnego do Ireny. Poznał mamę wtedy, gdy ta tragedia była w życiu trzech kobiet bardzo jeszcze świeża i bolesna. Odwołać się do dziadka Stefana? Może potrafiłby poradzić coś ten mądry człowiek, doświadczony lekarz, znający życie i ludzi? Ale on też jest daleko...

Alkohol przyćmił nieco świadomość, lecz nie rozładował napięcia. Andrzej dźwignął się z tapczanu i nacisnął kontakt. Lampa umieszczona na stole kreślarskim wydobyła z mroku fotografię Kamila Kotwiczą. Z fotografii patrzył na wnuka człowiek trzydziestoparoletni, o którym trudno było mówić „dziadek”. Miał ponad dziesięć lat więcej niż ja teraz – pomyślał Andrzej, spojrzawszy na datę w narożniku. Był już wtedy mężem, ojcem, lecz przede wszystkim był żołnierzem. Umarli pozostają młodzi. Kto to powiedział? Miał łagodną twarz i mądre, szczere spojrzenie. Człowiek nieposzlakowanej prawości – oto jedno z określeń, charakteryzujących pułkownika Kotwicza we wspomnieniach o nim, opublikowanych niedawno przez towarzyszy broni. Co on by powiedział, gdybym mógł mu rzec: żyję z dziewczyną, którą kocham. Piekielne zrządzenie losu sprawiło, że ta dziewczyna jest rodzoną córką człowieka, który żądał dla ciebie kary śmierci – i doprowadził do wykonania tego wyroku?...

Agata. Moja miłość, moje szczęście. Czy mam to wszystko zniszczyć? Jakim prawem? Dlaczego? Wyrządę jej straszliwą krzywdę, a ja sam pozostanę nieszczęśliwy. Gdybym dowiedział się prawdy o jej ojcu na początku naszej znajomości, kiedy jeszcze nie była moją, choć prawie od razu wiedziałem, że ją kocham – a ona twierdzi, że była tego pewna, od chwili kiedy mnie spotkała...

Po cóż jednak „gdybać”? Nie wiem, co zrobiłbym wtedy – czy potrafiłbym z nią zerwać. Prawda jest wyraźna: chcę, żeby została moją żoną, uważam ją za żonę, choć nie złożyliśmy sobie jeszcze przyrzeczenia ani przed ołtarzem, ani w urzędzie. Ale czy potrafię zapomnieć o tym, jak złowrogą rolę w życiu mojej rodziny odegrał jej ojciec?! Gdyby to był człowiek obojętny lub zły wobec własnej córki, o ileż cała sprawa stałaby się łatwiejsza. Zabrałbym ją z tamtego domu, pomógłbym zerwać jej wszelkie więzi... Ale ona go kocha.

I nieraz mówiła, że jest dla niej dobry, czuły, serdeczny, choć bardzo powściągliwy w okazywaniu rodzicielskich uczuć. Paweł Kordaszewski, dawniej Kordasz. Zmienił nazwisko i otoczenie, miejsce zamieszkania – i myślał, że ludzie zapomną. Co za naiwność! I tak wielkie poczucie bezkarności! Nikt go nie rozliczył z najbardziej haniebnych kart życiorysu.

„Krwawy Paweł”. Prokurator, o którym kiedyś opowiadała mu matka w rzadkich chwilach zwierzeń. Człowiek miotający pod adresem bezbronnych i niewinnych ludzi najbardziej nikczemne, fałszywe oskarżenia. Człowiek, który bez zmrżenia oka żądał wyroków śmierci. Starszy, małomówny pan, poważny z wyglądu, nienagannie ubrany. Okulary w ciemnej oprawie; uważne spojrzenia, rzucane na przyszłego zięcia. Powściągliwe, nienatrętne pytania, dotyczące

rodziców.

No, tak – nie wiedział, że jestem wnukiem Kamila Kotwiczą. Spowodowawszy skazanie go na śmierć, nie interesował się dalszym losem ofiary i jej najbliższych. Do małżeństwa moich rodziców doszło znacznie później. Nazwisko „Radzimirski” pewnie mu się z niczym nie skojarzyło, a po październiku pięćdziesiątego szóstego roku musiał myśleć przede wszystkim o własnej skórze.

A jeżeli... jeżeli nawet powiemy sobie, że to wyłącznie nasza sprawa – że przeszłość nas nie dotyczy, albo jest zbyt odległa, byśmy mieli się z nią liczyć i posłusznie jej podporządkować. Jeżeli tak się stanie, czy będę mógł dalej patrzeć Agacie prosto w oczy i mówić jak przedtem, że ją kocham? Jesteśmy oboje dla siebie wszystkim – to prawda. Ale czy mamy prawo odciąć się całkowicie od świata, który nas otacza? Który istnieje przy nas, wokół nas? Czy możemy zamknąć się przed nim na cztery spusty i powiedzieć, że wszystko, co nie jest nami obojętne, jest nam obojętne?

Sen długo nie chciał przyjść. Andrzej ogarnięty wreszcie pierwszą falą niespokojnych majaczeń, usłyszał kogoś, kto nie miał twarzy ani ciała. Miał tylko głos. Ów głos przypominał, nakazywał: – Trzeba zabić tę miłość! – Dlaczego?! – Andrzej usiłował się bronić. – Dlaczego?! My oboje nie jesteśmy przecież niczemu winni. Nasza miłość jest naszą sprawą! Znowu powtórzyły się słowa: – Trzeba zabić tę miłość. Był chyba film pod takim tytułem. Ale w tym filmie byli obcy ludzie! To nie my.

Widmo bez twarzy powtarzało swój nakaz głuchym, bezdźwięcznym głosem. Czy to był głos Ireny? Nie. Przemawiał ktoś inny, ktoś równie bezosobowy, jak bezwzględny. Andrzej czuł napór protestu i buntu. Nie masz prawa! – krzyknął temu komuś nieznanemu, a groźnemu. Nikt nie ma... – I obudził się.

Przytomniał z wolna, oddychając ciężko. Nacisnął kontakt. Niech światło lampy odpędzi senne zmyły! I w tejże chwili napotkał spojrzeniem twarz Kamila Kotwiczą. Poczul na moment dziwną ulgę, wypływającą z irracjonalnego przekonania, że to nie on – nie ów skazany niewinnie i stracony przychodzi we śnie z surowym, bezlitosnym nakazem.

Zgasił lampę i niebawem zasnął ponownie. Tym razem był to sen bez snów.

VIII

– Numer nie odpowiada – oschłym, bezosobowym głosem oznajmiła telefonistka.

Agata przygryzła wargi w poczuciu bezsilności. Który to raz w ciągu minionych trzech dni słyszała taką odpowiedź? Telefon Andrzeja wciąż milczał uparcie, choć na ogół automatyczne połączenie z Warszawą w późnych godzinach wieczornych uzyskiwało się dość szybko. Zrezygnowała wreszcie z automatu, zamówiła połączenie przez centralę – znów bez skutku.

Nie bez trudu wczoraj dobiła się do biura napraw, prosząc usilnie, aby sprawdzono, co dzieje się z sześciocyfrowym numerem, który знаła na pamięć. Usłyszała, że ów numer jest w porządku, nikt jednak nie podnosi słuchawki.

– Pewnie właściciel wyjechał i w mieszkaniu nie ma nikogo – głos tej telefonistki był ciepły i życzliwy. – Przecież to okres urlopów!

Agata podziękowała i odłożyła słuchawkę. Matka zajęta jakimś szyciem, podniosła oczy znad roboty.

– I co? Nie ma tam nikogo?

– Nie ma – odparła Agata. Czowała, że jeszcze trochę, a rozplacze się jak dziecko.

– Czegóż ty się tym aż tak przejmujesz? Na pewno wyjechał, tak jak planował. Kiedy to miał odlecieć? We wtorek?

– Tak – bąknęła Agata. – Ale obiecał, że jeszcze przed wyjazdem...

– Pewnie nie mógł się dodzwonić – pocieszająco zauważyła matka. – Przecież telefony u nas działają, jak im się podoba. A teraz, latem, linie są jeszcze bardziej przeciążone. Jak nie zadzwonił, to napisze. Na długo nie wyjechał.

– A może coś złego mu się stało? – westchnęła Agata.

– Ee, co ty znowu sobie od razu czymś głowę nabijasz! – zganiła córkę pani Janina. – Ganiał pewnie bez ustanku przed wyjazdem i nie miał czasu na to, żeby długo wisieć przy telefonie. Odezwie się, zobaczysz! I będzie jeszcze się śmiał, że ty sobie takie niestworzone rzeczy wymyślasz!

Agata mruknęła pod nosem coś, co mogło być równie dobrze potwierdzeniem, jak zaprzeczeniem – i wycofała się do swojego pokoju. Słowa matki były uspokajające i rozsądne. A jednak... Przywykła do wieczornych telefonów Andrzeja – do rozmów z nim, zazwyczaj krótkich, ale częstych i serdecznych. Teraz było jej tego bardzo brak. Nie potrafiła pozbyć się trudnego do określenia lęku. To nie był zresztą lęk o Andrzeja. Bała się czegoś, co mogło zagrażać im obojgu – ich uczuciu i szczęściu. To było tak niepodobne do Andrzeja – wyjechać bez słowa pożegnania w ostatni wieczór przed podróżą!

Postanowiła wreszcie uczynić to, co najmniej jej odpowiadało: zadzwoniła do biura, w którym pracował Andrzej. Dopiero następnego dnia zdołała uzyskać

połączenie. W godzinach przedpołudniowych, kiedy biuro było czynne, telefon kierunkowy bez przerwy dawał sygnał, że linia jest zajęta. Usłyszawszy wreszcie głos sekretarki dyrektora. Agata ze ściśniętym gardłem zapytała o inżyniera Radzimirskiego.

– Inżynier Radzimirski jest nieobecny – brzmiała odpowiedź. – Wyjechał przedwczoraj. Mogę wiedzieć, kto mówi?

– Znajoma – odparła Agata (Jak mam się przedstawić tej obcej kobiecie? Narzeczona? Nie wiadomo, czy Andrzej mówił biurowym kolegom i sekretarkom o swoich planach). – Z Wrocławia – dorzuciła i natychmiast pożałowała tych słów. – Wyjechał zagranicę, prawda? Tak jak planował?

Tym sposobem chciała dać do zrozumienia rozmówcy, że jest zorientowana w planach Andrzeja.

– Tak. Wróci za trzy tygodnie. Mam coś przekazać?

– Nie. Dziękuję. Zadzwoń – dodała Agata po krótkiej chwili, lecz tamta już odłożyła słuchawkę.

Cóż, właściwie wszystko jasne. Wyjechał we wtorek, tak jak chciał. Matka na pewno ma rację; nie zdołał lub nie zdążył odezwać się przed odlotem. Jeśli napisze – powiedzmy – za trzy, cztery dni z Londynu – to poczta lotnicza, list lub nawet kartka będzie w drodze nie krócej niż tydzień. List zwykły może iść i dwa tygodnie. Taka wiadomość nie o wiele wyprzedzi jego powrót. Dlaczego poczta wlecze się niemiłosiernie w czasach odrzutowców? Wedle opowieści osób należących do starszego pokolenia, w latach międzywojennych list wrzucony jednego dnia do skrzynki następnego dnia trafiał do adresata nawet w odległym krańcu Polski! A list zagraniczny, wieziony koleją, nie samolotem, szedł kilka dni, nie zaś przez parę tygodni!

Agata z głębokim westchnieniem wsparła czoło na rękach.

Czego właściwie tak się boję? – pytała samą siebie nie po raz pierwszy.

Nie mogła wiedzieć, że Andrzej wyłączył telefon – i że pracował zaciekle nad doprowadzeniem do końca projektu. Początkowo sądził, że nie zdoła wykonać tej pracy. Potem ów projekt podziałał prawie tak, jak solidna porcja koniaku wypita po rozmowie z Ireną: stłumił wszelkie uboczne myśli, lecz w przeciwieństwie do alkoholu nie przyćmił świadomości. Andrzej prawie nie wstawał od roboty, podtrzymując się na przemian bądź mocną kawą, bądź czarną jak smoła herbatą. Zrobił sobie dwugodzinną przerwę w niedzielny wieczór, aby spakować walizkę – i wrócił na całą noc do roboty. Niekiedy kierował wzrok w stronę telefonu. Aparat milczał. Andrzej całą siłą woli odrzucał myśl o dziewczynie, wykręcającej po raz któryś numer na tarczy aparatu...

W poniedziałek późnym wieczorem zawiózł gotowy projekt koledze, który miał przekazać wykończoną pracę do biura. Wymówił się od proponowanej kolacji, od przekąski, od małego drinka, tłumacząc, że powinien choć trochę

odpocząć po bezsennej nocy, rano zaś musi wstać o świcie. Jechał do domu z niejasną obawą: a jeżeli zaniepokojona jego milczeniem Agata wpadnie na pomysł przyjazdu do Warszawy?! Dotychczas nie brał pod uwagę takiej możliwości. Teraz na serio jej się obawiał.

„Kiedy wrócę z Anglii, muszę o tym wszystkim pomyśleć i coś postanowić. Nie mógłbym teraz spojrzeć jej w oczy i udawać, że nic się nie stało po wszystkim, co wiem od Ireny”.

Jednak Agata się nie zjawiała. W pewnej chwili Andrzej odruchowo wyciągnął rękę w stronę telefonu, ale natychmiast cofnął ją z powrotem. „Nie! Wyjadę i może tam choć trochę z tym wszystkim się uporam. Wiem, że ona na pewno martwi się i gubi w domysłach, dlaczego nie dzwonię”. Nie potrafiłby teraz rozmawiać z nią tak, jak przedtem. A mówić w sposób oschły, sztywny, chłodny nie chciał. Pozostało więc jedno: milczenie.

Ryszard, przyjaciel z lat szkolnych, a zarazem niegdyś sąsiad z tej samej klatki schodowej, oczekujący Andrzeja na lotnisku Heathrow, nie poznał w pierwszej chwili dawnego kolegi.

– Co z tobą, stary, żeś taki przegrany? – spytał, kiedy wreszcie się odnaleźli.
– Wyglądasz... No, nie gniewaj się, ale trochę jak upiór w operze!

– Wiem – Andrzej z trudem zmusił się do uśmiechu. – Patrzyłem na siebie rano przy goleniu.

– Tak cię zmoгло to wszystko, co u was się dzieje? A może chorowałeś?

– Nie, nie chorowałem. Raczej harowałem ostro. A co do innych spraw... Pogadamy. O ile będziesz chciał.

Mały domek z ogródkiem w dzielnicy Ealing zdawał się być miejscem położonym na innej planecie. Ryszard odziedziczył go po ojcu, osiadłym w Anglii od zakończenia wojny. Odwiedzał kilkakrotnie starszego pana, aż wreszcie uległ jego prośbom i pozostał w Anglii na stałe. Nie zrywał więzi z krajem, gdzie miał rodzeństwo i przyjaciół. Lecz jak powiedział Andrzejowi, Anglia była okazją, której nie chciał zmarnować. Po śmierci ojca przejął dobrze prosperujący warsztat mechaniczny. – Były kłopoty spadkowe, ale z drugą żoną taty jakoś się dogadałem – powiedział Andrzejowi. – Ją urządzają spłaty gotówkowe ode mnie, bo chce wrócić do kraju. Ożeniłem się, jak wiesz, przed dwoma laty, z Polką ze starej emigracji. A jak twoje plany życiowe, Andrzej?

– Opowiem ci wszystko później.

Ryszard zadowolił się na razie tą obietnicą. Ale jego bystrym oczom nie uszedł niepokój nurtujący przyjaciela. Andrzej wypytywany o kraj i o Warszawę, o tamtejsze wydarzenia i obecne, a także przewidywane wstrząsy, relacjonował wszystko tak obszernie, jak mógł. Jednocześnie widać było, że coś go dręczy, mimo zainteresowania Anglią i mimo wielu wrażeń, jakich dostarczał mu każdy dzień w Londynie.

– Słuchaj, stary – zagadnął Ryszard pewnego wieczoru, kiedy obaj usiedli przy typowym angielskim kominku, na którym płonął ogień, wieczór bowiem, mimo lata był wilgotny i dość chłodny. – Masz naprawdę chęć wracać do tego całego bajzlu? Przecież z tego, co mówisz, jasno wynika, że tam u was coś wystrzeli, jeżeli nie lada tydzień, to lada miesiąc. Jak wejdą czolgi od wschodu, to się nie pozbieracie. I wtedy trudniej będzie się wyrwać niż teraz. Tacy jak ty, młodzi, niegłupi, z fachem, z głową nieźle umeblowaną, z chęcią do roboty, zostaną uziemieni, jeżeli nie na amen, to nie wiadomo na jak długo!

Andrzej spojrział na przyjaciela i wydawało się, że chce coś rzec. Na razie jednak milczał. Niezrażony tym Ryszard ciągnął.

– Tu, co prawda, nie tak łatwo zakotwiczyć się na dobre. W każdym razie to trwa, choć właściwie – jeśli człowiek ma siły, dobrą profesję, znajomość języka, no i jakieś życzliwe, przychylne dusze w pobliżu – to może spróbować. Poza tym stąd łatwiej startować gdzieś dalej.

Andrzej wciąż jeszcze nie kwapił się z odpowiedzią. Wreszcie rzekł:

– Gdybyś mnie o to spytał dwa, trzy miesiące temu, to bym ci odpowiedział, że jednak – dziękuję, nie. Mimo wszystko. Ale teraz...

Urwał, nie kończąc. Ryszard spojrział wyczekująco na przyjaciela, lecz wołał go nie ponaglać.

– Masz jakieś większe kłopoty? – zagadnął wreszcie.

– Mam – Andrzej jak gdyby ocknął się. – Mam – powtórzył. – A niedawno nawet mi w głowie nie postało, że je mogę mieć.

– W pracy? – Nie.

– Polityka?

– Niebezpośrednio.

– Strasznie się robisz tajemniczy. Kłopoty z dziewczyną?

– No, właśnie...

– Nie zgadzacie się ze sobą?

– Coś gorszego.

– Oo!

Tymczasem Andrzej znów umilkł, rozważając: mówić, nie mówić? Jednak ciśnienie doznanych niedawno przeżyć było tak silne, że musiał te przeżycia z siebie wyrzucić. Miał zresztą przed sobą słuchacza zarówno rozsądnego, jak i życzliwego.

Ryszard wahał się przez chwilę, zanim rzekł:

– Słuchaj, stary, widzę, że niełatwo ci zacząć. Nie mam zamiaru pchać ci się, jak to mówią, z kaloszami do duszy. Ale może cokolwiek bym ci pomógł, gdybym wiedział, w czym rzecz. Nie wyszło ci z tą dziewczyną, o której pisałeś? Pokłóciliście się oboje? Zostawiła cię?

– Nic z tych rzeczy.

– Naopowiadali ci coś o niej? Ludzie lubią plotkować.

– To nie plotki, Rysiu, niestety. I to dotyczy jej pośrednio, a właściwie jej rodziny. Może naprawdę będzie lepiej, jeśli ci to opowiem. Tylko bardzo cię proszę, wysłuchaj najpierw do końca. I o nic na razie nie pytaj.

Ryszard słuchał uważnie, ćmiąc fajkę, bezpieczniejszą dla zdrowia

– jak twierdził – niż papierosy. Nie odzywał się ani słowem. Raz tylko wyrwał mu się półgłosny, do syknienia podobny okrzyk: – O, cholera! W chwili, kiedy opowieść Andrzeja, niedługa zresztą i zwięzła, znalazła się w punkcie najbardziej dramatycznym, zapytał:

– I co zamierzasz teraz zrobić?

– Nie wiem. Ten wyjazd nastąpił właściwie w dobrym momencie. Mogłem trochę uciec od tej sprawy. Ale ona wciąż do mnie wraca.

– Rozumiem. – potwierdził Ryszard. – A przedtem niczego się nie domyślałeś?

– Skądże! Widziałem tego ojca parę razy. Solidny, starszy, małomówny pan. Matka – owszem, sympatyczna. Też chyba nie wie o przeszłości własnego męża, bo to było drugie małżeństwo.

Na chwilę powróciło milczenie.

– Ktoś może powiedzieć: co mnie obchodzą stare dzieje? Rodziców się nie wybiera. Co dziewczyna winna, że ma takiego ojca? – podjął Andrzej po krótkiej pauzie. – I to na pewno racja. Ale kto inny powie: jednak człowiek wyrasta w określonym środowisku. Rodziny, choć nie z nią mam się przecież żenić, nie da się całkiem wykreślić z życia. Zwłaszcza jeśli ta rodzina jest. Bo jeśli by ojciec Agaty nie żył, prawdopodobnie nikt by nie dociekał i nikt by się nie domyślał, kim właściwie był.

– Niekoniecznie. Cała prawda też mogłaby wyjść na jaw przypadkiem. Albo jakimś zbiegiem okoliczności.

– No, tak. Ale wtedy nie byłoby to tak bardzo... – Andrzej zawahał się, szukając odpowiedniego słowa – tak bardzo znaczące. Bo jednak muszę mieć na uwadze moją matkę. I moją babkę. Oczywiście mógłbym powiedzieć, że moje życie, czy raczej życie nas obojga jest najważniejsze: że cała rodzina będzie musiała pogodzić się z moim małżeństwem. Chwilami wydaje mi się, że właśnie tak zrobię. A potem widzę, że całkiem zlekceważyć to, co oni sobie pomyślą – to byłoby jednak świństwo.

– I co dalej? – spytał Ryszard, obracając w palcach staroświecką popielniczkę z brązu.

– Nie wiem. Ta cała sprawa spadła na mnie całkiem nagle. Bardzo żałuję, że nie ma w kraju mojego ojca. On chyba reagowałby na to spokojniej niż kobiety z mojej rodziny... Trudno zresztą się dziwić, bo przecież ta historia połamała im życie. A teraz ja się z tym borykam. Może to tchórzostwo albo tylko egoizm – ale

byłem rad, że właśnie teraz mogłem wyjechać.

– I dobrze się stało – potwierdził Ryszard, upychając w fajce nową porcję tytoniu. – Masz naprawdę twardy orzech do zgryzienia. Jesteś pewien, że twoja dziewczyna nie zna przeszłości ojca?

– Tak. To wszystko przecież działo się na długo przed jej urodzeniem. Tatuś przycichł, zmienił tożsamość jak wąż skórę. Wyjechał z Warszawy, osiadł na prowincji, ożenił się drugi raz – i myślał na pewno, że to wszystko przyschnie.

– A tu nie przyschło! – pokiwał głową Ryszard. – Każda przeszłość zostawia ślady, a cóż dopiero taka!... Tu, w Anglii – mówią o kościotrupach w szafie. Znasz to określenie?

– Chyba tak – potwierdził Andrzej. Kto wypowiedział podobne słowa niedawno? Ach, tak – Irena!

– Rozumiesz, na czym rzecz polega. Zamknięty w szafie szkielet latami drzemie sobie spokojnie i nie przeszkadza nikomu, bo nikt o nim nie wie. Aż wreszcie ktoś przypadkiem otwiera szafę – i wtedy dopiero wybucha gwałt, panika, zamieszanie...

– W jednym muszę przyznać rację mojej ciotce – mruknął Andrzej. – Gdyby ta cała prawda wyszła na jaw na przykład podczas ślubu, w naszej rodzinie zrobiłby się okropny raban. A teraz, stary, nie wiem, co zrobić z tą całą aferą, w którą się wpakowałem. A raczej, w którą mnie wpakował... Diabli wiedzą kto?

– To spróbujmy pogłówkować jak mógłbyś wybrnąć z tej kabały. Pierwsza sprawa: jesteś pewien jej uczuć? Myślę o dziewczynie.

– Jak najbardziej.

– A jeśli chodzi o ciebie?... Nie miej mi za złe, że tak obcesowo pytam. Nie przez ciekawość.

– Wiem. Widzisz, ja... Ja na pewno. Nie wyobrażałem sobie życia z inną kobietą! Tylko że teraz tak mnie to wszystko, oplatało... Najpierw mi się zdawało, że... że ile razy spojrzę na Agatę, będę widział jej ojca. Takiego, jakim był, kiedy wykańczał ludzi. I myślałem, że to koniec, że muszę wszystko przekreślić...

– Teraz ci się też tak zdaje? – spytał Ryszard, patrząc na przyjaciela badawczo.

– Nie wiem. Nie jestem pewien. Wyłączyłem telefon, żeby nie słyszeć jej głosu. Na pewno dzwoniła przed moim wyjazdem.

– Nie chciałeś z nią rozmawiać?

– Nie. Nie mogłem.

– A teraz?

– Sam nie wiem. Coś jakby się we mnie wypaliło. Chwilami wydaje mi się, że nie potrafię bez niej żyć. A potem zaraz myślę, że jej ojciec sponiewierał moją matkę... I nie mogę z tym wszystkim dać sobie rady.

– Musisz sam to w sobie przetrwać – rzekł Ryszard. – Słuchaj: masz może

przy sobie jej zdjęcie?

– Tak, mam – potwierdził Andrzej. W nocy przed odjazdem porządkował zawartość portfela. Sprawdzając, czy ma w nim wszystko, co potrzebne, znalazł fotografię Agaty. Chciał schować ją do szuflady biurka. Lecz powodowany kolejnym, znacznie silniejszym impulsem pozostawił zdjęcie tam, gdzie było. Położył na blacie stolika kartonik z podobizną młodej, uśmiechniętej dziewczyny. Tej samej dziewczyny, która dręczyła się teraz pytaniem, co się zmieniło w uczuciach najbliższego jej człowieka?

– No, cóż? Chyba dobrze jej z oczu patrzy – rzekł Ryszard, napotkawszy wyczekujący wzrok przyjaciela. – Jeśli dojdiesz do wniosku, że ta cała przeszłość zanadto będzie ci się dawać we znaki, że nie możecie być razem – zerwij, póki czas. Jesteście młodzi, jakoś to przecierpicie, choć na pewno sprawisz dziewczynie ciężki ból. Ale musisz z nią o tym otwarcie i uczciwie pomówić. Może lepiej, że do takiej rozmowy nie doszło przed twoim odjazdem. Jednak po powrocie powinieneś ją spotkać. Tylko pamiętaj, nie bądź zbyt pochopny w decyzjach! Zniszczyć uczucie można łatwo. Odbudować je trudno. Albo całkiem niemożliwe. A jeżeli...

Urwał w pół zdania, patrząc na płomyki ognia, tańczące wewnątrz kominka.

– Jeżeli będziesz pewien, że mimo wszystko przeszłość nie podważy tego, co was łączy, zostańcie razem. Ale to nie będzie lekkie.

– Na pewno – mruknął Andrzej.

– Kto wie, czy wtedy nie lepiej byłoby wam wyjechać? Opuścić na jakiś czas Warszawę? Tylko... Obawiam się, że sam wyjazd z Warszawy nie na wiele się przyda. Ta przeszłość może was oboje, a zwłaszcza twoją dziewczynę, dogonić w każdym innym miejscu. Oczywiście zależy od tego, ilu ludzi wie o jej ojcu.

– Myślisz, że lepiej byłoby wyjechać z kraju? – spytał Andrzej z wahaniem.

– Ja ci nie chcę nic podpowiadać – zastrzegł się Ryszard. – Powiedziałem: sam musisz to przemyśleć – no i rozstrzygnąć. Jeśli oboje, ty i ona, będziecie czuć się na siłach, żeby stawić czoło tym, którzy... No, którzy będą potępiać ją za ojca, a ciebie krytykować – jeśli to udźwigniecie, tym lepiej dla was. Musisz to wszystko, jak powiedziałem, przegryźć w sobie. Cała sprawa jest świeża. Tym bardziej radzę ci nie podejmować za szybkich decyzji. Dobrze się składa, że masz jeszcze trochę czasu, jeżeli chcesz wrócić w terminie.

– Muszę.

– Napisałeś do niej?

– Jeszcze nie – wyznał Andrzej nie bez wstydu. – Trudno mi było.

– Rozumiem. Ale poślij jej parę słów, chociażby kartkę, zaraz jutro.

Do pokoju zajrzała Marta, żona Ryszarda.

– Co tak siedzicie po ciemku? Andrzej, tyś pewnie biegał cały dzień po mieście?! Dał ci Rysiek coś do zjedzenia? Nie? Oj, Rysiu, ty chcesz nam gościa

głodem zamorzyć! Chyba w samą porę przyszłam, żeby go podratować!

Pogodny uśmiech młodej kobiety. Jej ruchy są zręczne, mimo że coraz trudniej przychodzi jej krzątanie domowa. Za dwa miesiące pod dachem zaprzyjaźnionego polskiego domu w Londynie zjawi się oczekiwane pierwsze dziecko. Andrzej przypomniał sobie rozmowę z Agatą podczas jednej z ostatnich nocy przed jej odjazdem. „Bardzo bym chciała mieć z tobą dzieci...”.

Ryszard zdawał się rozumieć rozterkę nurtującą przyjaciela.

– Na dziś już dosyć! – klepnął go po ramieniu. – Pamiętaj o dwóch rzeczach: świat nie kończy się na Polsce. Ani nawet na Anglii, chociaż stąd jest szerzej otwarty. To jedno. A drugie: zawsze możesz na mnie liczyć!

IX

Tego dnia upał dawał się we znaki. Agata doznawała wrażenia, że lekka kretonowa sukienka przylepia jej się do pleców. Niechętnie myślała o jeździe do Wrocławia. Przedziały w wagonach na pewno rozgrzane są jak piece. Ale trzeba odwieźć wykończone wczoraj tkaniny. Praca nad nimi była bardziej męcząca niż zwykle, przy obecnej duchocie. Lecz fizyczny wysiłek łagodził napięcie, uspokajał nerwy rozkołysane ponad miarę. Z Cepelii w zeszłym tygodniu telefonowano, upominając się o zapowiedziane prace. Trzeba je dostarczyć jak najprędzej, zwłaszcza że sklepy nadal świecą pustkami – i po prostu nie ma co sprzedawać.

– Coraz ładniej ci to idzie! – zauważyła pani Janina, oglądając przed zapakowaniem tkaniny, ciekawie skomponowane i starannie wykonane. – Szkoda, że takie piękne rzeczy nie zostają w domu!

– Przecież i tak jest ich tu pełno – odparła córka. – Muszę raczej pomyśleć o tym, żeby fotografować te, które robię, zanim je dam na sprzedaż. Będę miała przynajmniej porządną dokumentację. No i później...

Omali nie wyrwało jej się: „... jak tylko Andrzej wróci”. Bo przecież właśnie on to poradził. Woliała nie mówić o nim wskutek instynktownego lęku – czy może przesądu?

– No, już lecę! – spojrzała na zegarek. – Będę wieczorem.

Na parterze coś było w skrzynce pocztowej. Kartka od Andrzeja – nareszcie! Agata odetchnęła i poczuła się rażniej. Przebiegła wzrokiem kilka linijek tekstu, doznając ulgi, a zarazem rozczarowania. Kartka zawierała zdawkowe pozdrowienia, które można skierować do każdej życzliwej osoby. Ani jednego cieplejszego słowa.

Ale jednak napisał – pocieszała samą siebie. Sprawdziła datę na stemplu pocztowym. Kartka, choć lotnicza, wędrowała dość długo. Andrzej za trzy lub cztery dni powinien być w Warszawie. A wtedy wyjaśni się wszystko: i sprawa milczącego telefonu, i oschłości słów na tej jedynej kartce – bo przecież z Londynu już więcej nie napisze. Czyżby gniewał się o coś? Ale o co? Pomyślę o tym jutro – postanowiła, przypomniawszy sobie Scarlett, bohaterkę *Przeminęło z wiatrem*.

Na rogu złapała taksówkę. Na szczęście lokalny pociąg, który już podstawiono, nie był przepełniony. Droga do Wrocławia okazała się zupełnie znośna. Agata z ulgą rozładowała swój bagaż od razu po przyjeździe do Cepelii. Poszczególne tkaniny były wprawdzie lekkie – jednakże kilka, spakowanych w jeden pakiet, miało swoją wagę. Podpisała odpowiednie rachunki, zainkasowała należność za poprzednią dostawę, wypila dwie szklanki wody mineralnej – i prawie całkiem odprężona, zapytała rozmówczynię, czy aktualne są dalsze zamówienia. I co w ogóle słyhać w firmie, której nie odwiedzała od miesiąca?

Szefowa powściągliwie odpowiedziała, że w firmie wszystko wygląda

normalnie – o ile w obecnych czasach można mówić o normalności.

– Jeśli zaś chodzi o dalsze zamówienia, trudno w tej chwili powiedzieć coś konkretnego. Zależy od zapotrzebowania. W razie czego zawiadomimy panią telefonicznie.

Ton tej odpowiedzi niemile zaskoczył Agatę. Zdążyła już przyzwyczać się do pochwał i aprobaty, z jaką przyjmowano jej prace. Począwszy od udanej sprzedaży pierwszych tkanin, zawsze słyszała zapewnienia, że idą one dobrze – a także prośby, nawet monity, o dostarczenie dalszych. Na półkach sklepu – zdążyła to zauważyć – nie została żadna z tkanin, dostarczonych przez nią przed wyjazdem do Warszawy. Nie było również w sklepie żadnych okazów jakiegokolwiek „konkurencyjnej” produkcji.

Skąd więc wziął się teraz ten chłód szefowej, która dłużej niż zwykle przeglądała rachunki dotyczące prac Agaty, jak gdyby suma w nich się nie zgadzała.

– Pani Mario, wszystko w porządku?

– Co?... Tak, oczywiście. Tylko bardzo się spieszę – mówiąc to, spojrzała na zegarek. – Za parę minut mam konferencję. No, więc tak jak mówiłam: jeśli tylko sprawa będzie aktualna – zadzwonię.

Agata wstała, żeby się pożegnać. Coś jej się w tym wszystkim nie podobało. Chyba ten upał tak podziałał – pomyślała. Nigdy nie widziałam Marianny tak nabzdyczonej jak dziś! Co ją ugryzło?

Idąc korytarzem, omal nie zderzyła się z zastępczynią szefowej. Była to plastyczka starsza o kilka lat od Agaty, również absolwentka wrocławskiej ASP. Miała znacznie mniej talentu niż obrotności i zmysłu handlowego. Potrafiła jednak „wylawiać perły”, wedle jej własnego określenia, czyli znajdować uzdolnionych ludzi, których prace dobrze się sprzedawały. Nie była przy tym zazdrosna o powodzenie koleżanek, które tak jak i Agatę wprowadziła do Cepelii.

– Jesteś! Właśnie cię szukam – koleżanka ujęła ją pod ramię. – Dobrze, żeś jeszcze nie wyszła.

– Bardzo krótko byłam u Marianny, bo podobno idzie na jakąś konferencję. Zrobiła się taka... lodowata. Aż dziwne przy tym upale – Agata niezręcznie usiłowała żartować. – Nie wiesz przypadkiem, co jej się stało?

– Nie mam pojęcia – w odpowiedzi Hanka brzmiał ton wahania. – Siądźmy na chwilę. Tu nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Pociągnęła Agatę ku oszklonej wnęcie, którą zdobiły starannie utrzymane rośliny. Usiadły w głębi, na drewnianej ławie. Agata była coraz bardziej zaintrygowana. O czym Hanka chce mówić? Czyżby do Cepelii sięgnęły jakieś polityczne rozgrywki?! Dotychczas placówka ta nie oceniała swoich współpracowników wedle ich przynależności i przekonań. Zresztą Agata, pochłonięta własnymi sprawami, trzymała się na uboczu od burzliwego nurtu

wydarzeń, który płynął przez cały kraj.

– Jak ma na imię twój ojciec?

– Paweł – odparła dziewczyna, zdumiona i zaskoczona tym nieoczekiwanym pytaniem. – A bo co?

Starsza koleżanka wyraźnie unikała jej spojrzenia.

– Wiesz... Bardzo niemiła rzecz. Twój ojciec zmienił nazwisko?

– Pierwsze słyszę! Haniu, o co chodzi? Ktoś chyba myli mojego ojca z kimś innym?!

– Niestety, na pewno nie... Cóż – to znaczy, że ty o tym wszystkim naprawdę nie wiesz. Ja ci współczuję. No, ale... Widzisz, o twoim ojcu piszą w „Życiu Warszawy”. Przeczytaj sobie. Lepiej, żebyś wiedziała. To się ukazało niedawno. Dostaliśmy ten numer wczoraj.

Wetknęła zwiniętą w rulon gazetę do rąk oszołomionej dziewczyny.

– Ja ci wierzę, Agata, znamy się przecież dawno. Wiem, że to nie twoja wina. Urodziłaś się przecież później, więc mogłaś naprawdę o tym nie słyszeć. On to przed tobą na pewno wolał zataić. Tylko że innym ludziom trudno będzie uwierzyć. Zwłaszcza przy obecnych nastrojach – i jeżeli się już w całą sprawę wdała prasa. Teraz musisz przeczekać. Najlepiej nie dzwoń tutaj i o nic nie pytaj. Jak trochę ucichnie to ludzkie rozjątrzenie i będzie można coś znowu u ciebie zamówić, dam ci znać. No, trzymaj się, mała!

Uścisnęła dłoń wciąż oszołomionej Agaty i odeszła. Dziewczyna z trudem zbierała myśli. O co tu chodzi?

Najpierw sięgnęła po gazetę. Instykt podpowiedział jej jednak, że lepiej – po tym, co usłyszała od Hanki – zejść ludziom z oczu. Mimo że torbę miała teraz lekką, czuła się tak, jakby w niej niosła łatwopalny materiał. Szła przez chwilę ulicą, nie wiedząc, gdzie ma się udać. Znalazła wreszcie małą kawiarenkę z ogródkiem. Było miejsce w cieniu, ale kawy – jak usłyszała od kelnerki – brakowało od kilku dni.

– Chyba że pani chce zbożową...

– Niech będzie choć taka – odparła Agata. – I może coś zimnego do picia.

– Napój firmowy?

– Poproszę.

Wypiła parę łyków gorzkiego, niesmacznego płynu, który tylko kolorem przypominał kawę – i wyciągnęła z torby gazetę; rozejrzała się przedtem, czy nikt na nią nie patrzy. Kawiarenka była jednak prawie pusta. Nikt nie zwracał uwagi na młodą kobietę, która rozpostarła płachtę warszawskiego dziennika sprzed trzech dni.

Ktoś zaznaczył grubą krechą ołówka tekst obejmujący prawie połowę czwartej stronicy. Górami duże litery układały się w tytuł: ŚLADAMI „KRWAWEGO PAWŁA”.

Słowa skaczą przed oczyma. Agata czyta raz, drugi – i wciąż jeszcze nie pojmuje – o kogo chodzi? Paweł Kordasz... Przecież to nie może być ojciec, który nazywa się podobnie, ale inaczej. Prokurator Paweł Kordasz, zwany „krwawym Pawłem”, oskarżał podczas wielu procesów w latach pięćdziesiątych, zwłaszcza podczas tych procesów, w których przed sądami wojskowymi stawali oficerowie Wojska Polskiego. Kordaszowi nadano rangę wojskową; skończył nie studia prawnicze, ale przyspieszone kursy. Ówczesnemu wymiarowi sprawiedliwości, zarówno cywilnemu, jak i wojskowemu potrzebni byli właśnie tacy ludzie – posłuszni wykonawcy narzucanych z góry decyzji.

Paweł Kordasz w swoich wystąpieniach prokuratorskich bardzo często żądał dla oskarżonych kary śmierci. I często takie właśnie wyroki zapadały na jego wniosek. Budził nienawiść i strach. Dlatego przyłgnęło do niego miano „krwawy Paweł”.

Ojciec? Mój ojciec? Niemożliwe! – powtarzała w duchu Agata. To jakaś potworna omyłka! To musiał być ktoś inny!

Zmusiła się do dalszej lektury. Paweł Kordasz był bezwzględny i fanatyczny. Nie uznawał okoliczności łagodzących. Podkreślił w jakiejś wypowiedzi, że wzorem dla niego jest Feliks Dzierżyński...

Jak daleko sięga pamięć Agaty, jej poważny i małomówny ojciec nikomu nie dokuczył i nikogo nie skrzywdził. Nie był towarzyski, stronił od ludzi – taką miał naturę. Przeżył ciężkie dzieciństwo i trudną młodość. O tym Agata wiedziała od matki. Jego rodziców i siostrę zamordowali Niemcy podczas okupacji. Walczył w partyzantce, potem w wojsku. Ma odznaczenia i medale, ale ich nie nosi, bo na to jest zbyt skromny.

– Robiłem zawsze to, co było moim obowiązkiem. Podczas wojny walczyłem z bronią w ręku, uczyłem się. Potem pracowałem – tak odpowiedział kiedyś córce na pytanie o młode lata. Nie kwapił się jednak z dokładniejszą opowieścią o tych – jak je określił – trudnych czasach.

Z dna pamięci wypływają strzępy wspomnień mocno zatartych: jakieś niezrozumiałe dla dziecka urywki z rozmów między rodzicami. Obcy głos w telefonie zapytał kiedyś o Pawła Kordasza. Agata powiedziała, że to omyłka. Koperta z tym nazwiskiem w poczcie, jaka nadeszła po przyjeździe z wakacji...

– Ktoś się pomylił, trzeba to odesłać – powiedziała wówczas, oddając matce kopertę.

Pewnego dnia – miała wtedy dwanaście albo trzynaście lat, nie więcej – ktoś zadzwonił pod nieobecność ojca. Obcy męski głos zapytał, czy można mówić z panem Kordaszem. Odpowiedziała, że tu nikt taki nie mieszka. Naprawdę? – zdziwił się tamten – i w jego głosie zabrzmiała jakaś przykra nuta, niedowierzanie lub drwina. Tak, naprawdę – potwierdziła, odkładając słuchawkę. Powiedziała później matce o tym telefonie. Teraz, po latach przypominała sobie jej

dziwnie spłoszony wzrok i skwapliwe potwierdzenie: – Oczywiście ktoś się pomylił Agatko, na pewno. Bywają nazwiska podobne. – I natychmiast matka zaczęła mówić o czymś innym. Czy zna całą prawdę o ojcu? Drobiazgi, o których wówczas szybko się zapominało, powracają z całą wyrazistością.

Dorastając, wiedziała, że ojciec nie lubi sięgać myślą w przeszłość. Dlaczego? – spytała pewnego dnia matkę. Bo miał wtedy przejścia tak ciężkie, że do dziś nie chce o nich wspominać – brzmiała odpowiedź. Wtedy właśnie, jako podrastająca dziewczyna, powodowana ciekawością usiłowała dowiedzieć się czegoś o pierwszej żonie ojca. Ona bardzo ciężko chorowała i dlatego nie chciała dłużej żyć – tak wyjaśniła matka. Dla ojca to był wielki cios. Pamiętaj: nie trzeba go o to pytać. Po co rozdrapywać stare rany?

Oczywiście usłuchała. A teraz? Co pisze ów obcy człowiek, odsłaniający nieznaną twarz ojca?

„Stefania Kordaszowa, jego pierwsza żona, nie mogąc znieść świadomości, jakim człowiekiem jest jej mąż, w atmosferze potępienia, która wytworzyła się wokół «krwawego Pawła», kiedy zaczęto ujawniać «błędy i wypaczenia», czyli zbrodnie funkcjonariuszy systemu stalinowskiego, popełniła samobójstwo, odkręcając gaz.

Prokurator Paweł Kordasz był winien lub współwinien śmierci wielu patriotów polskich. Według nie sprawdzonych do końca, lecz uzasadnionych przypuszczeń asystował z urzędu przy egzekucjach niektórych skazańców, rozstrzeliwanych lub wieszanych prawdopodobnie w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie – i grzebanych później w nieznanymi miejscach. Do tych ofiar trzeba zaliczyć...”

Nazwiska. Długi szereg nazwisk. Wśród nich – Kamil Kotwicz, pułkownik wojsk polskich, należący do przywódców Armii Krajowej w okupowanej Polsce.

Agata z trudem powstrzymała odruchowy krzyk. Ujrzała w pamięci niedawny moment: ojciec patrzy na leżącą pod szkłem biurka fotografię mężczyzny w mundurze. Kto to? – pyta zmienionym głosem. Zazwyczaj opanowany, nie potrafił wtedy ukryć zaskoczenia. Powiedziałam, że to dziadek Andrzeja i byłam zdziwiona reakcją ojca. Napomknął coś o podobieństwie człowieka z fotografii do przyjaciela z lat wojny. To na pewno był wykręt, aby ukryć zmieszanie i strach.

Od niedawna... tak, właśnie od tego czasu! – rzadko rozmawia z córką i częściej niż dawniej bywa poza domem. „Unika mnie, bo się boi! Boi się człowieka, którego pokochałam!”

Wszystko staje się wiadome. Jak gdyby rozsypane kawałki łamigłówek same trafiły na właściwe miejsca. Andrzej na pewno dowiedział się prawdy. Tylko tak można wytłumaczyć jego dziwne zachowanie. Ale to przecież niemożliwe! – Agata sprawdza raz jeszcze datę figurującą w nagłówku gazety. Artykuł wydrukowano

kilka dni temu – on zaś od prawie trzech tygodni jest przecież w Londynie! No to co? – odpowiedziała natychmiast samej sobie. Mógł dowiedzieć się z jakiegoś innego źródła lub od kogoś, kto szedł tropem „krwawego Pawła”. Autor napisał wyraźnie, że jej ojciec wolał zniknąć z Warszawy – i pod „lekkim zmienionym” nazwiskiem uplasował się od lat na Dolnym Śląsku.

Andrzej wie – podpowiadało Agacie przecucie. Na pewno wie! Najwyraźniej nie chciał mnie widzieć przed odjazdem do Anglii. Czyżby w ten sposób usiłował mi dać do zrozumienia, że wszystko między nami musi być skończone?!

– Pani źle się czuje?

Nie bez wysiłku podniosła głowę. Na twarzy kelnerki widać było niepokój.

– Co takiego? Ja... nie. To znaczy... tak... migrena... – dotknęła ręką czoła.

– Toż widzę, że z panią coś nie w porządku. Błada pani jak papier!

– Zaraz wezmę proszek – Agata sięgnęła do torebki. – Mogłabym prosić o wodę?

– Niech pani zaczeka. Przyniosę zaraz kawy – prawdziwej, nie tej lury. Trzymamy jej trochę dla siebie, bo żadnej dostawy nie było od przeszło dwóch tygodni. To pani dobrze zrobi.

Ból głowy stopniowo się zmniejszał. Napięcie jednak nie mijało. Po upływie pół godziny Agata, zapłaciwszy rachunek, podziękowała uczynnej kelnerce i opuściła kawiarenkę. Czekał ją teraz powrót do domu. Powrót, który chciała odwlec, nie wiedząc, jak stanie oko w oko z ojcem. Gdy szła, wciąż jej się wydawało, że ma przed stopami nie twarde bruk uliczny, lecz sypki piasek. Rozszyfrowanie tajemnic życiorysu ojca zdawało się przekreślać wszelkie nadzieje na przyszłość. Ojciec. Tatuś. Człowiek, który spełniał jej życzenia; siedział przy niej po nocach, gdy chorowała; interesował się wszystkim, co dotyczyło córki. Był dumny z jej małych sukcesów, pomyślnie zdanych egzaminów i pierwszych wystaw. Czy taki człowiek mógł – jak utrzymuje autor artykułu – żądać wyroków śmierci dla niewinnych i asystować przy egzekucjach?

Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze. Weszła do klubu książki i prasy, gdzie było prawie pusto. Podano jej herbatę, chyba z domieszką jakiś ziółek. Napój ten gasił jednak pragnienie. Agata szybko opróżniła szklanekę i poprosiła o drugą. Sięgnęła po jakieś kolorowe czasopisma. Usiłowała je przeglądać. Nic jednak nie docierało do jej świadomości poza jednym ustawicznie powtarzającym się imieniem: Andrzej. I pytaniem: czy wie? Czy dlatego milczał? Raz jeszcze sprawdziła datę „Życia Warszawy”. Nie, tego nie mógł przeczytać. Intuicyjnie wyczuwała, że musiał jednak dowiedzieć się już wcześniej prawdy o jej ojcu. Ale – uczepliła się z rozpaczą resztek nadziei – przysłał kartkę! Napisał kilka słów, oschłych co prawda i obojętnych. Może jednak?

Wciąż jeszcze trwał długi letni dzień. Słońce przestało prażyć, lecz

rozgrzane miejskie mury zdawały się dyszeć gorącem. Agata zajrzała do notesu z wypisanymi godzinami odjazdu powrotnych pociągów – i zdecydowała się ruszyć na dworzec. Czuła otępienie i wewnętrzną pustkę, jak gdyby coś w niej wypaliło się i zgasło.

Kiedy pociąg ruszył, przez otwarte okna wpłynął podmuch świeżego powietrza. Zapachniało sianem. To nieco orzeźwiło dziewczynę. Pomyślała znów o Andrzeju. Przecież to, co było między nami, nie może się skończyć tak, ot – po prostu z dnia na dzień? On chyba rozumie, że kiedy ojciec oskarżał w tych haniebnych procesach, mnie jeszcze nie było na świecie?

Nie pamiętała chwili przyjazdu, ocknęła się dopiero przed domem. Może ojca nie ma? Jest. Świeci się lampa w jego pokoju.

Na rabatach małych przydomowych ogródków pachnie maciejka i rezeda. Ktoś z sąsiadów, minąwszy Agatę u wejścia powiedział uprzejmie:

– Dobry wieczór.

Dobiegał końca jeden zwykły letni dzień. Pani Janina wyjrzała z kuchni.

– No, jesteś nareszcie! Już się niepokoiłam, że tak długo... Jak ty wyglądasz?! – przeraziła się, widząc z bliska twarz córki – Jezus Maria? Chora jesteś? Coś się stało?

– Nie – Agata z trudem odpowiedziała.

Ojciec zajrzał do przedpokoju. Zapewne czytał, nie zdjął bowiem okularów. Ojciec...

– Nie jestem chora. Tylko... chciałam pomówić...

– Pomówić? O czym? Chodźże do pokoju. Nie będziemy przecież stać tutaj?

Wszyscy troje znaleźli się w obszernej jadalni. Z dna torby Agata wyjęła „Zycie Warszawy”.

– Tu piszą o tobie – rzekła do ojca bez żadnych wstępów. – Czy to prawda?

– Co takiego piszą? – spytał chłodno Kordaszewski. Ani jednym drgnieniem twarzy nie dał poznać po sobie, że wie, o co chodzi. Niedawno zadzwonił do niego jeden ze starych, zaufanych przyjaciół. Powiedział bez ogródek: „Obluzgali cię, Paweł, od stóp do głów! Wygarnęli wszystko!”. A na drugi dzień dostarczył mu gazetę. Paweł przeczytał uważnie tekst z chłodną wściekłością skierowaną przeciw „pismakom” – i z pytaniem: co teraz z tym fantem zrobić? Najważniejsze, żeby Agata się o tym nie dowiedziała. Dziennik, nawet warszawski, ma krótki żywot. Córka, zajęta własnymi sprawami, nie znajdzie chyba tego numeru. A jeśli ktoś jej go podsunie? Jeszcze nie zdążył obmyślić taktyki, jak stawić czoło zarzutom. A tymczasem... Psiakrew! Na widok zmienionej twarzy córki wszelkie możliwe argumenty wyleciały mu z głowy.

– Co piszą? – grał na zwłokę, udając zaskoczenie.

– Że nie nazywasz się Kordaszewski. Że byłeś prokuratorem wojskowym.

– No, to cóż takiego? Nazwisko, owszem, zmieniłem, bo tak się złożyło.

Niejeden człowiek robił to podczas wojny, kiedy się miało lewe papiery. Albo po wojnie.

– Byłeś prokuratorem?

– Nie histeryzuj. Owszem, byłem. Nie zaprzeczam. I co z tego? Ktoś musiał to robić!

– Ale nie musiałeś skazywać ludzi na śmierć!

– Uspokój się, idiotko! – Paweł spojrział w stronę otwartego okna i wyjścia na balkon. Dziewczyna zauważyła, gdzie skierował wzrok.

– Boisz się? Boisz się prawdy?! Że ludzie usłyszą!

– Przestań! – krzyknął Paweł. – Ja nikogo nie skazywałem na śmierć! Od tego był sąd! I sąd wydawał wyroki!

– Takie, jak ty chciałeś! Przez ciebie ginęli ludzie!

– Milcz, bo nie ręczę za siebie!

– Nazywali cię... – głos Agaty załamywał się – nazywali cię „krwawy Paweł”!

– A ty wierzysz w każde oszczerstwo! Radzę ci, najpierw pomyśl, zanim coś powiesz! – Paweł odłożył okulary. Twarz miał zacięta i bladą, jej mięśnie drgały. – Spełniałem swój obowiązek! Nikt nie ma prawa mnie za to obrażać. A szczególnie taki niedowarzony szczeniak jak ty!

– Może jestem... szczeniak... – Agata z trudem łapała oddech. – Ale ty... ty... doprowadzałeś do tego że ludzie ginęli. Pułkownik Kotwicz... też zginął przez ciebie... I inni... tacy jak on! Trzeba być zbrodniarzem... żeby...

Urwała w pół słowa, czując nagły ból, który ją ogłuszył. Równocześnie posłyszała krzyk matki. Nie od razu zdała sobie sprawę, że ojciec – ten ojciec, dla którego była oczkiem w głowie, uderzył ją z całej siły w twarz.

Przez kilka sekund panowała cisza. Agata odruchowo przytknęła rękę do nabrzmiałego policzka. Odzyskując zdolność mówienia, rzuciła przez zaciśnięte zęby:

– Tamtych... tamtych też tak biłeś?

Paweł z rysami zmienionymi przez wściekłość, rzucił się ku niej z uniesioną ręką. Ale pani Janina była szybsza. Z siłą, o którą nikt by jej nie podejrzewał, odtrąciła męża i zasłoniła córkę.

– Poszaleliście?! Co tu się dzieje?! Opamiętaj się, Paweł! Agata, idź do siebie!

Dziewczyna wybiegła z pokoju. Głośnie trzaśnięcie drzwi poprzedziło zgrzyt klucza w zamku. Pani Janina załamała rękę.

– Co ty wyrabiasz, Paweł! Coś ty zrobił! Kordaszewski stał wciąż nieruchomo na środku pokoju.

X

A więc stało się to, w co trudno byłoby uwierzyć. Można w jednym dniu stracić wszystko. Był ojciec, zawsze dobry, opiekuńczy, kochający. Nie ma tego ojca.

Był dom. A teraz bez wojny i pożaru, bez trzęsienie ziemi czy jakichkolwiek innych kataklizmów dom się zawalił. Są martwe ściany, z których trzeba uciec.

Była miłość. Co z niej zostało?

Agata siedzi skulona w rogu tapczanu. Tu spędziła całą bezsenłą noc, nie rozbierając się, nie kładąc. Wie jedno: musi stąd odejść. Nie zostanie pod jednym dachem z ojcem.

Trzyma ją jedna tylko więź, jedyna nić: matka.

– Otwórz, Aga! Błagam cię, otwórz! Słyszysz? Ojca nie ma! Aga!

Nie reagowała na matczyne prośby przez resztę wczorajszego wieczora, kiedy ucichły podniesione głosy obojga rodziców.

– Nie stój pod jej drzwiami! Przestań żebrać! – krzyknął wówczas Paweł. Jego ostry głos spłoszył na chwilę żonę. Ale przeciwstawiała mu się z energią, jakiej dotychczas u niej nie znał:

– Nie dasz mi pomówić z własnym dzieckiem?! A to wszystko... przez ciebie!

Rozszlochała się na głos. Kordaszewski chciał ją obrugać, lecz rozmyślił się i ruszył do swego pokoju, zatrzaskując drzwi. Na pewno nie spał tej nocy, tak jak one obydwie. Bardzo wczesnie wstał i opuścił dom, zapowiedziawszy żonie:

– Wrócę późno.

Wczorajszego wieczora pani Janina poniechała wreszcie dalszych próśb, słysząc jedyną odpowiedź córki: – Dajcie mi spokój! Dziś, odczekawszy prawie pół godziny, po wyjściu męża znów jęła szturmować drzwi pokoju córki.

– Otwórz, Aga! Jego nie ma – słyszysz? Jestem sama! Poszedł i wróci nieprędko. Wpuść mnie! Otwórz, dziecko!

Dziewczyna uległa wreszcie tym próśbom. Uchyliwszy drzwi, znalazła się w ramionach matki, która wybuchnęła znowu łkaniem.

– Przestań, mamusku! Nie płacz! Co to pomoże?

– Jak on mógł?... Ale dlaczego ty go aż tak rozgniewałaś?

– Nic nie rozumiesz, mamó!

– Powiedz mi, co właściwie było w tej gazecie!

Agata sięgnęła po „Życie Warszawy”. Podała je matce. Pani Janina odtrąciła płachtę papieru.

– Nie będę tego czytać! Powiedz mi, co tam napisali?

Dziewczyna streściła pokrótce treść szokującego tekstu. Pani

Janina słuchała tego, zasłoniwszy rękami twarz.

– Mój Boże! – powtarzała, płacząc. – Mój Boże!

– Mamo, uspokój się, proszę! Powiedz mi – tyś naprawdę o tym wszystkim nie wiedziała?

Przeczący ruch głowy – i urywane zdania odpowiedzi. Poznała Pawła, gdy już nie był prokuratorem i nie pracował w sądownictwie wojskowym. Czasem docierały do niej jakieś strzępy czy echa warszawskich opinii o przyszłym mężu – podobno byli tacy, co mu mieli za złe różne rzeczy. Ale czy to mało ludzie plotkują o bliźnich? Obmawiają ich ze złośliwości albo z zawiści. On sam nie krył tego, że ma wrogów, ale kto ich nie ma?! Człowiek, który coś robi, zawsze się komuś naraża.

Podobał jej się – i co tu ukrywać? Tak bardzo chciała mieć dom! Tak długo o tym marzyła! Dawno już przekroczyła trzydziestkę, lecz dotychczas nikt nigdy się w niej na serio nie zakochał, nikt nie zabiegał o jej względy.

Może dlatego, że nie miała czasu myśleć o sobie, obciążona troską o innych. Opiekowała się dwojgiem starych, schorowanych staruszków rodziców, pracując równocześnie jako maszynistka. Zajęta od rana do wieczora, nie miała czasu na potańcówki, randki, spacer, kino. Wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby nie wojna i jej następstwa. Najstarsza siostra, aresztowana przez Niemców, zginęła w Ravensbriick. Jedyne brat poległ jako żołnierz pod koniec wojny. Po tych dwóch ciosach rodzice właściwie nigdy już się nie podźwignęli. Z trojga dzieci ona tylko pozostała – najmłodsza. Koledzy brata zaopiekowali się jego rodziną. Dzięki nim Janka znalazła pracę w miejskiej komendzie milicji. Jeden z przyjaciół i towarzyszy Władka zapędził jego siostrę do wieczorówki. Zdała maturę w liceum dla pracujących – ale o żadnej dalszej nauce nie mogła marzyć. Żona komendanta milicji była szkolną koleżanką Janki, która w jej domu poznała Pawła. Spodobał jej się bardzo. Miał swoje lata, ale i ona przecież nie była młodziutką dziewczyną. Był przystojny, małowówny i jakiś... tajemniczy. Przez to wydawał się Jance jeszcze bardziej interesujący. Pracował we Wrocławiu, przedtem zaś w Warszawie. Przyjaciółka powiedziała, że przeżył wielki dramat – samobójstwo żony. Dlaczego targnęła się na własne życie, tego nikt dobrze nie wiedział. Janka przez krótki czas żywiła wątpliwości, czy ma się wiązać z człowiekiem, od którego żona odeszła prosto w śmierć?... Lecz on sam kiedyś zaczął o tym mówić. Zwierzył się, że Stefania – tak miała na imię jego żona – popadła w silną depresję po wydaniu na świat nieżywego dziecka. Choć od tego nieszczęścia minęły już trzy lata, Paweł mówił o nim z takim przejęciem, jak gdyby zdarzyło się to niedawno. Dlaczegoż nie miała mu wierzyć?

Teraz okazuje się, że nie był to jedyny powód, dla którego Stefania Kordaszowa targnęła się na własne życie. Nie mogła znieść ogólnego potępienia, z jakim spotkał się jej mąż. O tym również napisało „Zycie Warszawy”. Skąd ów dziennikarz wszystko to wyszperał? Poznała Pawła jako Kordaszewskiego.

Zdziwiła się trochę, że przedtem miał inne, podobne zresztą nazwisko. Ale przeszła nad tym do porządku dziennego. Paweł był dobry dla niej – i dla jej rodziców. Ojciec już wówczas dogasał. Zebrał jeszcze siły, aby wraz z żoną podreptać do urzędu stanu cywilnego, kiedy Paweł i Janka brali ślub. Będziecie mieć opiekuna – mówił do żony. Zmarł w niecałe trzy miesiące później. Paweł urządził teściowi pogrzeb, zlikwidował małe mieszkanie i zabrał ostatecznie żonę wraz z jej matką do Wrocławia. Pracował wówczas w jednej z instytucji spółdzielczych. Miał porządne duże mieszkanie. Matka, choć schorowana, odżyła jednak przy nich obojgu przez te wrocławskie lata i póki mogła, starała się być pożyteczna. Nie doczekała narodzin wnuczki, lecz z niezachwianą pewnością powtarzała Janinie:

– Przyjdą dzieci, zobaczysz!

Spełniły się jej zapowiedzi. Kiedy zaś Paweł usłyszał, że będzie ojcem, ogarnęła go bezgraniczna radość. Chciał córki – i miał córkę.

Agata odruchowo podnosi rękę ku twarzy. Uderzony wczoraj policzek wciąż jeszcze boli.

– Pokaż to, córuchno. Trochę jeszcze spuchnięte, ale to przejdzie. Boże drogi, nigdy bym nie myślała, że on coś podobnego potrafi zrobić! Rozum mu odjęło, czy jak?

– On się boi – powiedziała cicho dziewczyna.

– Agatka, co z wami teraz będzie, Andrzej wie o tym wszystkim?

– Wciąż jeszcze jest za granicą – odparła wymijająco Agata. – Wróci niedługo.

Wolała nie dzielić się z matką domysłami na temat dziwnego milczenia Andrzeja przed wyjazdem.

– Taki porządny chłopak! – pani Janina znów otworzyła oczy. – Taka dobrana z was para!

– Mamo, przestań!

– Co ty chcesz teraz robić?

– Nie wiem.

Wiedziała jednak bardzo dobrze: musi jechać do Warszawy. Andrzej wraca lada dzień. Trzeba się z nim koniecznie zobaczyć bez względu na to, czy zna już całą prawdę, czy jeszcze nie.

– Połóż się, dziecino, odpocznij! Kawy ci zaparzę. Albo nie, bo lepiej, żebyś się przespała. Ale herbaty się napijesz?

– Dziękuję, mamusiu. Nic na razie nie chcę. Może wyciągnę się na chwilę, choć i tak nie zasnę.

– Będiesz miała spokój. A ojca się nie bój! Na pewno wróci dopiero wieczorem, tak jak mówił. Do tego czasu, jak go znam, na pewno się opamięta i sam cię przeprosi.

Agata potrząsa głową.

– Nie potrzebuję jego przeprosin!

Jest sama w mieszkaniu. Matka wybrała się do pustych sklepów. Agata przez prawie pół godziny leży z przymkniętymi oczami.

Kiedy bicie zegara oznajmiło godzinę dziesiątą, zerwała się z tapczanu w obawie, że któreś z rodziców powróci wcześniej i udaremni jej zamiary. Nie ma ani chwili do stracenia! Gorączkowo zakrzętnęła się wokół otwartej torby. Kilka ciuchów, sweter, zapasowe buty. Aspiryna, pabialgina. Tubka reladormu wyciągnięta z domowej apteczki. Matka zażywała nieraz to lekarstwo, gdy dokuczala jej bezsenność. Pieniądze: miała ich nawet sporo. We Wrocławiu wypłacono jej wczoraj należność za sprzedane tkaniny. Czy to naprawdę było wczoraj? Wydawało jej się, że od minionego dnia upłynęło wiele miesięcy.

Co jeszcze?... Spod szkła, przykrywającego blat biurka, wyjęła fotografię pułkownika Kotwiczą. Nie chciała pozostawiać tego zdjęcia w zasięgu rąk ojca.

Na stole w kuchni położyła kartkę z wypisanymi w pośpiechu słowami: „Mamo, wyjeżdżam. Dam ci znać o sobie”.

To wszystko. Obiegła pożegnalnym spojrzeniem swój pokój, nabierając pewności, że odchodzi stąd na zawsze.

Pociąg jadący z Wrocławia do Warszawy był mocno przepełniony. Agata przeszło godzinę stała na korytarzu. Odetchnęła z ulgą, kiedy jakiś młody człowiek ustąpił jej miejsca w rogu przedziału. Przymknęła oczy, pozorując drzemkę, lecz nie mogła zasnąć. Gnębiły ją sprzeczne myśli, wątpliwości, obawy.

Andrzej powinien wkrótce wrócić. Co będzie, jeśli przedłużył sobie pobyt w Anglii? Odrzuciła to przypuszczenie. Przecież ma tutaj pracę – i urlop na określony czas! Musi z nim spokojnie porozmawiać i wyjaśnić, że nie wiedziała, gdzie pracował przed laty ojciec – i jaką złowrogą rolę odegrał w życiu rodziny Kotwiczów. Jeśli Andrzej umilkł przed wyjazdem z jakiegoś innego powodu, też lepiej będzie wiedzieć, dlaczego tak się stało. „Nawet jeśli nie dowiedział się o moim ojcu, muszę mu powiedzieć całą prawdę. Nie potrafiłabym być z nim razem, wiedząc, że między nami stoi cień przeszłości”.

Na chwilę zmorzył ją sen. Tonęła, zapadając w jakąś głęboką otchłań bez dna. Ocknięcie przyniosło ulgę. Niebo za oknem szarzało, pasażerowie o czymś dyskutowali. Pociąg mocnym szarpnięciem startował z kolejnej stacji. W przedziale było duszno i gorąco, mimo opuszczonej szyby okiennej.

Dokąd pojedę z dworca? – zastanawiała się Agata. Na Świętojerskiej Andrzeja na pewno przecież nie ma. A nawet gdyby przypadkiem już był, nie potrafiłaby teraz przyjechać zwyczajnie z dworca, nie wiedząc, jak ją przyjmie. Miała w stolicy dawne koleżanki. Niegdyś nocleg u nich nie byłby żadnym problemem. Ale teraz? Przecież każda z nich mogła przeczytać ostatnio w „Życiu Warszawy”, kim był ojciec Agaty Kordaszewskiej...

Pozostawał hotel. Ale hotele są drogie – i trudno w nich o miejsce bez

rezerwacji. A przecież ja do Polanicy już nie wrócę! – Agata przetarła dłonią czoło. Co będzie, jeżeli Andrzej... jeżeli Andrzej mnie odtrąci?

Siedząca naprzeciw pasażerka, przyjrawszy się z wyraźnym współczuciem zmęczonej dziewczynie, podała jej kubek herbaty z termosu. Mocny, niezbyt gorący napój pomógł Agacie pozbierać rozproszone myśli.

„Zanim przyjadę, będzie już wieczór. Spróbuję jednak znaleźć miejsce w hotelu na jedną lub dwie noce. Są też prywatne kwatery... Andrzej powinien się zjawić w ciągu najbliższych dni! Dzień jego prawdopodobnego przyjazdu zapisała sobie w notesie. Jeżeli stanie się coś najgorszego... Nie, teraz nie będę o tym myśleć!”

W hotelu „MDM” zdołała jakąś wymyśloną historyjką wyblagać miejsce w dwuosobowym pokoju, gdzie jedno łóżko było już zajęte.

– Ale tylko na dzisiejszą noc! – zastrzegła młoda kobieta z recepcji.

– Nie przyjechał ktoś z rezerwacji, więc pójdę pani na rękę. Dowód poproszę – dodała urzędowym tonem.

Agata podała dokument z obawą: może recepcjonistka skojarzy sobie od razu jej nazwisko z treścią niedawnego artykułu w „Życiu Warszawy”? Ale recepcjonistka, o nic nie pytając, wręczyła jej druczek meldunkowy do wypełnienia i zainkasowała należność.

– Numer 67 – dorzuciła. – Klucz na górze. Ta druga pani tam jest.

Współlokatorka, osoba w średnim wieku, o bezbarwnym wyglądzie, najwidoczniej nie była zadowolona z pojawienia się w pokoju drugiej osoby. Agata dowiedziała się, że miały przyjechać we dwie, ona z koleżanką, do centrali warszawskiej jakiegoś biura białostockiego. Koleżanka nagle zachorowała i musiała zostać.

Jak można stąd zadzwonić na miasto?

Przez zero.

Andrzej chyba jeszcze nie wrócił. Może jednak... Kilkakrotnie wykręcała znany na pamięć numer – bez skutku. Krępowała ją obecność współlokatorki, choć tamta zdawała się na nic nie zwracać uwagi, pogrążona w lekturze kryminału. Ktoś podjął słuchawkę... Czyżby?... Lecz nie – po drugiej stronie odezwał się starczy, drżący głos, który wyjaśnił, że tylko dwie z sześciu cyfr się zgadzają. Po dwóch jeszcze próbach Agata wołała dać za wygraną.

– Tak to jest z tymi warszawskimi telefonami – skomentowała współlokatorka. – U nas w Białymstoku to samo. Też działają, jak chcą.

Przez otwarte do połowy okno miasto dawało znać o sobie nocnym szumem. Z radia przy drugim łóżku sączyła się niegłośna muzyka.

– Przeszkadza to pani? – zagadnęła współlokatorka, widząc spojrzenie Agaty, skierowane w stronę odbiornika.

– Nie, niech gra. To ładna melodia.

– Lubię, jak mi wieczorem coś tak szemrze. Byle nie za głośno. Przyjemniej się zasypia.

Agata nieraz już słyszała piosenkę śpiewaną właśnie w radiu. Nigdy jednak te słowa nie trafiały do niej tak, jak dziś:

*...Nie, nie mogę teraz odejść,
Jestem rozpalonym lodem...*

Piosenka mówiła o wielkiej miłości, o tęsknocie i rozstaniu na zawsze. Dlaczego tak musiało być? Głos kobiety, młodej i bezbronnej, zaklinał ukochanego:

*...Nie zabijaj tej miłości,
Daj spokojnie umrzeć jej!*

Agata przymknęła oczy. Ogarnęła ją rozpacz i przytłaczająca bezradność. Czy Andrzej będzie mógł kochać mnie tak, jak przedtem, wiedząc, że... Ale to przecież nie moja wina! Ojciec był zawsze dla mnie taki dobry! Zawsze – aż do chwili, kiedy poniosła go wściekłość. Wściekłość i strach. Ojciec – prokurator wojskowy. Oskarżyciel w wielu haniebnym procesach. Żądał kary śmierci dla podsądnych, wśród nich również dla pułkownika Kotwiczą. Asystował przy egzekucjach.

Jako licealistka, jeszcze przed maturą, była kiedyś przypadkowym świadkiem rozmowy ojca, z jakimś jego dawnym znajomym. Padły wtedy słowa... „resort” i „bezpieczeństwo”. Ojciec, wyraźnie wówczas niezadowolony, zmienił szybko temat.

– Tyś pracował w UB, tatku? – spytała później, kiedy gość wyszedł. Ojciec zachnął się wówczas:

– To on, ten mój kolega tkwił w tym przez długie lata! – powiedział gniewnie. Ale przy tych słowach nie patrzył córce w oczy. A więc kłamał. Nie chciał, aby wiedziała, kim był dawniej.

– Ja przecież nie mam, nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

Drgnęła, wyrwana z półsnu. W radiu cichły tymczasem słowa prośby i skargi:

*...Nie zabijaj tej miłości
Daj spokojnie umrzeć jej...*

Nazajutrz rano Agata pojechała na Świętojerską. Wiedziała, że dziś jak najprędzej musi sobie załatwić jakiś tymczasowy dach nad głową. Recepcjonistka przypomniała jej o konieczności zwolnienia miejsca w hotelu po godzinie 12. Na nieśmiałe pytanie Agaty: czy nie dałoby się jeszcze przedłużyć pobytu – padła odpowiedź przecząca. Pozwolono jej tylko zostawić torbę w przechowalni

hotelowej.

Próbowała zadzwonić do znajomych. Nie zastała jednak żadne z nich. Wiadomo – sezon urlopowy. Mimo napiętej sytuacji panujące w całym kraju, sporo ludzi wyjechało. W samą porę przypomniała sobie internat! Może tam uda mi się zaczepić choć na parę dni?

W internacie przy liceum plastycznym na Saskiej Kępie zatrzymywała się dwukrotnie razem z koleżankami. Może ktoś tam zapamiętał studentki wrocławskiej ASP?

Kierowniczka internatu była na urlopie, lecz jej zastępczyni dała się uprosić, po dokładnym obejrzeniu dowodu i legitymacji Agaty. Może pomogła „szmatka”, czyli mała tkanina, zabrana na wszelki wypadek?

– To pani takie ładne rzeczy robi?! – Agata potwierdziła, dodając zaimprovizowaną na poczekaniu opowieść o planach zbiorowej wystawy, o kontaktach z warszawskim środowiskiem plastycznym – kontaktach, których konieczność spowodowała jej przyjazd do Warszawy w niefortunnej urlopowej porze. Ktoś, z kim była umówiona, wjechał nieoczekiwanie. Stąd wynikała konieczność zatrzymania się na parę dni w stolicy.

– No, to dam pani miejsce w naszym pokoju gościnnym – zdecydowała rozmówczyni. – Mamy zapowiadzaną wycieczkę szkolną, może nawet dwie – na tym zarabiamy – ale ten pojedynczy pokój jest zwykle wtedy niezajęty. Jeżeli to panią urządza...

Dziewczyna odetchnęła. Na razie uregulowała należność za trzy dni. Dostała klucze od pokoju i od wejścia.

– Może pani wrócić, kiedy pani będzie chciała, tylko proszę dobrze zamknąć.

Postanowiła pojechać do hotelu „MDM” po torbę. Ale na tablicy obok przystanku znalazła numer autobusu 111, który kursował na ulicę Anielewicza. To przecież blisko Świętojerskiej! Wsiadła do nadjeżdżającego właśnie wozu. Było nie było, zadzwoni do drzwi Andrzeja. Może wrócił? I może właśnie takie przyście – nieoczekiwane, niezapowiedzane, ułatwi wyjaśnienie tego, co ich oboje rozdzieliło?

Przed wejściem do windy przyjrzała się skrzynekom pocztowym na dole. Przegródka oznaczona numerem dziewiątym była pełna. Na pewno od dłuższego czasu nikt jej nie opróżniał. A więc Andrzeja nie ma. Mimo to pojechała na drugie piętro – i z mocno bijącym sercem nacisnęła dzwonek. Raz, drugi, trzeci. Bez skutku.

Co będzie, jeśli Andrzej przedłużył sobie pobyt w Anglii? A może wcale nie wróci? W takich czasach jak obecne nie było to wykluczone.

Pojechała więc na plac Konstytucji. Po drodze czuła mdlący głód. Nic dziwnego: nie miała od rana nic w ustach. Ale zjedzenie jakiegoś taniego śniadania

okazało się sprawą niełatwą. Agata długo krążyła wokół placu, potem zaś wędrowała wzdłuż Marszałkowskiej, nim znalazła bar mleczny. Serwowano w nim tylko makaron z twarogiem i pierogi leniwe; do tego niesmaczne mleko lub herbatę o kolorze słomy. Lepsze jednak było to niż nic. Jedząc, dziewczyna zastanawiała się, co dalej? Andrzej na pewno jednak wróci! Dowiadywać się telefonicznie w jego biurze nie chciała. To byłoby zbyt natrętne.

Zaczekam dzień, dwa – postanowiła wreszcie. Na razie mam gdzie mieszkać i mam pieniądze. Zresztą jedzenie wcale nie jest ważne.

Obejrzała puste, zakurzone wystawy kilku większych sklepów. Potem spędziła prawie godzinę w dużej księgarni, przeglądając nieliczne nowe książki. Te wszystkie czynności były zabijaniem czasu, który dłużył się nieznośnie. Kupiła kilka bułek. Masło było oczywiście tylko na kartki. Serów nigdzie ani śladu. To musi mi wystarczyć na wieczór i na jutro rano – stwierdziła, wrzucając pieczywo do torby.

Droga na Saską Kępę trwała długo, gdyż tramwaje wskutek jakiejś awarii na moście Poniatowskiego stały ponad godzinę. Było gorąco i duszno. Pogoda zdawała się wróżyć burzę, która jednak nie nadchodziła. Agata ledwie dowlokła się na miejsce.

Marzyła o jednym: wyciągnąć się na łóżku i przymknąć oczy. Dokuczało jej nieznośne pragnienie. Na szczęście, pakując się w pośpiechu przed wyjazdem z Polanicy, zabrała z domu paczuszkę herbaty i grzałkę. Piła teraz chciwie świeżo zaparzony napój, rozkoszując się jego cierpkim smakiem. Na samą myśl o jedzeniu doznawała wstrętu. Przez rozsądek zmusiła się do przełknięcia paru kęsów czerstwej bułki. Czuła senność – lecz prawdziwy, mocny, pokrzepiający sen nie przychodził. Powracała wciąż myśl o Andrzeju, dokuczliwa jak ćmiący ból. Zegarek wskazywał dopiero godzinę trzecią po południu. Do wieczora było więc jeszcze dużo czasu.

Kiedy późny, letni zmierzch pokrył szarością szyby okienne, dziewczyna sięgnęła do torebki z lekarstwami. Znalazła fiolkę reladormu, zabraną z domowej apteczki.

Zdecydowała się zażyć połówkę białej tabletki. Sen przyszedł teraz bardzo prędko. I w tym śnie ujrzała Andrzeja takiego, jakim był podczas niedawnych wspólnie spędzonych nocy.

Andrzej wrócił tego samego dnia około godziny ósmej wieczór. Samolot nie wiadomo dlaczego miał spore opóźnienie.

Jadąc autobusem z Okęcia do Śródmieścia, dostrzegał przykry kontrast między Anglią a Polską, między Londynem a Warszawą. Rozkopane ulice, mury domów upstrzone mnóstwem plakatów i malowanych farbą napisów. Ludzie posepni, aroganccy, podenerwowani, często agresywni. Nawet wieczorem było bardzo upalnie i duszno. Wszystkie poprzednie sprawy – polskie, warszawskie,

osobiste – znowu się przybliżyły, dając znać o sobie ustawicznymi pytaniami.

Może Agata jest w Warszawie? A jeżeli nawet... Przecież tak czy inaczej muszę się z nią zobaczyć! Przypomniał sobie jeszcze jedną rozmowę z Ryszardem, w przeddzień odlotu. Nie spiesz się – radził przyjaciel. Twoja dziewczyna to przecież żywy człowiek. Byliście ze sobą blisko, teraz musisz się dobrze zastanowić, zanim zerwiesz. Jeśli poweźmiesz błędną decyzję, ona potem może ciężko za to odpokutować. A przecież z tego, co mówisz, wynika, że nie jest niczemu winna.

Marta, żegnając Andrzeja, wsunęła mu do kieszeni niewielką książeczkę.

– Czytujesz czasem poezję? – zagadnęła z uśmiechem.

– Raczej rzadko – przyznał Andrzej.

– Masz tutaj wiersze poety, którego bardzo lubię. Czasem taka lektura przydaje się jak znalazł.

Podziękował i natychmiast zapomniał o tej książeczce. Teraz szukając w kieszeni kluczy od mieszkania, znalazł mały tomik. Co to za wiersze? Kazimierz Wierzyński *Utwory wybrane* – przeczytał na okładce.

Wzruszył ramionami, z pobłażliwą serdecznością myśląc o Marcie, miłej, młodej, a jednak... staroświeckiej.

Wyjął pocztę ze skrzynki, wstawił walizkę do windy. Znalazłszy się w mieszkaniu, przede wszystkim otworzył na oścież okna. Potem włączył gaz pod czajnikiem w kuchni i zrobił sobie prysznic, zmieniając wodę z ciepłej na coraz chłodniejszą. To go znakomicie odświeżyło. Pijąc świeżo zaparzoną angielską herbatę – przywiózł jej zapas z Londynu – pobieżnie przeglądał korespondencję wyjętą ze skrzynki. Nie było nic ciekawego. Jedyna kartka od Agaty, wysłana tuż po jego odlocie. „Kocham, tęsknię, czekam”. Przeczytał te słowa spokojnie, prawie chłodno – i sięgnął po list od rodziców.

„Zaczynamy już powoli się zwijać – pisała matka. – Dwie skrzynie odplynęły niedawno polskim statkiem do kraju. Wysłaliśmy w nich rzeczy, które już nam tu nie będą potrzebne, a chcemy je zachować. Znajdzie się dla Ciebie, a raczej chyba już dla Was obojga? – coś ładnego na prezenty...”

„Dla Was obojga...” Jak matka zareagowałaby na wiadomość o tym, kto będzie jego, Andrzeja, teściem?! Lepiej na razie o tym nie myśleć.

Przyrządził sobie kolację z zapasów, jakie przewidująca Marta władowała mu do podręcznej torby. Przez kilkanaście minut gapił się bezmyślnie w ekran telewizora. Potem stwierdził, że ma wszystkiego dość.

Był zmęczony upałem, podróżą, powrotem. Wczoraj bowiem także zagadali się obaj z Ryszardem do późna. Wyłączył telewizor, telefon i radio. Zasnął prędko. Raz tylko się ocknął pośrodku nocy w niejasnym złudzeniu, że Agata jest blisko. Wyciągnięta odruchowo dłoń trafiła w próżnię. Nie chciał myśleć o niczym. „I tak przecież od jutra zacznie się znowu nasze rodzime polskie piekło...”

Spełniły się te przewidywania. Instytut, w którego biurze projektowym pracował Andrzej, przypominał wrzący kocioł: ustawicznie odbywały się zebrania i narady: kipiały dyskusje, kłótnie, polemiki. Andrzej odwykł po trosze od tej specyficznej, wiecowej atmosfery, która teraz męczyła go jeszcze bardziej. „To ty jednak wróciłeś?!” Na pierwsze takie pytanie odpowiedział z kpina, na drugie – ze złością.

Daleki, jak gdyby położony na innej planecie wydawał się Londyn, jego ruchliwe ulice, stare i nowe gmachy, zielone parki, skwery – i dzielnica Ealing, w której od pierwszych lat powojennych mieszkało sporo Polaków.

– Daj znać koniecznie, jak ci się te twoje sprawy ułożą – przypominał Ryszard raz jeszcze, kiedy żegnali się na lotnisku. – W razie czego pomożemy ci – ja i moi kumple.

Ustalili jeszcze kilka szczegółów na wypadek, gdyby ta pomoc okazała się konieczna.

– Najtrudniejszy jest sam moment decyzji, no i pierwszy krok w świat – mówił przyjaciel. – Język znasz całkiem nieźle. Podszlifujesz go w ciągu paru miesięcy. Masz dyplom, zawód i wiek najlepszy do tego, żeby zaczynać życie na nowo. Jeśli będzie trzeba...

Drugi dzień w pracy był równie przykry i denerwujący jak pierwszy. Docinki, złośliwości, międzyludzkie waśnie i spory. Czyjeś pytanie, rzucone w przelocie: – No co, Andrzej, podobno się żenisz? – na szczęście bez dalszych dociekań lub komentarzy. Dlatego z ulgą wyrwał się do domu.

Miał zamiar uporządkować choć trochę mieszkanie. Sprzątaczką, która przychodziła dawniej co tydzień, była na urlopie. Zgłosi się zapewne we wrześniu – o ile będzie chciała przychodzić.

Zrobię sobie jakieś jedzenie z puszek – i włączę telewizor – postanowił Andrzej. Jeżeli Agata się odezwie, powiem jej, gdzie i kiedy się spotkamy. Najlepiej w Warszawie – bo przecież do Polanicy nie mam zamiaru jechać. Tu, w domu, byłoby oczywiście najprościej. Ale wtedy z pewnością nastąpi to, co działo się między nami, ilekroć znaleźliśmy się sam na sam.

Chwilami Andrzejowi wydawało się, że skoro tylko zobaczy swoją dziewczynę po miesiącu rozłąki – weźmie ją w ramiona jak dawniej, i wszystko inne stanie się nieważne. Potem zaczynał w to powątpiewać. Sam musisz rozstrzygnąć – powiedział niedawno Ryszard. Dla niej to też będzie wstrząsem, kiedy się dowie. Nikt nie może odpowiadać za cudze winy, jeśli sam nie był współwinien.

Wracając do domu, znów doznał nieodpartego wrażenia bliskości Agaty. A jeśli przyjechała? Cóż, wtedy pomówimy o wszystkim. Przeszło już kilka tygodni od rozmowy z Ireną. Minał pierwszy szok. Pozostało dręczące pytanie: co dalej?

Wysiadłszy z windy na drugim piętrze, Andrzej stanął jak wryty. Młoda dziewczyna, siedząca na schodach w pobliżu drzwi, zerwała się na równe nogi z okrzykiem:

– Andrzej! – Lecz to nie była Agata. – Jesteś nareszcie! Dzwoniłam przedtem mnóstwo razy, ale nikt się nie odzywał. Chyba telefon masz zepsuty?

Kto to jest? Już miał spytać, czy przypadkiem nie zaszła pomyłka, tym bardziej, że w ślad za pierwszą dziewczyną wstała ze schodów druga, której początkowo nie zauważył. Ta pierwsza, widząc jego stropioną minę, parsknęła śmiechem:

– Co ty, Andrzej? Wyglądasz, jakbyś spadł z księżycy. Mam ci się przedstawić?

– Krystyna?! – oprzytomniał. Nagle zaskoczyła mu jakaś klapka w mózgu.
– Krystyna ze Szczecina?!

– Zgadza się. A to Bożena, moja kumpelka. No, co – wpuścisz nas wreszcie do tej swojej niedostępnej chaty?

– Już się robi! – otworzył drzwi i szerokim gestem zapraszał do wnętrza je obie. – Chodźcie, dziewczyny! Tylko się nie przestraszcie, uprzedzam. Bo ja tu prowadzę kawalerskie gospodarstwo, a ostatnio wcale mnie w tym lokalu nie było.

– Wiem, wiem. Ciotka Iśka uprzedziła, kiedy dzwoniłam jeszcze z trasy, że mogę cię nie zastać.

Krystyna Zimowska była bratanicą Janusza, męża Ireny. Andrzej widywał ją od czasu do czasu, bądź w Szczecinie, gdzie stale mieszkała wraz z rodzicami, bądź w Piasecznie u Januszów. Traktował młodszą o kilka lat dziewczynę z szorstką pobłażliwością starszego brata. Krystyna w ostatnim roku zmieniła się bardzo. Wydoroślała i wyładniała, stwierdził to na pierwszy rzut oka. Jej towarzyska była niższa, bardziej okrągła i bardziej brązowa od opalenizny.

– Co tak na mnie patrzysz, Andrzej? Inaczej wyglądam. No pewnie – przecież się dawno nie widzieliśmy. Chyba więcej niż rok? Ty też się zmieniłeś! No, powiedz, Bożena – przystojnego mam kuzyna, prawda? Może już się ożeniłeś, Andrzejku? Podobno masz takie zamiary. Trzeba ci gratulować?

– Jeszcze nie – odparł krótko Andrzej. – Ale skąd wyście się tutaj wzięły?

– Prosto z pociągu. Właściwie z autostopu. Tylko na ten ostatni etap wybrałyśmy kolej – Krystyna, mówiąc to, wyciągnęła się w fotelu. – Boże, jak mi tu dobrze! Teraz dopiero czuję, że się cholernie zmordowałam. I jestem nieludzko brudna.

– Łazienka wolna, ciepła woda jest. Możecie się kąpać, ile chcecie. Tylko z jedzeniem gorzej, bo dopiero co wróciłem.

– Mamy jakieś resztki zarcia – odezwała się Bożena. – Coś upichcimy.

– Gdybym był wiedział!... Czekaście, może stragan na rogu jest jeszcze otwarty. Skoczę po jakieś pomidory. Albo po ogórki.

– Nie skacz, Andrzejku, nie warto. Pomidory i ogórki mamy. Najważniejsze – to picie i mycie. Próbowałam dzwonić do ciebie, dać znać, że ci spadniemy na głowę – ale telefon był głuchy. I u babci Zuzanny tak samo.

– Babcia jest w leśniczówce.

– A ty byłeś w Londynie, wiem. Pozwolisz mi teraz przekręcić do Piaseczna? – Nie czekając na odpowiedź, Krystyna sięgnęła po słuchawkę.

– Nie ma sygnału! Co z tym twoim telefonem?

– Nic. Po prostu nie włączony. Zaraz ci go uruchomię. Jest sygnał? No, możesz dzwonić. Jeśli chcesz się kąpać, proszę bardzo. Ja przez ten czas zajrzę jednak do Delikatesów. Są czynne do ósmej – spojrzął na zegarek.

– Masz złudzenia, że coś będzie w tych Delikatesach! – prychnęła śmiechem Krystyna. – Teraz? O tej porze?

– Zobaczę.

Tymczasem Agata przesiedziała niemal godzinę w parku Krasińskich naprzeciw znajomego domu. Było jeszcze prawie widno. W alejkach kręcili się spacerowicze. Przyjechawszy niedawno tramwajem, dziewczyna zajrzała, tak jak wczoraj, do klatki schodowej – i stwierdziła, że przegródka w skrzynce pocztowej, oznaczona numerem dziewiątym, jest pusta. A więc Andrzej wrócił.

Co chwila z bijącym sercem spoglądała na znajome okna. Długo jednak nic w nich się nie działo. Wreszcie, nim zmierzch zapadł na dobre, jedno z nich rozblęsnęło raptownie światłem. Ktoś był w mieszkaniu. To na pewno Andrzej!

Długo patrzyła na jasny prostokąt. Ktoś zaciągnął w oknie storę. Agacie wydało się, że na żółtawym tle przesunął się ludzki cień, obok niego drugi... Może to złudzenie? Wzrok miała dobry, ale to bądź co bądź drugie piętro, z wysokim parterem. A zresztą Andrzej mógł mieć jakichś gości! Przecież nie wie, że ona jest tak blisko.

Zacisnęła mocno wargi, wstając z ławki. W narożniku kamienicy jest chyba automat telefoniczny. Pamięć jej nie myliła. Był.

Numer przez chwile pozostawał zajęty. Agata jednak nie dawała za wygraną. Wreszcie zabrzmiał normalny sygnał – i ktoś podniósł słuchawkę.

– Halo! – odezwał się kobiecy głos. – Słucham.

Agata tak dalece nie spodziewała się obecności jakiegokolwiek kobiety w mieszkaniu Andrzeja, że nie mogła rzec ani słowa.

– Czy to mieszkanie państwa Radzimirskich? – wyjąkała wreszcie.

– Tak. Halo! Proszę głośniej!

– Czy jest inżynier Radzimirski?

– Chwilowo nie ma. Ale będzie. A kto mówi? – Bożena, ścisz to radio! Halo!

Agata odłożyła słuchawkę, czując drętwy chłód w końcach palców. U Andrzeja były jakieś dziewczyny! Co najmniej dwie, jeśli jedna nawoływała drugą do stłumienia hałaśliwej muzyki. Nie ma więc po co tam dzwonić, ani tym

bardziej iść.

Miałaby stanąć ze swoim połamanym losem u drzwi, za którymi przebywa ukochany człowiek w jakimś wesołym towarzystwie?

Andrzej przyniósł nie lada zdobycz: chleb z rannego wypieku, który nie zdążył jeszcze całkiem szcerstwieć i dwa topione serki, sprzedane „spod lady”.

– Jak tam polowanie na żywność? – spytała Krystyna, wychodząc z łazienki.
– Mizerny łup? A nie mówiłam?! Ale zawsze coś!

Owinęła się w ten sam błękitny szlafrok kąpielowy, który niedawno miała na sobie Agata po przyjeździe.

– Co się na mnie tak wgapiasz? Podobam ci się? Albo ci kogoś przypominam? Przyznaj się bez bicia!

– No, nie... To jest, owszem – w tym niebieskim ciuchu bardzo ci do twarzy – Andrzej śmiechem usiłował pokryć zmieszanie. Krystyna ma bardzo jasne włosy, Agata jest szatynką. Niebieski kolor tworzy ładne tło i dla jednej, i dla drugiej. W ślad za tym pojawiła się myśl następna, którą trudno było stłumić: miał spędzić nadchodzącą noc pod jednym dachem z dwiema dziewczynami, które wykąpane, odświeżone, uśmiechnięte, mogły się podobać. I może... jeśli by... łatwiej byłoby zapomnieć...

– Dzwoniłaś, Krysiu, do Piaseczna? – spytał, aby zmienić temat.
– Owszem. Ciocia Iśka już prawie spała, wyobraź sobie!
– Nic dziwnego. Pewnie przez cały dzień była na nogach.
– Ano, właśnie. Pytała o ciebie. Powiedziałam, że już jesteś i że wszystko u ciebie w porządku. Jedziemy tam jutro rano.

– Jeśli chcecie, podrzucę was kawałek na miasto, bliżej dworca PKS.
– Dzięki. Aha! Był do ciebie telefon.
– Od kogo?
– Nie wiem, bo ta dama się nie przedstawiła. W każdym razie to kobieta. Dzwoniła, jak tyś poszedł do sklepu.

– Zamiejscowa rozmowa?
– Nie mam pojęcia. Chyba tak, bo kiepsko było słychać.
– To nigdy nie wiadomo – wtrąciła Bożena. – Czasem ktoś dzwoni z daleka ze świata i lepiej się go słyszy, niż jak dzwoni sąsiad z tego samego bloku.

– A ta twoja przyszła gdzie mieszka?
– We Wrocławiu – odparł machinalnie Andrzej. Krystyna coś jeszcze mówi, lecz dalsze słowa do niego nie trafiają. – To na pewno Agata! Jutro będę miał spokój, one obydwie wyjadą, włączę telefon – nie ma sensu dłużej tak się izolować. Może Aga odezwie się raz jeszcze? Kiedyś przecież powiedział jej, że nie zasypia przed północą.

Lecz Agata nie dała znaku życia.

Zawróciła w stronę parku, który coraz bardziej pustoszał. Znalazła miejsce

na innej ławce, z której widziała teraz dwa okna jasno oświetlone. Czowała, że coś w niej się załamuje i rozpada. To już koniec. Polanicki dom przestał dla niej istnieć. I to samo staje się teraz z tym warszawskim domem, do którego dążyła po ratunek. Aż trudno uwierzyć, że niedawno...

– Taka ładna, taka młoda – i co? Sama! – odezwał się w pobliżu sepleniący głos. Agata oprzytomniała. Mężczyzna w nieokreślonym wieku stał obok i mierzył ją lepkim spojrzeniem.

Strach i wstręt był tak silny, że zerwała się na równe nogi. Wyszarpnęła rękę, którą nieznajomy usiłował pochwycić. Przycisnęła kurczowo ramieniem torebkę.

– Niech pan mnie puści!

Prawie biegła w stronę chodnika, gdzie paliły się latarnie i widać było ludzi. Natręt usiłował ją doścignąć, lecz wprędce zrezygnował, rzuciwszy tylko w ślad za dziewczyną jakieś ordynarne słowo. Agata odetchnęła lżej dopiero w pobliżu przystanku. Prawda, Andrzej mówił kiedyś, że park Krasińskich jest słabo oświetlony i wieczorami niezbyt bezpieczny.

Andrzej...

Wędrowała długo prosto przed siebie ulicą Nowotki, nie myśląc o niczym. Ocknęła się na widok neonowego napisu: WARSZAWA GDAŃSKA. Zeszła na dół – i przez prawie godzinę krążyła pomiędzy kasami, nieczynnym kioskiem z prasą a barem – jak pasażerka, która czeka na opóźniony pociąg. W bufecie, gdzie nie było prawie nic, kupiła paczkę krakersów w pożółkłym opakowaniu – lecz na samą myśl o zjedzeniu czegokolwiek doznała wstrętu. Usiadła na ławce i rozpostarła wyciągnięty z torby „Przekrój”. Nie docierało jednak do niej ani jedno czytane zdanie. Nawracało tylko tępe stwierdzenie: koniec.

Wszystko skończone. Wszystko.

Hałas wszczęte przez dwóch pijaków sprawiły, że przestraszyła się.

Boże, co ja tu robię? Dworzec... Andrzej oczekiwał mnie na dworcu, ale nie na tym – na Centralnym. To było tak niedawno! Kiedy? Trochę więcej niż dwa miesiące temu. Jechaliśmy do jego mieszkania. Tam, gdzie dziś razem z Andrzejem są jakieś obce dziewczyny. Znowu skurcz bólu, jak pchnięcie w samo serce. A ja mu tak wierzyłam!...

Zmywałam wtedy z siebie brud i kurz parogodzinnej podróży. Ledwie wyszłam z łazienki, objął mnie. Powiedział, że nie chce czekać ani minuty dłużej. Tak bardzo byliśmy siebie nawzajem spragnieni tego dnia – i potem...

Każde zbliżenie było wielką radością. Każda noc przynosiła burzliwą falę szczęścia. To szczęście było zbyt piękne, by mogło trwać długo. Bałam się, że je stracę. A czego bałam się w dzieciństwie, kiedy nieraz mi się śniło, że trzeba gdzieś uciekać?... Teraz już wiem, że to nie było złudzenie. Ojciec uciekał. Uciekał przed własną przeszłością. Jakieś echa, strzępy, urywki tej przeszłości docierały do mnie, objęły mi się o uszy. Ale nie rozumiałam ich, nie zwracałam na nie uwagi.

Najpierw byłam za mała. Potem, kiedy dorosłam, absorbowały mnie moje własne sprawy. Ojciec uchodził przed minionym czasem. Ale przeszłości z życiorysu wykreślić nie podobna. Stworzył sobie po raz drugi dom. Ale ten dom zbudowany był na piasku – i runął.

Andrzej nie będzie chciał pozostać z nią, napiętnowaną wskutek tej przeszłości. Przyszłość, której pragnęli oboje, nie istniała. Zamiast niej otworzyła się przepaść bez dna. Tylko patrzeć, a inni ludzie zaczną ją wytykać palcami. Przedsmak tego już miała we Wrocławiu. Artykuł w „Życiu Warszawy” oznajmił całej Polsce, kim jest Paweł Kordaszewski... Nie ma po co żyć.

Ocknęła się z półsnu, jaki na chwilę ją ogarnął. Dwaj pijacy, po chwilowym uspokojeniu, znowu wszczęli głośny spór. Lepiej stąd się wynieść, aby uniknąć ponownej zaczepki.

Agata wstała i niebawem znalazła się na zewnątrz. Powietrze było świeższe niż za dnia. Zegar wskazywał godzinę dwudziestą drugą. Jak stąd można się dostać na Saską Kępę?

Przed dworzec podjechała taksówką. Kierowca na pewno będzie chciał więcej, niż wskaże licznik. Ale jakie to ma znaczenie?...

Taksówkarz niemiłosiernie wyśrubował cenę za przejazd. Agata zapłaciła bez słowa protestu. Po cóż dyskutować, jeśli i tak pieniądze nie będą jej potrzebne?

Dzięki kluczom otrzymanym od kierowniczkii mogła wejść do internatu, nie zwracając niczyjej uwagi. Budynek był zresztą chyba pusty. Tym lepiej.

Czuła się tak, jak gdyby niewidzialna, przemożna siła podpowiadała jej, co ma zrobić. Łóżko z czystą pościelą kusilo. Wiedziała jednak, że jeśli się położy, aby przez chwilę odpocząć, nie będzie miała siły wstać. A więc – najpierw prysznic. Ciepłej wody nie było w łazience, która przypominała szpital lub ambulatorium.

Nagle Agacie zrobiło się niedobrze. Pewnie dlatego, że nic od rana nie jadłam – pomyślała. I to również nie miało znaczenia.

Chłodna woda nie przyniosła ulgi. Wróciwszy do pokoju, dziewczyna sięgnęła po torebkę. Miała w niej długopis i notes, z którego wyrwała dwie kartki. Trzeba napisać do tych dwojga najbliższych. Do Andrzeja i do matki. Myśląc o matce zawahała się, lecz na krótko.

Tylko jedna koperta. To nic. Włożę do niej obie kartki. Andrzej na pewno przekaże mamie tych kilka słów dla niej. Ojcu nie chciała poświęcić ani słowa.

Uczucie osaczenia, które towarzyszyło jej przez ostatnie dni, stało się dziś nieporównanie silniejsze niż wczoraj. Wtedy bowiem miała jeszcze nadzieję, że zobaczy Andrzeja, że mu wszystko wyjaśni; że może on jednak jej nie odtrąci. Nadzieja wypaliła się doszczętnie i zgasła.

Jeśli milczał tak długo, ograniczając się do tej zdawkowej kartki – na pewno nie powie nic innego, jak tylko to jedno: Przykro mi, ale musimy się rozstać.

Z córką takiego człowieka jak twój ojciec nie chcę mieć nic wspólnego. Zresztą najbliżsi Andrzeja nie przyjmą do rodziny córki człowieka, który wyrządził im tak straszliwą krzywdę. Andrzej na pewno czuje się zwolniony od wszelkich obietnic i przyrzeczeń, skoro wróciwszy, zabawia się z jakimiś dziewczynami w mieszkaniu, gdzie oboje byli tak bardzo szczęśliwi...

Na myśl o tym Agata poczuła dojmujący, fizyczny ból. Nigdy dawniej nie sądziła, że wspomnienia mogą przysporzyć tylu cierpień. Tak, to co ich oboje połączyło, było zbyt piękne, żeby mogło okazać się trwałe. Ujrzała przed sobą Andrzeja takiego, jakim był w momentach największych miłosnych uniesień. Nie, nie potrafi w sobie zabić tej miłości, „...daj spokojnie umrzeć jej...” – przypomniawszy sobie słowa niedawno słyszanej piosenki.

A więc najpierw kilka słów do matki. „Nie gniewaj się na mnie, Kochana...”. Mama będzie strasznie rozpaczać, ale na pewno zrozumie, gdy ochłonie. Kto ją obroni, jeśli ludzie zaczną jej dokuczać, jako żonie prokuratora Kordasza? Trudno. Ja nie mam siły stawiać temu czoła. Znów przyszła jej na myśl rozmowa z Hanką we wrocławskiej Cepelii. A przecież to dopiero początek! Zaszczują mnie...

Sięgnęła po drugą kartkę:

„Mój Jedyny,

wiem już wszystko. Znam całą prawdę o moim ojcu. Domyślam się, dlaczego nie chciałeś mnie widzieć przed wyjazdem. Wiem, że nie ma dla mnie miejsca w Twoim domu, w Twojej rodzinie i w Twoim życiu. Wolę odejść. Nie jestem nikomu potrzebna. Może mojej mamie... Ale nie potrafię dłużej żyć bez Ciebie, znienawidzona przez wszystkich. Chciałabym, żebyś był szczęśliwy. I pamiętaj, że nikt nie będzie Cię kochał tak, jak ja.

Zawsze twoja i tylko twoja – A.”

Włożyła obie kartki do koperty. Wypisała na niej starannie adres i nazwisko Andrzeja. Sięgnąwszy do torby, wyjęła z niej plastikowy woreczek z lekarstwami. Zawahała się na chwilę, wążąc w dłoni fiolkę reladormu. Potem otworzyła ją i wysypała na dłoń garść tabletek...

XI

Andrzej odetchnął na myśl, że po wyprawieniu nieoczekiwanych gości do Piaseczna zostanie sam w domu. Dziewczyny były miłe, ale robiły stanowczo zbyt wiele szumu i hałasu. Kiedy dziś Agata zadzwoni, można będzie z nią spokojnie się umówić.

Jeśli to ona dzwoniła wczoraj, już wie, że on jest z powrotem w domu. Nie chciał odzywać się pierwszy w obawie, że w słuchawce zabrzmiał głos byłego prokuratora. Tego wolał uniknąć.

Ale Agata się nie odzywała. Telefon milczał. Wreszcie zadzwonił jeden z kolegów, który po urlopie był ciekaw, co słyhać u Andrzeja. Znowy sygnał – wśród trzasków w słuchawce zabrzmiał głos Krystyny, która oznajmiła, że ciocia Iśka zapędziła je do pomocy w ogrodzie i że niesamowicie się objadły malinami.

– Ciocia kazała cię pozdrowić, i pyta kiedy wpadniesz.

– Dziękuję – odparł Andrzej. – Powiedz, że u mnie wszystko OK. Odezwę się za parę dni, bo mam mnóstwo roboty.

Milczenie Agaty najpierw zdziwiło Andrzeja, potem go zirytowało, wreszcie zaczął się niepokoić. – Na pewno nie może się dodzwonić, linia chyba przeciążona: urlopy, wakacje, dużo rozmów.

Ogarnęła go senność. Wczorajsze pogaduszki z dziewczynami przeciągnęły się do późna. Zarazem jednak czuł jakiś dziwny, podskórny niepokój. Ulegam nastrojom jak pensjonarka sprzed stu lat! – pomyślał, zły sam na siebie.

Zapał w drzemkę. Obudził go dźwięk telefonu, ostry i przenikliwy. Szybko sięgnął po słuchawkę.

– Halo!

Po drugiej stronie telefonu odezwał się głos kobiety. Nie była to jednak Agata.

– Chciałam mówić z panem Andrzejem Radzimirskim.

– Przy aparacie.

– To pan? – upewniła się nieznajoma. – Dzwonię ze Szpitala Praskiego.

– Ze Szpitala Praskiego?! – powtórzył odruchowo Andrzej. – Co to ma znaczyć? Pośród ciepłej nocy poczuł chłód lęku.

– Słyszysz mnie pan? Dzwonię w sprawie Agaty Kordaszewskiej. Zna ją pan?

– Znam. – potwierdził. – Co się stało?

– Leży u nas. Proszę przyjechać.

– Wypadek?

– Nie.

– Żyje?

– Żyje. Miejmy nadzieję, że...

– Co z nią?!

– Dowie się pan na miejscu. Proszę nie zwlekać.

Jeszcze krótka informacja: piętro, oddział. I wyjaśnienie: Zostawiła do pana list. A więc... odłożywszy słuchawkę, Andrzej stał przez chwilę jak wryty. Z trudem zbierał myśli. Agata w szpitalu – tutaj, w Warszawie?! „Miejmy nadzieję...” Na co ja czekam?! – oprzytomniał. Przecież tamta kobieta powiedziała, żebym nie zwlekał!

Zbliżała się północ. Samochód dziś właśnie odstawił do garażu, bo szwankował w nim rozrusznik. Na ulicy Nowotki był postój. Stały dwie taksówki. Andrzej odruchowo przyspieszył kroku w obawie, by nie wyprzedził go jakiś zapóźniony przechodzień.

– Wolny?

Kierowca przytaknął niewyraźnym mruknięciem i przekręcił klucz w stacyjce.

– Dokąd?

– Szpital Praski.

Nocą ruch był znacznie mniejszy niż za dnia. Zajechali bardzo prędko przed budynek, w którym Andrzej nigdy dotychczas nie był. Z rodzinnych przekazów wiedział, że tu przed wielu laty spotkały się pierwszy raz doktor Aleksandra Radzińska i jej pacjentka, Zuzanna Kotwiczowa. Były to jednak czasy tak odległe, że młody człowiek traktował te opowieści z pobłażliwym półuśmiechem jako sentymentalne wspomnienia dwóch starszych pań. Sam nigdy nie był jako pacjent w żadnym szpitalu. Skąd się tu wzięła Agata?!

Płacząc, nieostrożnym ruchem rozsypał garść bilonu.

– Pomału, panie młody, bez nerw! – rzekł taksówkarz. – Zaraz panu poświecę. Pozbieraj pan te drobne!

– Nieważne – machnął ręką Andrzej.

– Do kogo pan się tak śpieszy? Pewnie do żony?

– Do żony – potwierdził bez wahania.

Skąpo oświetlone wejście. Obszerny westybul. Długi szpitalny korytarz. Specyficzny zapach leków i środków dezynfekcyjnych. Nie czekając na windę, Andrzej prawie biegł po schodach na trzecie piętro. Z daleka ujrzał biały fartuch i czepek idącej z przeciwnego kierunku pielęgniarki.

– Dobry wieczór – powiedział, chwytając oddech. – Moje nazwisko Radziński. Telefonowano do mnie w sprawie Agaty Kordaszewskiej.

– Tak, to ja dzwoniłam – potwierdziła pielęgniarka.

– Siostró, co z nią jest?!

– Proszę wejść tutaj, do dyżurki.

– Ja chcę ją zobaczyć!

– Za chwilę. Niechże pan się uspokoi! Żyje, to najważniejsze. Pogotowie zdążyło w samą porę. Proszę usiąść.

Biały pokój, podobny do gabinetu matki. Oszklone szafki, jakieś narzędzia, słoiki, flakony z lekarstwami. Druga, młodsza pielęgniarka zajrzała przez uchylone drzwi, ale na stanowczy gest starszej koleżanki wycofała się od razu.

– Co lekarze mówią?

– Sam pan się dowie. Za chwilę będzie doktor. Teraz jest przy innym pacjencie.

– Ale proszę mi powiedzieć, co się z nią stało?!

– Duża porcja środków nasennych. Przedtem prawdopodobnie jakiś szok psychiczny. No i – silny krwotok z powodu poronienia.

– Poronienia? – powtórzył Andrzej jak echo.

– Tak. Dwumiesięczna ciąża. Wykrwawiła się mocno. Konieczna była transfuzja.

– Siostró, ja... ja muszę ją zobaczyć. Proszę!

– Teraz na pewno śpi.

– Błagam, choć na moment!

– Oj, wy młodzi! No, dobrze. Tylko naprawdę na moment. Nie wolno jej denerwować, więc gdyby nawet się ocknęła, żadnych rozmów.

Podawała Andrzejowi biały fartuch. W ślad za nią szedł na sam kraniec korytarza. Nieduży dwuosobowy pokój oświetlało światło bocznej jarzeniówki.

Agata leżała na wznak z zamkniętymi oczami. Na poduszce wyraźnie odciskały się pasma ciemnych włosów, otaczające twarz zbiedzoną, bezkrwistą, prawie szarą. Przypominała szmacianą kukielkę, którą ktoś stłamsił i porzucił. To mimowolne porównanie przyprawiło Andrzeja o bolesny skurcz serca – i poczucie winy. Zapomniałszy o przestrodze pielęgniarki, która tymczasem wyszła z pokoju, postąpił o krok bliżej do łóżka i pochylił się nad dziewczyną.

– Aga! – rzekł prawie szeptem. – Agatko!

Otworzyła oczy. Spojrzała, jak mu się wydawało, przytomnie.

– Aga, kochanie! To ja, Andrzej. Poznajesz mnie? Na pewno poznała. Widział to z wyrazu jej oczu. Wargi drgnęły, jak gdyby chciała się uśmiechnąć, lecz nie mogła.

– An... – wyszeptała ledwie dosłyszalnie. Zapewne nie starczało jej sił, aby wymówić całe jego imię. – Ty... mi się... śnisz.

– Nic nie mów. Jestem tutaj. Wszystko będzie dobrze!

– Ja... nie chciałam... żeby ci... ze mną... było źle... – mówiła przerywanym szeptem. – Beze mnie... chyba lepiej.

Z korytarza się słyszeć szelest kroków. Pielęgniarka weszła i z przyganą spojrzała na Andrzeja.

– Przecież pana prosiłam – żadnych rozmów! Doktor na pana czeka. Leż, dziecko, spokojnie! – te słowa skierowane były do Agaty.

– Staraj się zasnąć.

Lekarz odłożył przeglądane papiery i spojrzał bystro na Andrzeja. Nie był młody: ciemną czuprynę mocno przyprószyła siwizna. Kiedy zdjął okulary, wyraźnie widać było drobne zmarszczki, zbiegające się w kąciakach oczu. Natomiast głos jego brzmiał niespodziewanie dźwięcznie.

– Niech pan siada – wskazał wolne krzesło. – Kim pan jest dla chorej?

– To moja żona – odparł Andrzej, już drugi raz tej nocy. Lekarz przeniósł wzrok znad papierów na jego twarz.

– Wygląda pan nieszczególnie, panie Kordaszewski – stwierdził. – Przyda się panu trochę kawy.

Andrzej drgnął jak pod dotknięciem rozżarzonej igły.

– Nie nazywam się Kordaszewski! – rzucił szorstko.

– Nie? – zdziwił się doktor, włączając do kontaktu płytkę elektryczną.

– Moje nazwisko – Radzimirski. A ona... ona jest moją żoną, choć jeszcze...

– Młody człowieku, tu nie milicja. Ani nie urząd stanu cywilnego. Na kartę chorej wpisano dane z jej dowodu. Tam figuruje nazwisko „Kordaszewska”, więc myślałem...

– Przepraszam, panie doktorze – ochłonął Andrzej. – Jak z nią?

– Poleży jeszcze trochę u nas, zanim będzie pan mógł ją zabrać. A to dla pana.

Lekarz podał mu kopertę, na której Andrzej przeczytał własne imię i nazwisko. Czytał teraz po raz trzeci, dziesiąty i nie wiadomo który kilka linijek, w których zawarła się cała jej miłość. „Wiem, że nie ma dla mnie miejsca... Wolę odejść...”

Czytał – i czuł, że coś się w nim przełamuje. Jeszcze wczoraj nie był w gruncie rzeczy pewien, jak przyjmie Agatę, kiedy ją znów zobaczy. Jeszcze niedawno z trudem oparł się pokusie pozyskania względów którejś z dwóch ładnych dziewcząt, które u niego nocowały. Zdrada, męska przygoda, jakkolwiek by to nazwać – wydawała mu się skutecznym antidotum na uczucie, z którym nie mógł sobie dać rady.

Teraz już wiedział, że uczucie to tkwi w sercu zbyt mocno, aby można je zniszczyć taką wątpliwą odtrutką. Przypomniawszy sobie usłyszany niedawno szept: – Nie chciałam, żeby ci ze mną było źle... Zrozumiał, że kocha Agatę i chce być z nią razem – mimo wszystko.

– Mamy kawę – rzekł doktor.

Andrzej poczuł, że w tej chwili niczego mu tak bardzo nie potrzeba, jak filiżanki gorącego płynu. Pił powoli: smakował każdy łyk. Mocna kawa rozluźniała niedawne napięcie, łagodząc zmęczenie.

– Mówi pan, że ona wyjdzie z tego? – upewnił się raz jeszcze.

– Wyjdzie. Najgorsze minęło. Ale musi jeszcze poleżeć najpierw u nas, potem w domu. Pogotowie przywiozło ją na czas. Grupa krwi zerowa, nie było

problemu z transfuzją. Serce w normie, organizm zdrowy, choć nieduża i drobna. Potem trzeba ją oszczędzać przez pewien czas... pod każdym względem. I kontrolować, najlepiej w przychodni. Musi mieć oczywiście dobre odżywianie, witaminy, owoce. A przede wszystkim spokój, drogi panie...

– Radzimirski – podpowiedział Andrzej. Lekarz przyjrzał mu się uważnie.

– Radzimirski? – Może krewny doktora Radzimirskiego? Krzysztofa?

– To mój ojciec. Pan go zna?

– Jeszcze ze studiów. To mój kolega z trochę młodszego rocznika. I mamę pana też znam – pani Jolanta, prawda? Od dawna nigdzie nie widuję rodziców. Wyjechali?

– Są oboje w Tunisie. Wracają niedługo, bo im się kontrakt już kończy.

Rozmowa nabrała cieplejszego tonu. Andrzej odetchnął. Lekarz, przed chwilą jeszcze całkiem obcy, wydał mu się przyjazny i bliski, zwłaszcza gdy mówił o Agacie.

– Musiała przeżyć jakiś silny wstrząs, choć nie wygląda na osobę nie zrównoważoną. Tak jak mówiłem, potrzeba jej spokoju i opieki.

Andrzej czuł, że winien jest rozmówcy jakieś wyjaśnienie. Nurtowała go zarazem nieprzewartana chęć zrzucenia ciężaru, który dźwigał na sobie od wielu tygodni. Lekarz ćmił papierosa, patrząc w zamyśleniu na mroczną szybę okna. Jego zmęczona twarz mogła wydawać się surowa, lecz promieniowało z niej także zwykłe ludzkie ciepło.

– Panie doktorze, ja chciałbym... Chciałbym powiedzieć, dlaczego ona...

– Nie musi pan. Ona jest po prostu pacjentką, której pomagamy wrócić do zdrowia.

– Jeśli to była... próba samobójstwa – coś utkwilo mu w gardle przy tych słowach – to czy milicja będzie się do tego wtrącać?

– Jeżeli sprawa nie skończyła się tragicznie – to nie. W wypadku pani... Agaty, tak? – nie wchodzi w grę żadne dochodzenie. A co do jej zdrowia, gdyby nie poroniła, sprawa byłaby prostsza. Utraciła jednak sporo krwi. Dlatego konieczne jest leczenie i rekonwalescencja potem, już w domu. To są sprawy medyczne, nie milicyjne.

– Gdzie ona była? Skąd ją przywieziono?

– To pan nie wie? – zdziwił się lekarz. – Mieszkała w jakimś internacie na Saskiej Kępie. Kierowniczka znalazła ją wczoraj przed południem nieprzytomną. Na stole było opakowanie po środkach nasennych, więc łatwo się było domyślić, co zażyła. Zaczął się już krwotok, dość silny. Wezwano pogotowie. Przywieźli ją tu do nas, na ostry dyżur. To wszystko.

– Nie miałem o tym pojęcia, panie doktorze. Dwa... nie, trzy dni temu wróciłem z Anglii. Byłem tam przez miesiąc u znajomych. Agata mieszkała dotychczas ze swoimi rodzicami w Polanicy.

– Przyjechała do pana?

– Nie wiem – Andrzej przy tych słowach poczuł na twarzy rumieniec. – To wszystko pewnie wydaje się panu dziwne. Ale...

– Mam już kawał życia za sobą i różne rzeczy widziałem. W moim zawodzie niczemu nie można się dziwić.

– Czy ma pan trochę czasu. Bo chciałbym, jeśli można, powiedzieć... wyjaśnić, jak to wszystko między nami wygląda...

– Jeśli pan chce, proszę bardzo. Dyżur zapowiada się raczej spokojnie. Żeby tylko nie zauroczyć! Może pan być pewien mojej dyskrecji.

Andrzej nabrał tchu – i wyjawiał, kim jest ojciec Agaty. Na twarzy lekarza objawiło się zaskoczenie i zdumienie. Słuchał uważnie, chwilami marszcząc brwi.

– Dowiedziałem się o tym prawie w przeddzień odjazdu – mówił Andrzej.

– Proszę mi wierzyć, że początkowo po prostu nie mogłem się pozbierać.

– Ja myślę – mruknął lekarz przytakująco. – Zwłaszcza jeżeli... Czy mi się zdaje, że ma pan coś wspólnego z rodziną tego legendarnego pułkownika Kotwiczą? Z AK?

– To był mój dziadek. Ojciec mamy. I jego właśnie oskarżał prokurator Kordasz. Kiedy się niedawno dowiedziałem, że moja dziewczyna jest jego córką, to... to jakbym dostał obuchem w łeb.

– Rozumiem. A przedtem... nic pan nie wiedział?

– Nic a nic. Może nawet lepiej, że zbiegło się to z moim wyjazdem. Bo kto wie, jak bym zareagował. A podróż miałem zaplanowaną i o żadnym odłożeniu mowy być nie mogło. Pan doktor wie: urlop, wiza, miejsce w samolocie i tak dalej.

– Za granicą trochę pan ochłonął?

– Tak. I postanowiłem rozmówić się z Agatą po przyjeździe. Nie zdążyłem.

– Rozmówić się – w jakim sensie?

Andrzej znów się zaczerwienił pod badawczym okiem lekarza.

– Panie doktorze, nie będę ukrywał, że na początku, kiedy o tym się dowiedziałem, nie byłem... no, nie byłem pewien, czy będziemy mogli być razem.

– A teraz jest pan tego pewien?

– Raczej tak.

– „Raczej”? Panie... jak pan ma na imię? Panie Andrzeju, może jestem bezceremonialny. Ale jeśli już o tym otwarcie mówimy, chciałem pana przestrzec: litość jest złym doradcą.

– Co pan doktor ma na myśli?

– To, że jeśli pan chce być ze swoją dziewczyną tylko z poczucia obowiązku, albo jak mówiłem, z litości – taka decyzja będzie czymś uczciwym. Ale... wydaje mi się, że nie wystarcza jako fundament wspólnego życia.

Andrzej spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie, panie doktorze. Ja bez niej żyć nie mogę. Przekonałem się o tym, choć

nie od razu.

– No, dobrze... – słowa te poprzedziła krótka pauza. – Tylko... czy zastanawiał się pan nad tym, co ją pchnęło do tych tabletek? To był przecież krok desperacki. Czy przedtem zdradzała takie tendencje?

– Broń Boże! Jest pogodna z natury, otwarta wobec ludzi. Skończyła studia, ma zawód. Jako plastyczka specjalizuje się w tkaninie artystycznej. Rodzice... – Andrzej zająknął się przy tych słowach – jej rodzice, cokolwiek bym sądził, bardzo ją kochają.

– Musiało więc coś nastąpić... Na pewno czuła się osaczona i bezbronna. Wracając do przytomności, powtarzała, o ile pamiętam: „nie chcę”. Czy pan ją jakoś odtrącił?

– Nie. Wyjechałem, prawdę mówiąc, właściwie bez pożegnania. Ale wiedziała, że jadę na krótko. Może powinienem był zaraz po przyjeździe odezwać się do niej. Coś mnie hamowało. Chyba odraza do jej ojca. Wiem, że mnie szukała telefonicznie, bez skutku. Powiedziałem sobie, że dziś, to znaczy wczoraj odezwę się do niej. No i... resztę pan doktor już wie.

Lekarz wstał, wyjął z kieszeni klucz i otworzył ścienną szafę. Na jej dnie stała duża, kraciasta torba.

– To bagaż pani Agaty. List zaadresowany do pana zostawiła na wierzchu. Kiedy razem z siostrą oddziałową chowaliśmy do szafy tę torbę, było w niej to... Wtedy nie miałem głowy do oglądania tej gazety... Proszę, niech pan spojrzy.

Podał Andrzejowi zmięty numer „Życia Warszawy” z poprzedniego tygodnia. Młody człowiek przeczytał tytuł, biegnący dużymi literami przez całą szerokość stronicy: NA TROPACH „KRWAWEGO PAWŁA”. Niektóre fragmenty były pokreślone lub ujęte w ołówkową klamrę. Andrzej przebiegł oczyma szpalty dziennika. A więc właśnie z tego „Życia Warszawy” Agata dowiedziała się prawdy.

– To o nim mowa? – upewnił się doktor. – O jej ojcu?

– Tak.

Oddech mimowolnej ulgi. A więc to nie przeze mnie! Ale ona... Jakiż to dla niej musiał być cios! Przecież bardzo kochała ojca!

– Teraz wszystko już wiemy – zakonkludował doktor. – Przeczytała tę gazetę i doznała szoku. Nadal sądzi pan, że przedtem nic nie wiedziała?

– Na pewno nie.

– No tak. Ojciec krył przed córką przeszłość, bo się tej przeszłości bał i wstydził. Pan wyjechał, nie miała pewnie żadnego oparcia. Jej matka żyje?

– Żyje. Muszę dać jej znać. Panie doktorze, kiedy będę mógł zabrać Agatę do domu?

– Nie tak prędko. A jeśli pan to wszystko już mi powiedział... – doktor urwał, zdając się ważyć każde słowo – to co pan zamierza dalej? Oczywiście to już

nie moja sprawa. Ale...

– Weźmiemy ślub – odparł Andrzej bez wahania. – I wyjedziemy.

– Z kraju, czy z Warszawy?

– Z kraju.

– No, cóż... jeżeli ma pan jakąś szansę urzędzenia wam obojgu życia gdzie indziej, może tak byłoby najlepiej. Bo tutaj, obawiam się, że ona miałyby przez dłuższy czas sporo przykrości. Trudno się dziwić autorowi tego artykułu. Ani innym ludziom, którzy chcą sprawiedliwego rozliczenia z przeszłością. Ten prokurator powinien ponieść konsekwencje swoich czynów. Ale ona jest przecież Bogu ducha winna...

Piesza wędrówka o wczesnej, przedrannej porze była odprężeniem po napięciu niedawnych godzin. Świeże powietrze zapowiadało kolejny pogodny i upalny dzień. W domu Andrzej wziął prysznic, wypił dwie szklanki mocnej herbaty, odparł pokusę wyciągnięcia się na tapczanie – i jeszcze przed wyjściem do pracy wydzwonił warsztat samochodowy. Wóz miał być gotów na godzinę piętnastą lub nawet może trochę wcześniej.

Na szczęście praca w biurze przebiegała dziś raczej spokojnie. Stołówkowy obiad okazał się jak na kryzysowe, bezmięsne czasy, całkiem niezły. Odebrawszy z warsztatu samochód, Andrzej ruszył niezwłocznie do szpitala.

– Pacjentka śpi. Wolałabym jej nie budzić – oznajmiła dyżurująca pielęgniarka. – Dobrze, dziś wezmę od pana kwiaty, ale proszę ich raczej nie przynosić, bo w tym upale woda w wazonach wcale nie pachnie. List? Proszę bardzo. Przekażę od razu, jak tylko się obudzi.

Na kartce wydartej z notesu Andrzej szybko napisał:

„Byłem. Jutro też przyjadę. Wracaj do zdrowia. Moja jedyna. Słuchaj lekarzy! Wszystko będzie dobrze”.

Jadąc do domu, przypomniał sobie noc, podczas której rozmawiali o dzieciach. Agata miała wtedy twarz jak gdyby od wewnątrz rozjaśnioną szczęściem i nadzieją. A teraz... No, cóż – jest przecież młoda, wyzdrowieje. Jedno poronienie chyba nie przekreśliło szansy na powtórne macierzyństwo?

Mógł sobie dziś wreszcie pozwolić na odpoczynek. Teraz, kiedy już podjął decyzję o rychłym ślubie i wyjeździe za granicę, wszystko wydawało mu się bardziej proste i łatwe niż podczas niedawnych dni meczącej szarpaniny. Jeszcze raz sięgnął po list Agaty, otrzymany z rąk doktora. Przeczytał słowa, które znał już prawie na pamięć. Co powiedziała tam w szpitalu? „Chciałam, żeby ci było lepiej beze mnie”...

Nieostrożnym ruchem stracił małą książeczkę, leżącą na biurku obok tapczanu. To te wiersze, które mu dała Marta przed odlotem z Londynu. Machinalnie przerzucił kilka kartek. Zatrzymał spojrzenie na krótkich strofkach, zaskoczony ich treścią, bardzo dokładnie odpowiadającą temu, co go nurtowało:

*A jednak nie mogłaś mnie rzucić,
Nie mogłaś ze mną się rozstać.
Musiała do mnie powrócić
Twoja najdroższa postać.
Musiałaś mi wszystko powierzyć,
Co trwoży cię, niepokoi,
Na nowo się oddać i wierzyć
Miłości twojej i mojej.
Nie szukać już innej drogi,
Prócz tej, która od dawna nas czeka...*

Droga w świat... Jutro zadzwonię do Londynu. Powiem Ryszardowi: tak, miałeś rację, stary! Lepiej będzie nam wyjechać. Jeśli możesz pomóc z tym Johannesburgiem, to zgoda, bardzo cię o to proszę! Początkowo traktowałem jego informacje dotyczące pracy w Południowej Afryce, prawie jak bajkę. Potem się okazało, że to całkiem realne. A rodzice? No, cóż – najlepiej byłoby wyjechać przed powrotem ich obojga. Moim starym zrobię niewątpliwie świństwo, ale jak postąpić inaczej? Mama na pewno gotowa byłaby zareagować podobnie jak Irena. Albo wymyśli jakiś powód czy pretekst, żeby mnie zatrzymać. Tymczasem sytuacja się pogarsza. Mogą nastąpić obostrzenia z paszportami lub nawet zamknięcie granic. Chyba w ciągu trzech miesięcy, do jesieni, uda mi się załatwić ten wyjazd. Ale niewykluczone są komplikacje, chociażby z przerwaniem pracy. A co powie babcia? Chyba mnie zrozumie, choć pewnie nie od razu. Będzie kłopot z paszportami! Jeszcze mojego nie zwróciłem. Może uda mi się go zatrzymać i złożyć w konsulacie brytyjskim wniosek o następną wizę?

Trzeba poszukać jakichś dojsć. Może lepiej, żebyśmy nie jechali jako para małżeńska? Ci podejrzliwi urzędnicy w konsulacie brytyjskim od razu się domyśla, że nie chcemy wracać. Ryszard zapewniał, że pomoże. W najgorszym razie weźmiemy ślub i postawię rodziców przed faktem dokonanym. Muszą się z tym pogodzić. Żeby tylko u nas w kraju nie pokręciło się wszystko na amen...

Zasnął jak kamień, mimo że za oknami było jeszcze widno. Zbudził się jak oczadziały, nie wiedząc, co go wyrywa ze snu. Wreszcie zrozumiał: telefon! Tak jak wczorajszego wieczora, dzwoni zapewne od dłuższego czasu.

Proszę czekać – powiedział bezosobowy głos kobiety. – Warszawa! Proszę mówić!

– Halo! – odezwał się inny głos kobiety, niski, schrypnięty, jak gdyby wskutek kaszlu lub płaczu.

– Mieszkanie państwa Radzimirskich? – Czy to pan Andrzej?

– Tak, to ja. Kto mówi?

– Kordaszewska. Gdzie moje dziecko? Gdzie Agata? Na miłość boską,

co z nią?! – Dalszy ciąg zdania rozplątał się w głośnym płaczu.

– Jest tutaj w Warszawie. Chorowała, ale już wraca do zdrowia.

– Gdzie jest?! Chcę z nią mówić!

– Nie teraz. Leży w szpitalu. Niedawno od niej wróciłem.

– Mówi pan prawdę?!

– Ależ tak. Rozmawiałem z lekarzami. Wszystko jest na dobrej drodze. Ja...

– W którym szpitalu? – przerwała.

– W Praskim, dawnym Szpitalu Przemienienia. Ma dobrą opiekę – i...

– Jutro tam będę – słowem tym towarzyszył trzask odkładanej słuchawki.

Rozmowa całkowicie wybiła Andrzeja ze snu. To matka! – pomyślał, zapalając papierosa. – Musiała to wszystko mocno przeżyć.

Wbrew zapowiedzi, nazajutrz pani Janina nie zjawiała się w szpitalu. Andrzej zastał ją w dwa dni później u wezłowania Agaty. Panowała nad sobą – obeszło się bez jakichkolwiek wymówek czy też burzliwych scen. Była jednak zmieniona do niepoznaki: ciemne sińce pod oczami, szerokie pasma siwizny w zazwyczaj staranie utrzymanych włosach. Krzątając się przy córce, nie mogła opanować drżenia rąk – i co chwila ocierała oczy.

– Zabiorę ją do domu zaraz, jak tylko lekarz pozwoli – rzekła do Andrzeja.

– Nie! – Agata prawie krzyknęła, dźwigając się na łokciach.

– Leż spokojnie – Andrzej przysunął się bliżej wraz z taboretami, na którym siedział, jak gdyby chcąc ją obronić. Chwyliła go kurczowo za rękę.

Janina Kordaszewska rozplakała się.

– Nie chcesz do domu, Agatko? – powtarzała. – Nie chcesz do domu?!

– Bardzo proszę, ciszej! – zainteresowała pielęgniarka, która w tejże chwili stanęła na progu pokoju. – Pozwoliłam pani być przy chorej, bo jest pani matką – ale nie można jej denerwować. Teraz i tak oboje państwo muszą wyjść, bo wnet będzie tu lekarz.

– Kochanie, jestem niedaleko – rzekł Andrzej. – I wrócę zaraz, jak tylko będzie można.

Ujął pod rękę matkę Agaty, poprowadził ją na koniec korytarza i posadził pod oknem.

– Pani Janino – perswadował – proszę, niech pani się uspokoi...

– Tam szpital i tu szpital! – zaszlochała. – Jak ja ją samą zostawię?!

– Przecież nie jest sama. Przychodzę tu co dzień. Jak tylko się da, zabiorę ją do mnie. Do domu.

Kiwała głową, automatycznie przytakując. Potem spojrzała z przestachem na ścienny zegar.

– Powinam już iść. Za godzinę mam pociąg, a do dworca kawał drogi. Chyba że... jak nie zdążę, pojedę nocnym osobowym.

– Nigdzie pani dziś nie pojedzie – rzekł Andrzej stanowczo. – Tłukła się pani

przecież całą noc w pociągu! Rano po drodze do pracy podrzucę panią na dworzec.

Próbowała protestować, wreszcie uległa. Opuścili oboje szpital wtedy dopiero, gdy z ust dyżurnego lekarza usłyszeli zapewnienie, że stan zdrowia Agaty polepsza się i nie budzi obaw.

Po przyjeździe na Świętojerską Andrzej wygrzebał z lodówki resztkę przydziałowego masła. W drewnianym pojemniku na chleb było czerstwe pieczywo. – Nie mam nic więcej – usprawiedliwiał się. – Zapomniałem o jedzeniu.

– Jeszcze mi zostały w torbie jabłka z działki – rzekła Janina. Głos jej odzyskiwał normalne brzmienie. – Chowałam je na drogę. Wypiję tylko herbatę i pojedę tym nocnym pociągiem. Co panu tu będę głowę zawracać?

– Powiedziałem, że nigdzie pani dziś nie pojedzie. Musi pani odpocząć.

– Pan też wygląda jak... jak Piotrowin! – dopiero teraz przyjrzała mu się uważnie.

– Wróciłem z zagranicy. Nie było mnie miesiąc. Przedtem harowałem. I tutaj od razu... Przepraszam, woda wrze.

Czajnik z kuchni dawał znać donośnym gwizdkiem. Zaparzywszy herbatę, Andrzej wrócił do pokoju. Zastał Janinę wpatrzoną w zdjęcie Kamila Kotwiczą.

– To pana dziadek? Ten pułkownik?...

Skinął głową.

– Agata ma takie samo zdjęcie u siebie na biurku.

– Wiem, zrobiłem dla niej odbitkę. Chciała je mieć.

– Ona wtedy jeszcze nie wiedziała, że jej ojciec...

–

– A co z nim? – spytała Andrzej, przypomniawszy sobie jej niedawne słowa: „tu szpital, tam szpital”.

– Wylew, panie Andrzeju – przyłożyła znów chusteczkę do oczu. – Dlatego trudno mi tu zostać przy Agacie. Muszę wracać, bo właśnie go przewożą do Wrocławia. A przez tych kilka dni... Niech ręka boska broni!

W kuchni przy herbacie Andrzej dowiedział się szczegółów dotyczących burzy, jaka wstrząsnęła domem Kordaszewskich i prawdopodobnie ów dom na zawsze rozbiła.

– Mąż najpierw zobaczył to zdjęcie u Agaty. Wtedy się zorientował, że pan... że pan jest wnukiem tego pułkownika. Nic nie powiedział Agacie. Ona niczego się nie domyślała.

– A pani? – spytała Andrzej. – Pani nie wiedziała, co dawniej robił pani mąż?

– Pojęcia nie miałam, daję słowo. Że kiedyś pracował blisko bezpieki, to wiedziałam, ale mało to ludzi tam pracowało? W papierach miał napisane, że prawnik. Raz już był żonaty, najpierw ludzie mi o tym powiedzieli, potem on sam. Nie ukrywał, że jego pierwsza żona odkręciła gaz. Mówił, że to była depresja,

że nerwy. Dlaczego miałam nie uwierzyć? Dla mnie był dobry, za dzieckiem świata nie widział, palcem jej nigdy nie tknął. Aż dopiero teraz... – urwała raptownie.

– Co teraz?

Przerywanym głosem opowiedziała o przyjeździe Agaty z Wrocławia.

– Uderzył ją w twarz... panie Andrzeju i chciał jeszcze raz, jak mu w oczy rzuciła, że pewnie był z takich, co bili więźniów. Nigdy przedtem coś takiego się nie zdarzyło. Na drugi dzień kartkę do mnie zostawiła, że wyjeżdża. I tyle ją widziałam!

Dzielną małą Agata! Andrzej mógł sobie wyobrazić, jaki to był dla niej koszmar...

– Paweł jeszcze prędzej niż Agata przeczytał to, co o nim napisali... Pan to widział?

– Dowiedziałem się w szpitalu. Ona miała ze sobą gazetę.

– Napisali, że „krwawy Paweł”, że przez niego ludzie ginęli... Że był przy tym, jak zabijali. O Boże, Boże...

– A pani... naprawdę pani nic o tym nie wiedziała?

– Przysięgam panu, że nie! Poznaliśmy się przecież dużo później. On już wtedy mieszkał we Wrocławiu, pracował w spółdzielczości. Dosyć szybko przeszedł na rentę inwalidzką, bo mu się odezwały jakieś stare, wojenne jeszcze rany. Ale pracował jeszcze potem dosyć długo, na niepełnym etacie.

Ochłonawszy, mówiła spokojniej, Andrzej nie przerywał ani słowem. No, tak – istotnie mogła nie wiedzieć o przeszłości męża. Zwłaszcza jeśli sam zadbał o to, aby tę przeszłość bądź ukryć, bądź odmienić we wspomnieniach. Opiekując się dwojgiem starych, schorowanych rodziców, nie marzyła o zaklętym królewiczu, ale o człowieku, który da jej oparcie i dom. Kordaszewski bardzo jej odpowiadał: był poważny, solidny. Mówił mało i tylko to, co chciał. Dowiedziała się, że podczas wojny był w partyzantce, potem w konspiracji. Ledwie uszedł Niemcom, którzy zabili jego rodzinę. Po wojnie brał udział w walkach z reakcyjnymi bandami – tak wtedy mówiono. Potem odbył studia prawnicze, skrócone i przyspieszone – podobno w ciągu roku. Pracował przez pewien czas w Bezpieczeństwie, później przeszedł do sądownictwa wojskowego.

Miał odznaczenia, ale się nimi nie chwalił. Czasem odwiedzali go dawni koledzy. Ale to były męskie, kombatanckie spotkania, w których Janina nie uczestniczyła, ograniczając się czasem tylko do podania jakiejś przekąski lub kolacji. Paweł dbał o dom i lubił w nim przebywać. Mężem był dobrym. Córkę – jedynaczkę kochał bezgranicznie. Groby najbliższych w przemysłowej osadzie niedaleko Chrzanowa odwiedzał sam. Pewnie chciał uniknąć pytań żony o powód zmiany nazwiska – rodzice Pawła nazywali się przecież Kordaszowie. Wiedziała o tym, ale kiedy raz go zagadnęła, dlaczego? – odparł: – Tak trzeba było. Po wojnie

też była wojna.

Patrzyła teraz z niepokojem na młodego człowieka.

– Panie Andrzeju, co z nią będzie? Z wami obojgiem?

Odpowiedzieć wymijająco, czy też ujawnić prawdę? Wybrał to drugie.

– Proszę posłuchać, tylko niech pani o tym nikomu nie mówi. Weźmiemy ślub i wyjedziemy.

– Dokąd?! – załamała rękę. – Na długo?

– Na razie do Anglii. Potem gdzie indziej. Tam, gdzie praca czeka na ludzi.

– I chce pan tak... od razu?

– Jak tylko Agata stanie na nogi. Im prędzej, tym lepiej. Jeżeli ogłoszą stan wyjątkowy, albo coś w tym rodzaju, wtedy na pewno granica będzie zamknięta.

– Ale przecież pan pracuje! A pana rodzice? Babcia? Co oni powiedzą?

– Trudno – odparł Andrzej sucho. – Jakoś to wszystko muszę załatwić.

Oczy siedzącej naprzeciw kobiecie ponownie zwilgotniały. Ale wyraz jej twarzy świadczył, że przyznaje mu rację.

– Może tak będzie najlepiej? Pan wie – przylepili wczoraj na drzwiach naszego mieszkania kartkę. Na niej było napisane, że Paweł czerwony morderca, a my – rodzina kata... I przez telefon... Dzwonią – a we mnie aż serce zamiera, bo przecież Agata... A tu obce głosy wymyślają, że krwawy Paweł, że oprawca i takie inne okropności. Wczoraj właśnie jak załatwiłam przewiezienie męża do Wrocławia i zbierałam się do drogi, żeby tu jechać, wróciłam od drzwi do telefonu. Jakiś mężczyzna mówi – nie, krzyczy – wstyd powiedzieć, ale powtórzę panu: – Poczekaj, ty ubecka kurwo, teraz już z takimi jak ty zrobią porządek!

– Sama pani widzi, że wyjazd – to dla Agaty najlepsza rzecz – rzekł Andrzej po krótkiej pauzie. – Ją też może spotkać coś podobnego.

– Ale to moje dziecko... Moje jedyne dziecko!...

– Przecież nie jedziemy na zatracenie – tłumaczył cierpliwie. – I na pewno nie na zawsze. Pani Janino – zmienił ton – potrzebna mi będzie metryka Agaty do ślubu. I jej paszport. Niedawno go dostała.

– Tak. Wiem, gdzie jest.

– Proszę mi go przysłać razem z metryką. Oczywiście listem poleconym. Jak najprędzej. Możliwie zaraz, kiedy tylko pani wróci do Polanicy. Co jeszcze? – zastanawiał się na głos.

– Może dyplom Agaty z akademii? – podsunęła Janina. – Pojadę i sama to wszystko przywiozę. Dowiem się, jak z mężem, czy mu czegoś nie trzeba. I zaraz wrócę. To przecież są dokumenty. Strach, żeby przepadły w takim bałaganie jak teraz!

– Zgoda. Niech pani zabierze te papiery. I rzeczy Agaty. Tak jakby ją miała pani wyprawiać jesienią na wczasy: sukienki, ciepły sweter. Płaszcz i buty.

Potakiwała. Załatwi wszystko. Przywiezie. Dostarczy.

Andrzej tego wieczora długo nie mógł zasnąć. Obmyślał i obliczał wszystkie starania i zabiegi, które go czekały w najbliższym czasie. Trzeba zaraz jutro, nie zwlekając, zadzwonić do Ryszarda. Wizy! To było najważniejsze i najbardziej skomplikowane. Znowu wyczekiwanie przed konsulatem, kolejki, „listy społeczne”, podejrzliwe twarze urzędników. Prawie słyszał ich pytania pełne wątpliwości: Drugi wyjazd w tak krótkim czasie?! Agata jest przecież zameldowana w Polanicy... Z tym wszystkim będzie mnóstwo kłopotów!

Trzeba będzie także w jakiś uczciwy sposób rozstać się z własnym miejscem pracy. Trzeba zaopiekować się Agatą – teraz w szpitalu, potem w domu, kiedy ją przywiezie. Na pewno nie starczy jej wtedy jeszcze sił, aby zająć się sprawami gospodarskimi. No i ten ślub!... A przedtem rozmowa z Zuzanną. Wszystko to musi być załatwione w ciągu trzech miesięcy, przed powrotem rodziców! Może jednak poczekać do ich przyjazdu? Ale jeśli oboje, zwłaszcza matka, dowiedzą się, kto jest ojcem Agaty... Nie, to niemożliwe! Gdyby nie ta ogólna sytuacja, można by poczekać na „starych” i próbować dogadania z nimi. Ale napięcie wśród ludzi wzrasta z dnia na dzień – i nic nie wskazuje na to, by miało ulec złagodzeniu.

Przypomniał sobie Londyn i niedawne rozmowy z tamtejszymi Polakami. Niejeden przedstawiciel starszego pokolenia żywił zamiar powrotu do Polski na resztę życia. Młodszy natomiast byli na ogół mocno zakorzenieni w brytyjskim gruncie.

Andrzej do niedawna nie wyobrażał sobie, że mógłby mieszkać stale poza krajem. Teraz poczuł tęsknotę za miejscem, w którym można byłoby żyć normalnie – bez szamotania z pułapkami wielkiej polityki, bez zagrożenia zasadzkami, jakie stwarza historia. Opowieść pani Janiny świadczyła aż nadto dobitnie, że ludzie nie darują ani jej, ani Agacie przeszłości męża i ojca. A trudno byłoby wyjaśniać każdemu, że Agata z ojcem zerwała.

Mój Boże, dlaczego nie urodziliśmy się oboje w jakimś normalnym kraju, gdzie przeszłość szybko staje się historią – i nie jest ciężarem bolesnych przeżyć, przytłaczających Boga ducha winnych ludzi?!

Nazajutrz, stwierdziwszy, że Agata czuje się znacznie lepiej, powiedział jej, na razie ogłędnie, o zamierzeniach wyjazdowych. Byli sami w pokoju. Dwie pozostałe pacjentki z sąsiednich łóżek spacerowały po korytarzu.

– Co myślisz o tym, kochanie? Tak będzie chyba najlepiej.

Dość długo nie kwapiła się z odpowiedzią. Wreszcie, napotkawszy jego wyczekujący wzrok, zapytała z widocznym wahaniem:

Powiedz mi, czy ty tak naprawdę chcesz, żebyśmy byli razem?

– Naprawdę chcę! – odparł cicho, lecz z naciskiem.

Przez chwilę leżała w milczeniu.

– Dlaczego pytasz? Sama wiesz przecież...

Uniosła powieki. Jej wzrok był badawczy, a zarazem pełen lęku.

– A tamte... dziewczyny?

– Jakie dziewczyny?!

– Słyszałam wtedy u ciebie, przez telefon...

Przez chwilę nie mógł pojąć, o co jej chodzi. Potem nagle przypomniał sobie – i zrozumiał.

– To tyś wtedy dzwoniła? – W dzień... nie, w dwa dni po moim przyjeździe?

– Tak. Słyszałam muzykę. Jakaś dziewczyna powiedziała, że cię nie ma.

– Aga! Wszystko się zgadza. To moja kuzynka. Przyjechała z koleżanką. Były obie autostopem na Mazurach i przenocowały u mnie. To cię tak dręczyło?

Przymknęła znów oczy.

(Nic jej nie powiem o tym, co mi przychodziło do głowy tamtej nocy. Nie powiem, że chwilami ogarniała mnie chęć zapomnienia o niej, o wszystkim, co nas łączyło, o całym świecie – zapomnienia w ramionach innej kobiety).

Do tej chwili Andrzej był przekonany, że nie ponosi żadnej odpowiedzialności za desperacki krok Agaty. Teraz zrozumiał: decyzję taką powzięła w chwili, gdy ugruntowało się w niej przeświadczenie, że ukochany człowiek beztrąsko zabawia się z innymi, podczas gdy ona cierpi i czeka choćby na jedno słowo.

– Aga – odezwał się półgłosem – nic mnie z tymi dziewczynami nie łączy. One nieoczekiwanie spadły mi na głowę, prosto z drogi. Wszedłem wtedy z domu do sklepu, żeby coś kupić do jedzenia, bo nic w domu nie miałem. A jeśli już o tym mówimy... Widzisz: na początku, kiedy się dowiedziałem o twoim ojcu, to był dla mnie szok.

– Skąd się dowiedziałeś? Przecież ten artykuł...

– Mniejsza o to skąd. Zanim ten artykuł wydrukowano. Zrozum, mnie to cholernie rąbnęło.

– Wiem.

– Będę całkiem szczery. Wtedy, przed wyjazdem do Londynu, wołałem nie rozmawiać z tobą. Nie tylko z tobą. Z nikim. Potrafisz to zrozumieć?

– Tak.

– I wtedy naprawdę nie wiedziałem, jak z nami będzie. Może nawet lepiej, że mogłem wyjechać. W pewnym sensie uciekłem od ciebie, przyznaję. Ale to nie było zaplanowane. Z daleka od kraju mogłem to wszystko przegryźć w sobie i przemyśleć. I... nie uciekłem od ciebie do żadnej innej kobiety.

– A teraz... co z nami będzie?

– Powiedziałem ci: weźmiemy ślub.

– Kiedy?

– Jak tylko staniesz na nogi. A potem wyjedziemy.

– Dokąd?

Zawahał się. Czy nie za wcześnie na taką rozmowę?

– Powiedz! – nalegała. – Gdzie mamy jechać?

– Za granicę, kochanie. Obgadamy to później. W domu.

Skinęła głową, marszcząc czoło, jak gdyby coś rozważała.

– Ale ty... Ty mnie tam nie zostawisz?

Pogładził jej ramię.

– Nie bądź niemądra, mała! Będziemy razem i nigdzie cię nie zostawię.

Tak niedawno jeszcze męczył się i zmagał sam ze sobą, nie wiedząc, jak wybrnąć z położenia, które wydawało mu się pułapką lub matnią. Przypomniał sobie słowa Ryszarda o odpowiedzialności za los drugiego człowieka. Musiałem się przekonać, że jej nie potrafię wykreślić z życia – pomyślał.

Agata sięgnęła po jego rękę i zacisnęła ją mocno w swojej dłoni.

– Wierzę ci, kochany. I pojedę wszędzie, gdzie chcesz.

Schylił się i pocałował ją w czoło.

– Bardzo dobrze. Teraz nie myśl już o niczym, tylko odpoczywaj. Do jutra.

XII

Nadeszły teraz dla Andrzeja ciężkie, trudne, nerwowe dni. Musiał podczas nich dwoić się i troić. Rano jechał do pracy. Po południu odwiedzał Agatę w szpitalu. Kiedy tylko się dało, czynił przygotowania do zamierzonego wyjazdu.

Inżynier Marek Kostrowicz, bezpośredni zwierzchnik i starszy kolega wtajemniczony we wszystko, pomógł mu uzyskać zgodę na dłuższy urlop bezpłatny. To w obecnych warunkach znaczyło wiele. Ryszard okazał się niezawodny. Dotrzymał słowa, przysławszy dwa zaproszenia. Od siebie dla Agaty i od jednego ze swoich londyńskich kolegów dla Andrzeja.

– Żebyś przypadkiem się nie rozmyślił! – przestrzegął go telefonicznie. – To byłoby niepoważne, tym bardziej, że sprawy, o których mówiliśmy, są na dobrej drodze.

Teraz czekała Andrzeja trudna przeprawa: wyjawienie prawdy o zamierzonej podróży Zuzannie. Na szczęście jesień była piękna i starsza pani przedłużyła swój pobyt w leśniczówce, skąd mniej więcej raz na tydzień dawała znać o sobie krótkim telefonem lub kartką.

Przeżywał jeszcze chwile wahania i zwątpienia, nie wiedząc, czy powzięta decyzja jest naprawdę trafna. Pewnego dnia zdarzył się jednak przypadek, który utwierdził Andrzeja w przekonaniu, że najlepiej będzie wyjechać. Dotychczas nie zdążył wprowadzić Agaty w krąg swoich kolegów i znajomych. Teraz był z tego rad, gdyż artykuł o „krwawym Pawle” wywołał echa w różnych środowiskach. Nikt jednak z kolegów Andrzeja nie skojarzył sobie dotychczas nazwiska jego narzeczonej z osobą byłego prokuratora. Tym lepiej – stwierdził w duchu. Zresztą gazetowe teksty mają zwykle krótki żywot. A teraz każdy dzień przynosi coraz to inne wydarzenia i wiadomości.

Któregoś dnia w biurze dyrekcji przekazano mu list bez nazwiska nadawcy. Andrzej zdziwiony obejrzał kopertę – i sprawdził po stemplu, że list wrzucono w Warszawie. Najpierw chciał go przeczytać w pracowni. Tknięty przecuciem, wolał to uczynić w bocznej wnęcie korytarza. List podpisany był „Życzliwy”. Anonim?! W pierwszym odruchu Andrzej chciał go podrzeć i wyrzucić do kosza. Ciekawość była jednak silniejsza. Przebiegł wzrokiem kilka linijek tekstu.

„Wiadomo, że związał się Pan z córką stalinowskiego prokuratora. Musi się Pan więc liczyć z potępieniem społecznym. Wstyd, żeby wywodząc się z rodziny o pięknych tradycjach patriotycznych, będąc wnukiem ś.p. Pułkownika Kamila Kotwiczą, bestialsko zamordowanego przez stalinowskich siepaczy, romansował Pan z córką jednego z tych ludzi, których polskie społeczeństwo nienawidzi i przeklina...”

Andrzej najpierw zmiął arkusik, potem rozprostował go i schował do kieszeni. Nie mógł jednak wyzbyć się uczucia obrzydzenia. Wrócił do swoich

zająć, lecz przez resztę dnia czuł się tak, jak gdyby ktoś zapalił w pobliżu światło ostrzegawcze.

Na pewno wielu ludzi przyprawia o zrozumiałą wściekłość fakt, że tacy Kordasze chodzą sobie po świecie – i nie ponieśli kary za swe przestępstwa. Ale przecież są od tego sądy! Nikt i nic mnie nie zmusi, żebym wyciągnął rękę do człowieka, który żądał śmierci mojego dziadka – i przyczynił się do niej. Przypadek zrządził, że Agata jest jego córką. Ale zerwała z ojcem, odcięła się od niego stanowczo. Trudno żądać od niej więcej.

Kto mógł napisać taki list? Ten człowiek musiał mnie znać i mieć mnie na oku – stwierdził Andrzej. Może któraś dziewczyna z kręgu dawnych znajomości? Nie, to mało prawdopodobne. Wobec żadnej nie miałem jakichkolwiek zobowiązań. Zwłaszcza od chwili poznania Agaty. Nie, anonimowy list przyszedł z innej strony. W każdym razie spełnił rolę przestrogi.

Mnie nic nie mogą w końcu zrobić. Agata w razie dalszych podobnych ataków będzie bezbronna. A więc lepszy jest wyjazd...

W tych trudnych dniach Janina Kordaszewska stała się dla Andrzeja istotną pomocą. Kursując pomiędzy Wrocławiem, Polanicą a Warszawą, przywiozła wszystkie rzeczy które Agacie mogły być potrzebne. Opiekowała się córką troskliwie, najpierw w szpitalu, a potem, kiedy ją Andrzej przywiózł jako rekonwalescentkę – w domu. Zmęczona, wyczerpana nerwowo, postarzała i posiwiiała, zdobywała się wobec jedynaczki na uśmiech. Unikała wszelkich wzmianek o Pawle. Agata raz tylko zapytała o ojca pod nieobecność Andrzeja, kiedy czuła się już prawie normalnie. Nie powiedziała nic usłyszawszy, że leży w szpitalu po wylewie i że jest mu nieco lepiej, choć całkowitej sprawności, zwłaszcza fizycznej, nie odzyska już zapewne nigdy. Po chwili matka krzątająca się po kuchni usłyszała ciche łkanie. Znalazła Agatę leżącą na tapczanie, z twarzą wciśniętą w poduszkę.

– Nie myśl o tym wszystkim, córeczko! – powiedziała łagodnie. – Nie truj się, nie dręcz, bo to nic nie pomoże. A musisz mieć teraz dużo sił.

– Mamo... Dlaczego tak?... Za co mnie to wszystko spotkało?

– Rozmaicie się płaczą ludzkie losy. Tyś niczemu nie winna. I twój Andrzej to rozumie. Popatrz, jak robi wszystko dla ciebie, jak stara się, żebyście wyjechali, po to, żebyś lżej odetchnęła. Serce mi się kraje, kiedy sobie pomyślę, że będziesz gdzieś daleko. Ale tak lepiej... No, cicho, nie płacz! Zobaczysz, że jeszcze i tobie, i wam obojgu życie się zmieni na lepsze.

Nadeszła wreszcie chwila, której Andrzej tak bardzo się obawiał. Pojechawszy do leśniczówki, zastał Zuzannę w dobrej formie, ożywioną i pogodną. Powitała wnuka z radością, lecz obejrzawszy go z bliska, bardzo się zmartwiła.

– Ale z ciebie mizerak, Andrzejku! Chorowałeś? Masz może jakieś kłopoty?

– Raczej to drugie – uśmiechnął się niewesoło Andrzej. – Ale nie martw się,

babciu. To minie.

– Żle ci się układa w pracy? A może coś nie tak z Agatą.

– Prawie zgadłaś, babciu. Ale nie w tym sensie, żebyśmy się kłócili, albo mieli zerwać ze sobą. Wszystko opowiem. Tylko pod dwoma warunkami: że najpierw wypiję twoją znakomitą herbatę. A potem – że wysłuchasz spokojnie i nie będziesz się denerwować. Dobrze?

Wysłuchiwała spokojnie jego opowieści, choć mocno zbladła, usłyszawszy, kim jest ojciec Agaty. Andrzej poczuł mimowolną wdzięczność dla Ireny: dotrzymała słowa, nie wyjawiając matce prawdy.

– Mój Boże! Straszne! Nigdy bym nie przypuściła... Może to jakaś plotka?! Skąd to wiesz?

Oddychając ciężko, sięgnęła po jakieś krople.

– Babciu kochana, tylko mi się nie rozchoruj! – prosił zaniepokojony.
– Musiałem ci powiedzieć. To wszystko było dla mnie bardzo ciężkie.

– Domyślam się. A dla niej?

Powiedział o niedawnym wyjeździe, który był jak ucieczka od Agaty. O tym, jak dowiedziała się prawdy i jakie były tego następstwa. Pani Zuzanna uspokajała się stopniowo.

– A jak z nią teraz? – spytała, gdy Andrzej przerwał na moment.

– Już lepiej. Zabrałem ją na Świętojerską, bo do Polanicy nie chce wrócić. Z ojcem zerwała. Teraz już chodzi po mieszkaniu. Wygląda jak cień. Chyba byś jej nie poznała. To nie było tylko działanie środków nasennych. Ona z tego wszystkiego... poroniła.

– Jeszcze i to?! Biedna mała! – w głosie Zuzanny zabrzmiała cieplejsza nuta.
– To był chyba początek ciąży?

– Dwa miesiące – Andrzej zaczerwienił się pod badawczym spojrzeniem starszej pani. Musiała oczywiście natychmiast skojarzyć sobie pobyt Agaty w czerwcu z tym, co nastąpiło później. – Ona bardzo chciała, żebyśmy... żebyśmy mieli dziecko... – głos mu drgnął przy tych słowach.

– Powiedz mi – pani Zuzanna zawahała się na moment – co zamierzasz teraz zrobić?

Usłyszawszy o rychłym ślubie i zamiarze wyjazdu, usiłowała protestować:

– Teraz?! W takiej niepewnej sytuacji, kiedy wszystko się trzęsie?

– Tak, babciu. Teraz. Bo potem możemy w ogóle nie wy dostać się z kraju.

– A rodzice, co oni powiedzą?

– Na pewno będą oburzeni na mnie. Albo rozżaleni, szczególnie mama. Ale nic innego nie wymyślę. I boję się, że mama nie zaakceptuje Agaty.

– Chyba rzeczywiście może tak być, jak znam Jolę. Trudno jej będzie z tym się pogodzić. Zwłaszcza na początku. Tamte sprawy mocno w niej tkwią. Ale ja boję się dla ciebie takiego wyjazdu. Przecież to w nieznane i na niepewne. I... nie

wiem, czy cię kiedyś zobaczę!

– Babciu, my na pewno wrócimy!

– To tak się mówi... – słowom tym towarzyszyło ciężkie westchnienie.

– Tylu młodych teraz wyjeżdża – i to na oślep! Jak gdyby tu, w Polsce, nie było dla nich miejsca!

– Bo z tym miejscem zaczyna być coraz trudniej. Pamiętasz, babciu, jak się martwiłaś, kiedy rodzice jechali do Tunisu? Też ci się wtedy wydawało, że już ich nigdy nie zobaczysz. A tymczasem niedługo wrócą. To nie nasza wina, że trafiliśmy na taki paskudny zakręt historii!

– Przemysł jednak to wszystko, mój kochany! – nie ustępowała pani Zuzanna. – W takiej atmosferze jak teraz można łatwo podjąć decyzję, której potem będziesz żałować. Ja w każdym razie podtrzymuję wszystko to, co ci przedtem mówiłam w sprawie mieszkania. Jeśli decydujesz się wziąć ślub z Agatą, jestem gotowa pójść ci na rękę, żebyś tylko nie wyjeżdżał! Bardzo mnie to wszystko zaskoczyło, nie ukrywam. Wyjątkowy zbieg okoliczności, żeś właśnie spotkał ją... Ale ta dziewczyna nie powinna odpowiadać za ojca. (Andrzej nie dał poznać po sobie, jak wielką ulgę sprawiły mu te słowa). Z tego, co mówisz, wynika, że ona od niego... jak by to powiedzieć? – odeszła?

– Nie tylko. Ona z nim całkowicie zerwała. I to bardzo gwałtownie.

Opowiedział dokładnie przebieg ostatniej rozmowy Agaty z Kordaszewskim oraz brutalne potraktowanie córki przez ojca.

– Przyjechała wtedy, tak jak stała, do mnie, żeby mi wszystko wytłumaczyć. Szukała oparcia. Tak się złożyło, że nie mogła mnie znaleźć. Była w ciężkiej depresji. Tymczasem ten artykuł w „Życiu Warszawy” rozpętał burzę przeciw Kordaszewskiemu. Okazuje się, że wiele osób go pamięta.

– Trudno, żeby było inaczej. To w końcu nie takie dawne czasy.

– Ludzie słusznie domagają się sprawiedliwości wobec takiego oprawcy. Ale gotowi są też zaszczyć Agatę, która całej tej historii omal nie przypłaciła życiem. Nie chciałem ci, babciu, pokazywać pewnego listu, który przyszedł niedawno. Ale może lepiej, żebyś go przeczytała.

Podał pani Zuzannie zmiętoszony arkusik papieru. Przebiegła po nim wzrokiem raz, potem drugi, marszcząc brwi.

– Kto to mógł napisać? – rzekła wreszcie, zwracając list wnukowi. – Nie mam pojęcia. Chyba ktoś z dawnych znajomych? Albo z podkomendnych Kamila? Nie wiem. Ale każdy anonim ma w sobie coś obrzydliwego! To nie jest sposób obrony naszej rodziny.

– Ja też tak myślę – potwierdził Andrzej. – Ale w tej sytuacji najlepiej będzie nam obojgu wyjechać na pewien czas. Tu ludzie nie dadzą Agacie spokoju! Ona po tej całej szarpaninie wszystkiego teraz się boi. Pojedziemy tam, gdzie nas nikt nie zna. I gdzie te sprawy nie będą mieć znaczenia. Chciałbym, żebyś mnie, babciu,

dobrze rozumiała – dorzucił pośpiesznie. – Nigdy nie zapomnę, kim był dziadek. I wiesz, jak wiele dla mnie on znaczy. Ale nie mogę... no, po prostu nie mogę...

– Rozumiem. Tylko nad jednym jeszcze, mój drogi, dobrze się zastanów: czy masz dla Agaty to samo uczucie jak dawniej? Bo przecież kochaliście się bardzo oboje. Dość było na was spojrzeć, żeby się o tym przekonać. Czy nie działasz teraz pod wpływem litości? Albo z poczucia obowiązku? To zresztą bardzo ci się chwali. Ale jeśli potem miałbyś mieć żal do niej – albo do losu...

Kto powiedział coś podobnego? – „Niech pan pamięta, że litość jest złym doradcą”. Andrzej potarł ręką czoło. Prawda! Te słowa padły z ust doktora w szpitalu.

– Babciu, ja rzeczywiście przez pewien czas nie czułem się na siłach, żeby rozmawiać z Agatą. Po prostu od niej uciekłem. Był taki film, czy książka „Trzeba zabić tę miłość”. Powtarzałem to sobie w kółko. W drodze do Londynu myślałem, że jak wrócę, to chyba powiem jej wprost: „Koniec, wybaczone i zapomnij, rozstajemy się, bo za wiele nas dzieli” i tak dalej. A potem przekonałem się, że – nie mogę. I nie z poczucia obowiązku. Źle mówię – nie tylko dlatego. Owszem, trudno było nie litować się nad nią tam, w szpitalu. Ale wiem, że to nie litość.

– To – ...dorzucił te słowa półgłosem, jak gdyby musiał się przezwyciężyć, by je wypowiedzieć – to po prostu miłość.

Na chwilę zapadła cisza. Za oknem leśniczówki przekomarzały się ptaki. Andrzej przypomniał sobie ów dzień u schyłku czerwca, kiedy przyjechał tutaj, odwożąc Zuzannę, pełen pogody i życzliwości dla całego otoczenia. Była wówczas pełnia lata. Teraz dni się skracają. W powietrzu czuć smutek jesieni. Pomnażają się wokół niepokoje, życie jest coraz trudniejsze. Jaka będzie następna wiosna?

Zuzanna pierwsza przerwała milczenie.

– W takim razie, jeżeli jesteś pewien swoich uczuć, rób jak uważasz. Szczęść Boże wam obojgu.

– Nie zechcesz jej zobaczyć, babciu? – spytał cicho Andrzej.

Uczyniła ręką gest, który mógł oznaczać równie dobrze przeczenie, jak bezradność.

– Nie teraz. Jeszcze nie. To wszystko spadło na mnie tak nagle... Zrozum, chłopcze, ja życzę jej jak najlepiej. Rodziców się nie wybiera. Trudno więc mieć do niej pretensje, że ma takiego ojca. Ciebie też rozumiem. Dawniej ludzie mówili „serce nie sługa”. I teraz chyba nie jest inaczej. Na pewno zrobisz wielką przykrość rodzicom – ale skoro to nieuniknione...

– Po prostu nie ma innego wyjścia. Boję się odkładać wyjazd. I tak mam z tym dużo kłopotów. Ale naprawdę wolałbym, żebyśmy to wspólne życie, poplątane już teraz, zaczęli gdzieś daleko stąd.

– Jeżeli wyjedziesz, będę próbowała to wszystko wytłumaczyć jakoś twoim rodzicom. Na razie wszystkim nam potrzeba spokoju. A czasy temu tak bardzo nie

sprzyjają!

XIII

Data ślubu została ustalona. Miał być jak najcichszy, bez zawiadamiania, a więc i bez obecności rodziny, przyjaciół, znajomych – o godzinie dziewiątej rano, w powszedni dzień. Żadnego przyjaciela, żadnych gości. Pani Janina po cichu wzdychała z żalem.

Nie tak sobie w marzeniach wyobrażała zamążpójście jedynaczki. Rozumiała jednak, że inaczej być nie może. Dobrze przynajmniej, że ów urzędowy akt rozegrał się na tle pięknej scenerii – w staromiejskim pałacu ślubów.

Andrzej nie bez trudu, nawet po okazaniu odpowiednich zaświadczeń, zdobył obrączki. Mimo najlepszych chęci, nie miał dla Agaty żadnego prezentu. Należało oszczędzać pieniądze na wydatki związane z podróżą, która niezależnie od wszelkich przygotowań, miała być przecież wyprawą w nieznane.

Na jednego ze świadków zaproszony został Marek Kostrowicz, kolega Andrzeja ze studiów, a zarazem bezpośredni zwierzchnik. Marek był wtajemniczony w powody „wyciszenia” ślubu. Dyskrecji przyjaciela Andrzej mógł być pewien.

Również dzięki Markowi wyjazd Radzimirskiego miał uzyskać charakter okresowego, nie zaś bezterminowego rozstania z krajem. Andrzej żywił jednak skrupuły.

– Słuchaj, stary – powiedział Markowi – przecież to lipa. Jeśli tylko tam jakoś mi się ułoży, nie wrócę w ciągu roku, ani nawet później. A ty będziesz za mnie oczami świecić i pewnie ci ten mój wyjazd wypomną!

Kostrowicz machnął ręką.

– O mnie się nie martw – odparł. – W razie czego jakoś się wykręcę. A zresztą nie wiadomo, czy to wszystko nie rozpieprzy się za miesiąc albo za dwa. A co dopiero za rok?!

Rozglądając się za drugim świadkiem, Andrzej pomyślał o lekarzu, z którym spędził w szpitalu na rozmowie prawie całą noc po uratowaniu Agaty. Nie od razu przypomniał sobie jego nazwisko: Janusz Poziemski. Znalazł je w książce telefonicznej i tego samego dnia zadzwonił.

Czy zastałem pana doktora? Mówi Andrzej Radzimirski. Pan mnie pamięta?...

Pamiętam – potwierdził niski głos w słuchawce. – Jak tam moja pacjentka?

– W porządku, panie doktorze. Jeszcze mizerna, ale poprawia się z każdym dniem. A ja właśnie w imieniu nas obojga mam do pana wielką prośbę.

– Słucham.

– Powinienem przyjść do pana osobiście. Przepraszam, ale tak się zdarzyło, że... Jednym słowem, pobieramy się wkrótce. I bardzo chciałem prosić, żeby pan doktor był świadkiem na naszym ślubie.

– Ach, tak! – lekarz nie okazał zdziwienia. – Kiedy i gdzie? – zapytał rzeczowo.

– Bardzo się cieszę, panie doktorze. Bałem się, że może pan nie zechce.

– Dlaczegożby nie? Chyba że gdzieś bym wyjeżdżał. Ale jestem na miejscu i z przyjemnością będę państwu świadcował. A przy okazji życzę – zawiesił głos na moment – żeby się wam wszystko obróciło na lepsze.

Tak skromne śluby na pewno rzadko się zdarzają w zabytkowym budynku staromiejskim. Agata miała na sobie beżową garsonkę, uszytą jeszcze wiosną. Matka musiała zwięzić kostiumik, gdyż jego właścicielka schudła mocno w niedawnych miesiącach.

Obaj świadkowie – mili, życzliwi, taktowni – przyszli z pięknymi wiązkami kwiatów. Pani Janina uprosiła zięcia, aby w pięć osób wstąpili do pobliskiej kawiarni – przynajmniej na lampkę wina.

Wyjechała do Wrocławia tego samego dnia wczesnym popołudniem.

– Bardzo dziękuję za wszystko – powiedział Andrzej, odwożąc ją na dworzec. – Naprawdę nie wiem, jak bez pani dalibyśmy sobie radę.

Nie potrafił zdobyć się na zwyczajowy zwrot „mamo” w stosunku do teściowej, choć był jej szczerze wdzięczny za pomoc i opiekę nad Agatą.

Począł, aż pociąg ruszy, po czym wrócił do samochodu, zaparkowanego w pobliżu dworca. Zwyczajny dzień – myślał po drodze. Jakież właściwie ten dzień mógł mieć znaczenie, jeśli od dawna łączyło ich oboje to wszystko, co najmocniej może łączyć dwoje ludzi? A jednak...

Jednak doznał dziwnego wzruszenia, widząc Agatę w domowej sukience. Po rannym ożywieniu wyglądała teraz mizernie, jak gdyby przygasła.

– Wzięłaś się za sprzątanie?! – strofował ją, widząc wyjęte ze schowka szciotki i ścierki. – A tak cię prosiłem: nie męcz się, odpoczywaj! Czego płaczesz, malutka? Dziś przecież nasz wielki dzień! Nie jesteś zadowolona że masz nareszcie prawdziwego męża? I że ten mąż będzie cię krótko trzymał?

– Andrzej... ja... ja chciałam ci podziękować.

– Zwariowałeś? Za co? Jesteśmy razem, tak jak chcieliśmy. Oboje, ty i ja. I tylko to jest ważne. Rozumiesz? Razem – gdziekolwiek będziemy!

Otoczył ramieniem jej szczupłe plecy. Moja żona! – pomyślał z ciepłym wzruszeniem. Naprawdę moja żona!

Długo nierozstrzygnięta pozostawała sprawa wiz. Z powodu ich braku Andrzej musiał dwukrotnie cofać rezerwację w samolocie do Londynu. Tymczasem w całym kraju wrzało od wieców i strajków.

Andrzej starał się trzymać z boku od tej burzliwej fali toczącej się przez Polskę. Niektórzy koledzy dziwili się temu. Inni usiłowali go wciągnąć do takich czy innych działań. Byli tacy, którzy mieli mu za złe, że się od tego uchylał. Nie wspominał o ślubie; mówił natomiast o konieczności remontu mieszkania

i związanych z tym kłopotach.

„Życzliwy”, który wytknął młodemu Radziwińskiemu „romans” z córką stalinowskiego prokuratora, nie odezwał się więcej. Trudno było jednak wykluczyć możliwość powtórnego ataku z tejże strony. Rodzice ponownie pisali, że się pakują – i że chcieliby się znaleźć w Warszawie przed Bożym Narodzeniem. Zuzanna przedłużyła pobyt w leśniczówce aż do pierwszych przymrozków. Kiedy wreszcie Andrzej przywiózł ją do Warszawy, bynajmniej nie kwapiła się z zaproszeniem do siebie obojga młodych.

– Nie teraz, mój drogi – powiedziała, odgadując, że wnuk oczekuje od niej takiego gestu. – A ty się tak nie zagryzaj tym wszystkim! Nawet jeśli wam się nie uda wyjechać, to jeszcze nie tragedia.

Pani Janina zjawiała się prawie co tydzień, przywożąc za każdym razem rzeczy Agaty. Kordaszewski leżał nadal w szpitalu. Podobno wkrótce miał być wypisany do domu. Skutki wylewu opanowano, ale tylko częściowo: lewa strona ciała pacjenta pozostała bezwładna. Lekarze oznajmili, że będzie mógł po pewnym czasie, stąpając o lasce, przejść kilka kroków przez pokój – i to wszystko.

Odzyskał częściowo władze umysłowe: rozumiał, co do niego mówiono, lecz odpowiadał na pytania bełkotliwie i niewyraźnie. Zmian na lepsze nie należało oczekiwać.

Andrzej współczuł teściowej, która w ciągu minionych dwóch miesięcy postarzała się o lat kilkanaście. Najważniejsze, żebyście wyjechali – powiedziała mu na osobności.

Okazało się, że zarówno w Polanicy, jak we Wrocławiu ludzie wiedzą i mówią o „krwawym Pawle”.

„Lepiej, żeby to do Agaty nie doszło! Po co się ma znowu dręczyć? Niech już ta cała ludzka złość spadnie na mnie, nie na nią. A przed wami życie!...”

Jednak wyjazd nie mógł dojść do skutku, choć minęła połowa listopada. Wiz brytyjskich wciąż nie było. Decyzja o ich przyznaniu nadeszła wtedy, gdy już oboje zwątpili w tę możliwość. Andrzej pobiegł niezwłocznie do Lotu, gdzie obłany został przysłowiowym kubłem zimnej wody. Nie było mowy o dwóch miejscach w samolocie do Londynu aż do świąt. Pozostawała im obojgu lista oczekujących, na której znaleźli się po raz trzeci.

Może coś się zwolni, choć na to za bardzo liczyć nie można – powiedziała jedna z urzędniczek, które już znały z widzenia Radzimirskiego. Przez następne dni, ilekroć zasięgał wiadomości, słyszał niezmiennie odpowiedź: brak wolnych miejsc. Nie pomagały ani prośby i błagania, ani czekolada z Peweksu i chałwa z paczek tunezyjskich.

– Sam pan widzi, co tu się dzieje! – te słowa Andrzej słyszał za każdym razem, ilekroć zjawiał się w biurze Lotu. Istotnie, kandydatów na wyjazd było mnóstwo. Przed ambasadami krajów zachodnich koczowały tłumy ludzi.

Coraz częściej wymieniano dzień siedemnastego grudnia jako datę strajku powszechnego – i wielkiej konfrontacji. Andrzej tracił cierpliwość. Miotał się między na wpół spakowanymi walizkami i Lotem – w ustawicznej obawie, czy rodzice nie przyspieszą powrotu.

– To wszystko przeze mnie – powiedziała kiedyś Agata. – Gdyby nie ja, żyłbyś sobie spokojnie i nie musiałbyś nigdzie wyjeżdżać.

– Nie pleć głupstw! – zachnął się wówczas. – Winne te cholerne czasy, w których nam żyć przypadło. Że też nie urodziliśmy się kiedyś indziej – i w jakimś normalnym kraju!

Kraj istotnie z dnia na dzień stawał się coraz bardziej nienormalny. Tysiące jego mieszkańców oczekiwały wieczornych wiadomości telewizyjnych z nawracającym ustawicznie niespokojnym pytaniem: co dalej?

Pewnego dnia podano informację, że Austria wprowadza na nowo wizy dla wyjeżdżających do tego kraju Polaków. A jeśli przypadkiem nasze brytyjskie wizy zostaną unieważnione? – pomyślał Andrzej, nie mówiąc tego na głos. W obecnych warunkach wszystko jest przecież możliwe!

Nazajutrz, ledwie wrócił do domu, Agata powitała go radośnie:

– Dzwonili z Lotu w sprawie miejsc do Londynu! Ta pani, bardzo sympatyczna, prosiła, żebyś się z nią skontaktował jak najprędzej, jeszcze dziś.

Andrzej przez prawie godzinę nie mógł dodzwonić się do Lotu. Wszystkie numery były ustawicznie zajęte.

Wreszcie, spojrzawszy na zegarek, wstał.

– Najlepiej tam pojedę. Dowiem się na miejscu, o co chodzi.

– Nic nie jadłeś! – zmartwiła się Agata.

– Trudno. Zjemy później oboje spokojnie kolację zamiast obiadu.

Kolejka przy okienku z napisem „Rezerwacja” była na szczęście niewielka. Urzędniczka poznała od razu Radzimirskiego.

– Wreszcie mam dla pana lepszą nowinę! Aż dwie osoby zrezygnowały. Od razu pomyślałam, że to będzie coś w sam raz dla państwa. Tylko muszę uprzedzić, że to są rezygnacje z dwóch różnych rejsów. Nie na ten sam dzień i nie na ten sam samolot.

– Czyli że nie możemy lecieć razem?

– Niestety. Są to rejsy... Zaraz sprawdzę – spojrzała do rozkładu – w odstępie trzech dni. Na nic innego się nie zanoszą. To i tak wyjątkowa okazja, bo oprócz normalnego ruchu już zaczyna się przedświąteczny.

Każdy samolot ma komplet, a lista oczekujących stale się wydłuża. Więc jak – reflektuje pan?

– Owszem – potwierdził Andrzej nie bez wahania. – Sądzi pani, że nic innego się nie trafi?

– Wątpię. Jeśli panu zależy na wyjeździe, radzę skorzystać. Może się trafi

jeszcze jakieś pojedyncze miejsce. Ale dwóch prawie o tym samym czasie na pewno nie będzie.

Agata mocno się zasępiła, usłyszawszy tę wiadomość.

– Nie razem? – spytała prawie żałośnie.

– Kochanie, zrozum: to chyba jedyna szansa – perswadował Andrzej.

– Na coś innego trudno liczyć. Zwłaszcza jeśli komuś, jak nam, zależy na czasie. Oczywiście moglibyśmy jeszcze poczekać. Ale – zawiesił głos – sama wiesz...

Wiedziała, że powinni wyjechać przed powrotem jego rodziców. Nie oponowała więc dłużej. Andrzej rozpogodził się natychmiast.

– Wszystko już obmyśliłem. Najlepiej jeśli ty polecisz pierwsza. Ryszard wyjdzie po ciebie, a Marta się tobą zajmie.

– Ja się tak boję wszystkich ludzi, których nie znam! – westchnęła.

– Ich nie musisz się bać. Albo wiesz co, Aga? Zrobimy inaczej. Pojadę pierwszy. Zabiorę tyle maneli, ile się da. Może wyślę ich część frachtem bagażowym, bo ze sobą każde z nas może wziąć tylko dwadzieścia kilo. I poczekam na ciebie w Londynie.

– A ja?!

– Nie róbże takiej wystraszonej miny! Polecisz w trzy dni później. Poproszę Marka – na pewno odwiezie cię na Okęcie i we wszystkim pomoże. Będziesz miała przecież tylko jedną sztukę bagażu i najwyżej ręczną torbę. Zapakujemy wszystko przed moim odjazdem. A przez te trzy dni odpoczniesz sobie. I nie wolno ci będzie nic robić, pamiętaj!

– Andrzej, ale ty mnie tu nie zostawisz?

– Aga, jak możesz myśleć o czymś takim? Powiedziałem ci już, że jesteśmy razem na złe i dobre!

Następnego dnia zjawiała się pani Janina, zaziębiona i mocno kaszląca. Na wiadomość o rychłym wyjeździe obojga młodych westchnęła głęboko.

– To już niedługo! Przyjechałabym tutaj na te trzy dni, żeby pobyc z Agatą. Ale nie wiem, czy dam radę.

– Tyś powinna poleżeć, mamo – rzekła Agata. – Chyba masz gorączkę?

– Ee, jaka tam gorączka! Parę kresek. Grypa się przy mnie płacze. Żebym tylko ciebie, córuchno, nie zaraziła przed drogą!

Andrzej wyszedł na chwilę z pokoju. Pani Janina zniżonym głosem zagadnęła:

– Lepiej się czujesz, Aguś? Może byś wpadła do Wrocławia? On przecież...

– Nie! – krzyknęła Agata prawie histerycznie. Tymczasem Andrzej wrócił i natychmiast wyczuł napięcie pomiędzy matką a córką.

– Idę zrobić coś do jedzenia – rzekła Agata, opuszczając pokój. Kordaszewska, napotkawszy wzrokiem pytające spojrzenie zięcia, wyjaśniła:

– Spytałam, czy nie wybrałaby się na jeden dzień... do szpitala. Zawsze to

przecież ojciec...

– Po co pani jej o tym mówi? – przerwał Andrzej z wyrzutem. – Nie bronilibym jej pojechać, gdyby chciała. Ale ona przecież nie chce.

– On ją naprawdę bardzo kocha. – I...

– Dajmy temu na razie spokój! Widać, że ją to wszystko zanadto boli. A z nerwami jeszcze całkiem nie wydobrzała. Musi zachować siły na podróż i na wszystko, co nas czeka.

Janina Kordaszewska pomyślała o mężu. Mówi wciąż jeszcze tak, że jedynie ona może zrozumieć poszczególne słowa. Ale jest przytomny. Będzie chciał wiedzieć, co z Agatą. Nie mogła odmówić słuszności zięciowi – ale... – Jak Andrzeja nie będzie w domu, poproszę Agę, żeby napisała choć kilka słów. Może to Pawłowi trochę ulży. On jeszcze nie wie o tych telefonach z pogrózkami, które ostatnio znów się powtórzyły. Jednak lepiej, że Agata wyjeżdża! No, cóż – rozum mówi swoje, a serce płacze. Strach pomyśleć: moje dziecko jedyne ruszy gdzieś na kraj świata i nie wiem, czy je kiedyś znów zobaczę...

Tymczasem każdy dzień przynosił coraz bardziej pesymistyczne wieści. Groźba wojny domowej stawała się tak samo realna, jak perspektywa interwencji z zewnątrz.

W przeddzień odlotu Andrzej, zmordowany do ostateczności, wracał do domu. Nurtowały go nie tylko obawy, lecz także gorzkie wątpliwości. Teraz, kiedy załatwił wszystko, co trzeba, kiedy pozostało mu właściwie jedno: zgarnąć bagaże i udać się na Okęcie – opadły go pytania: Czy dobrze robię, że wyjeżdżam? Czy nie powinienem raczej zostać i uczestniczyć we wszystkim, co będzie się tu działo? Czy mój wyjazd nie jest aktem tchórzostwa, a nasze wspólne decyzje – ucieczką?

Muszę ratować Agatę – powtarzał. Lecz ten argument, do niedawna przekonujący, zdawał się tracić swą siłę. Trudno. Klamka zapadła.

W domu nie miał czasu powrócić do poprzednich rozważań. Kilkakrotnie odzywały się telefony. Pani Janina życzyła zięciowi wszystkiego najlepszego, martwiąc się o Agatę, do której mimo najszczerzych chęci, nie może przyjechać z powodu grypy.

– Wszystko w porządku, Aga na pewno da sobie radę – zapewniał Andrzej, życząc teściowej wyzdrowienia i wszystkiego najlepszego.

Kolejny telefon. Tym razem pani Zuzanna chciała raz jeszcze pożegnać wnuka.

– Niech Cię Bóg prowadzi! – powiedziała z opanowaniem, które musiało ją wiele kosztować. – Uważaj na siebie i daj znać, jak tylko będziesz mógł. Nie mów na razie nic Agacie. Ale bądź o nią spokojny. W razie czego ja tu jestem.

– Ufff! – odetchnął wreszcie, odłożywszy słuchawkę. – Można zwariować w tym całym młynie!

– Kochany! – Agata usiadła obok na tapczanie. – Tylko nie krzycz na mnie i nie bądź zły. Ale ja się tak boję!

– Czego?

– Że coś się stanie. Że ty będziesz tam, a ja zostanę tutaj. Andrzej, nie dając poznać po sobie, że i jego nawiedzają podobne obawy, ofuknął ją żartobliwie:

– Co ty znowu sobie do głowy przybierasz?! Może coś się dzieć za trzy miesiące, albo nawet za trzy tygodnie. Ale nie za trzy dni! Jak wyjadę, odpocznij sobie, wyśpij się za wszystkie czasy, bo nikt ci nie będzie przeszkadzał – uśmiechnął się do niej przy tych słowach. – Możesz się wybrać na spacer, ale tylko w dzień, nie wieczorem, bo na ulicach robi się niebezpiecznie. Pamiętaj, że przed nami dwie podróże. Najpierw do Londynu, potem dalej. Musisz być w dobrej formie! Z Markiem wszystko ustaliłem. Odwiezie cię na Okęcie i zaczeka, aż samolot wystartuje. Ja dam znać, jak tylko przyjadę. Jeśli jutro się nie odezwę, to znaczy, że nie mogłem się dodzwonić. Aha, żebym nie zapomniał!

Sięgnął po fotografię Kamila Kotwiczą, owinął ją starannie w papier i schował do torby.

– Ja też wzięłam moją – zauważyła Agata. – Andrzej, ja tak sobie myślę... Gdyby on żył, czy zgodziłby się na twój wyjazd?

I tym razem Andrzej nie ujawnił, że słowa żony trafiły w samo sedno jego niedawnych rozmyślań.

– Gdyby nie ja, miałbyś spokój – zaczęła Agata.

– Przestań, kochanie! Już ci mówiłem, że nie chcę o tym słyszeć. I nie ma sensu rozważać „co by było, gdyby”. Obydwoje tu kiedyś wrócimy, prawda? I to jest najważniejsze. Pomyśl – teraz ruszamy w świat jak... jak Robinson z Piętaszkiem. Tyle, że nie na bezludną wyspę!

– Obawiam się tej Afryki! – westchnęła Agata.

– A ja zaczynam być jej ciekaw. Wszędzie ludzie jakoś żyją. Wiesz, że tam, w RPA jest podobno całkiem spora Polonia? Tylko że u nas nic się o tym nie pisze...

Odwiozła go na lotnisko. Najtrudniejszy był moment rozstania, kiedy musiała zatrzymać się przed barierką. Ostatnie pożegnalne słowa:

– Uważaj na siebie!

– I ty też! Pamiętaj, do zobaczenia niedługo!

Kiedy Andrzej znikł w hali odlotów, Agata pospieszyła na taras. Mimo przejmującego chłodu, stała długo tuż przy poręczy. Nie mogła dostrzec męża za szybami autobusu, lecz była pewna, że i on jej szuka wzrokiem. Potem wydało jej się, że widzi go wśród gromady pasażerów, wstępujących na schodki. Chyba to on odwrócił się i raz jeszcze pomachał ręką przed wejściem do kabiny. Zimowy wiatr silnymi podmuchami smagał twarz.

Oczy przesłoniła szklista wilgoć. Wreszcie, usłyszawszy przez megafon

wiadomość o starcie samolotu Polskich Linii Lotniczych do Londynu, Agata zapięła szczelnie kołnierz płaszcza i pośpieszyła na końcowy przystanek autobusu „175”. Przyjechawszy na Świętojerską, położyła się, tak jak stała, w ubraniu, na tapczanie – i natychmiast zasnęła.

Wczesnym popołudniem po przebudzeniu zaczęła sprzątać mieszkanie. Chciała zostawić wszystko w jak największym porządku na przyjazd rodziców Andrzeja. W pewnej chwili wyłączyła odkurzaczy, przejęta nagłą obawą: a jeśli państwo Radzimirscy zjawią się nieoczekiwanie dziś lub jutro? Co powiedzą, zastając w domu obcą osobę?

„Życie Warszawy” dociera do Tunisu, choć nieregularnie – i bardzo możliwe, że rodzicom Andrzeja wpadł w ręce ów numer... Z napomknięć męża wiedziała, że jego rodzina jest zorientowana w całej prawdzie – i że głównie dlatego zdecydował się na wyjazd. Z trudem pohamowała łzy. Straszny ze mnie mazgaj! – skarciła samą siebie. Zamiast się cieszyć, że on mnie kocha mimo wszystko i że będziemy razem, po głupiemu rozczulam się nad sobą!

Ustawiła w kącie pokoju Andrzeja swój rozmontowany warsztat tkacki, przysłany przez matkę z Polanicy. Prawie pieszczotliwym ruchem dotknęła narzędzia pracy, którą tak bardzo lubiła. Kilka tkanin zapakowała do bagażu. Może przydadzą się tam na upominki albo na sprzedaż? Albo jako świadectwo jej, Agaty, uzdolnień?...

Telefon. Podniosła słuchawkę. Omyłka. Po chwili znów dzwonek. To Marek, przyjaciel Andrzeja.

– Odleciał? Wszystko w porządku? Przyjadę po panią w sobotę świętem. W piątek zadzwonię. Gdyby pani czegoś potrzebowała, mój numer jest w książce telefonicznej. Zresztą Andrzej na pewno go zapisał.

Przytaknęła, podziękowała i poczuła się nieco raźniej. Włączyła telewizor, wysłuchiwała niezbyt uważnie wiadomości i postanowiła napisać do ojca. Nie wiadomo, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Nie bez trudu skleciła kilka zdań. Zawiadamiając o ślubie z Andrzejem i o wyjeździe z kraju, życzyła ojcu powrotu do zdrowia. Na nic więcej wciąż nie potrafiła się zdobyć.

Znów telefon. Nieznajomy głos męski spytał o inżyniera Radzimirskiego.

– Nie ma go – odparła Agata, czując niepokój.

– Kiedy wróci? – indagował nieznajomy.

– A kto mówi?! – spytała energicznie.

– Czy to może małżonka? – Potwierdziła. – A jakże się miewa szanowny tatuś pani? – Słowom tym towarzyszył drwiący śmiech.

Agata rzuciła słuchawkę na widelki. Przez dłuższą chwilę dygotała. Kim jest ten człowiek?! Czego chce od Andrzeja? Chciała wyłączyć telefon – ale przecież teraz, bliżej wieczora na pewno matka zadzwoni. Pani Janina odezwała się

niebawem, pytała jak córka się czuje po wyjeździe Andrzeja? Czy odleciał punktualnie i czy wszystko w porządku?

– Pamiętaj, Agatko, nikomu nie otwieraj drzwi, szczególnie wieczorem! – przestrzegala. – Coraz więcej teraz napadów na mieszkania. Przyjechałabym do ciebie, żeby cię wyprawić, ale mam wciąż ten paskudny kaszel i jednak trochę gorączkuję.

Agata oznajmiła, że jutro wyśle gotowy już list do ojca. Ta zapowiedź ucieszyła panią Janinę.

– A jak... u niego? – Bez zmian – brzmiała odpowiedź.

Nigdy dotychczas Agata nie spędziła samotnie nocy w mieszkaniu na Świętojerskiej. Bez Andrzeja wydawało jej się dziwnie puste i obce. Sprawdziła, czy drzwi są dobrze zamknięte i zabezpieczone łańcuchem. Zrobiła sobie ciepłą kąpiel – i położyła się. Andrzej zadzwonił około siódmej rano, gdyż poprzedniego wieczora nie zdołał uzyskać połączenia.

– Wszystko w porządku? – pytał. – Jak się czujesz, kochanie? Ktoś dzwonił?

– Mama i Marek – odparła.

– No, to trzymaj się, moja mała, dzielna żono! – głos Andrzeja brzmiał tak wyraźnie, jak gdyby mówiący znajdował się tuż obok niej, nie zaś w odległym Londynie. – Pojutrze będę na ciebie czekał. Pamiętaj, żeby oddać Markowi klucze od mieszkania. Ściskam, całuję, kocham! Ryszardowie pozdrawiają.

Agata poczuła się raźniej. Przed południem wyszła na miasto. Wizyta u fryzjera poprawiła jej samopoczucie. Chciała kupić Andrzejowi oraz jego londyńskim przyjaciółom jakieś drobiazgi na gwiazdkę. Sklepy jednak były wymięcione z towarów. Z trudem znalazła dwa jednakowe skórzane męskie portfele. Marta dostanie ode mnie jedną z moich szmatek – postanowiła, wracając do domu.

Był już późny wieczór, gdy ostry dźwięk dzwonka do drzwi oderwał ją od lektury. Weszła do przedpokoju.

– Kto tam?

– Proszę otworzyć! – zabrzmiał męski głos, wyraźnie słyszalny przez drzwi obite grubą skórą. – Tu wojsko polskie!

Agata zdrętwiała. Głupi żart? – Nie, raczej groźba.

– Co to znaczy? – podniosła głos, usiłując mówić spokojnie. – Nikomu nie otwieram!

– Mam wiadomość od pani męża. Proszę otworzyć!

Strach paraliżujący przed chwilą Agatę przerodził się w gniew. Andrzej był daleko, ale przecież rozmawiała z nim całkiem niedawno!

I nie dawałby jej znać przez jakichś podejrzanych typów, dobijających się prawie nocą do drzwi!

– Nikomu nie otworzę – wrzasnęła. – I zaraz dzwonię na milicję!

Za drzwiami padła seria wulgarnych wyzwisk i pogróżek. Ktoś szarpnął klamkę, która jednak trzymała się mocno. Agata sięgnęła do leżącej na stole książki telefonicznej. Znalazła numer milicji i jęła go wykręcać. Ręce jej się trzęsły, z trudem panowała nad sobą. Była sama w tym pustym mieszkaniu i nie знаła nikogo w pobliżu!

Tymczasem na klatce schodowej jeszcze słyhać było ruch. Potem wszystko ucichło. Agata czekała przez dłuższą chwilę, zanim odezwała się dyżurna urzędniczka.

Załamującym się głosem opowiedziała jej o najściu nieznanym i łomocie do drzwi.

– Pani jest sama w domu?

– Tak. Mąż wyjechał... na kilka dni. Służbowo.

– Proszę nie otwierać nikomu, pod żadnym pozorem! Bardzo często zdarzają się teraz napady na mieszkania, w których są ludzie starsi albo samotni. Co tamci mówili?

– Że... że są z wojska i że mają wiadomość od mojego męża... A on wcale nie jest w wojsku. I dzwonił do mnie niedawno...

– Oczywiście to pretekst, żeby wejść. Gdzie pani mieszka? Świętojerska? Blisko nas, to znaczy komendy. Zawiadomię radiowóz, który patroluje tę dzielnicę, żeby zwrócili uwagę na dom i na klatkę schodową. Proszę podać jeszcze raz dokładny adres. A drzwi ma pani mocne?

– Raczej tak – odparła Agata. Przyjrzała się dopiero teraz drzwiom wejściowym. Wyglądają solidnie. Widać, że obite są nie tylko dermą, lecz także blachą.

– Bardzo się pani zdenerwowała? – zagadnął życzliwie głos w słuchawce.
– Nie dziwię się. Ale na pewno ich pani spłoszyła. Ci z radiowozu sprawdzą, czy tam wszystko w porządku. Najlepiej niech pani łyknie teraz jakąś walerianę i pójdzie spać.

– Dziękuję bardzo. Dobranoc.

Ochłonawszy nieco, Agata zadzwoniła do Marka Kostrowicza. Dochodziła godzina jedenasta – może więc jeszcze nie śpi? Odezwał się prawie natychmiast i był mocno przejęty tym, co mu opowiedziała.

– Gdybyśmy nie mieszkali tak daleko, zabrałbym panią do nas. Żona mi to podpowiada. Może jednak?...

– Nie, panie Marku, dziękuję. Ta pani z milicji na pewno zawiadomiła radiowóz.

– W razie czego proszę dzwonić!

Agata spała tej nocy niespokojnie i często się budziła. Nie zaszło jednak nic nadzwyczajnego. Wstała około ósmej i włączyła radio. Ostatni raz słucham dziennika porannego! – myślała. Jutro o tej porze będę już na lotnisku... Żeby tylko

nic już się nie wydarzyło! Postanowiła tego dnia nie ruszać się z domu. Chyba nikt już tu się nie zjawi? Ale po godzinie dziesiątej zabrzmiał dzwonek do drzwi. Tym razem był zwyczajny, nienatrzętny. Agata drgnęła, postanawiając nie otwierać. Dzwonek jednak powtórzył się po raz drugi i trzeci. Wymyślając sobie w duchu od tchórzy, weszła do przedpokoju i tak jak wczoraj spytała:

– Kto tam?

Głos kobiecy za drzwiami wydał jej się znajomy:

– Swój!

– Kto taki?

– Otwórz, Agatko!

Przekręciła klucze w obu zamkach, i nie spuszczać łańcucha, uchyliła drzwi. Za nimi stała babcia Zuzanna.

– Agata osłupiała, nie wiedząc, co powiedzieć. Otworzyła drzwi, cofnęła się o krok.

– Agatko, to ja! Czemu się tak spłoszyłaś? – Zuzanna objęła ją ramieniem.

– Jesteś żoną Andrzeja i dla mnie tylko to się liczy. Rozumiesz? Bardzo cię proszę, zrób mi herbaty, bo zmarłam.

Te proste, zwyczajne słowa otrzeźwiły Agatę. Rzuciła się do kuchni. Powróciwszy z niej, zastała Zuzannę, przeglądającą poranne gazety.

– Próbowałam wczoraj dzwonić, ale telefon długo był zajęty. Andrzej się odezwał?

– Tak, ale dopiero rano. Wczoraj wieczorem...

Agata zrelacjonowała najście nieznanym. Zuzanna słuchała uważnie, marszcząc chwilami brwi.

– Chwała Bogu, żeś nie otworzyła! Na pewno by cię pobili, a dom ograbili. Wciąż się teraz słyszy o takich napadach. Podobno przez park Krasińskich niebezpiecznie iść – nawet w biały dzień wrywają kobietom torebki. Odlatujesz jutro rano, tak? Zostanę z tobą. Będzie ci raźniej, prawda?

– Ach, jak dobrze! – ucieszyła się Agata.

– A jak z odjazdem? Dziś trzeba zamówić na jutro taksówkę.

– Przyjedzie Marek, Andrzeja kolega. Obiecał mnie odwiedzić na Okęcie.

– To doskonale. Zrobię obiad dla nas obu. A ty możesz spokojnie się spakować i wyjść na miasto. Pewnie masz coś do załatwienia?

– Ja właściwie już jestem spakowana. Obiecałam sobie, że po tym wczorajszym nie ruszę się stąd aż do odjazdu.

– Teraz nie musisz się niczego bać. Radzę ci, przejdź się trochę. Bardzo przyjemna pogoda: mróz nie za duży, spadło trochę śniegu. Nawet jeśli nie masz nic do załatwienia, zrób sobie spokojny spacer. Powinnaś pożegnać się z Warszawą. Bo przecież... – Zuzanna umilkła na moment – przecież to na długo!

– Nie chciała powiedzieć: Może na zawsze?

Agata przez prawie trzy godziny była poza domem. Pojechała w Aleje Ujazdowskie, potem wracała z nich pieszo przez plac Trzech Krzyży, Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście. Nie patrzyła na mury pełne plakatów, haseł i napisów – lecz po prostu na Warszawę. Mimo pustawych sklepów, dawał się wyczuć nastrój przedświąteczny. W pobliżu placu Zamkowego sprzedawano choinki. Agata kupiła małe drzewko ze stulonymi gałązkami. Nie jest ciężkie – stwierdziła, zabierając ten sprawunek. A mam przecież tylko jedną ręczną torbę. Andrzej na pewno się ucieszy.

Weszła na chwilę do kościoła Świętej Anny. W przedświątecznym przedświątecznym sprzedawano opłatki. Nabyła całą ich paczkę. Przestały ją razić kolejki przed sklepami i pochmurne twarze opryskliwych ludzi, o byle co wszczynających kłótnię.

– Inaczej wyglądasz – powiedziała Zuzanna na jej widok. – Co to jednak znaczy być trochę na świeżym powietrzu! A z tą choineczką świetny pomysł. I z opłatkiem też. Tam jest przecież tylu Polaków. I ci przyjaciele Andrzeja – na pewno będziecie u nich na Wigili... – przy tych słowach stłumiła westchnienie.

Po obiedzie starsza pani położyła się na krótką drzemkę. Agata zmyła naczynia i uporządkowała kuchnię, odczuwając znów przyływ dziwnego niepokoju.

Marek zadzwonił, upewniając się, czy wszystko w porządku.

– Na Okęciu musimy być około siódmej, prawda? O tej porze nie ma wielkiego ruchu. Jedźcie się bez stawania na światłach. Tylko że może być ślisko. Będę o szóstej piętnaście – zgoda, pani Agatko? Wyjeżdżając z domu, zadzwonię. Pani Kotwiczowa jest z panią? To znakomicie. Nie będzie pani sama. No, to do zobaczenia jutro o bladym świcie!

Agata odetchnęła. Jutro o tej porze będę na pewno z Andrzejem. Nawet jeśli samolot się spóźni!

Ostatnia kolacja. Ostatni dziennik telewizyjny. Agata słuchała wiadomości z kraju, doznając uczucia dziwnego rozdwojenia: jak gdyby była zarazem tutaj, w Warszawie – i daleko w świecie. Zuzanna milczała, pogrążona we własnych rozmyślaniach. Odczuwała również lęk przed jutrem, inny wszakże niż ten, który nurtował Agatę. Lepiej, że wnuk wyjechał poza obręb kraju buzującego niepokojem jak kocioł, pod którym wciąż ktoś dorzuca nową porcję paliwa. Ale niebawem wrócą tamci dwoje – i być może, wpadną od razu prosto w rozpętane piekło. Że nastąpi jakieś groźne przesilenie – tego była pewna. Jaki przebieg będą miały najbliższe wydarzenia? Trudno cokolwiek prorokować. Przymknęła oczy, porażona wizją zbrojnej konfrontacji, bratobójczej walki, krwi na ulicach Warszawy... Wstrząsnął nią nagły dreszcz. Otuliła się ciepłym szalem.

– Masz wszystko przygotowane, Agatko? – spytała, aby otrząsnąć się z posępnych przeczuć. – Paszport, bilet i tak dalej?

– Tak, już posprawdzałam. Tylko...

– Tylko co?

– Może jestem strasznie głupia, ale wciąż się boję, żeby coś nagle się nie stało.

– Jesteś przewrażliwiona. Nic dziwnego. Wszyscy teraz chodzą spięci i niespokojni. Jedno jest pewne: że jutro lecisz. A jeśli dziś – czego nie przypuszczam – jakiś bandzior zadzwoni do drzwi, damy mu radę we dwie!

Agata uśmiechnęła się i wstała, żeby podać przygotowaną kolację. Starsza pani znów zapytywała sama siebie: Czy dobrze, że Krzysztofowie wracają? Może lepiej byłoby dla nich przeczekać najbardziej burzliwy okres poza krajem? Wszyscy się obawiają daty siedemnastego grudnia i terminu przewidywanej konfrontacji. Ale jutro będzie chyba jeszcze spokój?

Nie stało się nic szczególnego. Budzik zadzwonił o piątej trzydzieści.

– W przeciwieństwie do moich dzieci uważam, że lepiej wstać wcześniej i zbierać się bez pośpiechu – powiedziała Zuzanna, krzątając się przy kuchni.

– Agatko, pij spokojnie kawę. Masz jeszcze czas. I weź na drogę te kanapki.

– Dziękuję. Ale przecież w samolocie karmią, i to podobno nieźle. Nawet teraz.

– Nie tak prędko będziesz w tym samolocie. A jeśli się zdarzy jakieś opóźnienie przy tej pogodzie i trzeba będzie poczekać?

Za oknami trwała jeszcze zimowa ciemność. Radio przez chwilę mówiło o mgłach i okresowych przejaśnieniach.

Telefon. Marek trochę zaspianym głosem oznajmił, że już wychodzi. – Proszę czekać w domu, pani Agatko. Na ulicy zimno i nie trzeba, żeby pani dźwigała bagaż. Będę najdalej za pół godziny.

Przyjechał niebawem.

– Ja zostanę tu w najbliższych dniach – oznajmiła pani Zuzanna, biorąc klucze z rąk Agaty. – Jutro pojedę do siebie, ale na krótko. Jeśli płaczą się w pobliżu jakieś podejrzone typy, lepiej, żeby ktoś był w mieszkaniu. No, trzymaj się, Agatko! Ucałuj Andrzeja i życz mu ode mnie wszystkiego najlepszego. Weź swoją choineczkę. Daj znać, jak przyjechałaś. Na pewno się zobaczymy, choć nieprędko!

Agata nadrabiała miną w chwili pożegnania. Uśmiechnęła się nie bez wysiłku.

– Dziękuję za wszystko! – szepnęła. – Bardzo, bardzo dziękuję!

Zuzanna stanęła przy oknie. Przez chwilę patrzyła na dwie postacie widoczne obok samochodu. Kiedy wóz ruszył z miejsca, kierując się w stronę ulicy Nowotki, westchnęła głęboko, uniosła dłoń – i dawnym gestem matek, żegnających bliskich, którzy jechali na niepewne, nakreśliła w powietrzu znak krzyża.

Obawy, ukrywane przed Agatą, znów dały znać o sobie. Nie pomogła ani

mocna herbata, ani maleńka porcja „zakazanego napoju”, czyli mocnej kawy. Zuzanna uspokoiła się dopiero po telefonicznej wiadomości, jaką Marek przekazał około południa.

– Wszystko w porządku! Może pani być spokojna. Odleciała jakąś godzinę temu. Dzwonię z biura, bo z Okęcia się nie dało. Kolejka do wszystkich automatów, a co drugi nie działa.

– Dużo pasażerów?

– Tłumy! Istna wędrówka ludów! Agata przestraszyła się w pierwszym momencie, bo trudno było precyzyjnie się w tej ciżbie. Odlot opóźnił się prawie o godzinę, podobno z powodu mgły. Pewnie to nawet prawda, bo warunki atmosferyczne nieszczerłone. Na wszelki wypadek wolałem zaczekać, aż samolot wystartuje, bo o tej porze roku różnie bywa. Dwie godziny do Londynu, więc chyba powinna lada chwila być na miejscu.

– Chwała Bogu! – powiedziała Zuzanna, czując głęboką ulgę. Rozluźniona i spokojniejsza zaczęła szukać jakiejś odprężającej lektury. Obok tapczanu Andrzeja w jego pokoju leżała jakaś współczesna powieść amerykańska, którą poprzedniego wieczora czytała Agata. Spomiędzy kartek książki wypadła koperta służąca zamiast zakładki. Na kopercie figurował adres: „Ob. Agata Radzimirska, 00-202 Warszawa, ul. Świętojerska...”. Na odwrocie widniało nazwisko: Janina Kordaszewska, Polanica...

Zuzanna pokiwała głową, jak gdyby odpowiadając swoim własnym myślom. Mimo wszystko współczuła tej nieznajomej kobiecie.

Mąż nie dość, że sparaliżowany, lecz także otoczony ludzką nienawiścią, w pełni uzasadnioną. Jedyna córka wyjechała w świat.

A jeśli nawet wróci, na pewno nie potrafi kochać ojca jak dawniej, znając całą prawdę o nim. Los wziął odwet na Pawle Kordaszu. Szkoda tylko, że uderzył równocześnie w jego Boga ducha winną żonę.

A teraz? Ja mam wokół siebie krąg ludzi bliskich i kochanych. A tamten? Od niego odwróciła się nawet własna córka.

Odruchowo wyszeptwała słowa, na które latami nie mogła się zdobyć: „...i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...”. A potem, jak gdyby oprzytomniawszy, rozejrzała się wokół. Schowała do torebki kopertę. Odłożyła na bok przekład amerykańskiej powieści. Znalazła na półce pierwszy tom Potopu, znakomite, jak twierdził Krzysztof, lekarstwo uspokajające. Owinięta ciepłym pledem, pogrzyła się z przyjemnością w dobrze znanych perypetiach Kmicica i Oleńki. Potem zmorzył ją sen. Ocknęła się, kiedy za oknami było już ciemno. Włączyła telewizor, z którego popłynął strumień niepokojących wiadomości i ponurych zapowiedzi. To samo działo się w radio. Zuzanna wyłączyła obydwie odbiorniki.

Agata jest już z pewnością na miejscu – stwierdziła, spojrzawszy na zegarek.

Ta sprawa na razie spadła mi z głowy. Jak oznajmić niebawem Joli i Krzysztofowi fakt ślubu Andrzeja i jego wyjazdu?! Pomyślę o tym później.

Czuła nowy przypływ senności, której nie chciała się poddawać, wciąż oczekując na wiadomość z Londynu. Ale telefon milczał. Senność zaś była coraz silniejsza.

Ostry sygnał dzwonka wyrwał Zuzannę z drzemki. Skwapliwie sięgnęła po słuchawkę. Już noc? – zdziwiła się mimo woli. Ścienny zegar wskazywał dwadzieścia minut po jedenastej.

Babciu, to ty?! – głos Andrzeja brzmiał bardzo wyraźnie. – Słyszysz mnie, babciu? Jesteśmy razem! Agata przyleciała – zdrowa, cała, zadowolona. Odebrałem ją na lotnisku. Dziękuję za opiekę! Dopiero teraz udało nam się złapać połączenie. Już, Aga, już. Ona mi wrywa słuchawkę!

– To ja – zabrzmiał głos dziewczyny. – Dzięki, babciu najukochańsza!

W słuchawce zabrzmiało lekkie stuknięcie. Potem zaczął powtarzać się z monotonną jednostajnością sygnał oznaczający, że numer jest zajęty.

– Halo! – wołała Zuzanna raz, drugi, trzeci. – Halo!

Na próżno. Rozmowa urwana. Co za pech! Ale dowiedziałam się najważniejszego: oboje młodzi są razem. Agata dotarła szczęśliwie do Londynu.

Na wszelki wypadek Zuzanna nie odkładała słuchawki. Stukanie w widełki nic nie pomogło. Zrezygnowała po paru minutach daremnego czekania. Może – zorientowawszy się, że połączenie zostało przerwane – Andrzej spróbuje zadzwonić raz jeszcze.

Czekała długo – bez skutku. Coś musiało się zablokować – osądziła wreszcie. W takim bałaganie jak teraz wszystko jest możliwe!

W końcu uznała, że może z czystym sumieniem odpocząć. Zasnęła prawie natychmiast i obudziła się późno. Za oknami był już jasny dzień. Dziś przecież niedziela! – rozgrzeszyła samą siebie. Nie potrzebuję nigdzie się spieszyć. Dawno tak dobrze nie spałam!

Włączyła radio. Zamiast porannej muzyki lub komunikatów brzmiało w nim przemówienie... Padły słowa: stan wojenny.

Zuzanna zastygła w bezruchu. Spojrzawszy w okno, dostrzegła opancerzone pojazdy wojskowe, które zmierzały w kierunku Śródmieścia.

XIV

W pierwszym roku stanu wojennego widziałam się dwa lub trzy razy z Radzimirskimi. Byłam świadkiem żalu i rozgoryczenia Joli, która nie mogła wybaczyć synowi ślubu bez powiadomienia rodziców i wyjazdu na te „afrykańskie antypody”, synowej zaś, że była córką „takiego ojca” i że z jej powodu Andrzej opuścił kraj. Słyszałam argumenty pani Zuzanny, broniącej młodych – i wyrazy oburzenia Joli, która nie mogła pogodzić się z tym, że „mama jest po ich stronie”.

Krzysztof pewnego razu powiedział:

– Najważniejsze, żeby im było dobrze razem. Wtedy nieistotne, z jakiej ona rodziny pochodzi i gdzie mieszkają. Przypomnij sobie, Jolu, dawne czasy, kiedy ciebie krzywdzono i dyskryminowano za to, że byłaś córką swojego ojca. Czy takie sytuacje muszą się powtarzać?

– Jak możesz porównywać?! – obruszyła się jego żona. – Kim był mój ojciec? A kim był, to znaczy, kim jest ten łajdak?!

– Przepraszam cię bardzo, ale sama sytuacja jest mimo wszystko porównywalna – nie ustępował Radzimirski. – Dzieci nie powinny ponosić konsekwencji za postępowanie rodziców – chyba że się z nimi solidaryzują. Agata zerwała z ojcem, odcięła się od niego i od jego przeszłości. Musiała to ciężko przeżyć, jeśli z nim była uczuciowo związana. Stała po stronie Andrzeja. Po naszej stronie. Sądząc z jego listów, oboje są z siebie zadowoleni. Czegóż można chcieć więcej?

– Ach, dajcie wy mi wszyscy spokój! – wybuchnęła Jolanta, opuszczając pokój, Krzysztof mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Ona musi jeszcze to wszystko przetrwać w sobie – powiedział. – Ja też nie byłem zachwycony tym pośpiesznym ślubem. To chyba zrozumiałe: mamy go przecież tylko jednego, a wyjechał tak nagle – i tak daleko! Ale nie reaguję na to tak gwałtownie jak Jola. Dla mnie ważne jest tylko jedno: żeby to małżeństwo było udane. I – dodał po krótkiej pauzie – żeby jednak wrócili...

Liczne sprawy i kłopoty, z jakimi borykałam się w dwóch następnych latach, rozluźniły mój kontakt z Radzimirskimi. Nie widziałam ich przez czas dłuższy. Aż wreszcie zadzwoniła do mnie przyjaciółka, która niedawno wróciła od córki i zięcia z Johannesburga. Jak się okazało, podróże Polaków do stolicy Republiki Południowej Afryki, z którą nasz kraj nie utrzymywał przedtem żadnych stosunków dyplomatycznych, stały się częstsze. Trasa była już „przetarta”: do Harare, stolicy Zimbabwe, kursowały samoloty bułgarskie, a z Harare do Johannesburga był już tylko „żabi skok”. Do Polonii południowoafrykańskiej, osiadłej po drugiej wojnie światowej w tym kraju, przyłączyła się nowa fala wychodźców, przeważnie ludzi młodych, którzy opuścili nasz kraj tuż przed stanem wojennym, albo nawet podczas niego.

Nie każdy Polak mógł sobie łatwo i szybko znaleźć „miejsce na ziemi” w krajach Europy Zachodniej. Natomiast Republika Południowej Afryki cudzoziemców, zwłaszcza wykształconych, z dyplomami, przyjmowała chętnie, oferując im od razu bardzo korzystne warunki.

– Wyobraź sobie, spotkałam tam twoich znajomych – opowiadała przyjaciółka.

– Kto to taki? – zdziwiłam się.

– Radzimirscy.

Byłam zdumiona. Radzimirscy?! Czyżby znowu wyjechali? Nazwisko to bowiem kojarzyło mi się przede wszystkim z parą lekarzy.

– On inżynier architekt, ona plastyczka – informowała moja przyjaciółka
– Znasz ich przecież?

– Ach, to ci młodszy! – już wiedziałam, o kogo chodzi.

– Dobrze im się powodzi. Ale bardzo tęsknię za krajem, mimo tamtejszego dobrobytu.

Ta wiadomość rozbudziła we mnie na nowo zainteresowanie losami rodziny Radzimirskich. Postanowiłam dowiedzieć się „u źródła”, co słyhać u młodej pary, która swoją wspólną drogę zaczęła od wędrowki w daleki świat. Wędrowki, która w ówczesnych warunkach przypominała ucieczkę z zagrożonego kraju.

Tymczasem telefon na Świętojerskiej milczał. Nikogo nie było również w mieszkaniu pani Zuzanny Kotwiczowej. Nadeszło lato, zaczął się sezon urlopów. Pora taka sama jak wówczas, kiedy odsłonięcie prawdy o przeszłości ojca Agaty omal nie rozbiło uczucia dwojga młodych.

Postanowiłam zadzwonić do rodziców Krzysztofa. Radzimirskich – seniorów widziałam chyba tylko dwa razy. Profesor był nieobecny, przebywał gdzieś poza Warszawą. Pani Aleksandra od razu wyraziła gotowość spotkania ze mną.

– Tak, wszyscy się porozjeżdżali – powiedziała o swojej rodzinie. – Ale ja jestem. Niech pani wpadnie na kawę! Pogadamy.

Następnego dnia znalazłam się na ulicy Profesorskiej: w domku, który – wedle opowiadań Joli – wyglądał jak skrawek innego świata. Istotnie było coś bardzo „południowego” w wyglądzie niewielkiego budynku, malowniczo wrosniętego w nierówny teren, w obfitości zielonych pnączy, w bogactwie kwiatów, wypełniających mały, starannie pielęgnowany ogródek. Kolorowy parasol na małym tarasie, gorąca czerwień przepysznych pelargonii, rosnących w glinianych wazach, zielona pergola pomiędzy kutą w żelazie furtką a wejściem do garażu – wszystko to było urocze.

Doktor Radzimirska, którą bliscy nazywali, jak dawniej, Oleńką, mimo wieku nadal pełna młodzieńczej energii, bez zdziwienia przyjmowała moje pierwsze pytania. Stawiałam je oględnie, aby nie grzeszyć natręctwem.

– Od czegoż by tu zacząć? Widzi pani, my oboje, ja i mój mąż, poznaliśmy Agatę na samym początku małżeństwa ich obojga.

Zdziwiłam się, gdyż o tym nie wiedziałam.

– Wracaliśmy wtedy z Kanady od rodziny. Zatrzymaliśmy się w Londynie na prawie trzy tygodnie. Tam zastała nas wiadomość, że w kraju ogłoszono stan wojenny. Oczywiście byliśmy bardzo nie spokojni o rodzinę i przyjaciół. Połączenia telefoniczne z Warszawą przecięto. Dzwoniliśmy do Tunisu, ale Krzysztof i Jola już stamtąd wyjechali. Tymczasem do naszych wspólnych znajomych w Londynie dotarł list od Żuli Kotwiczowej. Zdążyła go wysłać w przeddzień stanu wojennego, właśnie wtedy, gdy Andrzej wyjechał. Dowiedzieliśmy się, że nasz wnuk jest w Anglii – z żoną! Agata przybyła do Londynu ostatnim samolotem, jaki dotarł z Polski. No, nie ukrywam, że początkowo byliśmy zaskoczeni – i to raczej niemile. Nie zareagowaliśmy na to, ani mąż ani ja, tak ostro, jak nasza synowa, jednakże – co tu dużo mówić? – wolelibyśmy widzieć obok Andrzeja inną dziewczynę, nie córkę tego stalinowskiego prokuratora z tak obrzydliwą przeszłością. Ten ślub, zawarty na krótko przed powrotem rodziców, bez ich wiedzy, po prostu po to, żeby stworzyć fakty dokonane! I ten pośpieszny wyjazd wskutek obawy, jak zareaguje najbliższe otoczenie...

– Obawy były uzasadnione – wtrąciłam.

– Owszem. Niemniej taki wyjazd miał jednak cechy zerwania z całym dotychczasowym życiem Andrzeja – no i ucieczki. Nie podobało się to nam obojgu. Z listu Żuli wynikało, że ona rozumie i akceptuje ten ożenek, który myśmy skłonni byli potraktować raczej jako pochopny wybryk niedowarzonego młodego człowieka. Spotkaliśmy się najpierw z Andrzejem. I po dłuższej, spokojnej rozmowie trudno nam było nie uznać jego racji. Już wtedy załatwiał wyjazd do Johannesburga. Mówił, że owszem – mogliby zostać w Warszawie. Agata wciąż jednak musiałaby dźwigać na sobie przeszłość ojca, jak garb, którego niepodobna zrzucić.

Przekonaliśmy się wtedy, że to naprawdę wartościowa dziewczyna. Andrzeja kocha bezgranicznie, on zresztą odpłaca się jej tym samym. Oby tak trwało! Nie widzieliśmy żadnego powodu, żeby się na nich dłużej boczyć. Andrzej powiedział nam też, że z miłości do niego i z poczucia zagubienia ta biedna mała omal nie skończyła ze sobą. Myślała, że Andrzej już jej nie chce. Na szczęście zdołano ją odratować. W tej sytuacji na pewno dobrze zrobili, wyjeżdżając. Znaleźli się na innym gruncie, gdzie ich nikt nie znał, gdzie wszystko mogli oboje zacząć od nowa, bez żadnych obciążeń z przeszłości. I to było chyba najlepsze dla nich obojga.

– A dlaczego właśnie do Johannesburga?

– Bo tam fachowcy są poszukiwani i bardzo dobrze opłacani. Andrzej ma

w Londynie przyjaciela – Polaka, który bardzo mu to doradzał. Wnuk powtarzał nam jego argumenty: – Masz kwalifikacje, roboty się nie boisz, znasz język. Że Afryka – no, to co? Klimat jak na Afrykę dobry, przyroda wspaniała. A warunki znakomite. Znam takich, którzy się zdecydowali i nie żałują tego. Tyle że własny kraj daleko, więc nostalgia żre. Ale przecież nie musicie tam wiekować. Parę lat pracy, nabierasz doświadczeń, porobicie oszczędności, bo jest z czego – i jeżeli będziecie chcieli wrócić do Polski, przyjedziecie nie z pustą kieszenią.

– A skąd się tam wzięło aż takie zapotrzebowanie na fachowców? – spytałam. Dotychczas Republika Południowej Afryki kojarzyła mi się głównie z apartheidem, z dyskryminacją ludności murzyńskiej i z częstymi zamieszkami na tle rasowym.

– Wzrosło wydobycie złota, platyny, diamentów. Gospodarka bardzo się rozwija i w związku z tym potrzebni są ludzie wykształceni. Angażuje się ich bez biurokratycznych ceregieli, zwłaszcza jeśli są posiadaczami dyplomów i jeśli znają angielski. Andrzej początkowo nie bardzo w to wszystko wierzył. Mówił nam, że te informacje wydają się zbyt korzystne, aby mogły być prawdziwe. Okazało się jednak, że jego przyjaciel nie przesadził.

Ja też byłam na początku raczej sceptyczna, kiedy o tym usłyszałam – ciągnęła doktor Ola, popijając kawę. – Żałowałam, że oni oboje nie zahaczyli się w Anglii. Zawsze to Europa, i do Warszawy dwie godziny lotu. Ale osiąść w Anglii byłoby znacznie trudniej. Tymczasem kiedy Andrzej poszedł na rozmowę w ambasadzie RPA i zaraz potem do przedstawiciela firmy, w której miał pracować, ani się obejrzał, jak już miał gotowy kontrakt w kieszeni. Nikomu z rozmówców nie przeszkadzało, że jest Polakiem. Odwrotnie, usłyszał parę pochlebnych zdań na temat wysokiego poziomu polskich uczelni. Nie był dokładnie zorientowany, jaki jest stosunek randa, tamtejszej waluty, do dolara. Ale stwierdził, że pensja będzie wysoka. Ja mimo wszystko bałam się dla niego tej Afryki. Mój mąż był znacznie większym optymistą. Przepraszam panią na małą chwilę.

Niebawem wróciła, kładąc przede mną kilka listów i plik zdjęć.

– Proszę, niech pani to przejrzy – powiedziała. – Pójdę tymczasem do kuchni.

Z lektury listów można było się przekonać, że młodzi Radzimirscy jechali wprawdzie w nieznaną, ale na grunt przygotowany przez kontrahentów. „Najgorszy był sam moment decyzji, a potem odlot – pisał Andrzej. Wydało mi się, że zamykamy oczy i skaczemy prosto w głęboką wodę. Tylko trzymaliśmy się mocno za ręce, żeby nas wir nie porwał! W samolocie poczułem się rozluźniony – i doszedłem do wniosku, że wszędzie ludzie jakoś żyją, i nie ja pierwszy wybieram się do tego Johannesburga...”

„Nigdy przedtem nie leciałam nocą – relacjonowała Agata. Za oknami

ciemność jak atrament. Potem w tej czerni widać jak gdyby jasne draśnięcie, z tego robi się wąska, żółtawa szczelina, potem szersza pomarańczowa smuga. Nie od razu zrozumiałam, że to wschód słońca! Niebo się bardzo szybko rozjaśniało, jak gdyby ktoś w pośpiechu ściągał z niego ciemną zasłonę. Dzień zrobił się prawie nagle. Samolot przebił się przez chmury i leciał coraz niżej. Widać było zieleń i jakieś wzniesienia. Przypominałam sobie tytuł książki Hemingwaya Zielone Wzgórza Afryki. Czy kiedykolwiek mogłam pomyśleć, że takie wzgórza zobaczę?! Kiedy ziemia była tuż-tuż, zaniepokoiłam się, jak trafimy do tej firmy, która zatrudnia Andrzeja – i gdzie właściwie będziemy mieszkać? Czy to dom, czy jakiś hotel? A może po prostu barak? Andrzej mnie uspokoił, że damy sobie radę: przyjedziemy za dnia, mamy adres tej firmy, która go zaangażowała. A w najgorszym razie są przecież taksówki...”

Adres firmy okazał się niepotrzebny, podobnie jak taksówka.

Na lotnisku, większym i piękniejszym niż warszawskie Okęcie i londyńskie Heathrow, oczekiwał polskiego inżyniera młody urzędnik, który zawiązał przybyszów do dzielnicy zwanej Parktown („to właściwie nie dzielnica, tylko zgodnie z nazwą, miasto-ogród!”), wypłacił zaliczkę Andrzejowi i wręczył mu klucze do domu, wynajętego przez firmę. Andrzej pojechał z nim od razu do biura, aby przedstawić się i załatwić wstępne formalności. Agata chodziła po domu, nie wiedząc, czy to wszystko jej się nie śni: białe ściany, obszerny taras, niebieski basen, zachęcający do pływania; bogactwo kwiatów, które zdawały się aż krzyczeć kolorami, leżaki na trawnikach, krzewy, pnącza, mnóstwo zieleni... „Wyobrażałam sobie Afrykę jako barwny, egzotyczny prymityw” – pisała w tym samym liście. Tymczasem otoczył ich komfort i dostatek.

Wyjeżdżali z Warszawy, w której każdy sprawunek był problemem. W Londynie sklepy były pełne wszystkiego, o czym tylko dusza mogła zamarzyć. Musieli jednak żyć bardzo skromnie i przez kilka dni spędzonych w Anglii ograniczyć wydatki do niezbędnych. Teraz trudno im było początkowo oswoić się z możliwością zaspokajania nie tylko potrzeb, lecz nawet wymyślnych zachcianek. „Zresztą shopping, czyli sprawunki, oprócz pływania – to nasza główna rozrywka” – czytałam w liście Andrzeja.

– Po kilku latach, jeśli wrócą do tej innej Polski, stać ich będzie nie tylko na przyzwoite mieszkanie, ale nawet na domek jednorodzinny – powiedziała doktor Radzińska, wnosząc na tacy smakowicie wyglądający omlet. – Żula nie będzie musiała odstępować im swojego mieszkania. Tym lepiej.

– A wrócą?

– Chyba tak. Na początku, po ich pierwszych listach, mocno w to powątpiewałam. Zachłystywali się nowością sytuacji – co tu dużo mówić?! – wygodą, komfortem, możliwościami finansowymi. To szalony kontrast, zwłaszcza po tej naszej „mizerii”. Ale potem stopniowo okazało się, że są rzeczy,

których tam brak. Rzeczy tak zwykłe, że tutaj wcale nie zwracamy na nie uwagi. Tak jak nikt z nas nie zauważa powietrza, którym oddychamy. Chyba że jest mocno zatrute.

– Na przykład?

– Na przykład brak więzi, spójni kontaktów rodzinnych, koleżeńskich, środowiskowych. Tam ludzie żyją na ogół oddzielnie.

– A Polonia? Emigranci? Jest ich tam podobno sporo.

– Owszem. Ale są bądź skłóceni, bądź izolowani od siebie tak jak wszędzie tam, gdzie kolejne pokolenia wychodźców nie potrafią między sobą znaleźć wspólnego języka. Przy całym tamtejszym dostatku materialnym panuje ubóstwo życia intelektualnego. Telewizja jest podobno bardzo kiepska, teatr praktycznie żaden, kina wyświetlają tandetę. Do tego trzeba jeszcze dodać specyficzną mentalność Afrykanerów, potomków dawniejszych Burów. Ta mentalność, na swój sposób surowa, stawia na pierwszym miejscu obowiązki i pracę. Odpoczynek w dni świąteczne ma polegać przede wszystkim na czytaniu Biblii.

– Cośkolwiek z tej surowości u nas by się przydało – wtrąciłam.

– Na pewno tak – potwierdziła z uśmiechem pani Ola. – Niemniej dla dwojga młodych ludzi, którzy tak jak oni pracować potrafią, ale przyzwyczajeni są do innego życia po pracy – to jednak za mało. Agata i tak dokonała nie lada wyczynu: robi nadal tkaniny, wypracowała nawet swoistą, oryginalną technikę, którą nazwała „szyto-pruto” – i co więcej, sprzedaje te prace! Oczywiście to tylko początek, bo tam nie ma zbyt wiele tradycji wystaw, zwłaszcza tego typu. Ale zdołała rozbudzić zainteresowanie pewnych... może nie kręgów, ale grup tamtejszych snobów, którzy, jak to bywa w zamożnych krajach, cenią to, co zrobione ręcznie, a nie fabrycznie. Bardzo była dumna ze swoich zarobków na tym obcym gruncie – i wszystkie w ten sposób uzyskane pieniądze posłała swojej matce.

– A jej matka? – spytałam po krótkim wahaniu. – Co z nią się dzieje?

– Nieszczęśliwa kobieta. O ile wiem, pielęgnuje męża.

– On żyje? Miał wylew?

– Żyje sparaliżowany. Z tego, co słyszałam i co mogę sądzić jako lekarz, to ruina człowieka. Prawie nie może się poruszać, ledwie mówi, choć zachował część władz umysłowych. I widocznie odezwało się w nim sumienie, a może jakaś potrzeba ekspiacji? Trudno powiedzieć. W każdym razie... Nie słyszała pani o znalezieniu szczątków pułkownika Kotwiczą? O ekshumacji? To było mniej więcej przed półtora rokiem.

Zaprzeczyłam, wyjaśniając, że wtedy właśnie odbywałam trzymiesięczną podróż po Indiach i przez dłuższy czas byłam z dala od spraw warszawskich.

– A więc... podobno ten były prokurator z trudem się porusza i z trudem mówi. Ale jest przytomny. Przegląda gazety, coś niecoś czyta, kojarzy pewne

rzeczy. Od dość dawna zaczęto w naszej prasie domagać się prawdy o pochówku ludzi niewinnie skazanych i straconych w procesach stalinowskich. O tym pani słyszała?

– Tak, oczywiście. Były przypuszczenia, że grzebani byli potajemnie gdzieś na Powązkach. Albo na cmentarzu na Służewie.

– Otóż to! Kordaszewski musiał coś na ten temat przeczytać. Pewnego dnia zaczął po swojemu, bełkotliwie mówić rzeczy, których żona długo nie potrafiła zrozumieć. Próbował pisać, choć ręka odmawiała mu posłuszeństwa. Wreszcie zdołał nakreślić słowo, którego treści nie mogła pojąć – coś jakby Służew. Obok nagryzmolił krzyż i kotwicę.

Wiedział, że żona nie rozumie, o co mu chodzi. Warszawę zna słabo, urodziła się i mieszkała gdzie indziej. Zdobył się na jeszcze jedno słowo: „Aga”. Potem przez dwa lub trzy dni był w takim stanie, jakby miał nadejść koniec. Żona zajęła się nim, nie myśląc o tym, co próbował powiedzieć. Kiedy trochę doszedł do siebie, porozumiał się z nią na tyle, że opisała to wszystko w liście do Agaty. Andrzej zapamiętał z domowych rozmów przypuszczenie, czy domysł, że być może pułkownik Kotwicz został pochowany tam właśnie, na cmentarzu na Służewie. I ta wskazówka Kordasza okazała się trafna: znaleziono na skraju tego cmentarza prochy Kotwiczą, ekshumowano je i przeniesiono do grobu rodzinnego. Dla Zuzanny było to wielkie, bolesne przeżycie. Ale jest teraz ta prawdziwa, nie symboliczna mogiła, gdzie i ona może się pomodlić, i rodzina przychodzi, i inni dawni towarzysze broni pułkownika też się zjawiają. Widać, że zostawił po sobie dobrą pamięć. A tamten... Ech, nie ma co o nim mówić, choć coś w nim chyba drgnęło. Szkoda tylko jego żony. Ta kobieta dźwiga naprawdę ciężki krzyż.

Przez chwilę panowało milczenie. Wróbel widocznie oswojony i śmiały zbliżył się tuż ku stopniom tarasu. Pani Ola rzuciła mu garść okruchów. Porwał jeden z ich i umknął w pośpiechu.

– A teraz? – spytałam.

– Teraz?... ma pani na myśli Jolę? Jest takie znane powiedzenie: „czas kaleczy, czas leczy”. W jej wypadku trwało to długo. Była nieprzejednana, zapiekła w żalu. Miała za złe własnej matce, że ta bez większych oporów zaakceptowała Agatę. Na pierwsze listy synowej z Johannesburga nie odpowiedziała. Chyba nawet odesłała je bez otwierania kopert. Potem do rodziców pisywał Andrzej, Agata natomiast do mnie i do Żuli. Aż dopiero... Nie, tego zdjęcia tu nie ma – przyjrzała się fotografiom leżącym na stole.

Wyszła znów i po chwili wróciła z jeszcze jednym podłużnym kartonikiem. Byłam zdumiona, rozpoznając na nim wokół niemowlęcia, leżącego w ogrodzie na kolorowym prześcieradle, troje roześmianych ludzi. Byli to Andrzej, Agata – i... Jola!

– Pojechała do nich?

– Tak. Pojechała prawie nieoczekiwanie. I dobrze się stało. Widzi pani, to było tak...

Po nieudanych próbach nawiązania korespondencji z teściową Agata nie próbowała więcej do niej pisać. Wysyłała listy do obu starszych pań, które okazały jej znacznie więcej wyrozumienia niż matka męża. Aż wreszcie spróbowała znów się do niej odezwać po dłuższym czasie, chyba po dwóch latach od przyjazdu do Johannesburga. Była wtedy w ostatnim stadium ciąży.

Napisała do Joli, że spodziewa się dziecka, że bardzo tego pragnie, tak jak i Andrzej – i że zwraca się do niej, nie jak do teściowej, tylko po prostu jak do matki. Pisała, że choć ma wspaniałego męża, dostatek i spokój, choć szpital miejscowy i opieka, wszystko to jest znacznie lepsze niż w Warszawie, jednego jej brakuje – bliskości kogoś z rodziny; kogoś, kto ma za sobą macierzyństwo i wszystko to, co jest z nim związane. Bardzo Jolę prosiła, żeby tej niechęci do niej, – niechęci, jak pisała, zrozumiałej i uzasadnionej, nie przenosiła na maleństwo, które ma się urodzić. Oboje z Andrzejem czekają na nie z wielką radością.

Gdyby nie poronienie, mieliby już jedno dziecko odchowane – ale trudno, stało się. Może to cena, jaką trzeba było zapłacić losowi za wielkie szczęście, że są oboje razem?

Pisała również, że z własnym domem zerwała, ale poczuwa się do obowiązku pomocy rodzicom, bo to są jednak, mimo wszystko jej rodzice – starzy, schorowani i osamotnieni, którzy nikogo oprócz niej nie mają. Ale żyje głównie myślą o przyszłości – i o dziecku, które ma przyjść na świat. Chciałaby temu dziecku zapewnić miłość całej rodziny Andrzeja...

– I co? – spytałam, przerywając dłuższą chwilę milczenia.

– Wtedy w Joli coś się przełamało. Zaczęła w niej kruszeć ta skorupa urazy, goryczy, niechęci. Wiem, że odpowiedziała po raz pierwszy Agacie normalnym listem bardziej doświadczonej kobiety – lekarki, która udziela rozsądnych rad komuś młodszemu. Andrzej pisał później, że Agata popłakała się nad tym listem, ale z radości. No, a potem... Potem przysłała depesza.

Sięgnęła do leżącej w pobliżu koperty i wyjęła z niej telegram. Czytałam: JUŻ JESTEM STOP POZDRAWIAM I CAŁUJĘ PRABABCIE ZUZANNĘ STOP OBOJE PRADZIADKÓW STOP OBOJE DZIADKÓW STOP CHYBA MNIE WSZYSCY POKOCHACIE STOP WAŻĘ CZTERY KILOGRAMY STOP KAMIL STEFAN RADZIMIRSKL.

– Gratuluję prawnuka! – powiedziałam, zwracając telegram pani Aleksandrze. – Młodzi wybrali imiona dwóch pradziadków?

– Zgadza się. Podobno ustalili to od dawna. Zaczęliśmy się wtedy między sobą naradzać, czy ktoś z nas nie powinien do nich pojechać. Andrzej o to prosił. Żuła bardzo chciała, ale przy jej kruchym zdrowiu odradziliśmy taką eskapadę. My z mężem z kolei mieliśmy „niż” gotówkowy – wyjazd do Kanady sporo kosztował.

Trudno byłoby obarczać młodych kosztami przelotu. Wiem, że Andrzej zarobki ma bardzo dobre, ale to jednak kupa forsy. I wtedy Jola oświadczyła: – Ja pojadę. Nie jestem wprawdzie pediatrą, ale na pewno im się przydam. Ona czasem – pani wie – bywa, a raczej usiłuje być szorstka, żeby zamaskować wzruszenie...

– Bardzo młoda z niej babcia – zauważyłam, spoglądając na zdjęcie.
– Można by sądzić, że to ona, nie Agata jest mamą tego malucha.

– Trafiła pani w samo sedno. Obydwoje z mężem doszliśmy do wniosku, że w Joli odezwała się spóźnionym nawrotem tęsknota za macierzyństwem.

– Przecież ma syna!

– Tak. Ale urodziła go w młodym wieku, jeszcze jako studentka. Była wtedy bardzo zapracowana, zajęta nauką, która ją wyczerpywała – wie pani przecież, ile stresów przeszła w dzieciństwie i w latach szkolnych. Mieszkali oboje razem z Zulą. Ona, jako babcia, więcej wtedy zajmowała się Andrzejem niż jego rodzona matka. Proszę mnie dobrze zrozumieć: nigdy nie robiłam i nie robię mojej synowej z tego powodu żadnych wymówek. Takie były wtedy czasy, że młode kobiety bardzo często łączyły lepiej lub gorzej macierzyństwo ze studiami lub z pracą zawodową, a matki pomagały im, jak mogły – jeżeli mogły.

Jola nie była więc żadnym wyjątkiem. Krzysztofowie nie mieli więcej dzieci, choć bardzo marzyli o córce. I teraz wszystko wskazuje na to, że ten mały wnuk poruszył w Joli pokłady uczuć, które wydały się zastygłe. No i na pewno nie bez wpływu okazał się fakt, że zobaczyła z bliska ten związek dwojga młodych ludzi, bardzo udany, mimo dramatycznych początków.

– A tamta rodzina?

– Nikt nie zabroni przecież matce Agaty widywać małego, kiedy tu wrócą. A ten człowiek... Cóż, tak jak pani mówiłam, to niedołączny wrak ludzki, nad którym teraz już tylko można się litować. Sam los go po latach ukarał.

– Pani myśli, że oni wrócą?

– Jestem prawie pewna, że tak. Nie teraz jednak, bo Andrzej przedłużył sobie kontrakt. Poznali się tam na nim. Bardzo go cenią. Pracę ma atrakcyjną, zarobki świetne. Nawiązuje pożyteczne kontakty, które na pewno pomogą mu w przyszłości. Stanął tam mocno na nogach, świat mają oboje otwarty. Ale chcą mieć swoje stałe miejsce na ziemi tutaj, w kraju. Miejsce, z którego mogliby wyjeżdżać i do którego mogliby wracać. Bo tak jak pani niedawno mówiłam, są w kraju wartości, których nie ma w szerokim świecie – kolorowym, bogatym, zasobnym. Chciałabym, żebyśmy doczekali ich powrotu. I nie wyobrażam sobie, żeby mały Kamil Stefan Radzimirski mógł rosnąć w innym kraju – nie w Polsce...

KONIEC